

MICHAEL GRANT

GONE

ZNIKNĘLI



FAZA CZWARTA
PLAGA

PETE

Stał na szklanej krawędzi, całkowicie opanowany. Boso. Utrzymywał idealną równowagę. Jedna stopa przed drugą. Ramiona wzdłuż tułowia. Na tym polegała gra. Szklana bariera ciągnęła się w dół, w dół i... jeszcze bardziej w dół - przezroczysta, błyszcząca zasłona. Krawędź była cienka. Tak cienka, że mogła go skaleczyć, gdyby spadł lub zrobił nieostrożny krok. Cienka, tęcza wstęga, odbijająca czerwienie, zielenie i żółcie. Po jednej stronie - ciemność. Po drugiej - jaskrawe, ostre kolory. Po prawej stronie, poniżej swojej prawej ręki, poza zasięgiem palców, widział różne rzeczy. Byli tam jego mama, jego tata i siostra. Były tam poszarpane krawędzie i szумы, które chciał zagłuszyć, przykrywając uszy dłońmi. Kiedy patrzył na te rzeczy, na tych ludzi, na chwiejne, rozmywające się domy, na meble o ostrych krawędziach, na szponiaste dłonie i zakrzywione nosy, na oczy, które wciąż się wpatrywały, i usta, które nie przestawały krzyczeć, miał ochotę zacisnąć powieki. To jednak nie zadziałało. Widział ich mimo zamkniętych oczu. Nie rozumiał, dlaczego barwy pulsują tak dziko. Czasami nawet słowa nie były słowami, lecz różnobarwnymi wstęgami, wydobywającymi się z ich ust. Matka, ojciec, siostra, nauczyciel, ktoś inny. Ostatnio tylko siostra i inni. Wciąż coś mówili. Niektóre słowa rozumiał. Pete. Petey. Mały Pete. Znał te słowa. Czasami słyszał też miękkie dźwięki, delikatne jak kotki i poduszki; wypływały z ust jego siostry i sprawiały, że przez chwilę czuł spokój, póki znów nie dobiegł go zgrzytliwy, piskliwy jazgot i nie zaatakowały jaskrawe barwy. Po lewej stronie, na dole, poniżej nieskończonej szklanej bariery, był całkiem inny świat. Ciche, ulotne postaci, odcienie szarości. Żadnych ostrych krawędzi, żadnych agresywnych dźwięków. Żadnych okropnych kolorów, sprawiających, że chciało mu się krzyczeć. Ciemno i bardzo, tak bardzo cicho. Była tam też delikatnie świecąca kula, podobna do bladezielonego słońca. Czasami zbliżała się do niego. Wić. Mgła. Dotykała go, kiedy stał w równowadze, jedna stopa przed drugą, z ramionami wzdłuż tułowia. Spokój. Cisza. Nicość. Szeptala mu te myśli. Czasami grała. W tę grę. Pete lubił gry. Tylko to, co znajdowało się po lewej stronie, grało w jego gry tak jak on. W gry należało grać zawsze tak samo. Jednak ostatnia gra, ta, w którą Pete grał z Ciemnością, stała się brutalna i zbyt pełna jasności. Ciemność wypuściła strzały prosto w głowę Pete'a. Popsuła zabawę. Szklana bariera roztrzaskała się. Teraz znów stała się jednak całością, a on wspiął się na szczyt. Bladezielone słońce wyszeptalo przepraszająco: „Chodź tutaj pobawić się”. Po drugiej stronie - stronie pełnej chaosu i zgrzytu - rozciągnięta maska na twarzy jego siostry, schowana za jasnymi włosami, z ustami pełnymi błyszczącego różu i bieli, pchała go przypominającymi młoty rękami.

- Przesuń się. Muszę zabrać spod ciebie to prześcieradło. Jest przemoczone.

Pete zrozumiał niektóre słowa. Czuł ich ostrość. Mocniej jednak czuł coś innego. Coś dziwnego. Samotność. Coś było nie tak. Głęboka, pulsująca nuta, wygięcie smyczka, które odciągnęło jego uwagę od prawej i od lewej strony, a nawet od szklanej płaszczyzny, na której stał. Dobiegało ze źródła, w którym nigdy nie szukał: z niego samego. Teraz Pete spojrział na siebie z góry, jakby opuścił swoje ciało. Popatrzył na nie zdziwiony. Tak: uporczywy dźwięk był nowym odgłosem, bardziej jeszcze fascynującym niż cichy szept Ciemności i zgrzytliwe słowa siostry. Jego ciało domagało się uwagi, odwracało ją od gry, od utrzymywania równowagi na szklanej barierze.

- Pocisz się - powiedziała siostra. - Jesteś rozpalony. Zmierzę ci temperaturę.

ROZDZIAŁ 1 72 GODZINY, 7 MINUT

Sam Tempie był pijany. Stanowiło to dla niego nowe doświadczenie. Miał piętnaście lat. Kilka razy zdarzyło mu się tyknąć wina z barku matki. Kiedy miał trzynaście lat, wypił pół piwa. Chciał sprawdzić, jak smakuje. Nie przypadło mu do gustu, było zbyt gorzkie. Przed ETAP-em raz zaciągnął się jointem. Zaniósł się kaszlem, po czym przez godzinę czuł się dziwnie i słabo. To nigdy nie było w jego stylu. Nigdy nie należał do imprezowego tłumu. Tej nocy jednak poszedł sprawdzić, co dzieje się z uwięzionym potworem, który był jednocześnie Brittney i Drakiem i usłyszał złośliwe, obsceniczne groźby i okrzyki szalonej, morderczej wściekłości. A potem, co gorsza, usłyszał, jak Brittney błaga o śmierć.

- Sam, wiem, że mnie słyszysz - jęczała przez zabarykadowane drzwi. - Wiem, że tam jesteś, słyszałam twój głos. Nie mogę dłużej tego wytrzymać. Sam, skończ z tym. Proszę cię, błagam, pozwól mi odejść, pozwól mi pójść do nieba.

Tego samego wieczora, ale nieco wcześniej, poszedł odwiedzić Astrid. Nie poszło najlepiej. Astrid się starała, on się starał, ale zbyt wiele złego stało się między nimi. Ich przeszłość była zbyt trudna. Pocałował ją. Przez chwilę odwzajemniła pocałunek. A potem odepchnęła go. Jego ręce powędrowały tam, gdzie tak bardzo chciał je położyć. A ona go odsunęła.

- Dobrze wiesz, że odmówię. Sam - powiedziała.

- Tak, domyśliłem się - odparł ze złością i frustracją, próbując jednak zachować pozory spokoju.

- Jak myślisz, jak szybko wszyscy się o nas dowiedzą?

- To nie dlatego się ze mną nie prześpisz - powiedział Sam. - Nie zrobisz tego, bo ci się wydaje, że to będzie oznaczać utratę kontroli. A tobie zależy tylko na tym, by ją zachować, Astrid.

To była prawda. A przynajmniej Sam tak sądził. Gdyby jednak był naprawdę szczery, a nie tylko wściekły, przyznałby, że Astrid miała swoje własne problemy. Że była przepełniona poczuciem winy i nie potrzebowała kolejnego powodu, by czuć się jeszcze gorzej. Mały Pete był w sypialni. Astrid obwiniła się, choć było to głupie, a ona przecież głupia nie była. Mały Pete był jednak jej bratem. Odpowiadała za niego. Był jej ciężarem. Po tym niepowodzeniu Sam przyglądał się, jak Astrid karmi nieruchomego Pete'a zupą z ryb i karczochów. Mały Pete na szczęście był w stanie połykać. Chodził, jeśli się go poprowadziło. Umiał używać dołka wykopanego na podwórzu za domem, jednak Astrid musiała go podcierać. Na tym polegało teraz jej życie. Była pielęgniarką autystycznego chłopca, w którym skupiała się cała moc ich świata. Więcej niż autystycznego: Mały Pete w ogóle nie istniał. I nie było sposobu, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się jego dziwny umysł. Astrid nie przytuliła Sama, kiedy powiedział, że wychodzi. Nie dotknęła go nawet. Tak wyglądał wieczór Sama. Astrid i mały Pete. I dwoiste monstrum, którego pilnowali Orc z Howardem. Gdyby Drake'owi udało się jakoś uciec, prawdopodobnie tylko dwie osoby mogłyby mu stawić czoła: Sam i Orc. Sam potrzebował Orca, by ten pilnował Drake'a. Zignorował więc butelki, ustawione za kanapą Orca i „skonfiskował” tylko tę, która stała na widoku, na kuchennej ladzie.

- Wyrzucę to - powiedział do Howarda. - Dobrze wiesz, że to nielegalne.

Howard wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. Jakby wiedział. Jakby zobaczył błysk chciwości w oczach Sama. Jednak wtedy nawet Sam jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Zamierzał rozbić butelkę albo wyrzucić ją gdzieś na ulicę. Zamiast to zrobić, niósł ją jednak ze sobą. Przez ciemne ulice. Wzdłuż spalonych, pełnych duchów domów. Wzdłuż cmentarza. Aż na plażę. Otworzył butelkę, gotowy, by wylać zawartość na piasek. Zamiast tego jednak

pociągnął łyk. Palił niczym ogień. Pociągnął kolejny łyk. Palił już nieco mniej. Ruszył wzdłuż plaży. Serce podpowiadało mu, dokąd idzie. Wiedział, że stopy prowadzą go do klifu. Teraz, wiele łyków później, stał chwiejnie na szczycie klifu. Wpływu alkoholu nie dało się zignorować. Wiedział, że jest pijany. Spojrzał w dół, na mały łyk linii brzegowej u podstawy klifu. Delikatna fala malowała błyszczące linie na ciemnym piasku. Mary przyprowadziła dzieci właśnie w to miejsce, przygotowując je do samobójczego skoku. Dzieci przeżyły tylko dzięki heroicznemu wysiłkowi Dekki. Teraz Mary już nie było.

- Twoje zdrowie, Mary - Sam uniósł butelkę i zaczerpnął głęboki haust.

Zawiódł Mary. Od samego początku to ona zajmowała się maluchami. Niosła ten ciężar niemal samotnie. Sam widział rezultaty jej anoreksji i bulimii. Nie zdawał sobie jednak sprawy, co się z nią dzieje, albo nie chciał zdawać sobie z tego sprawy. Słyszał plotki o tym, że Mary bierze wszystkie leki, jakie uda jej się znaleźć, cokolwiek, co mogłoby uleczyć jej depresję. O tym też nie chciał wiedzieć. Przede wszystkim powinien był przewidzieć zamiary Nerezy, powinien mieć wątpliwości, powinien nalegać. Powinien. Powinien. Powinien... Kolejny haust płynnego ognia. Od płomienia chciało mu się śmiać. Śmiał się na plaży, na której umarła Orsay, fałszywa prorokini.

- Do zobaczenia. Mary. - Uniósł butelkę w ironicznym toaście. - Przynajmniej się stąd wydostałaś.

Tego dnia, kiedy Mary odeszła, bariera na sekundę zniknęła. Zobaczyli świat zewnętrzny: platformę obserwacyjną, telewizyjny wóz satelitarny, konstrukcję pełną fast foodów i tanich hoteli. To wszystko wydawało się bardzo, bardzo rzeczywiste. Ale czy było? Astrid twierdziła, że nie, że to tylko kolejna iluzja. Astrid nie wydawała się jednak osobą uzależnioną od prawdy. Sam zachwiał się na krawędzi klifu. Tęsknił za Astrid, a alkohol nie był w stanie tego stłumić. Tęsknił za dźwiękiem jej głosu, za ciepłem jej oddechu na swojej szyi, za jej ustami. Tylko dzięki niej jeszcze nie zwariował. Teraz jednak to ona była źródłem szaleństwa, gdyż jego ciało domagało się tego, czego ona nie chciała mu dać. Bycie z nią wypełniały już tylko ból i pustka. Bariera znajdowała się o kilka metrów od niego. Nieprzenikniona. Nieprzezroczysta. Jej dotknięcie bolało. Błyszcząca, szara kopuła ograniczała dwadzieścia mil wybrzeża Południowej Kalifornii, tworząc wielkie terrarium. Albo zoo. Albo wszechświat. Albo więzienie. Sam próbował skoncentrować na niej spojrzenie, ale jego oczy były zbyt rozbiegane. Z przesadą właściwą ludziom pijanym odstawił butelkę. Wyprostował się. Spojrzał na swoje dłonie. Wyciągnął ramiona przed siebie, wnętrza dłoni kierując ku barierze.

- Nienawidzę cię - powiedział do niej.

Z jego dłoni wytrysnęły dwa identyczne snopy zielonego światła. Skupiony, elektryczny prąd.

- Aaaach! - zawołał Sam.

Zaklął głośno. Wystrzelił ponownie.

Światło uderzyło w barierę, nic się jednak nie wydarzyło. Nic się nie spaliło. Nie było dymu.

- Pal się! - wrzasnął Sam. - Pal się!

Posłał płomień wyżej, uderzając w zagięcie bariery. Wściekał się, wył i buchał płomieniami. Na próżno.

Raptownie osunął się za ziemię. Jasny płomień zgasł. Niezdarnie sięgnął po butelkę.

- Ja ją mam - rozległ się głos za jego plecami.

Sam odwrócił się, szukając jego źródła. Był pewien, że głos należał do dziewczyny, ale nie mógł jej znaleźć. Podeszła, tak by ją zobaczyć. Taylor. Taylor była ładną Azjatką, która nigdy nie ukrywała swojego zainteresowania Samem. Ona również była mutantem. Jej siła teleportacji wynosiła trzy kreski. Potrafiła momentalnie znaleźć się w dowolnym miejscu, nawet takim, którego nie widziała nigdy wcześniej. Nazywała to „skakaniem”. Miała na sobie

T-shirt i szorty. Rozwiązane trampki włożone na bose stopy. Nikt już się porządnie nie ubierał. Ludzie zakładali cokolwiek, co było chociaż w miarę czyste. Nikt też nie ruszał się bez broni. Taylor miała duży nóż w ładnej, skórzanej pochwie. Nie była tak piękna jak Astrid. Nie była też jednak zimna, zdystansowana i nie patrzyła na niego oskarżycielskim wzrokiem. Widok Taylor nie napełniał go też wspomnieniami pełnymi miłości i gniewu. Nie była to też dziewczyna, która znajdowała się w centrum jego myśli przez ostatnie miesiące. Nie była to dziewczyna, przez którą czuł się jak głupiec, sfrustrowany i zażenowany. Przez którą czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej.

- Hej, Taylor. Skacząca Taylor. Co tam?

- Widziałam światło - powiedziała Taylor.

- Tak. Składam się tylko ze światła - wymamrotał Sam.

Niezdarnie wyciągnęła butelkę przed siebie, jakby nie była pewna, co powinna z nią zrobić.

- Nie - odsunął ją. - Myślę, że już mi starczy. A ty? - mówił bardzo ostrożnie, starając się nie mamrotać. Nie udawało mu się. - Chodź, usiądź ze mną, Taylor, skacząca Taylor.

Zawahała się.

- No chodź, nie ugryzę cię. Fajnie jest porozmawiać z kimś... normalnym.

Taylor nagrodziła go lekkim uśmiechem.

- Nie wiem, na ile jestem normalna.

- Jesteś bardziej normalna niż inni. Właśnie sprawdzałem, co dzieje się z Brittney - odparł Sam. - W tobie nie mieszka potwór, prawda, Taylor? Czy musisz tkwić zamknięta w piwnicy, bo siedzi w tobie psychol z biczem zamiast ręki? Prawda? No widzisz? Och, Taylor, jesteś taka normalna!

Spojrzał na barierę, na nieporuszoną, spokojną barierę.

- Czy błagałaś kiedyś, by ktoś cię spalił na popiół, tak żebyś mogła pójść do Jezusa, Taylor? Nie. Widzisz, o to właśnie prosi Brittney. Więc jesteś całkiem normalna, skacząca Taylor.

Usiadła obok niego. Niezbyt blisko. Tak blisko jak koleżanka, tak blisko, jakby chciała porozmawiać. Sam nic nie powiedział. W jego głowie walczyły dwie przeciwstawne pokusy.

Jego ciało domagało się, by iść na całość. A jego umysł... cóż, jego umysł wymykał mu się spod kontroli. Wyciągnął rękę, by chwycić dłoń Taylor. Nie odsunęła jej. Poglądził ją dłonią po ramieniu. Zesztywniała lekko i rozejrzała się wokół, upewniając się, że nikt ich nie podgląda. Albo, być może, w nadziei, że ktoś ich jednak widzi. Jego ręka dosięgła jej szyi. Pochylił się nad nią i przyciągnął do siebie. Pocałował ją. Odwzajemniła pocałunek. Pocałował ją mocniej. Ona włożyła dłoń pod jego koszulkę, muskając palcami jego blade ciało. Odsunął się nagle.

- Przepraszam, ja...

Zawahał się, czując, jak jego umysł walczy z rozpalonym ciałem. Wstał gwałtownie i ruszył przed siebie. Taylor za jego plecami roześmiała się wesoło.

- Przyjdź do mnie, kiedy przestaniesz wdychać do królowej śniegu.

Poczuł nagły, silny wiatr. W każdej innej chwili, w innych okolicznościach, zauważyłby, że wiatr nie zawiął w ETAP-ie jeszcze nigdy wcześniej.

ROZDZIAŁ 2

72 GODZINY, 4 MINUTY

To niesamowite, jak porządny posiłek mógł poprawić wygląd głodującej dziewczyny. Diana patrzyła na siebie w lustrze. Miała na sobie czyste majtki i biustonosz. Była chuda, bardzo chuda. Jej kolana i stopy wydawały się dziwnie powiększone. Mogła policzyć wszystkie żebra. Jej brzuch był wklęsły. Przestała miesiączkować, a jej piersi stały się tak małe, jak wtedy kiedy miała dwanaście lat. Obojczyki wyglądały jak wieszaki na ubrania. Twarzy niemal nie dało się rozpoznać. Wyglądała jak heroinistka.

Jej włosy były jednak ładniejsze, ciemniejsze. Rdzawy kolor i łamliwość, spowodowane głodem, zniknęły. Jej oczy nie były już martwymi, pustymi dziurami w czaszce. Teraz błyszcząły w delikatnym świetle lampy. Była żywym człowiekiem. Działy nie krwawiły już tak bardzo. Znowu stały się różowe, nie czerwone, mniej spuchnięte. Może uda jej się nie stracić zębów. Głód. Sprawiał, że zjadła ludzkie mięso. Była kanibalem. Głód pozbawił ją człowieczeństwa.

- Nie do końca - powiedziała Diana do swojego odbicia w lustrze. - Nie do końca.

Kiedy dowiedziała się, że Caine zamierza zniszczyć helikopter z Sanjitem, jego braćmi i siostrami, poświęciła własne życie. Skoczyła z klifu, żeby zmusić Caine'a do dokonania wyboru: uratować ją czy zabić dzieci. Tym aktem poświęcenia z pewnością odkupiła winę odgryzienia, przeżucia i połknięcia gotowanego kawałka piersi Pandy. Na pewno zostało jej to wybaczone. Choć w części. Dobrze? Proszę, Boże, jeśli istniejesz, powiedz, że odkupiłam swoje winy. To jednak nie wystarczało. Nie mogło wystarczyć. Musiała zrobić więcej. Przez resztę swojego życia musiała robić więcej. Poczynając od Caine'a. Wykazał się odrobiną człowieczeństwa, ratując ją i pozwalając uciec swoim ofiarom. To niewiele. Ale zawsze coś. A gdyby tylko potrafiła go zmienić... Dźwięk. Bardzo cichy. Szurnięcie stopy o dywan.

- Wiem, że tam jesteś, Robalu - powiedziała Diana spokojnie, nie patrząc za siebie. Nie chciała dać temu potworkowi satysfakcji. - Jak sądzisz, co Caine by ci zrobił, gdybym powiedziała mu, że podglądasz mnie w bieliźnie? Robal nie odpowiedział.

- Czy nie jesteś trochę za młody na to, by być zбочeńcem?

- Caine mnie nie zabije - powiedział bezcielesny głos. - Potrzebuje mnie.

Diana podeszła do podwójnego łóżka. Założyła szlafrok, który wybrała spośród wielu wiszących w szafie. Należały do kobiety, która była kiedyś właścicielką sypialni - znanej aktorki o wyrafinowanym guście, która nosiła ubrania tylko o rozmiar większe niż Diana.

Jej buty też pasowały niemal idealnie. Było tam około siedemdziesięciu par butów najlepszych marek. Diana wsunęła stopy w wełniane kapcie.

- Jeśli będę się chciała ciebie pozbyć, Robalu, wystarczy żebym powiedziała Caine'owi, że twoja moc rośnie. Powiem mu, że zaraz będziesz miał cztery kreski. Jak sądzisz, co zrobi, kiedy się dowie, że ktoś o takiej mocy jest z nim na wyspie?

Robal powoli wszedł w jej pole widzenia. Był zadzierającym nosa bachorem. Właśnie skończył dziesięć lat. Przez chwilę Diana poczuła do niego coś w rodzaju współczucia: Robal był pokręconym małym zбочeńcem. Jak wszyscy pozostali był przestraszony i samotny, być może nawet ciążyło mu to wszystko, co zrobił. Albo i nie. Robal nigdy nie wykazał się choćby odrobiną sumienia.

- Jeśli chcesz oglądać nagie dziewczyny, czemu nie pójdziesz popatrzeć na Penny?

- Ona nie jest ładna - powiedział Robal. - Jej nogi są całe... - pokręcił palcami, chcąc zademonstrować ich wygląd. - I śmierdzi.

Penny więcej jadła, tak jak Diana. Czowała się jednak gorzej. Spadła z wysokości stu stóp na wodę i skały. Caine uniósł ją z powrotem na klif. Ale jej nogi połamały się w kilkunastu

miejskach. Diana zrobiła, co mogła, żeby złożyć złamania, przygotowała szyny z desek i taśmy klejącej, Penny cierpiała jednak straszliwie. Miała już nigdy nie chodzić. Jej nogi nigdy nie wyzdrowieją. Mieszkała teraz w jednej z łazienek, żeby w razie potrzeby móc unieść się na toaletę. Diana dwa razy dziennie przynosiła jej jedzenie. Miała także książki i telewizor z odtwarzaczem DVD. W domu na wyspie San Francisco de Sales wciąż była elektryczność. Generator dostarczał słabego, niestabilnego prądu. Kiedy Sanjit tam mieszkał, martwił się, że paliwo do generatora się kończy. Caine potrafił jednak robić rzeczy, których Sanjit nie umiał. Na przykład przenosić beczki paliwa z wraku jachtu rdzewiejącego na dnie klifu. Dianie, Caine'owi i Robalowi było tam bardzo wygodnie. Życie Penny już nigdy nie miało być wygodne. Jej moc - umiejętność ukazywania innym przerażających wizji potworów, wgrzyzających się w ciało insektów i śmierci - nie mogła jej teraz w niczym pomóc.

- Boisz się jej, prawda, Robal? - spytała Diana. Roześmiała się. - Próbowałeś, co? Podglądałeś ją, a ona cię przyłapała.

Odpowiedź widniała na twarzy Robala. Cień przerażającego wspomnienia.

- Lepiej nie złościć Penny - powiedziała Diana. Włożyła spodnie i uderzyła Robala w piegowaty policzek. - Mnie też lepiej nie złościć. Przeze mnie nie zobaczysz potworów, ale jeśli jeszcze raz przyłapię cię na podglądaniu, powiem Caine'owi. Albo ja, albo ty. Dobrze wiesz, kogo wybierze.

Diana wyszła z pokoju. Postanowiła być lepszym człowiekiem. Będzie nim, jeśli tylko Robal przestanie jej przeszkadzać.

Trzy Jennifer. Tak się nazywały. Jennifer B. była ruda, Jennifer H. była blondynką, a Jennifer L. nosiła czarne dredy. Przed ETAP-em nawet się nie znały. Jennifer B. była dziewczyną z Coates, Jennifer H. uczyła się w domu. Tylko Jennifer L. chodziła do normalnej szkoły. Dwie z nich miały dwanaście, a jedna trzynaście lat. I przez ostatnie dwa miesiące mieszkały razem w domu położonym w zaułku, daleko od centrum. Był to dobry wybór: wielki pożar nie dotarł w pobliże budynku. Teraz jednak miejsce nie wydawało się już tak dogodne. Tak zwany szpital znajdował się wiele ulic dalej, a każdej z nich przydałby się tylenol czy coś podobnego, bo wszystkie miały podobny ból głowy, podobnie zesztyniałe mięśnie i taki sam, duszący kaszel. Wszystkie objawy wystąpiły dwadzieścia cztery godziny wcześniej i dziewczęta właśnie zdały sobie sprawę, że oto dopada je grypa. Wcześniej w ETAP-ie była już jedna epidemia grypy, która zaatakowała wiele dzieci, choroba nie była jednak niebezpieczna, po prostu unieruchamiała wiele osób, które powinny w tym czasie pracować. Jennifer B. - Jennifer Boyles - spała nie dłużej niż godzinę, gdy obudził ją głośny, natarczywy dźwięk, dobiegający z bliska. Nie z zewnątrz, tylko z pokoju obok. Usiadła na łóżku, walcząc z zawrotami głowy. Jeśli coś próbowało dostać się do domu, żeby ją zabić, tym lepiej - czuła się, jakby już zgniła.

Kkkrrraaafff!

Tym razem ściany wydawały się drżeć. Jennifer B. wstała z łóżka, zanim zdążyła pomyśleć, co robi. Zakaszła i ruszyła w stronę drzwi, czując tak silny ból głowy, że nie potrafiła skupić wzroku. W korytarzu spotkała Jennifer L. Jennifer L. również kaszłała i wydawała się tak samo przerażona. Obie miały na sobie koszulki i spodnie od dresu, obie też wyglądały żałośnie.

- To dobiega z pokoju Jennifer - powiedziała Jennifer L. Miała ze sobą ołowianą rurę z uchwytem owiniętym czarną taśmą.

Jennifer B. zezłościła się na siebie, bo zapomniała swojej broni. W ETAP-ie nie wyskakiwało się z łóżka w środku nocy nieuzbrojonym. Wróciła do łóżka i wyciągnęła maczetę. Tkwiła schowana w pochwie, pomiędzy materacem a sprężynami łóżka, jej uchwyt wystawał. Nie

była bardzo ostra, ale wyglądała na niebezpieczną i taka była. Ostrze długie na dwie stopy i potrzaskany, drewniany uchwyt.

- Jennifer? - zawołała Jennifer B. w stronę pokoju Jennifer H.

Kkkrrraaafff!

Drzwi zaskrzypiały w zawiasach. Jennifer B. otworzyła je, trzymając maczetę w gotowości. Jennifer L. stała za nią, trzymając rurę w drżącej dłoni. Jennifer H. zawsze bała się ciemności, więc w rogu pokoju miała bardzo małe słoneczko Sammy'ego, wiszące pod czymś, co kiedyś było abażurem. Światło było zielone i upiorne, bardziej przerażające niż pomocne. Oświetlało teraz Jennifer H. Miała na sobie nocną koszulę w kwiaty. Stała na łóżku. Jedną ręką trzymała się za gardło, a drugą za brzuch. Wyglądała, jakby zobaczyła śmierć.

- Jen, wszystko w porządku? - spytała Jennifer L.

Jennifer H. wytrzeszczała oczy. Wpatrywała się w dwie współlokatorki. Jej brzuch wił się w konwulsjach. Pierś ciążyła. Ścisnęła się za gardło, jakby chciała się udusić. Jej długie, jasne włosy były mokre, pokryte potem, kleiły się do jej twarzy i szyi. Jej kaszel był szokująco głośny.

Kkkrrraaafff.

Jennifer B. poczuła w powietrzu eksplozję. Coś mokrego wylądowało na jej twarzy. Dotknęła wilgotnej substancji wolną ręką i spojrzała na nią, nie rozumiejąc, co to może być. Wyglądała jak kawałki surowego mięsa, jak skóra kurczaka.

Kkkrrraaafff.

Siła kaszlnięcia rzuciła Jennifer plecami o ścianę.

- O Boże... - jęknęła - Och...

Kkkrrraaafff!

Tym razem Jennifer B. zobaczyła to. Kawałki czegoś mokrego i surowego wylatywały z ust Jennifer H. Dziewczyna kaszlała kawałkami swoich wnętrzności.

KKKRRRAAFFFF!

Całe ciało Jennifer H. wiło się w konwulsjach, zwijając się w kształt litery C. Nagle uderzyła w szybę. Szyba pękła.

KKKRRRAAFFFF!

Następny spazm sprawił, że głowa Jennifer H. obita się o ścianę. Rozległ się przerażający trzask. Pozostałe dwie dziewczyny patrzyły na nią z przerażeniem. Nie ruszała się.

- Jen? - spytała nieśmiało Jennifer B.

- Jen? Jen? Żyjesz? - powtórzyła Jennifer L.

Podeszły bliżej, trzymając się za ręce, wciąż z bronią w gotowości. Jennifer H. nie odpowiedziała. Jej szyja była dziwnie skręcona. Oczy miała otwarte. Patrzyły w pustkę. Czarna ciecz wylatywała z jej ust i uszu. Dwie Jennifer cofnęły się. Jennifer B. opadła na kolana. Nie miała już siły. Maczeta wypadła jej z dłoni.

- Ja... - zaczęła, nie była jednak w stanie skończyć zdania. Nie była nawet w stanie wstać.

- Musimy wezwać pomoc - powiedziała Jennifer L., ona jednak też osunęła się na kolana.

Jennifer L. spróbowała wstać, ale znowu upadła. Jennifer B. poczołgała się z powrotem do pokoju. Naprawdę chciała pomóc Jennifer L., ale nie mogła pomóc nawet sobie.

Pomyślała, że potrzebują pomocy. Jennifer B. z trudem wspięła się na łóżko. Pomyślała, że potrzeba im pomocy. Szpital. Lana. Jakaś wciąż działająca część jej pogrążonego w delirium umysłu rozumiała, że najlepszym rozwiązaniem było teraz położenie się do łóżka. Przekraczało to jednak jej możliwości. Położyła się na zimnej, drewnianej podłodze, wpatrując się w łóżko i w nieruchomy wentylator na suficie. Resztkami sił ściągnęła na siebie

brudne prześcieradła i koce. Zakaszłała w materiał, który kiedyś był miękkim kocykiem, zabranym z pokoju jej matki.

Dziwny twór na ramieniu Huntera nie bolał, rozpraszał jednak jego uwagę. A powinien być skupiony, polując na Starego Lwa. Górski lew nigdy nie przeszkadzał Hunterowi. Górski lew nie chciał go zjeść. A jeśli nawet chciał, to w każdym razie nigdy nie próbował. Hunter musiał jednak zabić górskiego lwa, ponieważ ukradł on zbyt wiele jego zdobyczy. Stary Lew tropił Huntera, kiedy ten polował na jelenia. Hunter zajęty był pogonią za następną zdobyczą, kiedy Stary Lew zakradł się i porwał jego jelenia. Stary Lew robił po prostu to, co musiał zrobić. To nie było nic osobistego. Hunter z kolei nie nienawidził Starego Lwa. Jednak nie mógł pozwolić mu dalej kraść jedzenie przeznaczone dla dzieci. Hunter polował dla dzieci. Właśnie tym się zajmował. Był Hunterem, łowcą¹. Stary Lew grasował teraz po lesie, za wzgórzem, tam, gdzie zaczynał się suchy łąd, a skały stawały się coraz wyższe. Wracał właśnie do domu na noc. Najadł się i ruszył do swojego legowiska. Miał zamiar spędzić dzień na nasłonecznionych skałach i wygrzać kości. Myśliwy szedł ostrożnie, energicznie, ale bez zbytniego pośpiechu. Niebezpiecznie jest spieszyć się, gdy drogę oświetla tylko światło księżyca. Wiele dowiedział się o polowaniu. Zabijająca moc jego rąk nie sięgała daleko. Musiał podejść blisko, żeby działać skutecznie. To oznaczało konieczność naprawdę silnej koncentracji, co było trudne od czasu, gdy jego mózg został uszkodzony. Nie był w stanie skupić się na tyle, by móc czytać albo zapamiętać wiele słów. Te, które wydobywały się z jego ust, były nieuporządkowane. Potrafił jednak skupić się na szybkim i cichym kroczeniu przed siebie i jednoczesnym poszukiwaniu srebrnych, kocich śladów na piasku. Musiał też liczyć się z tym, że Stary Lew zmieni zdanie i postanowi jednak zjeść smacznego chłopca. Stary Lew nie tylko kradł jedzenie, ale też zabijał. Hunter widział go raz, jak przyglądał się bezpańskiemu psu, machając ogonem i szczękając zębami ze zniecierpliwieniem. Stary Lew przebiegł jakieś sto stóp w ciągu zaledwie sekundy. Jak pocisk z pistoletu. Jego wielkie łapy przytrzymały psa, nim ten zdążył się uchylić. Długie, zakrzywione pazury, futro, krew, desperacki jęk psa. Potem, spokojnie, nie spiesząc się, lew wgryzł się w szyję psa, uśmiercając go. Stary Lew był myśliwym już wtedy, kiedy Hunter siedział jeszcze w klasie, podnosił rękę, żeby odpowiedzieć na pytania nauczyciela, czytał, rozumiał i stawał się mądry. Stary Lew wiedział wszystko o polowaniu. Nie wiedział jednak, że Hunter go śledzi. Chłopak poczuł nagle zapach drapieżnika. Był niedaleko. Śmierdział martwym mięsem. Zasnęłą krwią. Hunter stał właśnie pod wysokim głazem. Zamarł, zdając sobie sprawę, że Stary Lew znajduje się tuż nad nim. Chciał uciec, ale wiedział, że jeśli się poruszy, kot skoczy na niego. Bezpieczniej było pod głazem. Stary Lew nie mógł zeskoczyć wprost na niego. Chłopak oparł się plecami o kamień. Wyciszył oddech, tak że usłyszał, jak oddycha wielki kot. Stary Lew nie dał się jednak oszukać. Zapewne słyszał nawet bicie serca Huntera. Dziwny twór na ramieniu chłopaka poruszył się. Rósł. Wiercił się. Hunter widział, jak rusza się pod koszulką. Wyglądało to tak, jakby chciał przegryźć materiał. Hunter nie potrafił tego nazwać. Urosło poprzedniego dnia. Na początku wyglądało jak guzek, opuchlizna. Potem jednak skóra pękła, ukazując fragment pyszczka insekta. Pająka. Albo robala. Jednego z tych robali, które chodziły po Hunterze, kiedy spał. To coś na jego ramieniu nie było jednak zwykłym robakiem. Było zbyt duże. I rosnęło dokładnie w tym miejscu, na które latający wąż wypłuł swoją lepką maź. Hunter próbował przypomnieć sobie słowo, którym mógłby to nazwać. Kiedyś znał to słowo. Wiązało się z robakami na padlinie. Co to za słowo? Pochylił się, kładąc ręce na głowie, nie mogąc go sobie przypomnieć. Stracił koncentrację ledwie na

¹Hunter - po angielsku myśliwy (przyp. red.)

kilka sekund, to jednak wystarczyło Staremu Lwu. Kot spadł na niego błyskawicznie. Powalił Huntera na ziemię. Chłopak uderzył głową o skałę. Wielki kot nie trafił jednak od razu w cel i zaczął szamotać się w wąskiej przestrzeni. Obrócił się, obnażył żółte zęby i skoczył naprzód z wyciągniętymi pazurami. Hunter uchylił się, zbyt późno jednak. Wielka łapa uderzyła go w pierś i cisnęła nim o skałę, odbierając mu dech. Stary Lew znalazł się na nim, z pazurami na ramionach i ryczącym pyskiem o kilka centymetrów od jego obnażonej szyi. Potem nagle górski lew zasyczał i odskoczył, jakby wylądował na gorącym piecu. Potrząsnął łapą, z której pociekły kropelki krwi. Jeden z jego pazurów wisiał na włosku. To coś, co znajdowało się na ramieniu Huntera, ugryzło Starego Lwa. Hunter nie zawahał się. Uniósł ręce i wycelował. Nie było światła. Fala Gorąca, która emanowała z rąk myśliwego, była niewidoczna. Temperatura w głowie Starego Lwa wzrosła jednak gwałtownie, jego mózg zagotował się i zwierzę padło martwe. Hunter uniósł rękaw. Wargi insekta zgrzytały, żując kawałek ciała lwa.

ROZDZIAŁ 3

73 GODZINY, 3 MINUTY

Astrid nakarmiła małego Pete'a. Potem usiadła przy oknie, trzymając książkę pod dziwnym kątem, żeby wykorzystać słabe światło księżyca. Czytanie szło jej wolno. W dawnych czasach nigdy nie wybrałaby takiej książki. Nie dałaby się przyłapać na czytaniu głupiego romansu dla nastolatków. Wtedy wybrałaby coś z klasyki, jakąś wybitną powieść albo książkę historyczną. Teraz potrzebowała ucieczki. Chciała znaleźć się w innym świecie, nie w przerażającej rzeczywistości ETAP-u. Książki były jedynym rozwiązaniem. Po kilku minutach Astrid odłożyła książkę na bok. Ręce jej drżały. Próba ucieczki nie udała się. Próba zapomnienia o strachu również. Strach wciąż wyprzedzał każdą inną myśl. Wiatr uderzał gałęziami o ścianę domu. Jakaś część umysłu Astrid zanotowała to, jej myśli powędrowały jednak ku poważniejszym zmartwieniom. Zastanawiała się, gdzie jest Sam. Co robi? Czy tęskni za nią tak, jak ona tęskni za nim? Tak, tak, pragnęła go. Chciała znaleźć się w jego ramionach. Chciała go pocałować. Albo i więcej. Być może dużo więcej. Tak naprawdę chciała wszystkiego, czego i on chciał. Co za kretyn, że tego nie zrozumiał! Czy naprawdę był na tyle durny, że nie domyślił się, że go pragnęła? Nie była jednak Samem. Nie działała impulsywnie. Astrid musiała wszystko przemyśleć. Genialna Astrid, zawsze musiała mieć wszystko pod kontrolą. Tego właśnie słowa użył: kontrola. Jak mógł nie zauważyć, że gdyby przekroczyli tę granicę, byłby to kolejny grzech? Kolejne odrzucenie wiary. Kolejne poddanie się słabości. Tych słabości było już zbyt wiele. Tak jakby małe kawałki duszy Astrid odpadały powoli. Niektóre nie były zresztą wcale takie małe. Jej samokontrola załamała się tak szybko, że było to niemal komiczne. Po wszystkich pokusach i prowokacjach spokojna, racjonalnie zachowująca się dziewczyna zniknęła niczym kropla wody na rozgrzanej patelni. Zaskwierczała, zaskwierczała i zniknęła. A to, co się wtedy pojawiło, było czystą przemocą. Próbowwała zabić Nerezzę w chwili niekontrolowanej, pełnej wrzasku złości. Od tego wspomnienia aż ją mdliło. A to nie było wszystko. Chciała, żeby Sam spalił Drake'a na popiół, nawet jeśli oznaczało to również zamordowanie Brittney. Astrid nie mogła pozwolić sobie na bycie kimś takim. Musiała się jakoś pozbierać. Musiała znaleźć czas, by odbudować samą siebie. Bała się, że rozpadnie się jak potłuczona szklana rzeźba na tysiące maleńkich odłamków. A jednak ta chłodna, rozważna część jej umysłu wiedziała, że nie może za bardzo odpychać Sama. Rozejście się plotki o tym, że istnieje wyjście z ETAP-u, było tylko kwestią czasu. Drzwi wyjściowe były tuż obok. O kilka metrów od Astrid.

Zwyczajne morderstwo... Na klifie wszyscy zobaczyli to, co ona, kiedy umysł małego Pete'a wyłączył się, porażony stratą tej głupiej gry. Zwyczajne morderstwo... Usiadła obok nieruchomego brata. Powinna umyć mu zęby. Powinna zmienić mu piżamę. Powinna... Jego czoło pokrywała wilgoć. Astrid przyłożyła dłoń do jego głowy. Przez całą noc była gorąca, ale teraz wydawała się wręcz płonąć. Nacisnęła guzik na termometrze leżącym przy łóżku, poczekała, aż się wyzeruje, po czym włożyła go małemu Pete'owi pod język. Poczuta chłodny wiatr. Natychmiast spojrzała na okno. Było szeroko otwarte. Nie miała wątpliwości: wcześniej było zamknięte. Siedziała przecież przy nim. I wtedy było zamknięte. Po raz pierwszy od początku ETAP-u poczuła chłodny wiatr, który owionął gorące, wilgotne czoło najpotężniejszej osoby w tym małym wszechświecie. Drake poczuł dotyk Ciemności w swoim umyśle. Zadrżał z rozkoszy. Był pewien, że wciąż tam jest. Ze wciąż go woła - jego, wiernego Drake'a, który nigdy nie odwróci się do Ciemności plecami. Drake złamał kość ramieniową, tylko po to, żeby usłyszeć jej trzaśnięcie. I żeby Orc też je usłyszał.

- Hej, Orc! Chodź tutaj, żebyśmy mógł zedrzyć z ciebie tę resztkę skóry! - zawołał Drake.

Drake Merwin widział co nieco w słabym świetle słońca Sammy'ego. Nienawidził tego światła; wiedział, skąd pochodzi i co reprezentuje: moc Sama, jego niebezpieczną siłę. Pamiętał ból, jaki sprawiło mu to światło. Leżał bezradnie na plecach. A Sam, którego twarz była maską wściekłości, rozkoszującą się chwilą zemsty, spalił nogi Drake'a i metodycznie przemieszczał wiązkę promieni w stronę jego piersi. Wtedy jednak pojawiła się ta mała, głupia świnka, Brittney. Drake nie wiedział, co stało się potem, nic nie widział ani nie słyszał, kiedy Brittney przejęła nad nim kontrolę. Wiedział tylko, że Sam nie zmienił go w parę. Teraz był w pułapce. Zamknięty w piwnicy, zmuszony do wsłuchiwania się w ciężkie kroki Orca. Drake nie miał pojęcia, co doprowadziło do takiego stanu, do tego, że musiał dzielić ciało z Brittney. Była to jedna z wielu tajemnic ostatnich dni. Pamiętał, że Caine odwrócił się od niego. Pamiętał ogromny drąg z uranu, lecący prosto na niego. Kolejną rzeczą, którą pamiętał, był koszmar, który trwał, trwał i trwał. W tym koszmarze była dziewczyna, ta mała świnka, niedorozwinięta idiotka z aparatem na zębach, Brittney. Czyż ona nie została zabita? Dawno temu? Pamiętał poskręcane, krwawiące ciało na wypolerowanej podłodze. Brittney umarła. Drake umarł. A potem oboje znów żyli połączeni ze sobą w koszmarnym świecie, gdzie ziemisty brud wypełniał ich usta i uszy. Kopali jak robaki. Taka była ich koszmarna rzeczywistość. Drake i świnka rozkopywali ziemię, żeby zdobyć dla siebie choć odrobinę miejsca. We śnie było ciemno. Zupełnie ciemno. Nie było słońca Sammy'ego. Żadnego światła. Przypomniał sobie koszmarną myśl: „Brak mi powietrza.” Nie ma powietrza, gdy jest się zakopany żywcem. Ani światła, ani powietrza, ani wody, ani jedzenia - już nigdy. Wiele czasu minęło, nim jego umysł uspokoił się na tyle, by chłopak zrozumiał cudowną prawdę: był martwy... lecz żywy. Nie sposób było go zabić. Zakopany w wilgotnej ziemi, ciągle pozostawał żywy. A potem cudem zdobyta wolność. Koszmar nie polegał już na leżeniu w ziemi, ale na poruszaniu się po niej. Był w jednym miejscu, a potem, nagle, w zupełnie innym. Zrozumienie tego, co się stało, zajęło mu dłuższą chwilę. Świnka stała się jego częścią. Zostali połączeni. Stopieni w jedną istotę o dwóch ciałach i dwóch umysłach. Czasem Drake, a czasem Świnka Brittney. Czasem on, a czasem ta kretynka z lunatycznymi wizjami swojego martwego brata. Potem walka z Samem, spalenie. A jednak przeżył. Nie dawało się go zabić.

- Jesteś potworem, Orc! Wiesz o tym, prawda? - zawołał Drake. - Ludzie patrzą na ciebie i chce im się rzygać. Przez ciebie.

Pułapka. Na razie. Wilgotna, przygnębiająca piwnica. Nie było tam nic oprócz drewnianego stołu. Sam, Edilio i reszta wyczyścili to miejsce do reszty. Na betonowej podłodze nic nie zostało. Był to jednak grób większy niż ten, w którym wcześniej znajdowali się ze Świnia Brittney. Tu było powietrze. Drake nie potrzebował już jednak powietrza. Przynoszono mu jedzenie. Drake jadł, chociaż tego też nie potrzebował. Śmierć się go nie miała. Tego, czego nie można zabić, nie można też uwięzić na zawsze. Ucieczka była tylko kwestią czasu. Orc to durny pijak. Howard - zwykły błazen. Drake był już zatem gotów do ucieczki - rozkopał część żużlowej ściany, krusząc zaprawę murarską kawałkiem rozbitego szkła. Musiał jednak uważać, by nie pozostawić Brittney żadnych wskazówek. Oznaczało to, że musiał pracować powoli. Odkładać szkło z powrotem na kupę śmieci, gdzie spodziewała się je zobaczyć. Pracując i trwając w oczekiwaniu, groził Orcowi. Z pułapki istniały dwa wyjścia: praca nad rozwalaniem ściany i praca nad umysłem Orca.

- Hej! - zawołał Drake. - Orc! Jak myślisz, co się stanie, jeśli zedrę z ciebie ten ostatni kawałek skóry? Przecież możesz się jej pozbyć i cały być chodzącym zwirem. Po co udawać, że wciąż jesteś człowiekiem?

Orc stąpał ciężko po podłodze, która była sufitem Drake'a. Nie zszedł jednak na dół, żeby z nim walczyć. Tym razem się nie udało. Ale w końcu to zrobi. Orc nie wytrzyma. To będzie

szansa Drake'a. Przez ścianę albo przez Orca: tak albo inaczej. Drake'owi uda się uciec. A wtedy pójdzie do Ciemności. Gaiaphage będzie wiedział, jak zabić Świnie Brittney i uwolnić Drake'a.

- Zabiję cię! - krzyknął Drake.

Strzelił biczem w ścianę, potem w sufit, krzyczał i kopał w lunatycznym widzie. Aż wreszcie, z krwawiącą ręką, opadł na kolana i zmienił się w Brittney.

- Brittney świnia - wymamrotał Drake, kiedy jego okrutna gęba rozptywała się, przybierając kształt skutych aparatem ust jego najbliższego wroga.

Lana również poczuła, jak zbliża się do niej ciemny umysł Ciemności. Obudziła się, raptownie otwierając oczy. Patrick siedział przy łóżku, zaniepokojony, niepewnie machając ogonem. Wiedział, co się dzieje.

- Wszystko w porządku, piesku, śpij - powiedziała Lana. Patrick zaskomlał, potem wrócił jednak na posłanie i okrążył je kilka razy, zanim się położył. Gaiaphage nie był już w stanie oszukiwać jej, udawać, że ma głos. Te dni minęły. Wciąż jednak mógł dotknąć ją wicią świadomości. Wciąż potrafił przypomnieć jej o swojej obecności i o swoim z nią związku. Podobnie musiała czuć się niedoszła ofiara przeraźliwej zbrodni, która wiedziała, że jej sprawca wciąż żyje i szuka sposobu na to, żeby zaatakować ponownie. Gaiaphage pożądał mocy Lany. Używając jej, mógł dokonać niezwykłych rzeczy. Na przykład zastąpić amputowane ramię biczem przypominającym węża. Lana nie była już jednak słaba.

- Niepokoisz się, co? - Jej głos rozbrzmiał w chłodnym pokoju. - Tam gdzieś pod ziemią, wgrzyzając się w twój uranowy smakołyk?

Ciemność nie odpowiedziała. Lana poczuła jednak, że ma rację: bestia była niespokojna. Ale nie poddała się strachowi. Lana zmarszczyła czoło, myśląc o tym rozróżnieniu. Zaniepokojona, ale nie przestraszona. Niecierpliwiła się? Czekwała na coś? Lana zastanawiała się, czy wstać i zapalić papierosa - zaakceptowała już swoje uzależnienie - czy leżeć dalej i próbować znów zasnąć. Gdyby nawet jej się to udało, nękałyby ją koszmary. Wstała. Znalazła paczkę lucky strike'ów i zapalniczkę. Zapalniczka zaświeciła się, papieros zapalił, a zapach dymu wypełnił jej dziurki od nosa.

- Czego chcesz? - spytała. - Co zamierzasz? Oczywiście nie usłyszała odpowiedzi. Czują, że Ciemność pozostawia ją w spokoju. Lana wstała i ruszyła na balkon. Księżyc świecił wysoko na niebie. Było albo bardzo późno, albo bardzo wcześnie. Bariera znajdowała się tak blisko, że Lana miała wrażenie, iż może jej dotknąć. Czy to prawda, że po drugiej stronie bariery istnieje wciąż zwykły świat? Czy naprawdę był tak blisko, że mogłaby poczuć zapach frytek w Carrs Junior, który zbudowano dla tych, którzy przychodzili zobaczyć kopułę? Czy było to kolejne kłamstwo w tym wszechświecie pełnym fałszu? A gdyby bariera zniknęła? Gdyby właśnie teraz się rozplynęła? Albo gdyby roztrzaskała się jak gigantyczne jajko? Jej mama i tata... Zamknęła oczy i przygryzła wargi. Bolesne wspomnienie wróciło do niej, gdy nie była przygotowana. Łzy wypełniły jej oczy. Otarła je niecierpliwie. Nagle zobaczyła płonące biało-zielone światło na szczycie klifu. Stał na nim Sam, widoczny w swoim własnym świetle. Słyszała jego krzyk, pełne frustracji wycie. Próbował wypalić sobie drogę ucieczki z ETAP-u. Trwało to przez chwilę, a potem ustało. Ciemność wróciła. Z powrotem stał się niewidoczny. Lana odwróciła się. A zatem nie tylko ona fantazjowała o roztrzaskaniu bariery i wyskoczeniu z niej niczym nowo narodzony kurczak. Gasząc papierosa, pomyślała, że to dziwne, że wcześniej nie pomyślała o tym jako o jajku. Powiew wiatru dmuchnął jej dymem w twarz.

ROZDZIAŁ 4 63 GODZINY, 41 MINUT

Sam obudził się w najmniej spodziewanym miejscu: we własnej sypialni. Nie był w swoim domu od bardzo dawna. Nie cierpiał go, kiedy mieszkał tam ze swoją matką, Connie Temple. Siostrą Temple. Prawie jej nie pamiętał. Należała do innego świata. Usiadł na łóżku i poczuł zapach wymiocin. Zwymiotował na pościel. „Super” - pomyślał z obrzydzeniem. Jego głowa pulsowała bólem. Wytarł usta prześcieradłem. Był to jedyny dom, do którego nikt się nie włamał, którego nikt nie zniszczył i do którego nikt się nie wprowadził. Wciąż uważał go za swój , dom. Pomyślał, że w łazience mogą jeszcze być lekarstwa. Chwiejnym krokiem wszedł do środka. Oparł się o umywalkę i ponownie zwymiotował, choć już nie miał czym. W apteczce znalazł tylko małą buteleczkę środka przeciwbólowego.

- O rany - jęknął Sam. - Po co ludzie piją?

Potem sobie przypomniał. Taylor. O nie. O nie. Nie, nie zaczął się przystawiać do Taylor, prawda? Nie pocałował jej? Wszystko mu się mieszało, nie wiedział, co jest jawą, a co snem. Fragmenty wspomnień były jednak zbyt rzeczywiste. Zwłaszcza wspomnienie jej palców na jego piersi.

- O nie - jęknął.

Połknął bez popijania dwie tabletki. Przełknął je z trudem. Wszedł do kuchni, trzymając się za głowę. Usiadł przy stoliku. Tam właśnie jadał z mamą obiady, niezbyt jednak często, gdyż zazwyczaj była zajęta pracą w Coates. Miała tam na oku swojego drugiego syna. Caine'a. Caine'a Sorena, nie Temple'a. Oddała go do adopcji. Sam i Caine urodzili się jeden po drugim. Byli bliźniakami. A ich matka oddała Caine'a i zatrzymała przy sobie Sama. Bez wyjaśnienia. Nigdy nic im nie powiedziała. Prawda wyszła na jaw dopiero w ETAP-ie. Nie wiedzieli też, co stało się z ich ojcem. Zniknął, zanim chłopcy się urodzili. Czy to było zbyt wiele dla ich matki? Czy zdecydowała, że poradzi bez ojca sobie tylko z jednym chłopcem? Ene due rike fake? Miał teraz nową rodzinę. Astrid i małego Pete'a. Tyle, że teraz ich też już nie miał. I musiał zadać sobie pytanie, jak właściwie zasłużył na to wszystko: na zniknięcie ojca, kłamstwa matki, odrzucenie przez Astrid.

- Tak - mruknął. - Czas uzalić się nad sobą. Biedactwo. Biedny Sam.

Chciał, by zabrzmiało to ironicznie, zabrzmiało jednak gorzko. Caine także miał powody do pretensji: został odrzucony przez oboje rodziców. Dwa na dwa. Caine jednak wciąż miał Dianę. Czy to było w porządku? Caine był kłamcą, manipulatorem, mordercą. A prawdopodobnie leżał teraz z Dianą w satynowej pościeli, jedząc coś porządnego i oglądając DVD. Czyste prześcieradła, batony, piękna i chętna dziewczyna. Caine, który nie zrobił w życiu nic dobrego, żył w luksusie. Sam, który wciąż się starał, który robił wszystko, co mógł, siedział w swoim domu z przerażającym bólem głowy, w smrodzie wymiocin, a dwie pastylki wypalały dziurę w jego żołądku. Był sam.

Hunter zanosił na stację benzynową wszystko, co udawało mu się upolować. Tego dnia, wcześniej rano, kiedy słońce dopiero wschodziło za jego plecami, przyszedł tam /c swojej kryjówki, niosąc cztery ptaki, bobra, dwa szopy i torbę wiewiórek. Zapomniał, ile ich było, ale torba wydawała się ciężka. Gdyby to podliczyć, okazałoby się, że wszystko, co niósł, waży tyle, co dziecko. Nie aż tyle co łoś: łośie musiał dzielić na części. Dzisiaj jednak nie niósł łośia. I nie pokroił Starego Lwa. To była ciężka robota. Chciał, by skóra pozostała w jednym kawałku, nie zamierzał się więc spieszyć. Planował nosić skórę Lwa, kiedy ta już wyschnie. Będzie gogrzała i przypominała mu o Starym Lwie. Łowca przewiesił torbę z wiewiórkami

przez ramię. Pozostałe zwierzęta powiązał i przerzucił sznur przez drugie ramię, musiał jednak uważać ze względu na to coś na barku. Nagle zobaczył dzieciaka o imieniu Roscoe. Chłopiec pchał taczkę. Nie wyglądał na zadowolonego. Za każdym razem, kiedy Hunter przychodził, spotykał albo Roscoe, albo dziewczynę o imieniu Marcie. Marcie była miła. Hunter wiedział jednak, że się go boi. Prawdopodobnie dlatego, że nie potrafił mówić jak należy.

- Hej, Hunter - rzucił Roscoe. - Wszystko okej?

- Tak.

- Jesteś cały podrapany. Cholera, to musi boleć!

Hunter spojrział tam, gdzie patrzył Roscoe. Spod podartej koszulki widać było jego brzuch. Dwa głębokie, krwawiące ślady po pazurach powoli zaczynały się zasklepić. Delikatnie dotknął rany. Nie bolała. Właściwie wcale jej nie czuł.

- Twardy jesteś, Hunter - powiedział Roscoe. - W każdym razie wygląda na to, że masz dzisiaj sporo zdobyczy.

- Mam, Roscoe - odparł Hunter. Starał się mówić tak uważnie, jak tylko potrafił. Mimo to jednak jego słowa nie brzmiały tak jak kiedyś, raczej tak, jakby jego język był pokryty klejem. Hunter ostrożnie ściągnął sznur. Uważał, żeby nie zahaczyć o to coś na ramieniu. Położył zwierzęta na taczce. Na wierzch rzucił torbę wiewiórek. Wszystkie wyglądały tak samo: szare, z puchatymi ogonkami. Każda z nich była trochę podgotowana w środku. Wystarczająco. Czasami gotował ich głowy, a czasami ciała. Nie było mu łatwo odpowiednio kierować tym niewidzialnym czymś, które promieniowało z jego rąk. Zapomniał, jak to się nazywało. Astrid jakoś na to mówiła. Ale to było zbyt długie słowo.

- Wszystko okej, Hunter? - ponownie spytał Roscoe.

- Tak. Mam jedzenie. A mój śpiwór wysechł po wypraniu w strumyku.

- Masz świeżą wodę, w której możesz się umyć, co? - spytał Roscoe - Zazdroszczę Ci. Dotknij mojej koszulki - wskazał Hunterowi suchą bawełnę, wymoczoną w słonej wodzie.

- Nie jest źle - powiedział ostrożnie Hunter.

Roscoe mruknął:

- Tak, jasne. Słona woda. Dotknę twojej.

Roscoe wyciągnął dłoń, żeby dotknąć ramienia Huntera. Niewłaściwego ramienia.

- Auu! - jęknął Roscoe z bólem - Co to...?

- Nie chciałem! - zawołał Hunter.

- Coś mnie ugryzło! - Pokazał Hunterowi palec. Były na nim ślady zębów. Krew.

Roscoe wpatrywał się w niego. I w jego ramię.

- Co ty masz na ramieniu? Co to jest? Jakieś zwierzę? Hunter przełknął ślinę. Nikt jeszcze nie widział jego ramienia. Nie wiedział, co się stanie, kiedy je komuś pokaże.

- Tak, Roscoe, to jest zwierzę - powiedział Hunter, próbując się wytłumaczyć.

- Ugryzło mnie!

- Przepraszam - odparł Hunter. Roscoe złapał uchwyty taczki i uniósł je.

- Kończę z tą robotą. Marcie może przychodzić codziennie.

- Okej - zgodził się Hunter. - Cześć.

Jennifer B. wyszła z domu o zmierzchu. Była pewna, że umarłaby, gdyby została tam dłużej. Przez jakiś czas, którego nie potrafiła zmierzyć - wiele godzin, a może wiele dni - spała na podłodze, obłożona kocami. Dreszcze przychodziły falami. Kiedy było jej zbyt gorąco, zrzucała z siebie koce. Potem gorączka znów się podnosiła, tak że czuła przenikające jej kości

zimno. Jennifer H. nie żyła. Jennifer L. nie odpowiedziała, kiedy Jennifer B. poprosiła, żeby dołączyła do niej.

- Jen... idę do... do szpitala.

Bez odpowiedzi.

- Żyjesz?

Jennifer L. zakaszłała. Żyła i kaszłała normalnie, nie w histerycznych spazmach, które zabiły Jennifer H. Nie odpowiedziała jednak. Jennifer Boyles wyszła więc z domu sama. Zjechała po schodach na pośladkach, owinięta kocami, drżąc i szczękając zębami. Udało jej się ustać na nogach na tyle długo, by otworzyć frontowe drzwi. Potem jednak nagle znów usiadła na ganku. Trzęsła się przez dłuższą chwilę, aż dreszcze minęły. Na schodach potknęła się. Upadając, mocno stłukła sobie lewe kolano, co odebrało jej resztkę chęci, by wstać. Ale nie resztkę chęci do życia. Jennifer zaczęła się czołgać na kolanach i dłoniach. Wzdłuż chodnika, wciąż owinięta w koce. Z przerwami na napady kaszlu i kolejne fale dreszczy, które pozwalały jej tylko skulić się i jęczeć.

- Iść dalej - wymamrotała. - Trzeba iść dalej. Po dwóch godzinach dotarła na Brace Road. Rozłożyła się na niej na brzuchu. Kaszel targał jej płucami. Nie były to jednak jeszcze nieludzkie ataki, które zabiły Jennifer H. Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ 5 62 GODZINY, 18 MINUT

- Leslie-Ann, postaraj się dokładniej czyścić mój dzbanek, dobra? - powiedział Albert do sprzątaczk. - Wiem, że to nie jest zbyt ciekawa praca, ale lubię, kiedy jest czysty.

Leslie-Ann pokiwała głową, wpatrując się w podłogę. Albert wiedział, że trochę się go bała. Ale chyba go nie nienawdziła.

- Jest mało wody - wymamrotała Leslie-Ann.

- Użyj piasku - poradził cierpliwie Albert, nie pierwszy raz. - Użyj piasku, żeby go wyczyścić.

Pokiwała głową i wyszła z pokoju. Nie wszyscy lubili Alberta. Nie wszyscy cieszyli się, że siał się najważniejszym człowiekiem w okolicy. Wiele osób zazdrościło mu sprzątaczk, która porządkowała jego dom i porcelanową misę, do której załatwiał swoje potrzeby, kiedy nie chciał wychodzić do jedyne go porządne go wychodka w Perdido Beach. I tego, że mógł sobie pozwolić na pranie ubrań w świeżej wodzie, w jeziorze o ironicznej nazwie Evian. A przede wszystkim było wiele osób, które nie lubiły pracować dla Alberta, a miały do wyboru wykonywanie jego poleceń lub głodowanie. Albert od jakiegoś czasu poruszał się w towarzystwie ochroniarza o imieniu Jamal. Jamal zawsze nosił automatyczny karabin. Za pasem miał ogromny nóż i pałkę, imitującą maczugę; składała się ona z nogi od krzesła nabijanej kolcami. W odróżnieniu od wszystkich pozostałych Albert nie nosił przy sobie broni. Za broń służył mu Jamal.

- Chodźmy, Jamal.

Albert poprowadził go w stronę plaży. Tak jak zazwyczaj, Jamal trzymał się o kilka kroków za nim, rozglądając się groźnie w obie strony, gotowy do ataku. Albert ominął główny plac - zawsze były tam dzieci, które chciały czegoś od niego: takiej czy innej pracy, kredytu albo jeszcze czegoś innego. A jednak nie udało się. Dwójka maluchów. Harley i Janice, stanęła przed nim.

- Panie Albercie! Panie Albercie! - powiedział Harley.

- Wystarczy „Albert” - powiedział ostro chłopak.

- Chce nam się pić.

- Przykro mi, nie mam ze sobą wody. - Uśmiechnął się lekko i ruszył przed siebie. Janice rozplakała się jednak, a Harley błagał dalej:

- Kiedyś mieszkaliśmy z Mary, ona dawała nam wodę. Ale teraz mieszkamy z Summer i BeeBee, a one powiedziały, że musimy zapłacić.

- No to powinniście zacząć myśleć o zarabianiu - powiedział Albert.

Próbował mówić łagodnie, tak by jego głos nie brzmiał zbyt ostro, miał jednak mnóstwo rzeczy na głowie i nie udało mu się to. Teraz Harley też zaczął płakać.

- Jeśli chce wam się pić, przestańcie płakać - warknął Albert. - Jak myślicie, z czego składają się łyzy?

Gdy dotarł na plażę, spojrzał na pole budowy. Wyglądało jak zrujnowana stocznia. Pięcigalonowa cysterna na propan leżała opuszczona na piasku. Obok niej ziała wypalona dziura. Druga, nieco mniejsza cysterna, która powinna stać na stalowych nogach na brzegu, została przewrócona. Z jej wieka wystawała miedziana rura, zaciśnięta na drugiej, nieco mniejszej, pochylonej ku ziemi. Trzecia rura, najcieńsza ze wszystkich, została do niej dokładnie przyklejona taśmą i dotykała mokrego piasku. Przynajmniej w teorii ten prymitywny przyrząd miał być destylatorem. Zasada była dość prosta: ugotować słoną wodę, pozwolić, by para uniosła się do rury, schłodzić parę. Na końcu miała się skroplić zdatna do picia, słodka woda. W teorii było to proste. W praktyce - prawie niemożliwe. Zwłaszcza teraz,

po tym, jak jakiś idiota przewrócił cysternę. Albertowi zrobiło się ciężko na sercu. Niedługo nie tylko Harley i Janice będą błagać o wodę. Zostało już jedynie kilkaset galonów paliwa. Bez paliwa cysterna nie będzie działać, a bez cysterny nie będzie wody. Co gorsza, małe jezioro Evian wysychało. Od początku ETAP-u deszcz nie padał ani razu. Dzieciaki wiedziały, że zaplanowano przenosiny nad jezioro po wyczerpaniu się gazu. Nie wiedziały jednak, że sytuacja jest o wiele trudniejsza, niż mogło się zdawać. Spalony zbiornik był rezultatem pierwszej próby stworzenia destylatora. Albert chciał, żeby Sam ugotował wodę, używając swojej mocy. Niestety, chłopak nie potrafił kontrolować jej na tyle, żeby podgrzewać, nie niszczyć. Kolejne podejście wymagało zapalenia ognia pod zbiornikiem. To oznaczało, że ekipy dzieciaków musiały zbierać graty z niezamieszkałych domów. A to z kolei mogło przysporzyć mnóstwa kłopotów. Ekipa właśnie odpoczywała. Dzieciaki puszczały kaczki na wodę. Albert podszedł bliżej. Do jego butów wpadał piasek.

- Hej! - zawołał. - Co tu się stało?

Czworo dzieciaków, z których żadne nie miało więcej niż jedenaście lat, wyglądało na zawstydzonych.

- Już tak było, kiedy przyszliśmy. Myślę, że to wiatr ją przewrócił.

- W ETAP-ie nie wieje wiatr, ty... - powstrzymał się przed dodaniem „idioto”. Albert zbudował swoją reputację na samokontroli. Był dla nich prawie jak dorosły. - Zatrudniłem was, żebyście kopali dół, a nie wygłupiali się.

- To trudne - powiedział jeden z chłopców. - Ciągłe się z powrotem zapełnia.

- Wiem, że to trudne. Łatwiej nie będzie. Jeśli chcecie jeść, musicie pracować.

- Zrobiliśmy sobie tylko przerwę.

- No to koniec przerwy. Weźcie łopaty.

Albert odwrócił się i odszedł. Jamal ruszył za nim.

- Te dzieciaki cię denerwują, szefie - zauważył Jamal.

- Pracują?

Jamal odwrócił się i doniósł, że pracują.

- Skoro wykonują swoją robotę, mogą mnie denerwować, ile tylko chcą - oznajmił Albert.

W tym momencie podszedł do niego Roscoe, żeby donieść o zdobyczach Huntera. I żeby opowiedzieć mu dziwną historię o tym, jak ramię Huntera go ugryzło.

- Spójrz - powiedział Roscoe, wyciągając przed siebie zranioną rękę.

Albert westchnął.

- Daruj sobie te pokręcone historie, Roscoe.

- To jest jakby... jakby zielone - powiedział Roscoe.

- Nie jestem Uzdrowicielką ani Dahrą - odparł Albert.

Kiedy jednak miał już odejść, coś przyszło mu na myśl: rana naprawdę miała zielonkawy kolor. Ale to nie był jego problem. Miał mnóstwo własnych. W tym właśnie momencie zauważył kogoś nieruchomo leżącego na piasku na odległym skraju plaży. Włożył dłoń do kieszeni w poszukiwaniu mapy. Czy nadszedł czas? Odwrócił się i spojrzał na destylator. Popsuty destylator. Jego wnętrzości ścisnęły się na myśl o tym, co zamierzał zrobić. Nie wolno było spowodować paniki. Wszyscy byli u kresu wytrzymałości, przestraszeni, zestresowani, od chwili kiedy Mary popełniła samobójstwo, omal nie doprowadzając do masowego morderstwa. Ludzie nie wytrzymali by kolejnej katastrofy. Katastrofa jednak nadchodziła. A kiedy już stanie się faktem, kiedy zapanuje panika. Sam będzie potrzebny. Albert nie mógł powierzyć swojej misji nikomu innemu. To Sam musiał pójść. A Albert mógł tylko mieć nadzieję, że nic strasznego nie wydarzy się, kiedy go nie będzie. Sam poczuł

padający na niego cień. Otworzył jedno oko. Ktoś stał nad nim. Słońce, które świeciło za jego plecami, nie pozwalało Samowi rozpoznać twarzy.

- To ty, Albercie? - spytał Sam.

- Tak, to ja.

- Poznałem cię po butach. Nie czuję się dobrze - powiedział Sam.

- Czy mógłbyś usiąść? Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- Skoro to coś ważnego, idź pogadać z Ediliem. To on rządzi.

Albert odczekał chwilę, nic nie mówiąc. Wreszcie z westchnieniem, które zmieniło się w jęk. Sam podniósł się i usiadł.

- To sprawa między nami. Sam - oświadczył Albert.

- Jasne, zawsze dobrze na tym wychodzę, kiedy ukrywam coś przed Radą - rzekł Sam ironicznie. Przeczesał gwałtownie włosy, żeby pozbyć się z nich części piasku.

- Nie jesteś już w Radzie - odparł Albert rozsądnie - A tutaj chodzi o pracę. Chcę cię zatrudnić. Sam przewrócił oczami.

- Wszyscy już dla ciebie pracują, Albercie. W czym problem? Wkurza cię, że ja nie?

- Wolałeś, kiedy nikt nie pracował i wszyscy głodowali?

Sam popatrzył na niego, po czym zsalutował ironicznie.

- Sorry, jestem w złym humorze. Kiepska noc i jeszcze gorszy poranek. O co chodzi, Albercie?

- Brakuje nam wody.

Sam pokiwał głową.

- Wiem. Kiedy paliwo się skończy, będziemy musieli przenieść całe miasto nad Evian.

Albert podciągnął spodnie i ostrożnie usiadł na piasku.

- Nie. Przede wszystkim poziom wody w jeziorze Evian spada szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Deszcz tu nie pada, a to małe jezioro. Można zobaczyć, jaki był jego poziom na początku. Opadł o połowę. Albert wyciągnął z kieszeni mapę i rozłożył ją. Sam przysunął się, żeby się jej przyjrzeć.

- To niezbyt dobra mapa. Jest zbyt duża, żeby pokazać szczegóły. Ale widzisz to? - wskazał - Jezioro Tramonto. Jest ze sto razy większe niż Evian.

- Mieści się w ETAP-ie?

- Narysowałem to koło przy pomocy kompasu. Myślę, że przynajmniej część jeziora Tramonto znajduje się wewnątrz.

Sam pokiwał głową, zamyślony.

- Jest jakieś dziesięć mil stąd, tak?

- Raczej piętnaście.

- Nawet jeśli jezioro tam jest, a woda nadaje się do picia, w jaki sposób przeniesiemy ją do Perdido Beach? Spójrz na to - Sam wykreślił linię palcem. - Droga przebiega przez teren kojotów. Pokonanie tej odległości będzie wymagało mnóstwa paliwa. Naprawdę mnóstwa.

- Wydaje mi się, że mój destylator słonej wody nie zadziała - przyznał Albert. Spojrzał ponuro w stronę swoich pracowników. - A nawet jeśli zadziała, nie wiem, czy uda się wyprodukować wystarczająco dużo wody. Sam wziął od niego mapę i przyjrzał jej się uważnie.

- Wiesz co, to dziwne. Zapomniałem, że istnieje coś takiego jak papierowe mapy. Zawsze używałem Google Maps. Maps kropka Google kropka com. Pamiętasz? A co to jest?

Albert spojrział na mapę.

- To jest baza sił powietrznych. Ale w zasadzie cała znajduje się po drugiej stronie. Pas startowy, budynki, wszystko... A co? Chciałeś tam znaleźć jakiś myśliwiec?

Sam uśmiechnął się.

- Mógłby się przydać, gdyby tylko był w nim pilot. Sanjit awaryjnie pilotował helikopter, ale latanie samolotem Mach 2 po akwarium szerokim na dwadzieścia mil to zupełnie co innego. Nie wiem, na co miałem nadzieję. Może na czarodziejski pistolet, który potrafiłby przedziurawić barierę.

- Wiesz co - Albert starał się mówić swobodnie, brzmiało to jednak, jakby wygłaszał przygotowaną wcześniej mowę.

- Czytałem kiedyś w książce, że w dawnych czasach - naprawdę dawnych czasach - biznesmeni zatrudniali odkrywców, którzy przeszukiwali nowe terytoria, żeby znaleźć złoto albo przyprawy. Ci odkrywcy musieli oczywiście być twardzi i umieć sobie radzić z problemami.

Sam bez problemu zrozumiał, co Albert miał na myśli.

- Chcesz mnie zatrudnić i zlecić znalezienie tego jeziora?

- Tak.

Sam rozejrzał się dokoła.

- Cóż, jak widzisz, jestem bardzo zajęty.

Albert nie odpowiedział. Czekał tylko, wpatrując się w Sama, niczym jaszczurka w muchę.

- Dlaczego nie chcesz, żeby Rada się o tym dowiedziała?

Albert wzruszył ramionami.

- Bo wszystko, o czym dowiaduje się Rada, w dziesięć sekund dociera do wszystkich. Chcesz wywołać panikę? Zresztą nie chodzi o nich. To moja sprawa. Moja i twoja. I kilku innych dzieciaków, które nam pomogą.

- Dlaczego po prostu nie wyślesz Brianny? Szybko by tam dotarła.

- Nie ufam jej. Nie aż tak bardzo. Sam, kłopoty z wodą mogą się zacząć bardzo niedługo. Naprawdę niedługo. Ciężarówka przyjedzie za godzinę, potem starczy paliwa jeszcze na jakichś sześć przejazdów.

Sam zamilkł. Zaczął rysować na piasku abstrakcyjne wzory.

- Zrobię to - powiedział w końcu. - Ale nie podoba mi się, że muszę to trzymać w sekrecie przed Ediliem.

Albert zacisnął wargi. Jakby się nad czymś zastanawiał. Sam jednak wiedział, że ma przygotowaną odpowiedź.

- Tajemnice szybko wychodzą tutaj na wierzch. Na przykład Taylor opowiada wszystkim ciekawą historijkę.

Sam jęknął. „Czy to musiała być Taylor?” - wyrzucał sobie. Co on powie Astrid? Chociaż to nie jej sprawa. Nigdy nie obiecali sobie, że nie będą się spotykać z nikim innym, całować z nikim innym. A wręcz raz, w gniewie, Astrid kazała mu zrobić właśnie to. Tyle że nie mówiła o „całowaniu”. Użyła słowa, które brzmiało w jej ustach szokująco.

- Sam, Edilio to porządny facet - powiedział Albert, przerywając ponurą ciszę. - Ale, jak już mówiłem, on opowie o tym pozostałym. A kiedy Rada się dowie, wszyscy będą wiedzieli. A jak sądzisz, co się stanie, gdy reszta dowie się w jak rozpaczliwej jesteśmy sytuacji?

Sam uśmiechnął się niewesoło.

- Mniej więcej połowa zachowa się normalnie. Reszta spanikuje.

- A wtedy ludzie zaczną ginąć - powiedział Albert. Przechylił głowę na bok. - A kto się wtedy wkurzy? Kto zacznie zachowywać się jak tatuś, a potem zostanie obwiniony, znenawidzony i wypędzony?

- Wiele się nauczyłeś - zauważył Sam z goryczą. - Kiedyś byłeś tylko bardzo ambitny i pracowałeś ciężiej niż ktokolwiek inny, teraz wiesz już, jak manipulować ludźmi.

Usta Alberta zadrgały, a w oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Nie tylko na tobie spoczywa wielka odpowiedzialność. Sam. Ty grasz groźnego ojca, który nie pozwala nikomu na zabawę, a ja gram chciwego biznesmena, który myśli tylko o sobie. Nie bądź jednak głupi: może i jestem chciwy, ale gdyby nie ja, nikt z nas nie miałby jedzenia. Ani picia. Potrzebujemy wody. Czy istnieje ktokolwiek poza nami, kto może ją zdobyć?

Sam uśmiechnął się lekko.

- Tak, Albercie, nauczyłeś się wykorzystywać ludzi. Dajesz mi możliwość uratowania wszystkich. Dzięki temu znów stanę się ważny i potrzebny. Dobrze mnie znasz.

- Potrzebujemy wody. Sam - powiedział po prostu Albert.

Jeśli znajdziesz wodę nad jeziorem Tramonto, wrócisz powiesz wszystkim, że muszą się tam przeprowadzić. Zrobią to. Jeśli powiesz, że wszystko będzie w porządku, uwierzą ci.

- Ponieważ jestem tak powszechnie kochany i podziwiany - zauważył Sam z sarkazmem.

- To nie jest konkurs popularności. Sam. Ludzie kochają cię, kiedy cię potrzebują, a już dziesięć minut później mają cię dosyć. Niedługo zorientują się, że wszyscy możemy umrzeć z pragnienia. Ale ty pokażesz im rozwiązanie.

- I pokochają mnie. Na chwilę. Póki będą mieli wodę do picia.

- Właśnie - przyznał Albert. Wstał. - Umowa stoi? - Wyciągnął dłoń, mając nadzieję, że Sam nią potrząśnie.

Sam również wstał.

- A co z jeziorem? Jeśli faktycznie tam jest?

- Jeśli tam jest, będzie należało do mnie - odparł spokojnie Albert - Będę sprzedawał wodę i sprawował nad nią kontrolę. Być może dzięki temu nie wylądujemy znowu w tym samym bagnie.

Sam uściskał jego dłoń i roześmiał się.

- Nie wygadujesz tylu bzdur, co cała reszta, Albercie. Jeśli jezioro tam jest, znajdę je. Wyruszę jeszcze dzisiaj.

Wziął do rąk mapę.

- Chcesz, żeby ktoś ci towarzyszył?

- Dekka - Sam zastanawiał się przez chwilę. - I Jack.

- Chcesz komputerowego Jacka? Dlaczego?

- Bo zawsze dobrze mieć przy sobie kogoś mądrzejszego od siebie.

- Pewnie tak - przyznał Albert. - Potrzebujesz też kogoś, kto potrafi się komunikować. Weź Taylor.

- Nie, Taylor nie. Zabiorę Briannę.

Albert pokręcił głową.

- Dobra, pocałowałaś ją, ale zapomnij już o tym. Potrzebujemy w tym mieście kogoś, kto potrafi walczyć. Mam na myśli walkę na poziomie mutantów, nie obrażając Edilia. Taylor do niczego się wtedy nie przyda, a Brianna jest w stanie załatwić niemal każdego.

Sam pokiwał głową. Miało to sens. Skoro chciał zabrać ze sobą Dekkę, musiał zostawić Briannę. Ale Taylor?

Nagle wyprawa, do której powoli zaczynał się przekonywać, wydała mu się znacznie mniej interesująca.

Lana nie lubiła chodzić do miasta. W mieście ludzie prosili ją o różne rzeczy. Potrzebowała jednak wody, którą mogłaby zanieść do Clifftop, więc pomyślała, że po drodze zatrzyma się w tak zwanym szpitalu i upora się z całym mnóstwem złamanych ramion, poparzonych dłoni i z kimś, kto jak słyszała - podciął sobie nadgarstki. Nie była pewna, czy powinna ratować kogoś, kto był na tyle głupi. W końcu ETAP i tak wszystkich zabije, po co się

spieszyć? A jeśli chciało się uciec z niego jak najszybciej, trzeba było zrobić to, co Mary - skoczyć z klifu. Dahra Baidoo czytała właśnie podręcznik medycyny próbując uciszyć jakiegoś dzieciaka z bolącym zębem.

- Po prostu się rusza, wypadnie, kiedy będzie chciał tłumaczyć mu z irytacją.

Spojrzała w górę i zauważyła Lanę.

- Cześć, Lana - przywitała ją.

- Hej, DB - powiedziała Lana. - Jak ci idzie studiowanie medycyny?

Był to ich stary żart. W czasach kryzysu pracowały razem. Podczas epidemii grypy, po bitwach, pożarach, walkach, zatruciach i wypadkach. Dahra trzymała ranne dzieci za ręce i podawała im tylenol, w oczekiwaniu na Lanę. Najgorszy był pożar. Wtedy obie siedziały w szpitalu całymi dniami, niemal nie widząc słońca. To były złe, bardzo złe dni. Dahra roześmiała się i zamknęła książkę.

- Jestem już gotowa, żeby przeprowadzać przeszczepy serca.

- Co słychać? - spytała Lana. - Słyszałam, że macie tu niedosłęgo samobójcę.

- Nie, żadnych samobójstw. Złamane żebra. I poparzenie. Niezbyt poważne, poza tym myślę, że powinnam pozwolić tej dziewczynie cierpieć, skoro poparzyła się po tym, jak próbowała podpalić torbę z odchodami i rzucać nią.

Lana usłyszała charczący kaszel dziewczyny, która wyglądała na bardzo chorą.

- A to co?

Dahra spojrzała na nią znacząco.

- Myślę, że grypa wróciła. A może wcale nie minęła.

- Odeszła z Laną na bok, żeby pacjenci ich nie słyszeli.

- Ale obawiam się, że to coś gorszego. Ta dziewczyna ma halucynacje. Ma na imię Jennifer. Przyczołgała się tutaj dziś rano. Wciąż bełkocze coś o jakiejś innej Jennifer, która kaszlała tak mocno, że zaczęła wypluwać kawałki płuc. A w końcu złamała sobie kark.

- Ludzie czasem szaleją od gorączki - powiedziała Lana.

- Tak. Ale i tak chciałabym, żeby ktoś poszedł do jej domu, sprawdzić, co się tam dzieje.

- Gdzie jest Elwood?

- To już skończone - westchnęła Dahra.

Lana nigdy nie lubiła Elwooda i chętnie dowiedziałaaby się, co się stało - Dahra i Elwood chodzili ze sobą dość długo. Dahra jednak wyraźnie nie miała ochoty na zwierzenia. Lana uzdrowiła złamane żebra i podeszła do dziewczynki o poparzonych palcach.

- Nigdy więcej nie rób takich głupot! - skarciła ją. - Nie chce mi się tracić czasu. Następnym razem ci nie pomogę.

Mimo to uleczyła jej palce i szybko sprawdziła, co dzieje się z kaszlącą dziewczyną.

- Czy przed wyjściem mogę napełnić dzbanek? - spytała Lana.

Dahra skrzywiła się. W rogu stała stara lodówka, a na niej szklany, pięciogalonowy dzban. Od dawna jednak nie było w nim pięciu galonów.

- Weźmiesz pół galona? - spytała Dałira.

- Okej. - zgodziła się Lana - Albert powinien lepiej cię zaopatrywać. Mnie zresztą też. Miał wysyłać kogoś codziennie z galonem wody. Od dwóch dni nikt nie przyszedł. Taki hipochondryk jak Albert nie powinien mnie wkurzać.

Pożegnała Dahrę skinieniem głowy i ruszyła do swojej samotni. Poszła skrótem, który poprowadził ją do Clifftop przez wzgórze. Był to nieosłonięty teren, trasa na której nietrudno spotkać kojota. Patrick jednak ostrzegłby ją na długo przed spotkaniem z drapieżnikiem. A poza tym Lana miała ze sobą automatyczny pistolet i nie zawahałaby się go użyć. Nagle Patrick warknął. Lana natychmiast wyjęła broń i wycelowała.

- Pokaż mi się - powiedziała.

Kojota nie było. Pojawił się natomiast Hunter. Wyglądał na zawstydzonego. Został wyrzucony z miasta, ale wolno mu było ją odwiedzać. Mimo to zazwyczaj wolał trzymać się z daleka. Lana lubiła Huntera. Po pierwsze dlatego, że często zostawiał jej coś do jedzenia: królika albo parę żab. Przynosił też podroby dla Patricka. Po drugie dlatego, że chociaż jego mózg był uszkodzony, Hunter wiedział, że nie należy marnować jej czasu. Skoro jej szukał, musiał mieć ku temu jakiś powód.

- Co tam, Hunter? - spytała. Pistolet schowała z powrotem za pas. - A, już widzę. Brzydkie zadrapania.

- Nie - odpowiedział - Chodzi o coś innego.

Ściągnął kołnierzyk koszulki, obnażając ramię. Lana wstrzymała oddech na kilka sekund.

- Tak - powiedziała wreszcie. - To coś innego.

ROZDZIAŁ 6 61 GODZIN, 23 MINUTY

Nikt nie wiedział, co począć z Hunterem. Nie wolno mu było przychodzić do miasta, rada musiała więc udać się do niego. Spotkali się na autostradzie. Nikt nigdy nie posprzątał z niej wraków i opuszczonych samochodów. Stały w tym samym miejscu od początku ETAP-u. Wielki wóz dostawczy FedExu wciąż leżał na boku. Dzieciaki dawno temu włamały się do niego, żeby pobuszować w paczkach. Podarty papier, folia bąbelkowa, taśma klejąca i karty z adresami pospadały na pobocze. Lana zauważyła jednak coś dziwnego: tego dnia wszystko wydawało się posprzątane. Tak jakby ktoś przyszedł z wielką dmuchawą do liści i usunął nią z drogi wszystkie śmieci. Rada składała się teraz z Dekki, Howarda, Alberta, Ellen i Edilia. Sam miał prawo udziału w zebraniach, ale rzadko z niego korzystał. Astrid dała wszystkim jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z tym już nic wspólnego, jednak Lana posłała po nią Briannę. Chciała, żeby Astrid to zobaczyła. Astrid więc przyszła. Lana widywała ją w wielu rozmaitych sytuacjach i w różnym humorze, ale to była jednak nowa Astrid - zaniepokojona, wycofana. Jakby myślami uciekała gdzie indziej. Zagryzała wargi, spletała palce, potem łapała się na tym i wycierała dłonie w dzinsy. Lana była pewna, że Astrid wzdrygnęła się, kiedy zobaczyła śmieci rzucone pod barierę. Może jednak była przeczulona z powodu plotek o Samie i Taylor. Edilio dowodził. Nie przeszkadzało to Lanie. Prawie wszyscy okazywali słabość, odrobinę szaleństwa. Musiała przyznać z niechęcią, że jej również się to zdarzało. Edilio wydawał się ostatnim zdrowym, normalnym człowiekiem w ETAP-ie. Dzieciak z Hondurasu okazał się najbardziej godną zaufania osobą w okolicy. A przecież, gdyby bariera wreszcie opadła, Edilio i jego rodzina - o ile gdzieś jeszcze była - zostaliby wyrzuceni z kraju. Lana pomyślała, że po zniknięciu bariery połowa dzieciaków trafiłaby do poprawczaka, a druga na odwyk albo do psychiatryków. Być może więc deportacja nie była aż taka zła. Hunter wyglądał, jakby przyszedł na spotkanie z samym prezydentem. Stał wyprostowany i próbował wygładzić włosy, co było całkowicie próżnym wysiłkiem. Lana powstrzymała śmiech, kiedy strzepnął paproszek z koszulki.

- Cześć, Hunter - powiedział Edilio. - Na początku chciałem ci podziękować za dobrą robotę. Dzięki twojej pomocy dzieciaki są najedzone i zdrowsze. Hunter zastanawiał się, co powiedzieć; spojrzał w lewo, w prawo i wreszcie w dół.

- Jestem myśliwym.

- Jesteś dobrym myśliwym - ciągnął Edilio. - Ale Lana twierdzi, że masz mały zdrowotny problem.

Hunter pokiwał głową.

- Pyszczek.

- Taa. Czy możemy go zobaczyć? Nie chcemy cię zawstydzić ani nic takiego.

- Po prostu zdejmij koszulkę - polecił obcesowo Albert. Uznawał Huntera za swojego pracownika. Podobnie jak prawie wszystkich.

- Może ją zdjąć albo nie, to jego wybór - powiedziała Dekka niskim głosem.

Hunter nie rozumiał sprzecznych informacji, Lana poprosiła więc:

- Czy mógłbyś zdjąć koszulkę, żebyśmy to obejrzeeli? I gdybyś też zdjął dzinsy.

Hunter ściągnął koszulkę przez głowę. Spuścił spodnie do kostek. Rozległ się okrzyk przerażenia. Lana podeszła do Huntera. Wskazała na głowę mrówki albo pszczoły, która wystawała z jego ramienia. Przerośnięte zęby zgrzytały.

- To była pierwsza. Próbowałam go uleczyć. Jak widzicie, nie udało mi się.

Wskazała mniejszą, metalicznie lśniąca gębę na jego tydce.

- Bądź tak miły i unieś ramiona, Hunter.

Chłopak posłuchał. Albert odwrócił wzrok. Trzecia gęba zgrzytała zębami pod pachą myśliwego. Lana obserwowała Astrid przyglądającą się Hunterowi i mrugającą lodowato błękitnymi oczami.

- Masz jakieś pytanie, Astrid? - spytała Lana. Astrid zacisnęła zęby, jakby nie chciała się odezwać, jednak jej ciekawość zwyciężyła.

- Hunter, czy coś cię ugryzło?

- Tak. Muchy mnie gryzą. I kleszcze.

- A pszczoły? - spytała Astrid.

- Nie - zaprzeczył Hunter.

- Dlaczego pytasz o pszczoły? - chciał wiedzieć Edilio.

Astrid wzruszyła ramionami.

- Próbuje po prostu czegoś się dowiedzieć.

Lana pomyślała, że Astrid kłamie. W jej przerażająco genialnym umyśle musiało się już coś zrodzić. Coś o czym nie chciała mówić w obecności Huntera.

- Czy spotkało cię jeszcze coś dziwnego? - dopytywał Edilio.

- Tylko węże - odparł Hunter.

- Co?

- Nie nadają się do jedzenia. Złapałem jednego i ugotowałem, ale cały wysechł. Prawie nie było na nim mięsa.

- Jakie znowu węże? - spytał Albert.

Hunter zmarszczył czoło, szukając odpowiednich słów.

- Lata. Jest jak wąż, który lata.

- Super, już się bałem, że nie mamy dość dziwactw dookoła. Latające węże. Po prostu ekstra - powiedział Howard.

- One tryskają wodą - dodał Hunter. Nagle otworzył szerzej oczy. - Jeden raz we mnie siknął. Tutaj - wskazał na swoje ramię, na szczękające powoli, owadzie zęby.

- Czy ktoś ma przy sobie coś ostrego? - spytała Astrid.

Błysnęły trzy noże.

- Myślałam raczej o szpilce - mruknęła Astrid, wzięła jednak od Howarda nóż - Nie bój się, Hunter. - Bardzo delikatnie dotknęła koniuszkiem noża jego ramienia, tuż przy największej gębie. - Czujesz to?

Hunter pokręcił głową.

Astrid ponownie ukuła go w ramię.

- Chyba niewiele czuję. - Hunter wydawał się bezradny.

- Coś go znieczula - oświadczyła Astrid. Jej usta wykrzywiły się, jakby zrobiło jej się niedobrze.

- To nie boli - powiedział Hunter.

- Możesz się ubrać - rzekł Edilio. - Dziękujemy, że nam to pokazałeś.

Hunter posłusznie z powrotem włożył na siebie ubrania.

- Z powrotem do roboty, co, Hunter? - Edilio zmusił się do uśmiechu.

Łowca pokiwał głową.

- Tak. Muszę przynieść Albertowi jakieś mięso. Inaczej się zdenerwuje.

- Nie, to nieprawda - zaprotestował cicho Albert. Hunter odwrócił się. Albert zawołał do niego:

- Gdzie widziałeś tego latającego węża?

Hunter, który bardzo chciał odpowiedzieć na pytanie Alberta, uśmiechnął się. Znał odpowiedź.

- Jest ich mnóstwo po porannej stronie.

- Gdzie?

- Tak to nazywam. Po drugiej stronie wzgórz. Jest tam jaskinia. Przy drodze.

- Po drodze do jeziora Evian... z którego czerpiemy wodę? - spytał Albert cicho.

Hunter pokiwał głową.

- Tak. Przy piaszczystej drodze, która tamtędy biegnie.

- Dzięki - powiedział Edilio, pozwalając odejść Hunterowi, któremu wyraźnie ulżyło. Chłopak szybko odszedł, nie oglądając się za siebie, a Edilio zwrócił się do Astrid:

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że Lana nie mogła go uleczyć, ponieważ to nie jest choroba.

- Oj, to wygląda jak choroba - stwierdził Howard.

- Choroba, na którą zdecydowanie nie chciałbym zapaść.

- To pasożyt - powiedziała Astrid.

- Jak robaki u psa? - spytał Edilio.

- Tak.

- Ale one przechodzą przez skórę - zauważył Edilio.

Astrid pokiwała głową.

Powinno go to przerażać boleć. Prawdopodobnie wydzielają coś, co uśmierza ból.

- Co się z nim stanie? - spytała Dekka.

- Jest taki rodzaj pszczoły - powiedziała Astrid. - To dlatego go o nie spytałam. Składają jajeczka w ciele gąsienicy. I larwy wylęgają się. Potem wyjadają żyjącą gąsienicę od środka.

Lanie zrobiło się niedobrze. Dawno już nauczyła się zachowywać dystans wobec ran, które leczyła, jednak to była najobrzydliwsza rzecz, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia. I nie była w stanie pomóc.

- Zachowajmy to w sekrecie, póki nie dowiemy się, co to dokładnie jest - stwierdził Edilio. -

Niech nikt nie mówi nic Taylor. Ta dziewczyna nie potrafi trzymać języka za zębami. - przerwał, czując na sobie wściekłe spojrzenie Astrid. - Dzisiaj w nocy spotkanie Rady.

Lana zawołała Patricka, który obwąchiwał przydrożne I chwasty. Razem ruszyli w stronę domu. Astrid podbiegła do niej.

- Lana!

- Tak? - Lana nigdy nie przepadała za Astrid. Podziwiała jej inteligencję i urodę, ale różniły się od siebie zasadniczo.

- Chodzi o małego Pete'a. On...

- Co? - spytała Lana niecierpliwie.

- Ma gorączkę. Chyba ma gripę albo coś takiego.

Lana wzruszyła ramionami.

- Tak, jedna z Jennifer też ma gripę. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego. Zabierz go do Dahry, przyjdę tam później.

Lana spodziewała się, że Astrid pokiwa głową i odejdzie. Ona jednak rozejrzała się wokół, jakby chciała sprawdzić czy na pewno nikt ich nie podsłuchuje. To zwróciło uwagę Lany.

- Musisz przyjść do mnie do domu - powiedziała Astrid twardo.

- Słuchaj, rozumiem, że jesteś ważniejsza niż, no wiesz, normalni ludzie - mruknęła Lana. - Ale zajmę się nim później, okej? To nara.

Astrid złapała ją za ramię. Lana odwróciła się, zdenerwowana. Nie lubiła być dotykana, a tym bardziej zaczepiana w taki sposób.

- Nie chodzi o mnie - powiedziała Astrid. - Lana... muszę cię spytać. Gaiaphage... - Twarz Lany pochmurniała. - Czy widzi to, co ty? - spytała cicho Astrid - Wie to, co ty?

Lanę przeszedł dreszcz.

- O co ci chodzi, Astrid?

- Być może o nic. Ale chodź ze mną. Chodź zobaczyć Pete'a. Pomóż mi. Będę twoją dłużniczką.

Lana roześmiała się szyderczo. Była Uzdrowicielką; wszyscy byli jej dłużnikami. Ale i tak poszła za Astrid.

ROZDZIAŁ 7

60 GODZIN, 30 MINUT

Caine znalazł w domu teleskop. Wyniósł go na klif na wschodnim skraju wyspy. Było późne popołudnie. Światło wydawało się dość dobre, promienie padały ukośnie na brzeg. Słońce odbijało się w oknach i samochodowych lusterkach w Perdido Beach. Jasnoczerwone dachówki i wysokie drzewa palmowe sprawiały, że wszystko wydawało się normalne. Tak jak w zwykłym kalifornijskim miasteczku. Elektrownia była coraz bliżej. W jej wyglądzie nic nie budziło obaw. Dziura w betonowej osłonie znajdowała się z drugiej strony. Dziura, którą on zrobił. Głos, który usłyszał za sobą, zaskoczył go, ale nie dał lego po sobie poznać. Przynajmniej nie za bardzo.

- Na co patrzysz, Napoleonie? - spytała Diana.

- Napoleonie?

- No wiesz, został zesłany na wyspę, po tym, jak podbił niemalże cały świat - powiedziała Diana. - Ale on był niski, ty jesteś znacznie wyższy.

Caine nie był pewien, czy przeszkadza mu, że Diana z niego pokpiwa. Wolał to jednak od jej zachowania w ostatnich dniach, kiedy wydawało się, że nie chce jej się żyć, że pogrąża się w depresji i nienawidzi samej siebie. Nie przeszkadzało mu, że nienawidzi jego. Nigdy nie mieli być miłą, romantyczną parą jak Sam i Astrid. Prawą, sympatyczną i tak dalej. Parą idealną. On i Diana byli parą niedoskonałą.

- Jak skończył Napoleon? - spytał ją.

Zauważył jej wahanie. Szukała błyskotliwej odpowiedzi.

- Był na swojej wyspie szczęśliwy aż do śmierci - powiedziała Diana. - Miał piękną dziewczynę, na którą nie zasługiwał.

- Przestań się martwić - rzucił ostro. - Nie zamierzam opuścić wyspy. A nawet gdybym chciał, jak miałbym to zrobić?

- Znalazłbyś jakiś sposób. - odparła Diana obojętnym tonem.

- Tak. Ale i tak jestem tutaj - rzekł Caine. Skierował teleskop w stronę miasta. Po zachodniej stronie zobaczył poczerwiałe ruiny spalonych domów.

- Nie rób tego - powiedziała Diana.

Caine nie musiał pytać, co ma na myśli.

- Po prostu odpuść sobie. - Położyła mu dłoń na ramieniu. Pogłaskała go po szyi, po policzku. Opuścił teleskop i rzucił go na wyrosniętą nadmiernie trawę. Odwrócił się, wziął w ją ramiona i pocałował. Nie robił tego od tak dawna... W jego ramionach czuła się inna. Szczuplejsza. Mniejsza. Bardziej delikatna. Jego ciało zareagowało na nią jednak tak samo, jak zawsze. Nie odsunęła się. Jego reakcja zaskoczyła go. Od tego również minęło wiele czasu. Od dawna nie czuł pożądania. Głodujący chłopcy marzyli o jedzeniu, nie o dziewczynach. A teraz stało się, uczucie było obezwładniające. Jak ryk w uszach. Jak walenie w piersi. Wszystko go bolało. W ostatniej sekundzie przed utratą resztek samokontroli, Diana delikatnym, choć zdecydowanym ruchem odepchnęła go.

- Nie tutaj - powiedziała.

- A gdzie? - wydyszał. Nie podobał mu się błagalny ton własnego głosu. Nie mógł znieść, że tak bardzo kogoś potrzebuje. Pragnienie oznaczało słabość.

Oderwała jego dłonie od swojego ciała. Cofnęła się o krok. Miała na sobie sukienkę. Prawdziwa sukienka, obnażone nogi i ramiona. Wyglądała niczym przybysz z innej planety. Zamrugał. Wydawało mu się, że śni. Była czysta i miała Mil sobie żółtą, letnią sukienkę. Umyła zęby. Wyszczotkowała też włosy; chociaż wciąż nie odrosły po tym, jak musiała ściąć

je na krótko, odzyskały już część swojej ciemnej, zwichrzonej zmysłowości. Pochyliła się i podniosła teleskop. Podała go mu.

- To twój wybór, Caine. Możesz mieć mnie. Albo możesz spróbować zdobyć świat. Jedno albo drugie. Nie zamierzam być już częścią tego. Nie mogę. Więc wszystko zależy od ciebie.

Szczęka mu opadła. Dosłownie.

- Ty czarownico - powiedział.

Diana roześmiała się.

- Wiesz, że mam moc... - zagroził.

- Oczywiście. Byłabym bezradna. Ale nie tego chcesz.

Caine zauważył leżący niedaleko, duży kamień. Uniósł rękę wnętrzem dłoni do przodu. Kamień poszybował w powietrze.

- Czasami cię nienawidzę! - zawołał, ruchem nadgarstka posyłając kamień z klifu na dół, prosto do wody.

- Tylko czasami? - Diana uniosła brew sceptycznie - Ja nienawidzę cię prawie cały czas.

Wpatrywali się w siebie wzrokiem, w którym była nienawiść, ale też coś jeszcze, coś, wobec czego byli znacznie bardziej bezradni.

- Jesteśmy zranionymi ludźmi - powiedziała Diana smutnym i poważnym głosem. - Straszniymi, pokręconymi, złymi ludźmi. Ale ja chcę się zmienić. Chcę, żebyśmy oboje się zmienili.

- Zmienić się? W co? - spytał zmieszany.

- W ludzi, którzy nie marzą już o byciu Napoleonami.

Znów uśmiechała się z wyższością, tak jak kiedyś.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów na tyle powoli, że poczuł się zawstydzony i miał ochotę gdzieś się schować.

- Nie musisz decydować teraz. - powiedziała. - Nie myślisz teraz jasno.

Odwróciła się i poszła z powrotem do domu. Caine wrzucił do wody jeszcze kilka dużych kamieni. Nie poczuł się lepiej.

Sam stał na rogu ulicy, patrząc jak Lana i Astrid wchodzi do domu, w którym kiedyś mieszkał z Astrid. Lana niosła dzban wody. Patrick zatrzymał się i spojrzął w stronę Sama, ale dziewczyny go nie zauważyły, więc pies szybko stracił zainteresowanie. Sam przyszedł powiedzieć Astrid, że opuszcza miasto. Ona potrafiła dotrzymać tajemnicy. A on chciał, żeby ktoś poza Albertem wiedział, gdzie jest i co robi. A w każdym razie wmawiał to sobie. Przyznanie się, że nawet teraz, po wszystkim, co się stało, nie potrafił po prostu opuścić Astrid, byłoby zbyt wyraźną oznaką słabości. Nic mógł nie powiedzieć jej, że wyrusza w podróż. Musiała wiedzieć, że wciąż był... gdziekolwiek miał być. Kopnął leżącą na zaśmieconej ziemi puszkę po coli. Dlaczego Lana przysłała do Astrid? Pewnie Pete źle się czuł. Ale z drugiej strony - czy ktokolwiek mógł ocenić, co czuje mały Pete? Sam zmarszczył brwi. Nie chciał, by Lana widziała jakąś scenę między nim a Astrid. Niebo ciemniało. Niedługo miał wyjechać. Dekka, Taylor i Jack umówili się z nim po drugiej stronie autostrady. Każde z nich było zobowiązane do utrzymania całej sprawy w sekrecie. A przecież Jack i tak powie o wszystkim Briannie. I Taylor nie zdradzi się tylko dlatego, że dowie się, o co chodzi, dopiero wtedy, kiedy już opuszczą miasto. Dekka nikomu nie powie. A Sam? Sam zamierzał powiedzieć Astrid. Zapukał do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Czuł się dziwnie, otwierając drzwi domu, który do tak niedawna był i jego domem. Wszedł do środka. Wbiegł po schodach na górę i zawołał:

- Astrid, to ja!

Były w pokoju małego Pete'a. Stały o kilka metrów od Sama, plecami do niego. Kobieta - dorosła kobieta - siedziała na łóżku z głową Pete'a na kolanach. Gładziła go po włosach.

- Mama? - spytała Astrid.

Kobieta miała trzydzieści kilka lat. Jej włosy były jasne, a skóra blada i przezroczysta jak u Astrid, choć nieco już zniszczona przez słońce.

- Mama? - powtórzyła Astrid. Tym razem głos jej się załamał.

Kobieta nic nie powiedziała. Nawet nie spojrzała nu Astrid, skupiając całą uwagę na małym Pete.

- Ona nie jest prawdziwa - powiedziała Astrid, robiąc krok w tył.

Lana wpatrywała się w Astrid. Potem zauważyła Sama. Jej źrenice zwęziły się.

- Wiedzieleś o tym, prawda? - spytała oskarżająco.

- Jej tak naprawdę nie ma - powiedziała znowu Astrid. - To nie jest moja matka. To... to iluzja. On zachorował. Wysłałam, więc... sprawił, że się pojawiła. Żeby go pocieszyć.

- „Sprawił, że się pojawiła” - Lana niemal wypluła te słowa. - „Sprawił, że się pojawiła.” To w końcu coś, co każdy z nas może zrobić: sprawić, żeby pojawiła się realistyczna, trójwymiarowa mamusia, która pocieszy nas, kiedy nam smutno.

- Przestań, Petey - powiedziała Astrid.

Kobieta - iluzja kobiety - nie zareagowała, lecz wciąż gładziła włosy małego Pete'a.

- Wylecz go. Lano. Wylecz go, a przestanie - błagała Astrid. - Ma gorączkę. Kaszle.

Mały Pete zakaszłał kilka razy, jakby na potwierdzenie. Było w tym coś dziwnego. Nie zakrył ust, a wyraz twarzy mu się w ogóle nie zmienił. Po prostu zakaszłał.

- Spróbuj, Lano - powiedział błagalnie Sam. - Proszę.

Lana odwróciła się w jego stronę.

- Interesująca moc jak na autystyka, prawda? - powiedziała - Zwłaszcza, jeśli się pomyśli o wszystkich historiach o tym, jak bariera na chwilę zniknęła, kiedy mały Pete stracił przytomność.

- Jest wielu mutantów - powiedział Sam tak obojętnie, jak tylko potrafił.

- Czy on czasem nie był w elektrowni, kiedy zaczął się ETAP? - spytała Lana.

Astrid i Sam spojrzeli na siebie. Żadne z nich się nie odezwało.

- A więc był - stwierdziła Lana. - Elektrownia jest centrum ETAP-u. Samym jego sercem.

- Proszę, spróbuj go wyleczyć. - powtórzyła Astrid.

- Ma gorączkę i kaszle, wielkie mi co - wzruszyła ramionami Lana. - Dlaczego jego zdrowie jest takie ważne?

Sam znowu nie wiedział, co odpowiedzieć. Lana podeszła bliżej. Ręka kobiety wciąż spoczywała na czole Pete'a. Nie zareagowała jednak, kiedy dziewczyna położyła dłoń na jego piersi.

- A więc to jest wasza matka - powiedziała spokojnie Lana.

- Nie - odparła Astrid.

- Dziwne: znów zobaczyć dorosłego.

- To iluzja - oświadczyła Astrid słabym głosem. - Mały Pete ma moc... moc urzeczywistniania swoich wizji.

- Taaak - powiedziała sucho Lana. - Tylko o to chodzi. Tamta sytuacja, kiedy wszyscy zobaczyli zewnętrzny świat, też była iluzją. I twoja matka jest iluzją.

Kobieta nagle zniknęła. Głowa małego Pete'a opadła na poduszkę.

- Pomagasz mu - powiedział Sam. - Zdrowieje.

- Wiesz, to ciekawe - Lana parodiowała zwyczajną rozmowę. - Słońce i księżyc, i gwiazdy też są tu iluzjami. Tak wiele iluzji. Tak wiele zbiegów okoliczności. Tak wiele tajemnic.

Sam nie spojrział na Astrid. Żałował, że do niej przyszedł. Co więcej, żałował, że Astrid przyproceedziła Lanę, chociaż rozumiał ją. Po chwili Lana odsunęła się od małego Pete'a.

- Nie wiem, czy go uleczyłam.

- Dzięki - rzekła Astrid.

- Czuję to - powiedziała Lana miękko.

- Czujesz proces uzdrawiania?

Lana pokręciła głową.

- Nie. Czuję t o. Dotyka go. Obserwuje. Czuję. Dosięga go. - Zmarszczyła brwi. Jej twarz zmarszczyła się z bólu

- Tak, jak dosięga mnie.

Nie patrząc na nikogo, Lana wybiegła z pokoju. Stali w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Nie będzie mnie przez parę dni - odezwał się wreszcie- Sam. - Woda... idę poszukać innego jeziora.

Po policzku Astrid spłynęła łza.

- To musiało być straszne - powiedział Sam. - Nawet jeśli wiedziałaś, że to iluzja.

Astrid wytarła łzę palcem.

- Lana jest mądra. Połączy fakty ze sobą - westchnęła.

- Jeśli sytuacja się pogorszy, przyjdą po niego. Dzieciaki przyjdą po Pete'a.

- Zanim wyruszę w podróż, poproszę Bryzę, żeby nad wami czuwała - powiedział Sam.

Astrid spojrziała na brata ponuro. Zakaszał dwa razy i zamilkł.

- Chodzi o to, że nie wiem, co by się stało.

- Gdyby zachorował?

- Gdyby umarł. Nie wiem. Nie mam pojęcia.

PETE

Ciemność obserwowała go, dotykała swoją wiotką wicią, czekała na jego głos. Nic nie mówił. Ciemność nie mogła mu pomóc. Chciała się tylko pobawić i była zazdrosna, kiedy Pete bawił się z kimkolwiek innym. „Chodź do mnie” - powtarzała wielokrotnie. Nogi Pete'a były słabe. Utrzymywał równowagę na szklanej powierzchni, ale nogi bolały go, stopy też, jakby szkło wbijało się w nie. Czuł się lepiej, kiedy była przy nim matka. Była cicha, podobało mu się to. Nie próbowała go dotykać, tylko pozwalała leżeć na swojej piersi i wczuwać się w falowanie oddechu. Potem jednak jej oddech zaczął mu ciążyć, nie pozwalał się skoncentrować. Gdyby trwał... Zatrzymał się jednak, kiedy Pete kazał jej odejść. Zapamiętał dobre chwile, zanim dźwięk jej oddechu stał się uciążliwy. Nie musiał go już słuchać. Potem siostra mówiła coś głośno, a jeszcze później tamta dziewczyna. Położyła dłoń na jego ramieniu. Spojrzał na nią i zdziwił się. Bładozielona wić dotknęła jej. Wydawało się jest po obu stronach szkła naraz. Poczul jej dotyk i napięcie. Wytrzymał, ale czuł się coraz gorzej. Było mu gorąco. Jakby miał w sobie ogień. Nie chciał już słyszeć dźwięków swojego ciała. Dziewczyna wyszła. Oderwała od niego dłoń i wyszła. Ale czuł w sobie jej echo. Dotknęła Ciemności, ale nie chciała się z nią bawić. Zastanawiał się... ale teraz jego ciało znów domagało się zainteresowania. Było mu gorąco i zimno, był spragniony i głodny. Nie podobało mu się to.

ROZDZIAŁ 8 54 GODZINY, 21 MINUT

- ZABIJ TO! ZABIJ MNIE!

Dźwięk był przytłumiony, ale dało się rozpoznać słowa, Zamknęli otwory wentylacyjne - i tak nie było już klimatyzacji - ale desperackie okrzyki wciąż dobiegały z piwnicy. Howard wyszedł na jakieś głupie zebranie. Podobno ważna sprawa. Howard zawsze miał mnóstwo ważnych spraw na głowie. Charles Merriman, którego wszyscy nazywali Orkiem, grzebał w leżących za kanapą śmieciach. Coś musiało jeszcze zostać w jednej z butelek. Nie chciało mu się iść do szafy po kolejną.

- To jedyny sposób. Sam! Sam! Powiedzcie Samowi, żeby to zrobił!

Orc nie był pijany. Nie na tyle pijany, żeby mógł zignorować głos tej głupiej dziewczyny. To wymagałoby wypicia mnóstwa alkoholu, a on wypił tylko tyle, że nie chciało mu się wstawać z kanapy. Kamiennymi palcami chwycił butelkę Wild Turkey. Na dnie zostało już tylko trochę brązowego płynu. Odkręcił korek. Szklana szyjka butelki pękła pod jego palcami. To zdarzało się dosyć często. Orc miał trudności z kontrolowaniem swojej siły, kiedy był trochę pijany. Zdmuchnął z siebie odłamki szkła. Uniósł butelkę wysoko, uważając, by nie dotknąć ostrymi odławkami swoich, wciąż ludzkich, ust. Usta były jedyną częścią jego ciała, którą wciąż można było zranić. Usta i oczy. Wziął tyk ognistego napoju. Przełknął. O! tak. Tak. Ale to za mało. Orc podniósł się. Ważył strasznie dużo. Czego się zresztą spodziewać po chłopcu, którego ciało składało się z mokrego żwiru? Chodzący, wilgotny cement. Howard raz próbował go zważyć, ale Orc był zbyt wielki, żeby wejść na wagę. Popsuł ją. Ruszył w stronę szafki, w której Howard trzymał zapasy alkoholu. Otworzył drzwi z przesadną ostrożnością, właściwą ludziom, którzy nie panują nad swoim ciałem. Kilka butelek przezroczystego alkoholu. Kilka butelek brązowego alkoholu. Kilka butelek Cabki, likieru, który Howard robił z destylowanej kapusty i zgniłych pomarańczy. Był obrzydliwy. Orc wolał ten brązowy alkohol. Po kilku niezdarnych próbach otwarcia butelki, poddał się i oderwał jej szyjkę.

- To ty, Orc? Słyszysz twoje kroki.

Drake. Dziewczyna, Brittney, zniknęła. Zastąpił ją Drake.

- Jeszcze żyjesz, ty głupi, zapijaczony kawałku skały? - zawołał Drake. - Wciąż słuchasz się Sama? Robisz, co ci każą, Orc?

Orc tupnął wściekle.

- Zamknij się, bo inaczej zejdziesz tam i rozgniotę cię jak robaka! - ryknął.

Drake roześmiał się.

- Taa, jasne. Nie jesteś wystarczająco twardy, A to zabawne! Kamienny potwór nie jest wystarczająco twardy

Orc tupnął jeszcze raz. Cały dom zadrżał.

Drake obrzucał go wyzwiskami, ale teraz Orc miał w sobie ćwierć butelki. Ciepło alkoholu rozlewało się jego ciele. Krzyknął coś ordynarnego. Potem cofnął się i padł na kanapę. Drake już mu nie przeszkadzał. Był przecież świrem, dziewczyna sprawiała, że chciało mu się płakać. Była potworem. Jak Orc. Prosiła o śmierć. Prosiła, żeby ktoś pozwolił jej pójść do Jezusa. „Zabij mnie, zabij mnie, zabij mnie” - błagała dzień po dniu i noc po nocy. Orc wziął duży łyk. Łzy pociekły z jego ludzkich oczu i popłynęły szczelinami w kamiennych policzkach. Ktoś pukał do frontowych drzwi. Zazwyczaj to Howard je otwierał. Tym razem jednak Orc usłyszał głos Jamala.

- Hej, Orc! Otwieraj!

Jamal był jedną z niewielu osób, które odwiedzały Orca. Oczywiście, przychodził tylko po alkohol, ale jego towarzystwo i tak było lepsze niż samotne wsłuchiwanie się w głosy Drake'a i Britney.

- Chcesz się napić, Jamal?

- Dobrze wiesz - odparł Jamal. - Albert od rana na mnie wrzeszczy.

- Aha - mruknął Orc. Nie obchodziło go to. Podał butelkę Jamalowi, który natychmiast wziął duży łyk.

Podłoga zaskrzypiała, kiedy Orc rzucił się na swoje materace. Jamal usiadł na krześle, wciąż trzymając butelkę.

- Kto tam jest? - rozległ się głos Drake'a. - To Jamal czy Turk? Jak na Howarda jest zbyt ciężki.

- To ja, Jamal! - krzyknął zapytany.

- Nie rozmawiaj z nim - powiedział Orc bez większego przekonania.

- Hej, Jamal, może byś mnie wypuścił? - spytał Drake niemal rozbawionym głosem.

Orc zareagował obsceniczną wiązką.

- Tylko pod warunkiem, że najpierw zabijesz Alberta! - zawołał Jamal, po czym roześmiał się i wziął kolejny łyk.

- Dlaczego pracujesz dla niego, skoro tak go nienawidzisz? - spytał Orc.

Jamal wzruszył ramionami.

- Jestem twardy, a on potrzebuje kogoś twardego.

- Mhm - mruknął Orc.

- Ale traktuje mnie jak śmiecia.

- Tak?

- Powinieneś zobaczyć, jak on mieszka. Myślisz, że jego życie jest podobne do naszego? Zaczniemy od tego, że w nocy nawet nie musi wstawać, żeby się odlać. Ma specjalny garnek na siki.

- Ja też mam garnek, do którego sikam.

- Mhm, ale on ma i służącą, która za niego wynosi ten garnek do śmieci.

Orcowi szumiało w głowie, więc nie słuchał zbyt uważnie Jamala, który coraz bardziej się rozkręcał i skarżył się na to, że Albert codziennie je mięso i zatrudnia służących, którzy sprzątają w jego domu.

- Widzisz, stary, jemu się to podoba - oświadczył Jamal dość już bełkotliwie. - W normalnym świecie byt nikim, teraz jest super ważny, a ja jestem jego, no wiesz...

- Służącym - odpowiedział Orc.

W oczach Jamala pojawił się złośliwy błysk.

- Właśnie. Tak jak ty - ty jesteś służącym Sama.

- Nie jestem niczym służącym!

- Niańczysz Drake'a od rana do nocy. Co ty sobie wyobrażasz? Przecież robisz to, co ci każe Szef Sam.

Orc nie wiedział, co odpowiedzieć. Żałował, że nie ma przy nim Howarda. Howard miał lepszą gadkę.

Jamal naciskał:

- Ludzie tacy jak ty i ja, jak Turk i Drake. Kiedyś my rządaliśmy. Jesteśmy twardzi, nie przejmowaliśmy jakimiś bzdurami.

Orc wzruszył ramionami. Czuł się bardzo niezręcznie.

- Gdzie jest Howard? - wymamrotał. Jamal zacharczał.

- To nie Howard jest klawiszem, tylko ty, Orc. Jesteś strażnikiem zatrudnionym przez Sama. Musisz tu siedzieć przez cały czas. Jest dokładnie tak, jak mówił Turk.

- Co mówił Turk?

- Że Sam uwięził jednocześnie ciebie i Drake'a.

- To nie tak.

Jamal roześmiał się złośliwie.

- Słuchaj, trzeba się tylko przekonać, kto rządzi, a kto jest podwładnym. W tym Zil się mylił: nie chodzi o mutantów i normalnych, o dziwolągów i nie-dziwolągów, chodzi o to, kto jest samcem alfa. Ty i ja, Orc, powinniśmy być samcami alfa. A jesteśmy służącymi.

Właśnie wtedy z dołu dobiegł ich głos Brittney.

- Czy Sam tam jest? Przyprawdźcie tu Sama! Musicie zawołać Sama!

Orc podniósł się z łóżka i zawołał:

- Ej, zamknij się! I tak już muszę bez przerwy wysłuchiwać wrzasków Drake'a.

Zatoczył się. Nie udało mu się utrzymać równowagi i upadł z powrotem na pośladki. Jamal wybuchnął złośliwym śmiechem.

Tym razem Orc zerwał się na równe nogi.

- Przestań się śmiać!

- Orc, zawołaj Sama!

- Ale to byto zabawne, stary – zawołał Jamal nie przestając się śmiać.

- Orc, Drake próbuje...

Orc zaklął głośno. Tupnął mocno w podłogę.

- Zamknij się! No zamknij się!

Nagle z rozdzierającym hukiem podłoga pod stopami Orca pękła. Spadł przez warstwę drewna i cementu. Wylądował ciężko na plecach, jego ciało pokryły drzazgi i kurz. Zamrugał, zbyt oszołomiony, by zrozumieć, co się właściwie stało. Najpierw pomyślał, że Howard się wścieknie. Potem - że Sam wścieknie się jeszcze bardziej. Brittney wpatrywała się w niego. Rozłożony na łopatki. Pijany i ogłupiały. Potwór. A z góry dobiegał ośli rechot Jamala. Orc dotknął dłonią kawałka skóry, wciąż pokrywającej część jego twarzy. Krwawił. Niezbyt mocno, ale jednak krwawił. Zaślepiiony złością zerwał się na nogi. Z całej siły uderzył Brittney. Poleciała na ścianę. Jej głowa uderzyła o beton powierzchnię tak mocno, że każda normalna dziewczyna zginęłaby na miejscu. Ale Brittney nie mogła umrzeć. Tego już było za wiele. Coś przeskoczyło w umyśle Orca. Podskoczył, próbując chwycić sufit nad swoją głową i podciągnąć się, ale pośliznął się i znowu runął. Jamal nie przestawał się śmiać. Orc podbiegł do zabarykadowanych drzwi, które trzymały w zamknięciu Brittney-Drake'a. Uderzył o nie całym ciałem. Ledwo wytrzymały. Cofnął się. Potem zaczął w nie kopać, aż fruwały drzazgi.

- Nie! Nie! - krzyknęła Brittney. - On ucieknie!

Orc cofnął się o krok, uniósł oba kamienne ramiona i ruszył prosto na drzwi. Nie otworzyły się, lecz po prostu rozpadły na kawałki. Rama roztrzaskała się w drzazgi. Orc wybiegł na zewnątrz.

- Śmiejesz się ze mnie?! - wrzasnęła, wbiegając po schodach do kuchni.

Jamal wciąż stał nad dziurą.

- Śmiejesz się?! - ryknął Orc.

Jamal zbyt późno zauważył grożące mu niebezpieczeństwo. Orc miał ponad sześć stóp wzrostu i niemal tyle samo szerokości. Jego nogi były podobne do pni drzewa, ramiona - do stalowych rur. Jamal chciał sięgnąć po pistolet, ale Orc mu na to nie pozwolił. Chwycił go za szyję, podniósł i rzucił w dziurę. Jamal wylądował z hukiem. Pistolet poturlał się po podłodze. Orc dyszał, pocił się, serce waliło mu w piersi. Teraz dopiero rzeczywistość przebiła się przez rozbudzoną alkoholem wściekłość i zaczynał rozumieć, co zrobił. Howard. Powinien... albo Sam... ktokolwiek... powinien komuś powiedzieć, kogoś wezwać... Życie Charlesa Merrimana

się skończyło. Odkupił swoje winy, powierzono mu ważne zadanie. A teraz wszystko skończone. Znów był tylko Orckem. Chciało mu się płakać. Nie mógł sobie z tym poradzić. Nie był w stanie zmierzyć się z rozczarowaniem i litością Howarda. Z chłodnym gniewem Sama. W ciemnej piwnicy długa, czerwona wic sięgnęła po pistolet. Orc odwrócił się i wybiegł z domu.

Sanjitowi Brattle-Chance'owi nie podobał się pierwszy tydzień w Perdido Beach. Virtue Brattle-Chance był jeszcze mniej zadowolony.

- Tu jest jak w gigantycznym psychiatryku - powiedział Virtue.

- Mniej więcej - zgodził się Sanjit.

Popołudnie spędzili na przeglądzie helikoptera. Edilio kazał im sprawdzić, czy jest on całkiem popsuty, czy też jeszcze do czegoś się nada.

Jak na razie śmigłowiec wydawał się doszczętnie zniszczony. Obie płozy - a raczej to, co płozy przypominało - były zgniecione. Szklana osłona kabiny pilota roztrzaskała się, a cała reszta popękała. Zapadła noc i na tym skończyła się inspekcja. Virtue chciał wrócić prosto do domu, Sanjit ociągał się.

- Zostańmy tu chwilę i pogadajmy, Choo - powiedział. - No wiesz, mieliśmy tyle problemów. Ale teraz Bowie zdrowieje...

Virtue warknął.

- Jeśli wierzyć tej tak zwanej Uzdrowicielce.

- Wierzę jej w pełni - odparł Sanjit.

Dziewczyna o imieniu Lana położyła dłoń na Bowiem. Prawie nic nie mówiła, na uprzejme pytania odpowiadała pojedynczymi sylabami albo pełnym znużenia milczeniem. Sanjit patrzył na nią jednak zafascynowany. Od tamtej pory nie myślał o niczym innym. Jak można było nie podziwiać dziewczyny, która potrafiła leczyć dotykiem i nosiła ze sobą wielki, automatyczny pistolet. Jego typ. Dowiedział się, że mieszka w Clifftop. Podczas przeglądu helikoptera Edilio kilkakrotnie ostrzegł go, żeby jej nie przeszkadzał. Jego słowa brzmiały dokładnie tak: „Na Boga, nie wchodź Lanie w drogę”. Sanjit spytał: „Czy ona jest niebezpieczna?” Edilio spojrzał wtedy na niego w szczegól sposób.

- No cóż, kiedyś mnie postrzeliła. Ale znajdowała się wtedy pod wpływem Ciemności, którą próbowała zniszczyć przy pomocy ciężarówka ze zbiornikiem pełnym gazu. Potem mnie uleczyła. Nie wiem, czy to oznacza, że jest niebezpieczna. Ale na twoim miejscu na pewno starałbym się jej nie wkurzać.

Sanjit i Virtue usiedli więc na trawie i patrzyli na zachodzące słońce i pojawiające się na niebie gwiazdy. Sanjit dyskretnie zerkał też na hotel.

- Słyszałeś o gadających kojotach? - spytał Virtue, jakby ich istnieniu winny był Sanjit.

- Taaa. Straszne, nie?

- A to coś, co nazywają Ciemnością? - Virtue pokręcił głową zbolaty. Zawsze był ponury. Przypominał chmurę przesłaniającą blask Sanjita. Ciemniejszą stroną natury przybranego brata. Zostali adoptowani: jeden z Konga, drugi z Tajlandii. Jeden z obozu dla uchodźców, drugi z ulic Bangkoku.

- Zastanawiam się, co to takiego.

- Gaiaphage. Tak też jego nazywają. „Gaia” oznacza świat, a „Phage” robaka albo coś, co zjada coś innego. Mam przecucie, że coś, co nazywa się „Zjadaczem świata” nie może być zbyt fajne.

- Nie? - Sanjit zrobił minę niewiniątka, chcąc celowo sprowokować brata.

- Dobra - skrzywił się Virtue. - Widziałeś cmentarz na placu? Jest tam dwadzieścia kilka grobów.

Sanjit odwrócił się, żeby spojrzeć na helikopter. Uratował ich. Szkoda mu było zostawiać jego wrak.

- Potrzebuję dużych kluczy francuskich, drabiny, młotka. No i kogoś, kto wiedziałby, jak się tym wszystkim posługiwać.

- Spoko, widzę, że tak naprawdę wcale nic chcesz gadać.

Rozbili helikopter na tyłach hotelu Clifftop, między krzakami i drzewami za parkingiem.

Bariera była bardzo blisko. Nawet gdyby udało się kiedykolwiek polecieć helikopterem - a Sanjit nie był w stanie wyobrazić sobie, jaki mogłoby to mieć sens - trzeba by mieć szczęście, żeby natychmiast się z nią nie zderzyć. Bariera była podstępna. Tuż nad ziemią jedynie udawała przejrzystość. Wyżej było niebo. Ale kiedy się już dotarło na górę, okazywało się, że nie widać tego, co znajduje się za barierą. Znowu stawała się nieprzezroczysta. Podstępna oszustka. Jak magiczna sztuczka, pomyślał Sanjit. Nagle zdał sobie sprawę, że Virtue znowu zaczął mówić.

- ...kiedy Bowie całkiem wyzdrowieje. Może Caine jednak nie jest kompletnym wariatem. No wiesz, musiał głodować, a głód każdemu odebrałby rozsądek.

- Choo - zaczął Sanjit. - Caine to samo zło. O czym ty w ogóle mówisz?

- Dobra, nawet jeśli jest zły, może udałoby nam się z nim jakoś dogadać.

- Sam w to nie wierzysz - odparł Sanjit.

- No dobra, masz rację - przyznał Virtue, zrezygnowany.

- Nie wrócimy na wyspę, mój bracie. Wyrzucono nas. Teraz tu jest nasz dom.

Virtue pokiwał głową. Wyglądał jak dziecko, które właśnie dowiedziało się, że o świcie zostanie zastrzelone.

- Nie martw się, Clilo - powiedział Sanjit. - O tym miejscu można powiedzieć wiele dobrych rzeczy.

- Słyszałeś o zombie, prawda? Tym, które zostało zamknięte w piwnicy. Przez pół dnia jest sympatyczną chrześcijanką. A potem - psychopatą z biczem zamiast ramienia.

Sanjit zamyślił się.

- Chyba faktycznie coś o tym słyszałem. Ale powiem ci Choo, że taki ukryty w piwnicy doktor Jekyll i mister Hyde nie jest wcale rzadkością.

Virtue uśmiechnął się półgębkiem, jakby wbrew sobie

- Dobra, mów, co chcesz, Wisdom.

- Nie używaj mojego niewolniczego imienia!

Był to ich stary żart. Imię Sanjit nosił, gdy jeszcze żył w biednej dzielnicy Hindusów w buddyjskim Bangkoku. Kiedy para aktorów, Jennifer Brattle i Todd Chance, adoptowała go, nadano mu wzbudzające wiele nadziei imię: Wisdom.

Nigdy mu się nie podobało. Oznaczało przecież... no cóż, mądrość.

- Nie widzisz jasnej strony, Choo - powiedział Sanjit. Tak naprawdę sam dopiero ją zauważył.

- Jasnej strony? Nie ma żadnej jasnej strony. O czym ty gadasz?

- O dziewczynach, Choo - odparł Sanjit, uśmiechając się szeroko. - Zrozumiesz to za parę lat.

Na tyłach hotelu Lana rzucała tenisową piłeczkę swojemu psu. Ich sylwetki rysowały się na zachodnim horyzoncie, w świetle księżyca, który właśnie wyłonił się zza wzgórz.

- Odmawiam przechodzenia przez fazę dojrzewania - powiedział Virtue. - Robi z człowieka idiotę.

Sanjit ledwie go słyszał. Szedł w stronę Lany.

- Cześć.

- Co tu robisz? - spytała Lana ostro. - Nikt nie powinien przychodzić do Clifftop, jeśli ja mu nie każę.

- Ominął cię piękny zachód słońca - odparł Sanjit.

- To iluzja - powiedziała Lana - a nie prawdziwe słońce. Nic nie jest prawdziwe. Ani księżyc, ani gwiazdy, ani nic.

- I tak są piękne.

- Ale fałszywe.

- Ale piękne.

Lana wpatrywała się w niego. Sanjit musiał przyznać: wzrok dziewczyny był przejmujący. Pistolet za jej pasem sprawiał, że wyglądała na jeszcze twardszą laskę. Najważniejszy był jednak zraniony-lecz-bezczelny wyraz twarzy.

- Rozumiem więc, że gdybym zaprosił cię na spacer w świetle księżyca, nie zgodziłabyś się?

- Co? - znów to spojrzenie. - Idź stąd. Nie rób z siebie idioty. Nawet cię nie znam.

- Leczysz mojego braciszka, Bowiego.

- Tak, ale to nie czyni nas przyjaciółmi.

- Więc nie będzie księżyca?

- Niedorozwinięty jesteś?

- A może słońce? Mógłbym wcześniej wstać.

- Spadaj.

- Zachód słońca jutro?

- O co ci chodzi, dziecko? Wiesz, kim jestem? Nikomu nie wolno ze mną zadzierać.

- Wiesz, jak mam na imię?

- Czego nie rozumiesz w słowie „spadaj”? Gdybym cię zastrzeliła, nikt by nawet nie zareagował.

- Sanjit. To hinduskie imię.

- Szepnę tylko słówko Orkowi, to zagra w kosza twoją głową.

- Oznacza „niepokonany”.

- To świetnie - burknęła Lana.

- Niepokonany. To znaczy, że nikt nie może mnie zwyciężyć.

- Mhm - odparła Lana, po czym zazgrzytała zębami wyraźnie zła na siebie.

- Dawaj, spróbuj mnie pokonać.

W tym momencie przybiegł Patrick. Upuścił piłkę pod nogi Sanjita, wyszczerzył zęby i czekał.

- Nie baw się z moim psem - powiedziała Lana.

Sanjit uniósł piłkę i rzucił. Patrick pobiegł za nią.

- Nie boję się ciebie - oznajmił Sanjit. Uniósł do góry rękę, nim Lana zdążyła odpowiedzieć. - Nie mówię, że nie powinienem się bać. Słyszałem o tobie parę historii. O tym, co się stało. Sama zmierzyłaś się z tym gaiaphage. A to oznacza, że jesteś na drugim miejscu wśród najodważniejszych dziewczyn, które znam. Więc pewnie powinienem się bać. Ale się nie boję.

Popatrzył chwilę, jak walczy ze sobą. Przegrała.

- Na drugim miejscu?

- Opowiem ci o tym, jeśli pójdziesz ze mną na spacer - zaproponował Sanjit. Wskazał palcem na helikopter.

- Muszę wracać do miasta. Edilio czeka na mój raport.

Odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ 9

54 GODZINY, 9 MINUT

Mała ekipa Sama czekała na niego w umówionym miejscu. Dekka niemal się uśmiechała. A uśmiech na twarzy Dekki był czymś zaskakującym. Taylor demonstracyjnie oglądała sobie paznokcie. Sam zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć o tamtym pocałunku. Coś w rodzaju: „Bardzo mi przykro, że cię macałem”. Tak, to by rzeczywiście pomogło im obojgu. Już lepiej udawać, że nic się nie stało. Niestety, Taylor nie należała do osób, które łatwo zapominają. Poza tym irytowała Dekkę. Dekka była przyjaciółką i sojuszniczką Sama. To na niej, na Briannie i na Ediliu Sam mógł zawsze polegać. Mogło to zaskakiwać, bo rzadko się z nimi spotykał. Zazwyczaj spędzał czas sam albo z Astrid. Ostatnimi czasy prawie nie widywał Edilia. Z Brianną nie miał niemal nic wspólnego - była zbyt młoda, zbyt szalona... zbyt briannowa, żeby mógł z nią długo przebywać. Wcześniej jego najlepszym przyjacielem był Quinn. Quinna jednak zatrudniono do ważnej pracy, którą uwielbiał, a jego przyjaciółmi stali się inni rybacy. Czwartym uczestnikiem ekspedycji był Jack, znany wcześniej jako Komputerowy Jack - teraz jednak komputery już nie działały, więc Jack spędzał czytaniu komiksów i grymaszeniu. Nadludzka siła Jacka mogłaby się przydać, ale do pory chłopak nie okazał się pomocny. Sam przypominał sobie jednak, że podczas wielkiego pożaru Jack stanął wysokości zadania. Być może dojrzał powoli. Być może przymusowe oderwanie go od komputera w gruncie rzeczy dobrze mu zrobiło.

- Jesteście gotowi? - spytał Sam.

- Muszę iść? - jęknął Jack.

Sam wzruszył ramionami.

- Albert ci płaci, prawda? Nie wolisz się przejść, niż być jego osiłkiem na pełny etat?

Oczy Jacka zabłyśły gniewnie. Albert zaczął wykorzystywać jego siłę - kazał mu nosić pudła, przestawiać meble - a Jack nienawidził tego z całego serca. Wciąż uważał się za komputerowego geniusza, a nie za mutanta siłacza.

- Dlaczego musimy startować w środku nocy? - spytała Taylor.

- Bo nie chcemy, żeby całe miasto wiedziało, dokąd i po co idziemy.

- Jak mogłabym komuś powiedzieć, skoro sama nie mam pojęcia? - Taylor wyduła dolną wargę.

- Wyruszamy na poszukiwanie wody - odparł Sam.

Niemal dało się usłyszeć trybiki przeskakujące w umyśle Taylor.

- O Boże, nie mamy wody? - zawołała wreszcie.

Zagryzła wargę, kilka razy odetchnęła dramatycznie i jęknęła:

- O rany, czy to znaczy, że wszyscy umrzemy?

- No, i to jest właśnie dowód na to, że powinniśmy utrzymać całą sprawę w sekrecie - stwierdził Sam sucho.

- Muszę tylko iść...

- O nie! - powiedział Sam. - Nic nie musisz, Taylor, nigdzie nie pójdziesz i z nikim nie będziesz rozmawiać, jeśli ci nie pozwolę. Czy to jasne?

- Wiesz co, Sam, jesteś dość miły. I bardzo, bardzo seksowny - stwierdziła Taylor. - Ale zabawy to z tobą nie ma.

- Zabierajmy się stąd, póki możemy - ponagliła Dekka. - Wzięłam pistolet, jakby co.

- Grozi nam niebezpieczeństwo? - załkała Taylor.

- To na wypadek, gdybyś mnie wkurzyła - ostrzegła Dekka.

- Aleś ty zabawna - skrzywiła się Taylor.

Sam uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dawna naprawdę na coś czekał. Misja. Dzięki niej przynajmniej na jakiś czas mógł uciec z Perdido Beach.

- Dekka ma rację. Chodźmy stąd, zanim stanie się coś, z czym będę się musiał zmierzyć. - rzekł Sam.

W tym samym momencie usłyszał trzask, jakby gdzieś daleko pękło coś wielkiego. Jakby ktoś złamał potężny konar drzewa. Sam uznał, że to pewnie robota jakiegoś pijanego idioty i postanowił to zignorować. Niech się Edilio martwi.

Ruszył w stronę górujących nad miastem, pogrążonych w mroku wzgórz.

Po kilku chwilach Dekka chwyciła go za ramię, przytrzymała i zwolniła kroku. Pozwoliła, żeby Jack i Taylor ich wyprzedzili.

- Czy Edilio albo Astrid mówili ci już?

- Nie rozmawiałem z Ediliem od dawna. Potężnie się wkurzy, kiedy dowie się, że wymknąłem się z miasta, nic mu nie mówiąc.

Dekka odczekała chwilę. W końcu Sam westchnął:

- Okej. O czym mieli mi powiedzieć?

- Chodzi o Huntera. Ma coś takiego... tak jakby robaki zżerały go od środka. Astrid twierdzi, że to pasożyty.

- Astrid? - zdziwił się Sam.

- Czyli jednak widziałeś się z nią przed podróżą. I nic ci nie mówiła?

- Mieliśmy inne rzeczy na głowie.

- Aha...

- Nie - odparł Sam. - Nie o to chodzi. Niestety. Opowiedz mi o Hunterze.

Dekka spełniła jego życzenie.

Twarz Sama z każdym jej słowem stawała się coraz bardziej ponura. Plan ucieczki z miasta, w chwili gdy nic złego akurat się nie dzieje, spalił na panewce. Działo się coś bardzo złego. Wyglądało na to, że Hunter już zbyt długo sobie nie popoluje. A to z kolei oznaczało, że w mieście szybko skończy się nie tylko woda, ale i mięso. Prawdopodobnie byłoby w stanie przeżyć bez zdobyczy Huntera, ale jego nieobecność z pewnością wzbudziłaby panikę. Ich misja stała się nagle jeszcze ważniejsza.

- Powiedział, że latające węże są po porannej stronie? Na drodze prowadzącej do jeziora? Tak?

Dekka pokiwała głową.

Sam zawołał pozostałą dwójkę, która akurat spierała się o jakąś bzdurę.

- Taylor! Jack! Chodźcie tutaj! Zboczmy z drogi, żeby odwiedzić Huntera.

Huntera obudził nagle jakiś dźwięk. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszał. Było blisko. Bardzo blisko. Jakby przytłaczało go. Jakby... Nagle pojął, że słyszy tylko jednym uchem. Odwrócił głowę. Była ciemna noc. Czarna, jak każda noc w lesie, z dala od światła gwiazd. Nic nie widział. Ale mógł wyczuć rękami. To coś na jego ramieniu... Jego ucho... nie było go! Pod wpływem panicznego strachu wyrwał mu z się gardła krzyk. Nie czuł ani ramienia, ani ucha, czuł tylko coś pod palcami. Dotknął skóry pod koszulką i poczuł, jak mięśnie jego brzucha pulsują. Jakby coś w nim było. Nie, nie, to niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe! Był Hunterem. Myśliwym. Robił wszystko, co mógł. Rozpłakał się. Łzy spływały mu po policzkach. Kto teraz przyniesie mięso dla tych wszystkich dzieci? To niesprawiedliwe. Znow usłyszał w uchu dźwięk chrupania i żucia. Hunter miał tylko jedną broń: ogrzewającą moc swoich dłoni. Używał jej wiele, wiele razy, by zabijać zwierzęta. Dzięki

tej mocy mógł karmić dzieci. Kiedy się zdenerwował i przestraszył, odebrał też życie swojemu przyjacielowi, Harry'emu. Może udałoby mu się zabić to coś, co zjadało jego ucho. Było już jednak zbyt późno. Czy mógłby zabić siebie? Widział głowę Starego Lwa, z zamkniętymi oczami, wiszącą tam, gdzie umieścić ją przed wypatroszeniem. Jeśli Stary Lew mógł umrzeć, to Hunter też. Może spotkają się kiedyś w niebie. Hunter ścisnął głowę obiema dłońmi.

Drake był wolny! Przed nim leżały wyważone drzwi. Nad nim - zawalony sufit. Więzienie zostało zniszczone przez samego strażnika. Drake zaczął się jednak martwić. W każdej chwili mogła się wyłonić Brittney Świnia. Mogła wtedy zacząć błagać o pomoc, zawołać Sama, czy zrobić jeszcze coś innego. Miał przy sobie pistolet Jamala. Owinął wokół niego bicz, rozkoszując się dotykiem broni, jej ciężarem w swojej ręce. Z biczem i pistoletem był niepokonany. Tyle tylko, że nie był wyłącznie sobą, był także Brittney, Gorączkowo myślał o tym, co powinien zrobić. Jamal jęknął. Spróbował wstać, ale ciężko upadł na ramię, które złamało się z trzaskiem. Zawył z bólu. Jego lewa ręka wisiała bezwładnie na wybitym barku. Krew ciekła mu z nosa i z uszu. O, tak, pomyślał Drake, chłopak przeżył ciężki upadek. Usiadł okrakiem na Jamalu. Owinął mu bicz wokół szyi, tłumiąc okrzyki bólu. Przycisnął lufę pistoletu do jego czoła.

- Masz trzy sekundy na podjęcie decyzji - powiedział łagodnym głosem. - Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

Jamal nie potrzebował trzech sekund.

- Pomogę ci! Pomogę! - zawołał, kiedy tylko Drake rozluźnił uścisk na jego gardle.

- Tak? To słuchaj uważnie, dupku, bo drugiej szansy nie będzie. Jeśli mnie nie posłuchasz, oszukasz, jeśli się tylko zawahasz, nie zabiję cię.

Jamal zmarszczył brwi ze zdziwieniem.

- Widzisz, śmierć jest końcem cierpienia - powiedział Drake. - Więc nie zabiję cię. Ale cię wychłosczę.

W nagłym przypiływie wściekłości Drake odchylił się i zamachnął swoim długim ramieniem. Bicz przeciął spodnie Jamala, pozostawiając na nodze czerwoną pręgę. Jamal ryknął. Drake uderzył jeszcze dwukrotnie, a Jamal na próżno próbował zasłonić się zdrowym ramieniem.

- Chciałem ci pokazać, jak to będzie wyglądało - powiedział Drake. - Boli, prawda?

Jamal zaczął płakać. Szlochał, bojąc się cokolwiek powiedzieć.

- O coś pytałem. Boli, prawda? - Tak! Tak! - załkał Jamal.

- Niezależnie od tego, co zrobisz, niezależnie od tego, za jakiego bystrzaczę i twardziela się uważasz, jeśli mnie zdradzisz, wychłosczę cię. Będę to robił długo. Wiele godzin. I zostawię cię w miejscu, w którym Uzdrowicielka cię nie znajdzie. Wierzysz, że to zrobię, Jamal?

Jamal gwałtownie kiwał głową:

- Wierzę!

- Nie da się mnie zabić, Jamal - powiedział Drake.

- Wiem!

Drake podał mu pistolet. Patrzył uważnie, by upewnić się, że Jamal naprawdę go zrozumiał. Dostrzegł ten ułamek sekundy, kiedy Jamal pomyślał: Mogę go po prostu zabić i uciec. Widział też jednak, że po chwili chłopak doszedł do jedyne go możliwego wniosku. Widział, jak jego opór maleje.

- Mądry chłopiec - powiedział Drake. - A oto, co musisz zrobić.

ROZDZIAŁ 10

52 GODZINY, 37 MINUT

- Dlaczego musieliśmy wykradać się z miasta w środku nocy? - jęknął Jack. - O wszystko się potykam!

Jack, Sam, Dekka i Taylor przeszli przez autostradę, minęli stację benzynową i zaczęli wspinać się na wzgórze. Księżyc oświetlał srebrzystym blaskiem wysoką, wysuszoną trawę. Nie był on jednak na tyle mocny, by pozwalał dostrzec wystające z suchej ziemi drobne skałki, o które łatwo było się potknąć, a potem wylądować na kolanach i dłoniach i wyglądać jak głupek. Jack nie miał ochoty na taki długi, niebezpieczny spacer. Zwłaszcza w nocy. W dzień zresztą też nie. Chciał tylko leżeć w łóżku. Leżeć w łóżku i czytać. Miał w domu stertę książek. Zresztą i tak nic innego nie było do roboty. Nie działał internet ani w ogóle żaden komputer. Ani nawet elektryczność. Oczywiście była to jego wina. Dał się oszukać Caine'owi i tej wiedźmie, Dianie. Nie bardzo potrafił odmawiać dziewczynom. Zwłaszcza Briannie, która potrafiła nakłonić go do wszystkiego. Brianna właściwie z nim zamieszkała. Wydawali się być parą, chociaż nic specjalnego nie robili. Nie całowali się ani nic z tych rzeczy. Jack poważnie zastanawiał się nad tym, czy nie poprosić Brianny, by zechciała się z nim całować. Była ładna. Lubił ją. Podejrzywał, że ona też go lubi. Opiekowali się sobą podczas epidemii grypy. Ale... Jack zorientował się nagle, że Sam nie odpowiedział na jego pytanie.

- Dlaczego wymykamy się w środku nocy? - powtórzył Jack.

- Już to tłumaczyłem - warknął Sam. - Skoro nie słuchałeś...

- Bo inaczej Astrid wymyśliłaby jakiś sposób, żeby go zatrzymać - wtrąciła się Taylor. Zaczęła przedrzeźniać Astrid, używając jej chłodnego, protekcyjnego tonu:

- Sam, jestem najmądrzejszą i najładniejszą dziewczyną na świecie. Masz robić, co ci każę. Dobry chłopiec. Siad, chłopcze. Siad.

Sam nie odzywał się, idąc kilka kroków przed nią. Taylor ciągnęła:

- Och, Sam, gdybyś tylko mógł być taki mądry i taki świętoszkowaty jak ja! Gdybyś tylko był w stanie zrozumieć, że nigdy mnie nie zdobędziesz, mnie - niebieskookiej blondynki Astrid.

- Sam, czy już mogę ją zastrzelić? - spytała Dekka. - Czy jeszcze za wcześnie?

- Poczekaj, aż znajdziemy się w górach. Stłumią dźwięk.

- Sorry, Dekka - powiedziała Taylor. - Wiem, że nie lubisz rozmawiać o relacjach damsko-męskich.

- Taylor! - ostrzegł ją Sam.

- Słucham?

- Zastanów się, jak by ci się chodziło, gdyby ktoś wyłączył grawitację pod twoimi stopami.

- Ciekawe, kto mógłby to zrobić? - powiedziała Dekka.

Nagle Taylor upadła na twarz.

- Podstawiałaś mi nogę! - zawołała, raczej zdziwiona niż zła.

- Ja? - Dekka rozłożyła ramiona w udawanym geście niewiniątka. - Ja sobie spokojnie stoję.

- Mówię tylko, że istnieje sposób, by uczynić ten długi spacer jeszcze dłuższym - dodał Sam.

- Nie jesteście zbyt fajni - mruknęła Taylor. Poderwała się na nogi, chwyciła Sama za pośladek; chłopak wrzasnął; „hej!”, a ona odsunęła się z niewinną miną.

- Wracając do twojego pytania, Jack - powiedział Sam - wyruszamy w środku nocy, żeby nikt nie dowiedział się, dokąd i po co poszliśmy. I tak niedługo się domyślą, ale Edilio będzie musiał wysłać na ulice więcej swoich ludzi, kiedy nie będzie mnie - wielkiego, złego wilka. Wszyscy zaczną się strasznie stresować.

- Och - westchnął Jack.

- Wielki, zły wilk - roześmiała się Taylor. - Czy wtedy, kiedy snujesz różne fantazje, Astrid jest Czerwonym Kapturkiem, czy jedną z trzech małych świnek?

- Dekka - zaczął Sam.

- Ha! Zbyt wolno! - Taylor odskoczyła o jakieś dwadzieścia stóp od Dekki.

Dotarli na zbocze góry. U ich stóp, w dolinie, drzewa porastały wzgórze obok. Kiedy powiał wiatr, w dolince czuło się wilgoć. Dnem rozpadliny płynął mały strumyk, który niemal wysechł po tym, jak został odcięty od wysokich, zaśnieżonych szczytów, znajdujących się za barierą.

- Postarajcie się nie robić za dużo hałasu, dobrze? Hunter może tu gdzieś polować. Postarajmy się nie spłoszyć jego zdobyczy.

- No to nie wolno się już wywracać na pysk, Jack - zażartowała Taylor.

Zza rosnących u podstawy wzgórza drzew dobiegło jakieś pojękiwanie.

- Co to było? - spytał Jack.

I znowu. Jęk straszliwej desperacji.

Jack podejrzewał, że Sam rzucił się do ucieczki. On jednak westchnął głęboko i powiedział cicho:

- Myślę, że nie powinniście tego oglądać.

- Czego? - spytała Astrid.

Sam ruszył w dół. Nie prosił, żeby szli za nim. Ale też nie kazał im stać w miejscu. Poszli więc w jego ślady.

Kiedy znaleźli się w nieprzeniknionym mroku, Sam użył mocy i zamienił swoją rękę w lampę o matowym, zielonym świetle. Dzięki niemu łatwiej było zobaczyć drzewa, ale też cała scena stawała się podobna do wizji z sennego koszmaru.

- Hunter? - zawołał Sam.

- Nie podchodźcie tu! - pełen smutku głos Huntera dobiegł z mniejszej odległości, niż spodziewał się Sam.

Ruszyli za tym głosem. Po chwili usłyszeli również płacz. Nie był to płacz nastolatka, raczej rozpaczliwy szloch niemowlęcia.

Sam odezwał się znowu:

- Zostańcie w tyle. Nie powinniście na to patrzeć.

Znów jednak został zignorowany. Pierwszy krok zrobiła Dekka, która była odważna i chciała pomóc, choć spodziewała się, co może zobaczyć; za nią Taylor, ciekawska i gotowa na wszystko; w końcu Jack, który nie chciał zostać sam w absolutnej ciemności.

Hunter siedział pośrodku obozowiska. Nad dogasającą ogniskiem skonstruował prowizoryczne rusztowanie z gałązek i patyków, na których trzymał patelnię, garnek i talerz. Obok stał nieduży namiot i skóra górskiego niedźwiedzia zwisająca na sznurze z wysokiej gałęzi. Całe ciało Huntera wiło się w spazmach bólu. Połowy głowy właściwie już nie było. Jakaś istota, wyglądająca na krzyżówkę insekta z węgorzem, wystawała z jego ciała. Z przerażeniem obserwowali, jak odgryza wielki kawałek mięsa. Taylor nagle zniknęła. Twarz Dekki spochmurniała, jej oczy stały się wilgotne.

- Próbowałem... - powiedział Hunter. Uniósł dłonie, chcąc pokazać, jak ścisnął nimi głowę. - Nie podziałało.

- Ja mogę to zrobić - powiedział Sam łagodnie.

- Boję się - odparł Hunter.

- Wiem.

- To dlatego, że zabiłem Harry'ego. Bóg chce mnie ukarać. Próbowałem być dobry, ale jestem zły.

- Nie, Hunter - odparł miękko Sam. - Odkupiłeś swoje winy. Nakarmiłeś dzieciaki. Jesteś dobrym człowiekiem.

- Jestem dobrym myśliwym.

- Najlepszym.

- Nie wiem, co się dzieje. No, co się dzieje. Sam?

- To tylko ETAP, Hunter.

- Czy anioły mnie znajdą, żeby mnie zaprowadzić do nieba?

Sam nie odpowiedział. Dekka odezwała się pierwsza:

- Czy pamiętasz jakąś modlitwę, Hunter?

Istota przypominająca insekta niemal całkowicie wylazła z ramienia Huntera. Wyglądała jak gigantyczna mrówka albo pszczoła, była jednak metaliczno-srebrna i mosiężna, a do tego pokryta szlamem. Wyglądała jak kurczak wykluwający się ze skorupki. Rodziła się. A kiedy się rodziła, karmiła się zdrętwiałym ciałem Huntera. Dziwny ruch pod koszulką chłopaka zwiastował pojawienie się kolejnych larw.

- Pamiętasz Teraz kładę się do snu? - spytała Dekka.

- Teraz kładę się do snu - powiedział Hunter - Bóg mą duszę trzyma tu.

Sam uniósł ramiona.

- Gdybym umrzeć miał...

Bliźniacze promienie światła uderzyły w pierś i twarz Huntera. Jego koszulka zaczęła się palić. Ciało topiło się. Umarł, nim zdążył cokolwiek poczuć. Sam przesuwiał wiązki światła wzdłuż ciała Huntera. Smród był nie do wytrzymania. Jack chciał odwrócić wzrok, ale czy mógł? Kiedy Sam wyłączył światło, zapadła ciemność. Sam opuścił dłonie. Stali pośród mroku. Jack oddychał przez usta, starając się nie wdychać swądu spalonego ciała. Potem usłyszeli dźwięk. Wiele dźwięków. Sam uniósł dłonie, z których wystrzeliło blade światło. Hunter zniknął. To, co kryło się w jego ciele, trwało niezmiennie.

Pukanie do drzwi było niemal bezgłośnie. Diana ledwo je usłyszała. Odetchnęła nerwowo. Przyszedł. Podejrzewała, że to robi.

- Kto tam? - spytała.

- Sam - odparł Caine.

Diana otworzyła drzwi. Opierał się o futrynę. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Ale zabawne - powiedziała Diana.

Caine wszedł do pokoju.

- Zamknij drzwi na klucz - zarządził. - Robalu, jeśli jesteś tutaj, dorwę cię i zabiję. Liczę do dziesięciu.

Diana i Caine spojrzeli na drzwi. Nie otworzyły się.

- Chyba go tu nie ma - powiedziała Diana. - Zazwyczaj potrafię go wyczuć.

Utrzymywali dziwny dystans. Niczym obcy. Diana zauważyła, że Caine wykąpał się i rozczesał włosy. Zazwyczaj był na tyle wypielegnowany, na ile się dało, teraz jednak jego wysiłek można było dostrzec wyraźnie. Diana postanowiła się nie stroić. Miała na sobie dżinsy i bluzę. Była bosa. Nie umalowała się.

- Chciałabyś, żebym był Samem - powiedział Caine. - Nie jestem nim. Jestem sobą.

- Nie chcę, żebyś był Samem - powiedziała Diana.

- Nie chcesz, żebym był sobą.

Diana obserwowała go. Był przystojny. Okrutny. Inteligentny.

- Jest cię więcej niż jeden, Caine - powiedziała Diana. Zamrugął.

- Co to znaczy?

- Nie jesteś Drakiem.

Caine machnął dłonią i skrzywił się z obrzydzeniem.

- Drake jest psychopatą. Ja robię tylko to, co muszę. Nie cieszy mnie to. On jest szaleńcem. Ja jestem... - Przez chwilę szukał właściwego słowa - ...ambitny.

Diana roześmiała się. Nie złośliwie, raczej ze zdziwieniem.

- No co? Przecież jestem ambitny! - powiedział Caine.

- Nie, to nie to - zaprzeczyła Diana. - Jesteś żądny władzy. Dominujący. Jesteś tyranem.

- Nie lubię słuchać rozkazów - powiedział Caine. Diana uśmiechnęła się.

- Fakt, nie lubisz.

Oboje zamilkli. Diana patrzyła na niego. On gapił się na podłogę.

- Ale słuchałeś rozkazów. Rozkazów Ciemności, Caine.

Chłopak rzucił jej wściekłe spojrzenie. Odwrócił się i szybko podszedł do drzwi. Zatrzymał się, nim dotknął klamki.

- W Perdido Beach nie ma elektryczności, bo posłuchałeś jej rozkazów.

- A kto zakopał to coś w kopalnym szybie? - spytał Caine chropawym głosem. -Ty.

- Tak - odparł Caine. - A w międzyczasie uratowałem Sama.

- Tak. A niedługo później staliśmy się kanibalami.

- Teraz mamy jedzenie. Mnóstwo jedzenia.

Podszedł do Diany, wyciągnął ręce, żeby ją dotknąć, ale tym razem odsunęła się. Stała przy oknie. Fałszywy księżyc zachodził. Jego srebrzyste światło otaczało wzgórza.

- To mnie przerosło - powiedziała Diana, jakby do siebie. - Byłam w stanie zaakceptować prawie wszystko. Przemoc. Bitwy. To, co zrobiliśmy Andrew, i to, co ty zrobiłeś Chunkowi. I całą resztę. Ale to pozostawiło we mnie ranę, rozumiesz?

Caine nie odpowiedział.

- W środku. W moim sercu. W mojej duszy. - Roześmiała się sama z siebie. - W duszy Diany Ladris.

- To było nie halo - przyznał Caine.

- Serio? - spytała Diana z typową dla siebie ironią. - Jedzenie ludzkiego mięsa to było „nie halo”?

- Nie mieliśmy...

- Och, zamknij się! - powiedziała Diana. Odwróciła się od okna. Do jej oczu napłynęły łzy, a nie chciała, żeby je zobaczył. By zobaczył jej słabość.

Ale zobaczył. Jego zaskoczenie ją rozbawiło.

- Przez całe życie byłam twarda - powiedziała Diana - I podobało mi się to. Ludzie mówili, że Diana jest suką. Radziłam sobie z tym, bo w zasadzie była to prawda. Teraz spojrzą na mnie i powiedzą: „Diana jest kanibalem? Jak ona może z tym żyć?” - nagle zaczęła krzyczeć.

- Kim ty się martwisz? Penny? Robalem?

- A co będzie, kiedy się stąd wydostaniemy? Martwię się ludźmi! - Zawahała się. - I Bogiem - zniżyła głos do szeptu. - I moimi dziećmi. Kiedyś.

- Dzieci? - Zaskoczony i skonsternowany wzrok Caine'a rozśmieszył Dianę.

- Tak. Kiedyś. To mogłoby się zdarzyć. Naprawdę: kiedyś mogłabym mieć dziecko. Może nawet więcej niż jedno.

- Mmmm... - westchnął Caine, wykonując dziwny gest rękami. Próbował coś powiedzieć, ale nie udało mu się.

- Kochasz mnie? - spytała Diana.

Caine otworzył szeroko oczy. Zobaczyła, jak całe jego ciało drga. Był niczym przestraszone zwierzę. Jak zając, który właśnie zobaczył lisa.

- Możesz odpowiedzieć „tak” albo „nie” - powiedziała Diana z goryczą. - Ale jestem też w stanie zaakceptować gest albo niepewne parsknięcie.

- Ja... ja nie wiem, co masz na myśli - brzmiała głupia odpowiedź Caine'a.

- Kiedy skoczyłam z klifu, uratowałeś mnie, chociaż oznaczało to, że Sanjit i reszta uciekną.

- Nie dałaś mi wyboru - warknął Caine ze złością.

- Miałaś wybór. Chciałeś ich zniszczyć.

- Okej.

- Dlaczego dokonałeś takiego wyboru?

Caine przełknął ślinę. Dłonie najwyraźniej mu się pocily, bo wycierał je o biodra. Diana podeszła do drzwi. Otworzyła je szeroko.

- Idź stąd - powiedziała. - Wrócisz, kiedy będziesz już wiedział, co odpowiedzieć.

- Ale...

- Nie. To się nie uda. Nie dzisiaj.

Caine uciekł na korytarz.

Diana rozebrała się i schowała pod prześcieradłami. Uderzała dłońmi w poduszki, póki nie zaczęły wylatywać z nich pióra.

ROZDZIAŁ 11

50 GODZIN, 21 MINUT

- Edilio, obudź się!

Edilio zamrugał. Przetarł oczy. Zobaczył stojącą nad łóżkiem Briannę.

- Co? - wymamrotał.

- Albert kazał mi cię wezwać - powiedziała Brianna.

Brianna zawsze wyglądała na zdeterminowaną i twardą, nawet wtedy gdy po prostu siedziała. Teraz jednak była uzbrojona i gotowa do walki. Miała ze sobą mały plecaczek, przerobiony na coś w rodzaju kabury. Wycięła w jego dnie dziurę, z której wystawała lufa obrzyna. Kolbę umieściła tak, żeby łatwo było sięgnąć po nią przez ramię. W przytroczonej do pasa pochwie zdobionej w militarne wzory miała długi nóż. Pochwę przywiązała sobie do nogi, żeby nie trzepotała podczas biegu. Dwanaście czerwonych, plastikowych pocisków spoczywało wygodnie w kieszonkach pasa. Pobudka w środku nocy nie wróżyła niczego dobrego. A jeśli robiła ją uzbrojona od stóp do głów Brianna, musiało już być naprawdę źle. Bardzo źle.

- Co się stało?

- Drake - powiedziała Brianna. Potem uśmiechnęła się. Taka właśnie była.

Edilio wstał.

- Okej. Zawiadomiłaś Sama?

- Nie mogę go znaleźć - odparła Brianna.

Edilio poczuł nieodpartą ochotę, żeby pójść z powrotem spać. Drake na wolności? Sama nie ma?

- Gdzie jest Albert?

- Powiedział, że spotka się z tobą w ratuszu. - Zbiera tam pozostałych. Całą Radę - ostatnie słowo Brianna powiedziała z szyderczym uśmiechem.

Edilio pogroził jej palcem.

- Nie pójdziesz sama szukać Drake'a.

- Nie? A kto jeszcze się do tego nadaje?

Edilio nie umiał na to odpowiedzieć.

- Znajdź Dekkę. I Astrid. Nawet jeśli będziesz musiała ją przyciągnąć za włosy do ratusza.

Briannę ucieszyła ta perspektywa i to aż za bardzo. Obróciła się, zawirowała i zniknęła. Edilio ubrał się szybko, wziął swoją broń i pobiegł do ratusza w nadziei, że nie napotka po drodze Drake'a. Potrafiłby walczyć, gdyby było trzeba, ale bardzo trudno wygrać z kimś, kogo nie da się zabić. Dotarł do ratusza jako pierwszy. Po nim pojawił się Albert, jak zawsze ubrany w nieskazitelny strój biznesmena. Potem Howard, wyglądający na kompletnie zszokowanego.

- Nie mogę go znaleźć! Nie mogę go znaleźć! - jęczał. - Myślę, że spadł przez podłogę, wiecie, jaki jest Orc. Potem Drake wybiegł, a Orc... Orc pewnie jest pijany.

- Najprawdopodobniej - warknął Edilio. - Skoro robisz wszystko, żeby nigdy był trzeźwy.

- To nie nasza wina, że zostaliśmy strażnikami w więzieniu dla zombie - odparował Howard.

- Gdzie byłeś, kiedy więzienie się rozpadło? - Spytał Edilio oskarżająco.

- Byłem... musiałem się z kimś zobaczyć.

I zanieść mu parę butelek alkoholu. Edilio dobrze o tym wiedział. Kiedy alkohol się skończy? Skończyło się już wszystko inne.

- Widziałeś Sama? Brianna nie może go znaleźć.

Albert westchnął.

- Jest poza miastem.

Edilio poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Gdzie?

W tym momencie weszła Astrid, strasznie wściekła.

- Nie jestem już w Radzie. Nie macie prawa...

- Zamknij się, Astrid - uciszył ją Edilio.

Astrid, Albert i Howard spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Edilio był dokładnie tak samo zaskoczony jak oni. Zastanawiał się, czy nie przeprosić. Nigdy wcześniej nie mówił do Astrid w ten sposób. Nigdy nie mówił w ten sposób do nikogo. Tak naprawdę bardzo się bał. Sama nie było w mieście? A Drake jest na wolności?

- Skąd wiesz, że Sam jest poza miastem?

- Wysłałem go - odparł Albert. - Jego i Dekkę. I Taylor, i jeszcze Jacka. Szukają wody.

- Co robią?

- Szukają wody.

Edilio zerknął na Astrid. Patrzyła w ziemię. Zatem ona też wiedziała. Przełknął ślinę. Oddychał z trudem. A jednocześnie z trudem powstrzymywał się przed nakrzyknięciem na Alberta i Astrid. Oboje byli tacy przemądrzali, tacy zarozumiali. A teraz mówili mu coś takiego.

- Orc pewnie ruszył za Drakiem - powiedział Howard. - Nie wiem, czy jest w stanie go pokonać. O rany...

Edilio miał nadzieję, że Orc naprawdę ruszył w pogoń za Drakiem. Miał wielką nadzieję, bo w przeciwnym razie po mieście koczowały dwa potwory, a nie jeden. Zazwyczaj, kiedy Orc się upijał, po prostu siedział. Czasami jednak ogarniała go wściekłość, a wtedy robiło się nieciekawie.

Edilio zerknął w stronę drzwi - jeden z tamtych mógł przecież przez nie wbiec w każdej chwili. U boku miał pistolet. Nie wiedział, czy się do czegoś nada.

- Brianna poszła szukać Drake'a - zastanawiał się głośno Edilio.

- Wysłałeś ją po niego? - spytał Albert.

- Wysłałem? A od kiedy to ktoś wysyła Briannę dokądkolwiek? Sama poszła. Poza tym przez ciebie nie ma tu nikogo innego.

Albert zachował na tyle godności, by nic nie odpowiedzieć.

- Pamiętaj, że to wy mnie wybraliście. Nie prosiłem o władzę. Nie chciałem rządzić. Sam rządził, a wy go tylko dołowaliście - powiedział Edilio. - Zwłaszcza wy dwoje - wskazał na Astrid i Alberta. - Więc okej, Astrid przejęła stery. I wtedy zrozumiała, że to wcale nie jest takie łatwe. No to pomyśleliście, że dacie robotę głupiemu Latynosowi.

- Nikt nigdy... - zaprotestowała Astrid.

- A ja, jak idiota, pomyślałem: „Okej, to musi oznaczać, że ludzie mi ufają. Poprosili, żebym dowodził”. Ale okazuje się, że to nie ja podejmuję decyzje. Decyzje podejmuje Albert. Dochodzi do wniosku, że potrzebujemy więcej wody i wysyła dwóch najlepszych wojowników gdzieś w pole. Teraz ja mam to wszystko naprawić? To tak, jakbyście powiedzieli: „Ruszamy na wojnę”, a wcześniej wysłali armię na poszukiwanie dzikich gęsi.

- Mamy mniej wody, niż ci się wydaje - powiedział Albert.

- Czy ty w ogóle siebie słyszysz?! - eksplodował Edilio

- Dlaczego ja nie wiem, ile mamy wody? Bo to ty za to odpowiadasz, ale nic mi nie mówisz. Nie mówisz mi, co się dzieje, a potem wysyłasz Sama na miły spacer. Wiesz co, Albert, skoro tak bardzo chcesz być ważny, chcesz być Donaldem Trumpem Perdido Beach, to czemu po prostu nie dołączysz do Drake'a? Dlaczego przychodzisz do mnie?

Już zaczął fantazjować na temat użycia swojego pistoletu, kiedy nagle w drzwiach pojawiła się Taylor. Wszyscy aż podskoczyli z wrażenia.

- Jezu, moglibyście przestać?! - wrzasnął Howard.

- Zaraz dostanę zawału!

- Hunter nie żyje - powiedziała Taylor bez zbędnych wstępów. - To przez te... przez te rzeczy. Wychodziły z niego i zjadały go. O Boże, to było jak... Płakał, a Dekka modliła się z nim, a on próbował spalić swój mózg, tak jak to zrobił z Harrym, tylko to nie zadziałało, bo chyba nie mógł sam sobie tego zrobić, więc Sam... - Przełknęła ślinę. - Macie jakąś wodę?

- Co z Samem? - spytała Astrid.

- Zrobił to za niego. Sam. To znaczy, on... Hunter był, no wiecie... więc Sam... - Uniosła rękę, tak jak zrobił to Sam, tak jak zwykle to robił, kiedy chciał użyć mocy.

Astrid zamknęła oczy i przeżegnała się.

- Spoczywaj w pokoju - powiedział Edilio i również się przeżegnał.

- Sam spalił chłopaka? - spytał Howard. Potem dodał z sarkazmem: - Tak, wszyscy módlcie się do Jezusa. W końcu tak nam pomaga. Zdaje się, że Sam jako jedyny robi to, co należy.

- Słuchajcie, muszę się napić wody - poprosiła Taylor. Usiadła na podłodze, oparła się plecami o ścianę i rozpłakała.

Edilio otworzył szufladę pokaźnego biurka. Miał w niej butelkę, w której została tylko odrobina wody. Po chwili wahania podał ją Astrid, a ta dała ją Taylor. Taylor wypijała do dna.

- To nie wszystko. Sam wysłał mnie tu z wiadomością. Powiedział: „Przekaż Edilioni, że nie udało mi się zabić robaków”.

- Tego czegoś, co zjadało Huntera?

Taylor zamknęła oczy. Łzy pociekły jej po policzkach.

- Tak. Tego, co zjadało Huntera. Sam wycelował w nie swoim światłem. Ale one je odbijają czy coś takiego. W każdym razie nie mógł ich zabić.

- Sam potrafi spalić ceglana ścianę! - powiedział Howard. - Co to może być, skoro on nie jest w stanie tego zabić? - rzekł, po czym sam odpowiedział na swoje pytanie: - Coś wyjątkowo ohydne.

- Taylor, wróć do Sama i powiedz mu, żeby przyszedł do miasta - powiedział Albert.

- Nie chcę tam wracać! - zawołała Taylor.

- Hej! - powiedział Edilio, unosząc dłonie. - Albert, ty o tym nie decydujesz. Nie wydajesz rozkazów. Ja tu rządzę. Stoi tu czworo członków Rady: ty, ja, Ellen i Howard.

Albert spojrzał na niego tak, jakby zamierzał się kłócić, w tym momencie jednak wtrąciła się Astrid:

- Taylor, co Sam zamierza teraz zrobić?

- Mówił, że wybiera się do jaskini, w której mieszkają latające węże. Hunter powiedział, że tam są. To dlatego nie chcę tam wracać. Nie widzieliście, co z niego wychodziło, co zjadało go żywcem.

Nagle Albert zatrzęsł się, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

- Na śmierć zapomniałem. Byłem zajęty.

- W jego oczach pojawił się strach. - Roscoe. Roscoe został ugryziony przez jedną z tych rzeczy. Powiedział mi o tym. Nie sądziłem... - Spojrzał na Astrid. - Roscoe powiedział że coś wyrzało zaa koszuli Huntera i ugryzło go, kiedy odbierał zwierzęta. Po prostu zapomniałem. Z zewnątrz dobiegł rozpaczliwy, udręczony ryk. Potem dźwięk tłuczonego szkła.

- Orc - stwierdził Howard.

- Poszukaj go, pogadaj z nim - powiedział Edilio, ale Howard już wybiegł z sali.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Usłyszeli kolejne rąbnięcie, tym razem w metal. Edilio wykorzystał ten moment, żeby się zastanowić. Pijany, miotający się w szale Orc. Niby nie był to pierwszy raz, ale takie jego zachowanie nie zwiastowało niczego dobrego. Ostatnio Orc

chętnie pomagał. Jeśli znowu stanowił zagrożenie, była to fatalna wiadomość. Choć pewnie to tylko chwilowy kryzys, a Howardowi uda się opanować sytuację.

Sprawa z Roscoe wyglądała jednak kiepsko. Bardzo kiepsko. Edilio wiedział, co powinien zrobić. I nie podobało mu się to.

Jeśli zaś chodzi o Drake'a, cóż, on był prawdziwym problemem. On i brak wody.

Edilio miał paru pomocników. Kilku żołnierzy, spośród których jedni byli niezli, a inni całkiem do niczego. No i miał Briannę. Czy Brianna poradziłaby sobie z Drakiem?

- Co zrobi Drake? - spytał Edilio.

- On nie jest tylko sobą - powiedziała Astrid. - Pamiętaj, jest też Brittney. To mu utrudnia sprawę. Jeśli wymyśli jakiś plan, ona może go zepsuć, kiedy weźmie górę. Jeśli będzie chciał na kogoś napaść, będzie się martwił, że ona w każdej chwili może przejąć stery.

Tak - powiedział Albert z zadowoleniem. - To prawda. To nie tylko Drake, to Drake - ukośnik - Brittney.

- Gdybyśmy trafili na Brittney, moglibyśmy ją związać i uwięzić - zaproponował Edilio. - Tak, jeśli Brianna go powinna go obserwować i dać nam znać, kiedy pojawi się Brittney.

- To jest jakiś plan - Albert westchnął z ulgą. - Nie musimy więc kazać Samowi wracać.

Edilio pokiwał głową.

- Na razie. Ale, Taylor, wciąż potrzebujemy...

Jednak Taylor już z nimi nie było.

ROZDZIAŁ 12

48 GODZIN, 54 MINUTY

Ach, jak cudownie było znów znaleźć się na wolności. Znów oddychać świeżym powietrzem. Drake trzymał się blisko cieni spalonych domów, więc powietrze pachniało popiołem, węglem i plastikiem. Było to jednak znacznie lepsze niż woń pleśni i kurzu w piwnicy. Drake miał w głowie listę. Sam. Caine. Dekka. Brianna. Oni mieli umrzeć pierwsi. Tak szybko, jak tylko uda mu się ich zabić. W elektrowni popełnił błąd. Zbyt długo upajał się biczowaniem Sama. Nawet teraz, na samo wspomnienie, przebiegał go dreszcz rozkoszy. Katowanie Sama zajęło mu jednak zbyt wiele czasu. Wtedy pojawiła się Brianna. Tym razem będzie inaczej. Tym razem zamierzał zacząć od zabicia go. Potem chciał znaleźć Caine'a. Tak to już było z potężnymi mutantami. Trzeba załatwiać ich szybko. Zaatakować z zaskoczenia. Sam. Caine. Dekka. Brianna. A także Orc i Taylor. A potem, kiedy ich już nie będzie, spokojnie zajmie się Astrid. A później Dianą. Drake roześmiał się głośno.

- Co cię tak bawi? - spytał Jamal.

- Jestem świętym Mikołajem. Przygotowuję listę i sprawdzam, czy nic mi nie umknie.

Jamal stał kilka kroków za nim. W zdrowej ręce trzymał wielki automatyczny karabin. Drugie ramię wisi na zaimprovizowanym temblaku. Był kompletnie przerażony. Wciąż czuł palący ból w miejscach, w które uderzył bicz Drake'a. Ten ból miał mu towarzyszyć jeszcze przez długi czas.

- Gdzie jest Sam? - spytał Drake.

- Albert wysłał go na poszukiwanie czegoś gdzieś do lasu. Gdzieś tam - wskazał ręką przed siebie. - Nie powinienem tego wiedzieć, ale coś usłyszałem.

Drakę zwrócił się do Jamala.

- Co? Nie ma tu Sama? - Wiele przegapił, kiedy siedział zamknięty w piwnicy niczym zwierzę.

- Myślę, że wróci za parę dni.

Drake zaklął.

- No to gdzie jest Caine?

- Siedzi na jakiejś wyspie. Tam, gdzie kiedyś mieszkali ci bogacze.

Coraz gorzej. Albo i nie... coraz lepiej.

Drake uśmiechnął się. W okolicy nie było nikogo o wielkiej mocy. Zmiana planów.

- Dekka?

Jamal wzruszył ramionami.

- Nie wiem, stary, nie łażę po mieście za tą straszną lesbą.

- Zaraz, zaraz - powiedział Drakę prześmiewczo. - Nie powinniśmy skreślać ludzi za to, kim są.

- Chwyć w dłoń głowę Jamala i ścisnąj ją. - Zabiję ją, ale nie dlatego, że jest, jaka jest.

Zamorduję ją, bo musi zostać zamordowana. Pasuje ci, Jamal?

Ciało Jamala było napięte i sztywne jak kij. Chłopak zacharczał przytakująco.

- Nie masz nic przeciwko morderstwu? - nalegał Drake, zbliżając swoją twarz do twarzy Jamala. - Chcę to usłyszeć od ciebie.

Patrzył, jak oczy Jamala spowija zasłona.

- Nie. Nie mam nic przeciwko. Drake.

- No to chodźmy zabić parę osób - powiedział radośnie Drake, puszczając twarz Jamala. Przeszedł kilka kroków i zatrzymał się.

- No nie, nie teraz - warknął. Zaklął donośnie, ale jego ciało zaczęło już się zmieniać. Na jego zębach pojawił się metalowy aparat. Jego chude ciało flaczało. - Nadchodzi Brittney - powiedział. - Ale ja wrócę, Jamal. Nie zapo...

Sam, Dekka i Jack zatrzymali się o pół mili od obozowiska Huntera, żeby coś zjeść. Posiłek składał się z gotowanej ryby, która niestety nie pachniała zbyt świeżo, gotowanych karczochów i suszonego, gołębiego mięsa.

Zamierzali położyć się potem spać, ale nikt się do tego nie palił, strach był zbyt silny. Sen przyniósłby jedynie koszmary. A Sam nie chciał już nigdy zobaczyć Huntera.

W ciemności szli bardzo powoli, ale wszyscy chcieli jak najbardziej oddalić się od tamtego miejsca i doprowadzić misję do końca. Dobry humor zniknął. W otaczających ciemnościach pochwyciły ich lęk i odraza.

Jack szedł daleko z tyłu, kiedy Sam i Dekka zaczęli rozmawiać. Zabijali czas podczas wolnego marszu przez sięgające im do pasa krzewy. Rozmawiali o wszystkim, poza żalonymi jękami Huntera. Zaczęło się od tego, że Sam przyznał, iż przystawiał się do Taylor, zaznaczając jednak, że był wtedy bardzo pijany. Potem przeszedł do swojego związku z Astrid, ale nie chciał o nim zbyt dużo mówić. Każda myśl o Astrid wiązała się z bólem i samotnością. To, co zrobił Hunterowi, co stało się z Hunterem, wypełniło go silną tęsknotą do Astrid. Przeszli razem tak wiele. Ile już razy przytulał ją, zapewniając, że wszystko będzie w porządku? Ile już razy obejmowała go i całowała, kiedy widziała, że on pogrąża się w depresji? Od samego początku, od pierwszego dnia wspierali się wzajemnie.

To prawda, kłócili się. Oboje mieli silne charaktery i kłócili się zarówno o sprawy ważne, jak i o błahostki. Kłótnie jednak zawsze do czegoś prowadziły, konflikty znajdowały rozwiązanie.

Teraz jednak powstał między nimi chłodny dystans. Coś w Astrid pękło po śmierci Mary. Tamten dzień coś w niej zabił i teraz zachowywała się tak, jakby już nie miała siły walczyć.

Sam mówił o tym Dekce, wiedziony potrzebą i samotnością. Czuł się z tym jednak źle, tak jakby zdradzał Astrid, choć tylko rozmawiał o niej.

A prawda była taka, że konflikt między nim a Astrid nie zaczął się od czegoś fundamentalnego; chodziło po prostu o seks. Sam nie był w stanie o tym mówić, nie wychodząc na kompletnego dupka. Zmienił więc temat, a to doprowadziło do rozmowy o Briannie. I tak po chwili Sam został uwieczony w równie nieprzyjemnej dyskusji jak ta o Astrid.

- Wiem, że masz dobre intencje - powiedziała Dekka.

- Najgorzej będzie, jak Brianna powie: „Nieprawda, nie jestem lesbijką.” - Spojrzał w stronę Jacka, żeby upewnić się, że nie podsłuchuje.

Dekka westchnęła.

- Nic nie rozumiesz, Sam. Myślisz, że chodzi tylko o szczerość. Ale widzisz, ja mam teraz taką małą iskierkę nadziei. Ja po prostu... Ona nie może spojrzeć na mnie i roześmiać mi się w twarz. Nie może zrobić pełnej obrzydzenia miny. Bo wtedy nic mi nie zostanie.

To była najdłuższa przemowa Dekki, jaką Sam kiedykolwiek słyszał.

- Tak - odparł. - Rozumiem - żałował, że w otworzył usta.

Z krzaków dobiegł jakiś dźwięk.

- Czy to ty, Jack? - zawołał głośno Sam.

- Jestem tutaj - odparł Jack z zupełnie innej strony - Sikam.

Sam zatrzymał się. Gestem pokazał Dekce, że powinna zasłonić oczy. Potem rozpałił słońeczko Sammy'ego. Krzewy rozjarzyły się w zielonkawym, upiornym świetle. Stojący w pobliżu kojot wzdrygnął się, widząc świetlną kulę, nie uciekł jednak. Obnażył zęby, gotując się do skoku.

Dekka była szybsza od Sama. Kojot znalazł się nagle kilka metrów nad ziemią, niezdolny do ruchu.

Wyliniały, brudnożółty zwierzak wyglądał dziwnie, wijąc się wysoko w powietrzu i ujadając. Po chwili jednak osłabł.

- Dlaczego nas atakujesz? - spytał Sam. - Czy Przywódca Stada wie, że próbujesz zabijać ludzi?
- Ja Przywódca Stada - powiedział kojot zduszonym, dziwnym głosem.

Sam podszedł bliżej. Nie tylko świat ludzi został w ETAP-ie pozbawiony porządku i prawa. To samo stało się z kojotami, które służyły gaiaphage. U niektórych z nich wyewoluowały krótkie języki i spłaszczone pyski, pozwalające im na wydawanie z siebie rwanej mowy.

- Spójrz - powiedział Jack. Zbliżał się, wyciągając przed siebie ramię. - On też je ma.

Sam ostrożnie okrążył Przywódcę Stada, żeby obejrzeć zwierzę z drugiej strony. Z matowego futra wystawały dwie czy trzy szczęki insektów.

- Przyszedłem myśliwy mnie zabić - powiedział Przywódca Stada.

Sam był pewien, że nie jest to pierwszy Przywódca, bo tamtego zabiła Lana. Czy to był jednak nowy nosiciel tego miana czy jakiś inny kojot, tego Sam nic wiedział. Potrafił mówić trochę lepiej niż tamten.

- Hunter nie żyje - powiedział Sam.

- Ty zabić.

- Tak.

- Zabij mnie, Jasne Dłonie.

Sam nie miał dla kojota współczucia. Kojoty brały udział w masakrze na placu. Na cmentarzu spoczywały ciała tak poszarpane przez ich zęby, że nie dało się ich rozpoznać.

- Czy to wina latających węży? - spytał Sam, wskazując obrzydliwe pasożyty.

- Tak.

- Gdzie one są?

Przywódca Stada warknął jak najzwyczajniejszy kojot.

- Nie ma słów.

- No to pokaż nam - poprosił Sam. - Zabierz nas do nich.

- Wtedy mnie spalisz?

- Wtedy cię spalę.

Na początku Brittney była zdezorientowana. Zastanawiała się, czy śni. Czy tylko śni o świeżym, chłodnym powietrzu i błękitnym niebie. Ale nie, nie była już w piwnicy. Drake uciekł! Musiała coś zrobić. Ostrzec kogoś. Nawet gdyby to oznaczało, że znów zamkną ją w piwnicy. Drake na wolności z pewnością zamierzał zrobić coś złego. Ale dać się znowu uwięzić... Pomyślała, że może przecież choć przez chwilę pocieszyć się wolnością. Choć przez chwilę...

Nagle zdała sobie sprawę, że nie jest sama.

- Kim jesteś?

- Jamal. Pracuję... tak jakby... pracuję dla Alberta. Jestem jego ochroniarzem.

Chłopak stał sztywno wyprostowany, zbyt mocno ściskając dłoń strzelbę. Drugie ramię było poranione.

- Dlaczego tu jesteś, Jamal? Przyszedłeś złapać Drake'a? - Zauważyła, że do pasa chłopaka przywiązany jest kilkumetrowy sznur. - Nie sądzę, by udało ci się go związać. Jest bardzo niebezpieczny.

- Wiem o tym - powiedział Jamal. Szarpnął linę. Brittney nagle zrozumiała, dlaczego Jamal był przy niej.

Rzuciła się do ucieczki. Jamal pobiegł za nią.

- Nie uciekaj, bo będę musiał cię zabić! - zawołał. Był od niej szybszy. Wszyscy byli szybsi od Brittney.

On musiał jednak podtrzymywać swoją poranioną rękę, , sznur i przewieszony przez ramię pistolet. Brittney musiała , tylko biec.

Wpadła na główny plac miasta. Nie wiedziała, co tam robi, nie wiedziała, czego szuka. Bezwiednie wbiegła jednak na kamienne schody prowadzące do zrujnowanego kościoła.

Na schodach Jamal chwycił ją za włosy, pociągnął do tyłu i przewrócił. Wylądowała ciężko na ostrych granitowych krawędziach.

Brittney nie czuła już jednak prawdziwego bólu. Ból pozostał daleko za nią.

Jamal próbował usiąść na niej okrakiem, ale potknął się o linę i dziewczyna odepchnęła go.

- Przestań! - zawołał Jamal.

Brittney sturlała się z kilku stopni, zerwała na nogi i rzuciła prosto na Jamala. Odepchnęła go na bok, a następnie minęła.

Dach kościoła runął dawno temu, jednak droga do środka została odgruzowana. Krzyż ustawiono na miejscu; był nieco przekrzywiony, ale wciąż srebrzył się w ciemności.

Biegając ku niemu, Brittney potknęła się o gruz i uderzyła o ławę.

Jamal znalazł się przy niej w ciągu sekundy, przeklinając, próbując odsunąć od siebie jej pięści, złapać ją i owinąć jej ciało sznurem.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczała Brittney.

Jamal uderzył ją w bok głowy.

Brittney zamrugała, po czym odwzajemniła cios. Kopała i wymachiwała rękami, próbując uderzać na tyle celnie, na ile była w stanie, na wpół uwięziona przez ławkę. A Jamal wciąż gwałtownie atakował. Ból jednak nadal mu doskwierał. Chłopak wycofał się więc nagle. W jego oczach pojawiła się dzikość, z czoła skapywał pot. Uniósł strzelbę.

- Nie chcę do ciebie strzelać! - zawołał.

- I tak nie możesz mnie zabić - odparła Brittney, wstając z trudem.

- Wiem. Drake mówił mi, że to powiesz. Mogę jednak wysadzić w powietrze twoją twarz, a wtedy nie wyzdrowiejesz od razu. Tak mi powiedział. Żebym strzelił ci prosto w twarz, a potem cię związał.

- Chciałabym, żebyś mógł mnie zabić - powiedziała Brittney, po czym zawołała głośno, jakby wzywając niebiosa: - Jezu, jestem w Twoim domu! Tutaj, w domu Bożym, błagam cię o śmierć!

- Pozwól mi się spętać - błagał Jamal. - Jeśli tego nie zrobię, wychłoczce mnie! - łzy spływały mu po policzkach i Brittney zrobiło się go żal. Oboje byli związani z Drake'iem i żadne z nich nie mogło od niego uciec.

Jamal wycelował do niej z pistoletu.

- Nie rób tego - poprosiła Brittney. - Musimy walczyć z Drake'iem, musimy iść po pomoc. Sam. On musi spalić Drake'a na proch i rozsypać go na dnie oceanu.

- Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił - błagał Jamal.

Brittney wrzasnęła:

- Pomocy! Niech ktoś...

Orc biegł tak długo, aż ogarnęło go zmęczenie. Nastąpiło to szybko. Był pijany i odwodniony. Słabszy, niż być powinien. Łatwo się męczył. Desperacja pchała go jednak naprzód. Potykał się, płakał i wrzeszczał wściekle w ciemności.

- Nigdy nie chciałem być żadnym strażnikiem - wrzasnął w stronę zamkniętych, opuszczonych domów. - Słyszycie? Nie prosiłem się o tę robotę!

Stanął, kiwając się i zaciskając wielkie pięści z kamiennymi palcami.

- Nikt nie chce ze mną gadać, co?

Uderzył ramieniem w dach samochodu. Okno po stronie kierowcy zostało kiedyś rozbite, tak żeby można było otworzyć drzwi i przeszukać auto. Bagażnik też był otwarty i aż podskoczył od uderzenia.

- Potrzebuję następnej butelki - mruknął. A potem zaczął głośno wrzeszczeć w stronę ciemnych okien i zamkniętych drzwi. - Chcę flaszkę! Niech ktoś mi ją da, to nikogo nie skrzywdzę.

Żadnej odpowiedzi. Na ulicach panowała cisza.

Znów zaczął płakać, następnie ze złością wycierał łzy. Przebiegł kolejną przecnicę, po czym zatrzymał się, dysząc ciężko i ledwie trzymając się na nogach.

Wtedy zauważył chłopca. Dzieciaka. Ośmio- albo dziewięciolatka, trudno powiedzieć. Chłopiec szedł pochylony, trzymając się brzuch. Co kilka kroków zatrzymywał się, kaszłał i wył z bólu.

- Hej! - zawołał Orc. – Ty! Znajdź mi jakąś butelkę! - słowo „butelka” brzmiało jak „bulbulble”. Chory chłopiec zamrugał, jakby ledwo zauważając stojącego o kilka metrów od niego potwora. Chwytał się znaku drogowego, żeby się nie przewrócić.

- Hej, ty! Do ciebie mówię!

Chłopiec zamierzał coś odpowiedzieć, ale zaczął kaszleć. Kaszłał i wył, wreszcie usiadł na ziemi.

Orc podszedł do niego.

- Czy ty mnie ig... igno... ignorujesz?

Chłopiec pokręcił słabo głową. Wskazał ręką na swoje gardło, próbował coś powiedzieć, ale nie dawał rady.

- Nie chcę... - zaczął Orc, ale stracił wątek. - Po prostu przynieś mi bulbulble.

Dzieciak zakaszłał mu prosto w twarz. Orc pacnął go dłonią. Chłopiec uderzył w znak drogowy tak mocno, że rozległ się metaliczny dźwięk. Potem upadł na plecy.

Orc przyglądał mu się z głupawym wyrazem twarzy, czekając, aż tamten zacznie płakać. Dzieciak jednak nie ruszał się. Nie kaszłał.

Orc poczuł, jak przez jego żyły przepływa lodowata ciecz.

- Ja nie... - powiedział.

Rozejrzał się, czując nagły, obezwładniający wstyd. Nikt go nie widział. Próbował pochylić się i dotknąć chłopca palcem, ale krew uderzyła mu do głowy i omal nie zemdleł.

- No trudno - powiedział ponuro i ruszył w ciemność.

Tym razem szedł jednak w ciszy.

ROZDZIAŁ 13

48 GODZIN, 29 MINUT

Brianna odetchnęła głęboko chłodnym, nocnym powietrzem. Czy to była bryza? Cudownie: bryza dla Bryzy.

- Chodź, Drake-y, Drake-y! - nawoływała.

Stała pośrodku ulicy. Była bezpieczna, o ile tylko Drake nie znalazł pistoletu. Jego bicz był szybki, ale nie tak szybki jak Bryza. Nikt nie był aż tak szybki.

- Och, Dra-ake! - zawołała głośno. - Drake, chodź do mnie, no chodź.

Pobiegła wzdłuż Pacific Boulevard, skręciła w Brace, a potem w Golding.

Usłyszała pijackie wołanie Orka. Łatwo było go zlokalizować. Ale to nie Orc stanowił problem. A Drake'a nie było. Zatrzymała się na rogu. Mogła albo rozglądać się to tu, to tam, albo metodycznie badać każdą uliczkę. Metodyczność nie pasowała jednak do Brianny. Lepiej było go skusić, namówić, żeby się pokazał.

- Chodź, Drake-y, Drake-y!

Zrobiła najazd na dom Astrid. Nie było go tam. Skoczyła do remizy. Do szkoły. Do Clifftop, a potem wzdłuż plaży, wzburzając piasek za sobą.

Gdzie mógł pójść? Co robi?

Wtedy przyszła jej do głowy myśl: Brittney. Co Drake zamierzał zrobić z Brittney? Z tego, co Brianna wiedziała, Drake nie mógł zapobiec pojawianiu się Brittney.

Dokąd poszłaby Brittney, gdyby była wolna?

Brianna zwróciła wzrok w stronę ruin kościoła. W tym samym momencie usłyszała dobiegające z niego głosy.

Wbiegła po schodach i do wnętrza świątyni, a wtedy...

BUM!

Eksplozja, uderzenie żółtego światła. Oślepiło ją. Zatrzymała się tak szybko, jak mogła. To jednak nie wystarczyło. Uderzyła o ławkę i poleciała naprzód, nic nie widząc.

Każdy uderzyłby wtedy głową w marmurowy ołtarz, ale Brianna nie była każdym. Skuliła się, obróciła w locie i wylądowała na ołtarzu. Jak kot.

Ból spowodowany uderzeniem sprawił, że ledwo nabrała powietrza. Powstrzymała jednak okrzyk. Potem to zobaczyła. I wtedy krzyknęła. Pocisk trafił Brittney w twarz i szyję. Cała lewa strona jej twarzy zniknęła. Szyja była rozdarta. Powinna broczyć krwią. Chociaż jednak jej ciało było czerwone i surowe jak niedosmażony hamburger, żadna z tętnic nie krwawiła. A Brittney wciąż stała w miejscu.

Jamal wydał z siebie przerażony dźwięk torturowanego zwierzęcia. Wycelował strzelbę w pierś Brittney, jednak przez tę sekundę, jaką zajęło mu znalezienie spustu, Brianna zdążyła się na niego rzucić. Uderzyła w lufę i wyrwała mu ją z ręki; w tym momencie...

BUM!

Złapała Jamala za szyję, szarpnęła nim tak szybko, że w jego szyi coś trzasnęło. Uderzyła go sześć razy w niecałą sekundę. Jamal zgiął się, brocząc krwią z nosa i ust.

- Nie zabijaj mnie, to nie moja wina! - zapłakał, kuląc się, próbując osłonić zarówno broń, jak i własną twarz.

Brianna nie chciała patrzeć na Brittney, naprawdę bardzo tego nie chciała.

- Wszystko okej? - spytała przez ramię. Brittney nie odpowiedziała. Nic dziwnego, skoro jej usta były rozplątane i właściwie okalały głowę.

Brianna zmusiła się, by zerknąć w stronę Brittney jednak bicz sięgał już w jej stronę, odsuwając od niej broń Jamala. Brianna wyciągnęła nóż - wielki, podobny do kuchennego,

ale o wiele grubszy - i rzuciła się na Drake'a. Zatopiła nóż w jego piersi. Całe ostrze zniknęło w ciele, aż do rękojeści.

Drake roześmiał się:

- To będzie dobra zabawa.

Brianna spodziewała się, że wyceluje w nią lufę pistoletu, on jednak odrzucił broń. Potem swoją ludzką ręką powoli wyciągnął z brzucha nóż, jakby upajając się dotykiem stali. Brianna wpatrywała się w niego oszołomiona. Omal nie umknął jej nagły ruch bicia Drake'a, który przemknął za jej plecami. Omal. A jednak. Brianna ukucnęła, a bicz świsnął nad jej głową. Drake rzucił w Briannę jej własnym nożem, lecz chybił celu. Ostrze wbiło się w oparcie ławy. Brianna wyciągnęła z plecaka swój obrzyn, wycelowowała i wystrzeliła. Pocisk trafił Drake'a w usta. Jego uśmiech zamienił się w dziurę, przypominającą odpływ zlewu. Drake uniósł bicz, by dotknąć dziury. Wsadził jego końcówkę do zniszczonych ust. Różowoczerwony koniuszek wyłonił się z drugiej strony głowy i pomachał do Brianny. Drake wydał z siebie parsknięcie, które przypominałoby śmiech, gdyby miał jeszcze język, zęby i usta. Brianna cofnęła się o kilka kroków. Twarz Drake'a zdawała się topnieć i zmieniać kształt. W świetle gwiazd widziała podobne do białych pereł, pojedyncze zęby, które poruszały się niczym insekty, szukając miejsca w regenerujących się dziąsłach. Brianna dotknęła pasa w poszukiwaniu zwisającego zeń drutu. Tak naprawdę była to struna E ze znalezionej przez nią wiolonczeli. Owinęła jej końce wokół dwóch krótkich desek i tak powstała, długa na cztery stopy, garota.

- To właśnie zamierzałeś mi zrobić w elektrowni, pamiętasz, Drake? - Brianna patrzyła na język Drake'a, który wyrastał z dziury, będącej dawniej ustami. - Och, sorry, nie bardzo możesz gadać, co? - droczyła się. - Chodzi tylko o to, że niezależnie od tego, czy ja pobiegnę prosto na ciebie ze struną w dłoni z prędkością dwustu mil na godzinę, czy nią w ciebie rzucę, skończy się dokładnie tak samo.

Chwyciła garotę i znalazła się za plecami Drake'a, nim ten zdążył mrugnąć. Owinęła strunę wokół szyi potwora. Drut wbił się w ciało, a kiedy przeciął kark, Brianna poczuła mocne szarpnięcie, które wyrwało jej koniec garoty z dłoni. Głowa Drake'a odpadła. Mocno uderzyła o kamienną podłogę, poturlała się i zatrzymała. To nie wystarczy, pomyślała Brianna. Odwróciła się, otoczyła wolnym końcem struny talię Drake'a, chwyciła rękojeść i gwałtownie się cofnęła. Kabel przeciął wciąż utrzymujące się na nogach ciało Drake'a tuż pod żebrami lecz zatrzymał się na kręgosłupie. Brianna szarpnęła, ale kabel nie był w stanie przeciąć kręgosłupa. Szarpała i szarpała, widząc, jak ciało Drake'a obraca się wokół własnej osi; widziała wnętrzności, organy, pocięte, surowe, przypominające stek mięso, widziała to wszystko jak na rysunku w atlasie anatomicznym. I nagle jej szalone wysiłki, szarpnięcia, bicie powietrza pięściami, odniosło pożądany skutek i ciało Drake'a rozpadło się na dwie części z makabrycznym trzaskiem. Brianna słyszała krzyk Jamala. Zakrywał twarz dłonią, jego oczy jednak wpatrywały się w przerażającą scenę tak jakby już nigdy nie miały się zamknąć. Brianna też chciała wydać z siebie okrzyk. Nie strachu jednak, lecz czystego, złośliwego triumfu. Chciała tańczyć i rozsmarować na ciele krew pokonanego wroga. Chciała wskoczyć na poszarpane części ciała i kopać je z radością. Brianna odrzuciła głowę w tył i zawyła do połamanych krokwi i nieba ponad nimi:

- Jeeeeaaah! Jeeeeah! Bryza!

Jamal przestał wrzeszczeć. Bełkotał, wydawał z siebie dźwięki podobne do słów, niczym szalony żebrak. Czołgał się w tył po podłodze. Brianna roześmiała się:

- Co tam, twardzielu? Okazało się, że wybrałeś złą stronę?

Macka otoczyła jej nogi, nim zdążyła zorientować się, co się stało.

Spojrzała w dół, nie wierząc własnym oczom. Ramię Drake'a dwukrotnie owinęło się wokół jej kostek, ściskając je z całej siły. Brianna próbowała je kopnąć, nie zdołała jednak nawet ruszyć się z miejsca. Głowa Drake'a znajdowała się o cztery stopy od jego torsu, teraz jednak okrutne usta znów się uśmiechały. Lodowate oczy znów jej się przyglądały. Wciąż żył! Tors użył swojej ludzkiej dłoni, by posunąć się w stronę głowy, podczas gdy bicz trzymał jej nogi z siłą pytona. Dolna część ciała - brzuch, biodra, nogi - kopała i wiła się, próbując zbliżyć się do górnej części. Kawałki Drake'a łączyły się z powrotem w całość. Brianna upadła na pośladki. Odruchowo sięgnęła po nóż, ten był jednak zbyt daleko. Jej obrzyn, schowany w kaburze. Wymacała go dłonią, wyjęła. Wycelowwała w mackę, która trzymała jej nogi, a następnie pociągnęła za spust.

BUM!

Uderzenie dobiegło z pistoletu Jamala. Znalazł go jakoś. Teraz patrzył na dym, dobywający się z wylotu lufy.

Głowa Drake'a roześmiała się cicho.

Brianna leżała bezradnie, patrząc, jak nogi kreatury zmieniają kształt. Nie były to już nogi Drake'a, ale pulchne, dziewczęce łydki. Głowa Drake'a krzyknęła bezgłośnie. Macka ześliznęła się z jej nóg. Jamal szedł jak we śnie, trzymając dymiącą strzelbę tuż przy boku. Brianna widziała, jak usta Drake'a wypowiadają słowa: „Zabij ją, zabij ją”. Nie miał jednak płuc, więc nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Poszczególne części ciała połączyły się. Dziewczęce ramiona miały się w poszukiwaniu tego, co było teraz głową Brittney i przyciągnęły ją do szyi. Nogi kopały i wierciły się, póki nie zlepiły się z resztą. Brianna przyglądała się temu, nie będąc w stanie ani poruszyć się, ani myśleć jasno. Ostatnim, co zobaczyła, był Jamal, który przy pomocy jej struny związywał ciasno ręce Brittney za jej plecami. Wyrwał rękaw swojej własnej koszulki i wepchnął go potworowi w usta. Potem podszedł do Brianny. Ledwo słyszała jego słowa, zagłuszane przez dzwony, i ledwo rozumiała to, co słyszy.

- Mógłbym cię zabić - powiedział Jamal. Wycelowwał w nią ze strzelby; lufa znalazła się o cal od jej twarzy.

- Najprawdopodobniej Drake wyjdzie z tego obronną ręką. Jeśli jednak nie, pamiętaj, że mogłem cię zabić. - Uniósł strzelbę. - Ale tego nie zrobiłem.

Ledwie kilka minut później Edilio i Ellen, oboje również uzbrojeni w strzelby, weszli do kościoła. Jamala i Brittney już tam nie było.

Edilio ukląkł przy Briannie. Zobaczyła w jego ciemnych oczach troskę i współczucie. Wciąż oszołomiona, bardzo go za to polubiła.

- Ellen, zawołaj Lanę! - zarządził Edilio. Potem zwrócił się do Brianny - Poszedł?

Briannie trudno było cokolwiek powiedzieć. Po kilku próbach udało jej się jednak wydukać:

- Musisz... znaleźć Sama. Ja... ja nie pokonam Drake'a.

Edilio spojrzał na nią ponuro.

- Tak, to doskonały pomysł - powiedział, przyglądając się krwawym ranom na jej ramieniu. - Niestety, Taylor uciekła. A nikt inny nie wie, gdzie jest Sam.

- Jamal... - szepnęła Brianna. Zanim jednak udało jej się dokończyć zdanie, marmurowa podłoga rozstąpiła się i wciągnęła ją głęboko w ciemność.

Lance pojawił się w drzwiach.

- Drake uciekł! - wrzasnął.

Turk, wcześniej - przynajmniej wedle własnej opinii - najważniejszy człowiek Zila i dowódca tego, co pozostało po Ekipie Ludzi, powiedział:

- Wszystko mi jedno.

Ekipa Ludzi była grupą, stworzoną by bronić praw normalnych ludzi przeciw odmieńcom. A przynajmniej takie było założenie. Większość dzieciaków uważała Ekipę Ludzi za zwykłą bandę. Lance chwycił Turka za ramię i zrzucił go z kanapy.

- Turk, posłuchaj mnie: nie rozumiesz, co to oznacza?

Turk nie wiedział, co to oznacza, a przynajmniej nie rozumiał, co Lance chciał mu powiedzieć. Uważali się za przyjaciół, ale głównie dlatego, że obaj wspierali Zila. Teraz zmuszeni byli wykonywać najgorsze prace, jakie Albert potrafił wymyślić: wykopywanie rowów, w których dzieciaki mogły się załatwiać, i zakopywanie ich, kiedy już były pełne. Szambownicy. Ekipa Gówna - tak ich teraz nazywano. Musieli też podlizywać się Albertowi, bo inaczej nie dostawaliby nic do jedzenia. I tak dobrze, że nie wyrzucono ich z miasta. Turk przekonał członków Rady, by nie wysyłali ich do lasu. Tak naprawdę wyblagał tę łaskę. Namówił, żeby w zamian znaleźli jakieś odosobnienie dla niego i reszty Ekipy Ludzi. Za pożar obwiniał Zila. Wciąż powtarzał: „To nie nasza wina, ani moja, ani Lance'a, zostaliśmy do wszystkiego zmuszeni przez Zila i Hankę. Sami wiecie, że Hank był przerażający. Był wariatem i na pewno by nas zastrzelił, gdybyśmy go nie posłuchali.” Turk płakał jak dziecko. No i wreszcie udało mu się przekonać tego latynoskiego dupka Edilia, a zwłaszcza Alberta, że nigdy więcej nie będą sprawiać problemów, że odebrali swoją lekcję, a ich życie całkowicie się zmieni.

Ekipa Ludzi stała się Ekipą Gówna. Nazywano ich też jeszcze gorzej. Wszyscy się z nich śmiali. Turk nienawidził Alberta ze wszystkich sił. Albert miał wszystko, a jemu i Lance'owi zostawiał najmarniejsze okruszki. Lance wciąż stał nad Turkiem. Na jego przystojnej twarzy malowało się podniecenie.

- Stary, nie kumasz? Jeśli teraz napadniemy na Alberta, wszyscy będą podejrzewać Drake'a!

To zwróciło uwagę Turka.

- Chcieliśmy zrzucić winę za pożar na Caine'a i nikt nam nie uwierzył.

- To co innego. Podoba ci się nasze życie? – Rozejrzał się po pokoju i wskazał ręką śmierdzący rondel, którego używali jako latryny. - Jemy najgorsze resztki, wykonujemy najgorszą robotę i siedzimy w tej dziurze.

- Tak, uwielbiam to - odparł Turk z sarkazmem. - Po prostu uwielbiam być najżałośniejszym gościem w mieście.

- No to posłuchaj mnie. - Lance położył ręce na ramionach Turka. - Drake'a nie da się zabić ani powstrzymać. Wszyscy się go boją. Ale może udałoby nam się z nim dogadać? Albo poczekamy, aż wszyscy wpadną w panikę i wtedy przejdziemy do ataku.

Turk nie odrzucił tego pomysłu od razu. Być może Lance miał rację. Wszyscy wiedzieli, że Albert ma mnóstwo złota i najróżniejszego żarcia - nawet puszek z jedzeniem z dawnych czasów.

- No nie wiem, stary - powiedział Turk. - Ekipa Ludzi miała coś oznaczać. Mieliśmy ratować świat przed odmieńcami, prawda? Reprezentujemy normalnych ludzi. Nie powinniśmy po prostu kraść. Nie jesteśmy jakimś gangiem.

Lance roześmiał się szyderczo.

- Stary, ty czasami naprawdę nic nie łapiesz. Nie wiesz nawet, co się dzieje, - Oparł się o fotel, żeby spojrzeć na Turka z góry. - Nie chodzi tylko o odmieńców. Ty niby jesteś tym gościem, który myśli o ideach i w ogóle, ale tego po prostu nic kumasz. Nawet nie zauważasz, że rada składa się prawie wyłącznie z Murzynów i Meksykańców. O to właśnie chodzi - Te mniejszości dogadały się z odmieńcami.

Umysł Turka zaczął powoli pracować. Potem przyspieszył.

- Jamal! Jest z nami, chociaż jest czarny.

- No i co z tego? Wykorzystamy Jamala. On doprowadzi nas do Alberta. Zrobisz, co do ciebie należy. Chodzi mi o to, że my jesteśmy normalnymi ludźmi. Nie jesteśmy Murzynami, pedałami ani Meksykańcami. I to my wykopujemy kible. Dlaczego?

Turk znał odpowiedź: dlatego, że ich próba przewrotu nie powiodła się. Nigdy jednak nie myślał o tym pod takim kątem.

- Astrid jest normalna i biała - zaprotestował Turk bez przekonania. - Sam też.

- Sam jest odmieńcem, a podejrzewam, że również Żydem - stwierdził Lance. Jego oczy błyszczały. Obnażył zęby w uśmiechu. Nie wyglądał zbyt sympatycznie. - A Astrid? Ona już nawet nie jest członkiem Rady.

Turk kupił to. Poczuł, jak nowe idee znajdują miejsce w ciemnych zakamarkach jego pełnego wściekłości umysłu.

- Drake jest biały. Orc też, no wiesz, pod spodem. Ale oni są też trochę jak odmieńcy. Tyle że... jakby nie do końca. Bo oni nie stali się odmieńcami sami z siebie, tylko zmienili się na skutek wypadków.

- Właśnie - powiedział Lance.

Tak, pomyślał Turk. To mógł być dobry pomysł. Bardzo dobry. Wykończenie Alberta mogło spowodować więcej problemów, niż spalenie paru domów. To Albert był tak naprawdę u władzy. Miał pieniądze i jedzenie, a to czyniło go ważniejszym nawet od Sama.

Lisa weszła do pokoju z kapustą, którą zebrała na polu i kupionym od kogoś grubym szczurem. Turkowi pociekła ślinka: obiad się spóźniał.

- Zjedzmy - powiedział, - Potem pomyślimy, co robić dalej.

ROZDZIAŁ 14

37 GODZIN, 48 MINUT

Edilio odczekał, aż zaszło słońce i wtedy udał się do Roscoe. Wszystko odbyło się w spokoju. Roscoe nie był dzieciakiem lubiącym sprawiać kłopoty.

- Musimy umieścić cię w bezpiecznym miejscu - wyjaśnił Edilio.

- Żeby nikogo nie zaraził - odparł Roscoe.

- Tak. I póki nie wymyślimy, jak cię leczyć.

- Chciałbym pożegnać się z Sinder - powiedział miękko Roscoe. Wskazał głową dom, w którym mieszkała.

- Dobrze, stary. Ale nie pozwól jej się dotykać, okej? Tak na wszelki wypadek.

Roscoe musiał walczyć, nie z Ediliem, ale ze sobą: musiał walczyć z drzeniem warg i ze łzami, które wypełniały mu oczy.

Edilio zabrał go do ratusza. Znalazł tam nieużywane biuro, wstawił łóżko. Upewnił się też, że znajdują się w nim książki, które mógłby czytać Roscoe i zakryty garnek, do którego mógłby się załatwiać. Dżban z wodą stał na półce obok okna. Kapusta i gotowany królik też tam leżały.

Mięso królika należało do frykasów.

Roscoe podziękował Edilioniowi za wszystko. Edilio zamknął za sobą drzwi. Przekręcił klucz w zamku.

Rybacy Quinna mieli dobry dzień. Łodzie były wypełnione rybami, kałamarnicami, ośmiornicami i dziwnymi istotami, które nazywano niebieskimi nietoperzami. Karmiło się nimi robaki na polach, żeby pozwoliły bezpiecznie przejść przez grządki warzyw.

Nagrodą za poranną pracę był rekin długi na pięć stóp. Zajmował prawie całą łódź Quinna, który usiadł na ogonie, co było niewygodne i od czego miały go później boleć plecy. Nikt jednak nie narzekał. Upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu: nie dość, że rekin stanowił świetny posiłek, to był jeszcze wynagrodzeniem za niewielką ilość ryb.

- Oto, co powinniśmy zrobić - powiedział Cigar, szarpiąc wiośłem. - Sprzedać zęby w sklepie. Widziałeś te kły? Dzieciaki zapłaciłyby za naszyjnik z nich sporą ilością zarcia.

- Albo też mogłyby przykleić je do kijka i zrobić sobie gryzącą broń - zasugerowała Elise.

- Jak myślicie, ile waży? - zastanawiał się Ben.

- Niezbyt dużo - odparł Quinn.

Wszyscy się roześmiali. Potrzeba było osiem osób, żeby zaciągnąć go do łodzi Quinna, która omal nie zatonała pod jego ciężarem.

- Waży więcej niż Cigar - powiedział Ben.

Cigar uniósł swoją zniszczoną koszulkę i obnażył twardy brzuch.

- Teraz każdy waży więcej niż ja. Kiedy to wszystko się skończy, napiszę książkę o odchudzaniu. Dieta ETAP-u. Najpierw obżerasz się śmieciowym jedzeniem. Potem głodujesz. Potem jesz karczochy. Potem znowu trochę głodujesz. Potem jesz czyjegoś chomika. A w końcu przechodzisz na dietę składającą się wyłącznie z ryb.

- Zapomniałeś o smażeniu mrówek - powiedziała Elsie.

- Mrówek? Ja jadłem chrząszcze! - poprawił ją Ben.

Przez jakiś czas płynęli swoją przeciążoną łodzią rozmawiając o wszystkich obrzydlistwach, które musieli jeść.

Wtem Quinn zauważył coś, czego już od dawna nie widział.

- Zaczekajcie - powiedział.

- Czyżby kapitanowi Ahabowi znudziło się wiosłowanie?

- Elise, ty masz dobry wzrok: spójrz tam - Quinn wskazał na znajdującą się o jakieś pół mili od nich barierę.

- No co? Wciąż tam jest.

- Nie chodzi mi o barierę, tylko o wodę. Spójrz na wodę.

Cała czwórka ostoniła oczy przed słońcem i spojrzęła.

- Hmm... - mruknął wreszcie Quinn. - To wygląda, jakby wiał tam wiatr. Woda wydaje się nieco wzburzona.

- Tak - zgodził się Cigar. - To dziwne, nie?

Quinn pokiwał głową w zamyśleniu. To było coś nowego. Coś bardzo dziwnego. Miał zamiar powiedzieć o tym Albertowi, kiedy tylko znajdą się w mieście.

- Okej, wystarczy. Wracajmy do wiosła.

Pozostałe łodzie zaczęły ich doganiać. Quinn widział, jak każda z nich zatrzymuje się, a załogi wpatrują się w wietrzny krajobraz.

- Co to znaczy? - spytał Ben.

Quinn wzruszył ramionami.

- Za to mi nie płacą, jak to mawiał mój ojciec. Pozwolę Albertowi i Astrid się nad tym zastanawiać. Ja jestem tylko prostym rybakim - powiedział.

- Och, zobacz - zażartowała Elise - widzę jakieś wiosło, którego nikt nie używa.

Quinn roześmiał się. Usiadł wygodnie, zaparł się nogami i wziął swoje wiosło. Jego plecy były już mocno umięśnione, tak samo zresztą jak reszty załogi.

Był szczęśliwy. To jego tryb życia czynił go szczęśliwym. Słońce, sól, słona woda, zapach ryb. Praca, od której bolał kręgosłup. Wszystko to sprawiało mu radość.

Jego praca była prosta. Była ważna.

Quinn myślał o wiejącym wietrze. W delikatnej bryzie niebyło nic niepokojącego. A jednak przeczuwał, że oznacza kłopoty.

Dahra Baidoo miała siedem nowych przypadków grypy. Czyli w sumie trzynaście. Tak zwany szpital aż trząsł się od kaszlu. Tej nocy nikt wprawdzie nie umarł. Nikt też jednak jeszcze nie wyzdrowiał. Dotyk Lany nie leczył tej choroby. A to oznaczało, że zadaniem Dahry nie było już pocieszenie dzieci do czasu przybycia Lany. Jej zadaniem było teraz zrozumienie choroby. Sprawdzała temperaturę. Prowadziła kartę choroby każdego pacjenta. Próbowwała nie myśleć o opowieści Jennifer. Jennifer wciąż utrzymywała, że widziała, jak inna Jennifer zakaszlała się na śmierć. Dahra starała się również nie zastanawiać nad tym, co oznaczała odporność choroby na moc Lany. W tym momencie w najgorszym stanie był chłopiec, imieniem Pookie. Patrzyła na termometr, nie wierząc własnym oczom: 41 stopni. Jeszcze nigdy nie widziała tak wysokiej gorączki. Pookie trząsł się, jakby zamarzał. Nie był już w stanie sensownie odpowiadać na pytania. Zaczął mówić do kogoś, kogo tam nie było, o tym, że nie chce iść do szkoły, bo nie skończył wypracowania. Jego kaszel stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej gwałtowny. Grypa nic sobie nie robiła z tylenolu, który podała Pookiemu. Objawy nasiliły się mimo lekarstwa. Niezależnie od tego, czy jego kaszel był zabójczy, prędzej czy później chłopiec i tak umrze z powodu gorączki. Dahra musiała więc jakoś ją obniżyć. Książka sugerowała lodową kąpiel, jednak szansa na nią wynosiła dokładnie zero. Nie było wody, a tym bardziej lodu. Jeśli Albert szybko nie dostarczy wody, dzieci zaczną umierać z pragnienia, nie czekając, aż zabije je kaszel albo gorączka. Dahra podjęła decyzję. Pomagali jej Ellen i Virtue, jeden z nowych dzieciaków z wyspy. Żałowała, że nie miała czasu porozmawiać z Virtue: pochodził z Afryki, tak samo jak rodzice Dahry.

- Musimy go ochłodzić - powiedziała Dahra. - Virtue? Popilnuj przez chwilę szpitala, dobrze? My idziemy na plażę.

Ellen i Dahra posadziły Pookiego na taczce. Cała trójka ruszyła ulicą San Pablo, jak w jakiejś dziwnej procesji.

Najtrudniej było przedostać się przez piasek. Wreszcie udało im się jednak dotrzeć do brzegu, gdzie posadziły chorego chłopca. Woda obmywała go. Nie była to może kąpiel w lodzie, ale jednak coś. Dahra pomyślała, że chłodna, słona woda zabierze nieco ciepła, które zgromadziło się w ciele Pookiego.

- No dobra - powiedziała Ellen. - Może uda mu się wrócić o własnych siłach.

Dahra usiadła na piasku obok niej.

- Słyszałaś o Drake'u? - spytała Ellen.

- O tym, że uciekł? Tak. Nie martw się. Sam go dorwie.

Ellen pokręciła głową.

- Sama nie ma w mieście. Albert wysłał go na poszukiwanie wody czy coś w tym stylu.

- Sama nie ma? - Dahra spojrzała nerwowo przez ramię. Drake nie miał żadnego powodu, żeby jej szukać.

Tyle że on nie potrzebował powodów. - Wszystko będzie dobrze. Dekka i Brianna, i...

Pookie zakaszał, skulił się, zakrzuszył morską wodą, po czym znowu zakaszał, tak gwałtownie, że aż woda wokół niego rozplynęła się na wszystkie strony.

- O cholera - zaklęła Ellen.

Pookie usiadł. Jego głowa kiwała się w przód i w tył, jakby był marionetką na zbyt luźnym sznurku.

Zakaszał, a siła tego wstrząsu sprawiła, że runął na plecy do wody.

Dahra podbiegła, żeby go podnieść. Pookie jednak sam wstał, potykając się.

Zakaszał znowu. Zabrzmiało to jak eksplozja. Poleciał do tyłu, jakby potrącił go samochód.

- O mój Boże! - zawołała Dahra.

Pookie upadł na kolana, po czym kaszlnął znowu z taką siłą, że wzbił w powietrze tuman piasku. Coś czerwonego i różowawego plasnęło na ziemię.

- Nie, nie, nie - jęknęła Dahra, cofając się o krok.

Siła kolejnego kaszlnięcia uniosła Pookiego na nogi zgięta w pół. Krew wytrysnęła z jego ust i uszu. Popatrzył na Dahrę pustymi, nic nierozumiejącymi oczami. I upadł martwy na ziemię.

Nikt się nie odezwał.

Dahra z trudem nabrała powietrza. Przez kilka długich sekund stała jak sparaliżowana. Zamrugła.

- Ellen, szybko do wody. Cała się zamocz. Zmyj to z siebie. - Dahra również wskoczyła do wody. Kiedy się wynurzyła, zawołała: - Trzymaj się z daleka od ciała Pookiego. Posiedź na słońcu, aż cała wyschniesz. Promienie powinny zabić wirus grypy na twojej skórze.

- O mój Boże! - Ellen zbladła. - On wykaształ swoje wnętrzności.

- Rób, co mówię! Wystaw twarz na słońce, ja muszę iść.

Pobiegła wzdłuż plaży, pogrążając się w coraz większej panice. Zauważyła Quinna i resztę rybaków, spokojnie cumujących przy pomoście. Biegła tak szybko, jak tylko mogła, machając rękami nad głową, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

Quinn i parę innych osób zobaczyli ją, nie rozumiejąc, dlaczego ich woła. Dahra była całkiem spocona, kiedy dotarła do pomostu.

- Nie! Nie! Nie podchodźcie bliżej! - zawołała do Quinna.

- O co cho...

- Pookie właśnie umarł - wysapała Dahra. - Na gripę, Chyba. Ale, o Boże... Nie zbliżajcie się. Najlepiej w ogóle nie wychodźcie z łodzi.

- Ja już przechodziłem gripę - oświadczył Cigar.

- Pookie też - odparła Dahra. - Posłuchajcie mnie: to się rozprzestrzenia i jest naprawdę straszne.

Quinn gestem kazał swoim ludziom zostać w łodziach.

- Co mamy robić, Dahro? Nie możemy dryfować bez końca.

Dahra westchnęła.

- Daj mi pomyśleć...

- Muszę iść sprawdzić... - zaczął jeden z rybaków.

- Zamknij się i daj mi pomyśleć! - zawołała Dahra. Zdobyła trochę medycznej wiedzy po tym, jak w napadzie głupoty postanowiła zostać wolontariuszką w tak zwanym szpitalu. To nie czyniło jej jednak lekarzem.

Pamiętała, że czytała coś o grypie. Nic nie rozprzestrzeniało się szybciej. Nic się szybciej nie mutowało. Skutkowało dokładne mycie rąk, alkohol, światło słoneczne. Ale kiedy już wirus dotarł do nosa i płuc, zaczynał szaleć i potrafił zabić. Zwłaszcza jego nowe odmiany.

- Zostańcie w łodziach - powiedziała Dahra. - Jedzenia wciąż będziemy potrzebować. Zrzućcie ryby na brzeg, poproszę Alberta, żeby wysłał kogoś, kto się nimi zajmie, potem wypłynięcie znowu na wodę, ustawcie się w rzędach wzdłuż brzegu i rozstawcie obozowisko.

- Obozowisko? - powtórzył Quinn.

- Tak!

- Mówisz poważnie?

- Nie, to tylko taki żart, Quinn - warknęła Dahra. - Pookie właśnie wykaszłał swoje płuca i padł martwy na ziemię. Rozumiesz, co mówię? Płuca wyleciały mu przez usta. Ha, ha, jakie to zabawne!

Quinn cofnął się o krok.

Dahra poczekała, aż podejmie decyzję. Nie miała prawa wydawać rozkazów. Z drugiej strony jednak tylko ona jedna wiedziała, co się dzieje.

- Okej - powiedział Quinn. - Jest takie miejsce na wybrzeżu. Powiedz Albertowi, żeby natychmiast wysłał kogoś po ryby. Przywieźliśmy niezłą zdobycz. Mamy rekina.

- Ta, dobra - Dahra myślała już o czymś innym. Wirus był wrogiem, a ona generałem w tej bitwie. Teraz jej myśli krążyły wokół dwóch spraw. Po pierwsze, Jennifer B. mówiła prawdę. Po drugie, w jaki sposób ona sama, Dahra, miała uniknąć choroby?

ROZDZIAŁ 15

37 GODZIN, 15 MINUT

- Niedaleko - powiedział Przywódca Stada.

- Gdzie? - spytał Sam zmęczonym głosem. Była to długa noc, po której nastąpił długi poranek pełen zmęczonych stóp i poranionych piszczeli.

Znawali się za wzgórzami. Schodzili po zboczu jednego z nich w stronę drogi i jeziora Evian. Byłoby szybciej, gdyby nie zbaczała z drogi, a oni zdecydowanie jej nadłożyli, ale Sam musiał się wcześniej zobaczyć z Hunterem.

Żeby go zabić.

Teraz natomiast zamierzał znaleźć gniazdo latających węży i zniszczyć je.

Po raz kolejny zobaczył ponure, badawcze spojrzenia sędziów, którzy - jak się obawiał - przeanalizują kiedyś każdy jego czyn. Słyszał ich pytania: „Jakim prawem pozbawił pan życia Huntera, panie Temple? Tak, rozumiemy, że nie chciał być zjedzony żywcem, ale przecież każde ludzkie istnienie jest święte.”

Droga prowadziła poniżej, nie było jej widać zza wielkich skał. Parę razy szedł nią po wodę, znał ją więc wystarczająco dobrze, by przed jego oczami pojawiło się konkretne miejsce.

- Skała jest tutaj zniszczona, pełna szczelin i otczaków, powiedział Sam. - To coś w rodzaju jaskini, ale płytkiej.

- Latające węże są tam - potwierdził Przywódca Stada. - Teraz zabij mnie, Jasne Dłonie.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

- Dlaczego miałbym kłamać? - warknął Przywódca Stada.

- Bo jesteś niebezpiecznym, szalonym zwierzęciem, które służy Ciemności - wyjaśnił Sam. Był zbyt zmęczony i śpiący, by dbać o maniery.

- Ciemność umarła - powiedział Jack.

- Nie - odparł Przywódca Stada.

- Nie - zgodził się Sam, spoglądając na Jacka znacząco. Było to pierwsze potwierdzenie, że gaiaphage wciąż żył. Jeśli można to nazwać życiem.

Kolejne, wielkie szczęki pojawiły się na boku Przywódcy Stada. Kojot spojrzał na nie, otworzył pysk i ugryzł. Czarna ciecz wypłynęła z głowy insekta.

- To jej dzieło? - spytał Sam. - Czy to są Stwory Ciemności?

- Przywódca Stada nie wie.

Sam pokiwał głową.

- Jak ją zabić? Mówię o Ciemności. Jak zabić gaiaphage?

- Przywódca Stada nie wie.

Sam westchnął.

- No to coś nas łączy.

Sam widział wijące się pod skórą zwierzęcia insekty. Kojot przypominał torbę pełną robaków.

- Gotowy?

- Ja Przywódca Stada - powiedział kojot. Odrzucił głowę w tył i zawył.

Sam wycelował dłonie w kojota w chwili, gdy skóra zwierzęcia pękła.

Mordercze światło paliło się długo. Przywódca Stada skonał natychmiast. Jego płonące futro cuchnęło. Ciało skwierczało jak smażony bekon.

Wstrętne istoty, insekty czy cokolwiek to było innego wyczołgały się spod płomieni i przysmażonego tłuszczu Nieuszkodzone. Wyraźnie niewrażliwe na palące światło

Sam używał swej mocy, by stopić żelazo, beton i kamień. Wydawało się niemożliwe, by nie mógł zabić tych istot. Jakby miały jakąś magiczną moc unikania skutków działania śmiertelnościowego promieniowania. Jakby były na nie odporne.

- Jack - powiedział Sam - znajdź kamień. Jak największy.

Jack stał jak sparaliżowany, póki Dekka nie pacnęła go mocno w tył głowy. Potem podbiegł do na wpół zakopanego w ziemi kamienia wielkości małego samochodu. Chłopak stęknął z wysiłku, jednak po chwili kamień uniósł się dzięki pomocy Dekki, która na chwilę zlikwidowała grawitację.

Jack uniósł skałę nad głowę. Z całej siły zrzucił ją na wijące się, uciekające robaki. Uderzenie było tak silne, że ziemia się zatrzęsła, a Sam aż podskoczył.

- Teraz unieś go z powrotem - rozkazał Sam.

Jack posłuchał. Bez trudu odepchnął kamień.

Pod spodem leżały dwa zgniecione robaki. Ich pancerzyki miały odblaskową powierzchnię, jak zadymione lustro. Miały też krótkie, połamane, ściśnięte skrzydełka. Ich straszne, pokrzywione żuchwy nie zostały jednak złamane. Tnące gęby wciąż błyszcząły jak małe nożyki.

- Są jak karaluchy - powiedział Sam. - Trudno je zabić, choć nie jest to niemożliwe.

- Taaa, karaluchy. Jest ich jeszcze parę z tamtej strony powiedziała Dekka, wskazując palcem i jednocześnie wyłączając grawitację, tak że dwa robale zawisły w powietrzu. Bezradnie machały kończynami.

- Twoja kolej, Jack - powiedział Sam.

Dekka pozwoliła działać grawitacji, kamień uniósł się, upadł i zabił kolejne dwa robaki. Pozostałe jednak uciekały w stronę wzgórz. Sam, Dekka i Jack pobiegli za nimi, podnieceni odkryciem, że da się je zabić.

Pół tuzina potworów pędziło przez kamienie i krzaki. Jack chwycił mniejszą skałę i rzucił nią. Uderzyła jednego robaka, lecz nie trafiła w pozostałe.

- Dekka!

- Już! - zawołała, dziewczyna, unosząc dłonie. Żwir, śmieci i kurz wzbiły się w powietrze. Następny insekt uniósł się w górę. Jack chwycił kolejny kamień, ale ten nie dał się wyrwać, przyczepiony do czegoś zbyt wielkiego nawet na siłę Jacka.

Chłopak pogrzebał chwilę w ziemi i znalazł głaz wielkości głowy. Rzucił nim mocno, nie trafił jednak w lewitującego robala.

- Pozostałe uciekają! - zawołał Sam.

- Co to za hałas? - spytała Dekka, przykładając palec do ust.

Cała trójka zamarta. Dźwięk przypominał szum wodospadu na skałach. Albo łopot skrzydeł.

- Latające węże!

Cała chmara węży nadleciała ze swojego legowiska, niczym rój nietoperzy wyłaniających się z jaskini o zmierzchu.

Przypominały małe smoki; większość była długa tylko na kilka cali, ale niektóre niemal na stopę. Miały pokryte skórą skrzydła i machały ogonami w tę i z powrotem, żeby utrzymać w powietrzu chwiejną nieco pozycję.

Sam zaklął i wystrzelił. Zbyt późno, żeby je zaskoczyć. Był to błąd, który mógł wiele kosztować. Jasne promienie światła przecięły atakującą chmurę. Węże zapłonęły i zaczęły spadać na ziemię. Nie wystarczało to jednak. Gady nie wycofywały się.

Dekka wyłączyła grawitację pod przednią „strażą” roju jednak zdezorientowało to jedynie niektóre z nich; odwróciły się do góry grzbietami i zaczęły latać w kółko, wydzielając przy tym czarnozielony płyn.

Sam przypomniał sobie, że Hunter powiedział mu, iż został trafiony jakąś wydzieliną.

- Nie pozwólcie, żeby was trafiły! - zawołał Sam. - Uciekajcie!

Bieg pod górę stromego zbocza trwałby zbyt długo, Popędzili w panice prosto przez chmurę węży, przewracając się i z powrotem zrywając na nogi, nie zważając na siniaki i zadrapania.

Rój zareagował wolno, ale zareagował i pofrunął za nimi.

Sam wbiegł na drogę, potknął się, wstał i od razu odwrócił. Rój węży wciąż wylatywał z legowiska na skale, Sam szybko wycelował i strzelił.

Krzewy na wzgórzu zapłonęły natychmiast. Skąły rozgrzały się i popękały. Sam skierował promienie w jaskinię chcąc rozświetlić zieloną jamę.

Węże wydawały się teraz niepewne i zagubione. Zawiwały w powietrzu, wydzielając czarnozielone krople niczym trujący deszcz. Na szczęście nie trafiały w Sama ani pozostałych. Jeszcze nie.

Sam uniósł promienie w górę, pewny, że wypalił już całą jaskinię.

Popęłnił błąd. Atak na legowisko zaniepokoił węże, lecz jednocześnie pokazał im przeciwnika.

Sam ponownie wycelował w skalistą ścianę, chcąc rozproszyć ich uwagę. Zbyt późno jednak: rój węży nadciągał.

- Uciekajcie! Uciekajcie!

Dekka wycofała się, likwidując za sobą grawitację. W górę wzbiła się chmura żwiru i kurzu. To spowolniło atak węży.

Dekka odwróciła się i popędziła za Samem i Jackiem.

Rój węży zdawał się tracić zainteresowanie gonitwą, jednak kilka najbardziej zdeterminowanych sztuk wciąż za nimi pędziło.

Dekka upadła na ziemię. Sam widział, że nie może złapać tchu. Pobiegł do niej, węże były jednak szybsze.

Dekka obróciła się i spojrzała w górę w chwili, kiedy jeden z nich wystrzelił swoim płynem. Ciemna kropla spadła na jej gołe ramię. Druga kapnęła na dzinsy. Pozostałe krople już w nią nie trafiły.

Sam wystrzelił. Unoszące się w powietrzu węże zapłonęły.

Dekka zerwała się na nogi.

- Trafiły mnie! Trafiły!

- Zdejmij dzinsy - rozkazał Sam.

Postuchała. Jack podniósł spodnie i przeprowadził ich dokładną inspekcję.

- Nic nie przedostało się przez materiał.

- Moje ramię! - jęknęła Dekka. - O mój Boże, trafiły mnie. Trafiły mnie. Boże!

- Wyciągnij ramię, Dekka - rozkazał Sam. - To będzie bolało.

- Zrób to - zgodziła się Dekka. - Zrób to natychmiast!

Sam uformował wąski promień światła. Ostrożnie zbliżał go coraz bardziej do ciemnej plamy na ramieniu Dekki.

Dekka zacisnęła zęby.

Światło oparzyło ją i Dekka krzyknęła z bólu, ale zaraz potem zawołała:

- Nie przestawaj! Nie przestawaj!

Sam jednak przestał. Chwycił Dekkę, która była bliska omdlenia.

- Pokaż mi ramię - powiedział.

Na jej skórze widniał ślad oparzenia, głęboki może pół cala, szeroki na cal. Ciało było wypalone, krew więc nie ciekła.

- Udało się - powiedział Sam.

- Tego nie wiesz - powiedziała Dekka przez ściśnięty zęby.

- Udało się. Ciecz nie spadła nigdzie indziej. Wy. paliłem ją.
Dekka chwyciła go za kołnierzyk.
- Nie pozwól, by to się stało, Sam.
- Nie pozwolę.
- Posłuchaj mnie: nie pozwól, żeby to się stało. Rozumiesz? Kiedy zobaczysz, że to się dzieje, zajmij się mną. Jak Hunterem.
- Dekka...
- Przysięgnij mi, Sam. Przysięgnij na Boga, na swoją duszę, na cokolwiek, w co wierzysz. Przysięgnij.
Sam delikatnie rozluźnił jej palce.
- Nie pozwolę, żeby to się stało, Dekka. Przysięgam.

- Nie wychodźcie z domu, o ile nie będzie to absolutnie konieczne! - krzyknął Edilio przez megafon. Zużywał cenne baterie. Albert nie chciał mu ich dać, ale Edilia niespecjalnie obchodziło, czego Albert chciał, a czego nie.

Szedł wzdłuż San Pablo, krzycząc przez megafon:

- Pojawiła się grypa! Jest niebezpieczna! Nie wychodźcie z domu, o ile nie będzie to absolutnie konieczne! Praca na dziś zostaje odwołana. Sklep jest zamknięty.

Grypa. Jasne. Grypa, która sprawia, że kaszlesz swoimi wnętrznościami.

Edilio szedł ulicą, powtarzał ostrzeżenie i myślał, jak nieprawdopodobnie musi to brzmieć.

Epidemia. Tak zwany szpital był już pełny. Przez cały dzień przychodziły do niego rozgorączkowane, kaszlące dzieci. Choroba rozprzestrzeniała się jak ogień, a Lana nie potrafiła jej uleczyć.

Nie wiadomo, ile osób zabije. Może wszystkie, które zachorują. Może wszystkich, i tyle.

- Kwarantanna - powiedziała Dahra, uderzając pięścią o dłoń. - Musicie wszystko zamknąć.

- Ale dzieci nie mają w domu prawie żadnego jedzenia ani wody! - zaprotestował Edilio.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - wrzasnęła Dahra piskliwym, pełnym paniki głosem. - Jeśli nie powstrzymamy tej epidemii, nikt nie będzie spragniony, bo wszyscy będą martwi. Tak jak Pookie. Tak jak ta Jennifer.

Dzieciaki wystawiały głowy przez okna i wychodziły na ciemne ulice. Wbrew zaleceniom.

- Ja już miałem grypę! - krzyczały.

- Nikt nie jest uodporniony - odpowiadał Edilio.

- Skąd mamy wziąć jedzenie?

- Trudno, będziecie głodni przez jeden dzień. Potrzebujemy czasu, żeby nad tym zapanować.

- Czy to ta choroba, w której robale wychodzą z ciała?

Jak to możliwe, że wieść tak szybko się rozeszła? Wszyscy już wiedzieli o tym, że Roscoe siedział zamknięty w izolatce. Nie było telefonów, sms-ów, maili, niczego, a dzieciaki i tak o wszystkim dowiadywały się od razu.

- Nie, nie, to tylko grypa - odparł Edilio, próbując odpowiadać jak najszczerzej. - Kaszel i gorączka. Jeden chłopiec na nią zmarł, więc po prostu róbcie to, o co proszę.

Tak naprawdę umarło już troje dzieci. Pookie, dziewczynka o imieniu Melissa i Jennifer H. Troje, nie jedno. Albo może i więcej, bo nie było sposobu, by dowiedzieć co dzieje się w każdym z domów w mieście. Nie należało jednak wywoływać paniki. Jedna śmierć powinna wystarczyć, by przykuć ich uwagę. Trzy zgony i jeszcze robale, które niektóre z dzieciaków nazywały larwami, a inne zjadaczami flaków - to już wywołałoby panikę.

Edilio nie miał pojęcia, czy kwarantanna poskutkuje. Zamierzał poprosić swoich ludzi o pomoc - przynajmniej szeryfowie mieli patrolować ulice. Ale co powinni zrobić, zobaczywszy na nich dzieciaki? Zabić je czy ratować?

Nie mógł kazać ludziom myć rąk: nikt nie miał w domu wody. Nie mógł kazać im stosować żeli antybakteryjnych - i tak nie wystarczało ich na potrzeby szpitala.

Nie mógł zrobić nic więcej; pozostawało jedynie poprosić wszystkich, żeby zostali w domach. Prawdopodobnie było za późno. Troje dzieci umarło. Na razie troje.

Edilio pomyślał o Roscoe, zamkniętym w swoim więzieniu. Czy robale już zaczęły zjadać go od środka?

Pomyślał o Briannie - uzdrawiający dotyk Lany podziałał, ale Bryza była roztrzęsiona i przerażona.

Pomyślał o potworze, który był jednocześnie Drakiem i Brittney.

Pomyślał o Orcu. Nikt go nie widział. Wielu go słyszało, a kilka rozwalonych samochodów świadczyło o jego obecności.

Pomyślał o Howardzie, który nie ustawał w poszukiwaniach Orca, nawet kiedy Edilio wyraźnie rozkazał mu, żeby znalazł sobie jakieś schronienie.

Pomyślał w końcu o dwóch osobach, które wcześniej piastowały jego obecne stanowisko - o Samie i Astrid.

Próbując utrzymać jedność wśród grupy dzieciaków, zaskakiwanej przez kolejne niebezpieczeństwa, oboje pogrążyli się w rozpacz. Oboje cieszyli się też, że teraz zajął się tym Edilio.

- Nic dziwnego - mruknął do siebie.

- Nie wychodźcie z domu, o ile nie będzie to absolutnie konieczne - zawołał, nie pierwszy i nie ostatni raz żałując, że nie jest już tylko wiernym pomocnikiem Sama.

ROZDZIAŁ 16

33 GODZINY, 40 MINUT

Ostre światło słońca obudziło Orca. Zorientowanie się, gdzie jest, zajęło mu dłuższą chwilę. Zobaczył ławki, takie jak w szkole. Leżał na podłodze z chłodnego linoleum, a ławki ktoś przewracał lub porozstawiał dookoła niego bezładnie, najpewniej w ataku wściekłości.

Ktoś to zrobił.

Wisiąca tam też tablica. Coś na niej napisano, jednak Orc nie był w stanie skupić wzroku, żeby to przeczytać.

Najdziwniejsza była jednak dziura w suficie i ścianie, przez którą przedostawało się światło słoneczne, trafiając prosto w jego oczy. Ściana została częściowo zniszczona, a sufit zawalił się bez jej podpory.

Poczuł coś w prawej ręce. Kawalek tynku.

On to zrobił. On zniszczył ławki, okna i ściany.

W przebłyskach wyblakłych wspomnień miotał się w dzikim szale. Zobaczył, jakby patrząc na siebie z zewnątrz, pijanego, kamiennego potwora, który rzucił się na ściany ze swoimi ciężkimi pięściami.

Orc zawył. Jego głowa pulsowała bólem, jakby ktoś uderzał w nią młotem. Chciało mu się pić. Żołądek zdawał się wypełniony węglem.

Zaczęły do niego wracać inne wspomnienia. Drake. Pozwolił, by ten psychol zwiął.

Howard powiedziałby... nie, akurat Howard nie powiedziałby zbyt wiele. Howard wiedział dobrze, że nie należy atakować Orca.

Ale co z Samem? I Astrid?

Nagły strach. Astrid. Drake ją zaatakuje. Drake nienawidzi Astrid.

Powinien coś zrobić. Iść i... i znaleźć Drake'a. Albo chronić Astrid. Albo coś w tym stylu. Astrid zawsze była dla niego dobra, jakby nie uważała go za potwora. Nawet kiedyś, w szkole.

Nagle Orc rozpoznał pomieszczenie. To przecież tutaj uczniowie siedzieli po lekcjach. Astrid czasami przychodziła, żeby mu pomóc w nauce.

Orc ścisnął powieki. Potrzebował alkoholu. W jego głowie pojawiało się zbyt wiele rzeczy, zbyt wiele obrazów i uczuć.

Poczuł obrzydliwy smród i od razu zorientował się, co to jest. Kiedy zemdłał, jego mięśnie rozluźniły się. Zmoczył się i nie tylko. Leżał w kałuży moczu i kału.

Łkając, przekręcił się na dłonie i kolana. Wielkie, dresowe spodnie, które miał na sobie, były mokre i śmierdzące. Musiał pójść na plażę, żeby je wyprać. Musiał pójść tam w takim stanie: zdemoralizowany, obrzydliwy, pijany, śmierdzący potwór.

Tym właśnie był. Od zawsze.

A potem jeszcze jedno wspomnienie. Mały, chory chłopiec. Znak stop.

O Boże, nie... nie.

Orc wyczołgał się z pokoju, łkając i nienawidząc siebie tak mocno, jak nikt nie byłby w stanie go nienawidzić.

Drake odzyskał przytomność, nie był jednak pewien gdzie się znajduje i dlaczego.

Jego ręce były związane za plecami, a kabel wbijał się nieprzyjemnie w miękką tkankę bicia.

- Uwolnij mnie - warknął na Jamalę, który drzemał oparty plecami o palmę, przytulając do siebie strzelbę niczym pluszaka. Kiedy spał, Jamal wyglądał na jakieś sześć lat.

Drake zauważył linę, która łączyła jego kostkę z kostką Jamalę. Pociągnął ją, a tamten natychmiast się obudził.

- Uwolnij mnie - powtórzył Drake.

Jamal przysunął się do niego i pogmerał przy węźle, póki nie uwolnił rąk Drake'a.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Drake.

- Daleko na autostradzie. No wiesz, za knajpą Ralph's.

- Co tu robimy?

- Musiałem zabrać Brittney z miasta - powiedział Jamal. - Ledwo zdążyłem wyciągnąć was z kościoła przed przyjściem Edilia.

Drake przypomniał sobie walkę z Brianną i uśmiechnął się dziko.

- Zabiłeś tę małą, chudą wiedźmę?

Jamal wzruszył ramionami.

- Strzeliłem do niej.

- Zabiłeś ją?

- Nie, stary, nie wydaje mi się.

Drake spojrzał gniewnie.

- Kazałem ci ją załatwić.

- Tak? - Jamal oblizał wargi. - Widziałem, że próbowałeś coś powiedzieć, ale twoja twarz była zniekształcona. Trudno było zrozumieć, o co ci chodzi...

Drake wiedział, że kłamie. Jamal go nie posłuchał. Ale czy na pewno chciał, żeby był na tyle twardy, by strzelić w głowę bezbronnej dziewczynie?

Nie, chciał, żeby był trochę słabszy. Tylko odrobinę.

A jednak...

Otoczył Jamala biczowym ramieniem. Jamal krzyknął i zrobił kilka kroków w tył.

- Nie sprzeciwiaj mi się - powiedział Drake. Potem uśmiechnął się na tyle przyjaźnie, na ile potrafił. - Nie chciałem ci zrobić krzywdy. To tylko ostrzeżenie.

- Pali jak ogień!

- Dobra, wstawaj, Jamal. I przynieś mi wodę. Chce mi się pić.

- Nie mam wody.

- Znajdź ją!

- Gdzie?

Drake wstał i rozejrzał się. Byli niedaleko skrzyżowania autostrady i drogi prowadzącej do Coates. Zastanawiał się, czy coś zostało w jego starej szkole. Tam powinna być jakaś woda.

Mógł też wrócić do miasta. Oczywiście, teraz byli już gotowi na jego przyjście. A po drodze do miasta mógł zmienić się z powrotem w Świnię Brittney.

Drake poczuł się nagle sfrustrowany. Gdyby był tylko sobą, poszedłby prosto do miasta i załatwił każdego, kto wszedłby mu w drogę. Mogłoby mu się nie udać zwyciężyć Orca, ale przynajmniej porządnie by zmęczył tego głupiego, tłustego pijaka. A Brianna? Nią też chętnie by się zajął.

Sama i Caine'a nie było w okolicy, nikt nie byłby więc w stanie się z nim zmierzyć. Ale gdyby Briannę osłaniało paru ludzi Edilia ze strzelbami, no to cóż, mogliby załatwić Jamala. A gdyby załatwili Jamala, mogliby pochwytać i jego, gdy zmieniałby się w Świnię Brittney, i znowu go uwięzić. A tym razem Sam po powrocie doprowadziłby robotę do końca.

Cudowne było składanie się z powrotem w całość tym, jak został przekrojony na trzy części, ale nie wiedział czy udałoby mu się to, gdyby Sam spalił go na proch a potem wrzucił ten proch do oceanu.

Ta myśl denerwowała Drake'a.

Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby pozbyć się świni Brittney. W przeciwnym wypadku będzie zależny od Jamala Jak to jednak zrobić? Był bezradny. Ogarnęła go desperacja Będzie tak uwięziony na zawsze!

Potem jednak błysnęła nadzieja. Być może ktoś mógł mu pomóc. Poczł w umyśle jej dotyk. Nie zapomniała o nim.

- Wstawaj, idziemy - powiedział Drake.

- Dokąd? - spytał Jamal.

- Idziemy się spotkać... - już miał dokończyć: „Z przyjacielem”. Przyjaciół to jednak nie było właściwe słowo. Nie przyjaciel, znacznie więcej.

- Z moim mistrzem - odparł Drake, ważąc słowa. Jamal nie roześmiał się, więc Drake powtórzył, z większą pewnością siebie: - Idziemy się spotkać z moim mistrzem.

Sanjit bez trudu znalazł kwiaty. Wiele z nich zostało zjedzonych, ale w opuszczonych ogrodach pustych domów można było jeszcze znaleźć różyczkę, nagietek albo coś podobnego. Nie wiedział do końca, jakie kwiaty zebrał. Część z nich to były pewnie zwykłe chwasty.

Kiedy zebrał ich sześć, zatrzymał się, żeby sprawdzić, co z Bowiem, nad którym właśnie czuwał Virtue. Chory czuł się lepiej. Może była to trwała poprawa, a może nie. Sanjit nigdy nie dzielił skóry na niedźwiedziu.

Virtue patrzył na niego i jego kwiaty. Patrzył tak, jakby uważał, że Sanjit zwariował.

- Co to jest?

- To? - Sanjit spojrział na bukiet z udawanym zaskoczeniem. - Wydaje mi się, że to kwiaty.

- Wiem, że to kwiaty - odparł Virtue. - Po co ci one?

- Chcę je komuś dać.

- Tej dziewczynie?

- Tak, Choo. Są dla tej dziewczyny.

- Powinieneś trzymać się od niej z daleka. Jest bardzo niebezpieczna.

- A mimo to atrakcyjna, nie sądzisz?

Virtue patrzył na niego jak na idiotę.

- Nie wiesz, że zaczęła się kwarantanna? Gdzie ty byłeś? Nikt nie powinien teraz wychodzić.

- Co się zaczęło?

- Kwarantanna. Wróciła grupa. Wszyscy mają siedzieć w domach.

- Już miałem gripę. Też mi coś - powiedział Sanjit lekceważąco.

- Słuchaj, skoro zarządzili kwarantannę, muszą mieć swoje powody. Nie znasz tych ludzi. Podejrzewam, że większość z nich to wariaci. Nie wiesz, co zrobią, kiedy teraz natkną się na ciebie na ulicy.

- Wrócę - zamrugał wesoło Sanjit. - O ile wyjątkowo mi się nie poszczęści.

- I o ile nie zastrzeli cię tym swoim wielkim pistoletem.

- Istnieje i taka możliwość - powiedział wesoło Sanjit. Pogłaskał Bowiego po głowie i wyszedł na rozgrzaną ulicę.

Ulice Perdido Beach nigdy nie były pełne ludzi. Nie był to Bangkok ani Nowy Jork. Ale teraz pozostawały wyjątkowo ciche. Wokół ani żywej duszy.

Być może Virtue nie kłamał, gdy wspominał o kwarantannie. Ale z kim będzie bezpieczniej niż z Uzdrowicielką Laną?

Dotarł do Clifftop, nikogo po drodze nie spotykając.

Przeszedł przez drzwi do holu. Wiedział, że Lana mieszka na ostatnim piętrze, w najlepszym pokoju z oknem, z którego widać klif, plażę i ocean.

Znalazł się na korytarzu. Było tam mnóstwo drzwi, niektóre zamknięte, inne otwarte przez dzieciaki, chciały się dostać do mini-barów.

Znalazł drzwi, które wydały mu się właściwe. Wygładził ubranie, uniósł kwiaty i zapukał. Usłyszał głośne szczekanie a po chwili zobaczył, jak ktoś spogląda nań przez wizjer. Uśmiechnął się i pomachał.

Dało się słyszeć ciche przekleństwo. Potem głos:

- Spokojnie, Patrick, to tylko jakiś idiota.

Drzwi otworzyły się. Z kącika ust Lany wystawał papieros. W dłoni miała pistolet.

- Czego? - warknęła.

- Kwiaty - odparł chłopak i wyciągnął je przed siebie.

Lana wpatrywała się w nie ze zdziwieniem.

- Chyba żartujesz.

- Przyniósłbym czekoladki, ale nie mogłem żadnych znaleźć.

- Czy ty jesteś niedorozwinięty? Jest kwarantanna. Nikomu nie wolno wyjść.

Miał nadzieję, że chociaż się uśmiechnie, ale nic z tego. Poczuł od niej natomiast woń alkoholu, chociaż nie wydawała się pijana, nie bełkotała, a jej spojrzenie było ostre i skoncentrowane.

- Czy mogę wejść? - spytał Sanjit.

- Do środka? - powtórzyła. - Tutaj?

- Tak. Mogę?

- Okej - powiedziała, unosząc brwi, jakby dziwiła się swoim własnym słowom. Cofnęła się o krok, a Sanjit wszedł do pokoju.

Kiedyś to pomieszczenie było anonimowym, sterylnym, hotelowym pokojem. I w zasadzie nim pozostało. Lana nie powiesiła żadnych obrazków, niczego nie zbierała. Na łóżku nie leżały pluszaki. Pokój był oczywiście brudny, ale nie bardziej niż pozostałe w Perdido Beach. Pachniało petami, whisky i psem. Wielka strzelba stała oparta o ścianę. Patrick wydawał się równie niespokojny, co jego właścicielka. Ani Lana, ani on nie byli przyzwyczajeni do przyjmowania gości.

W szafie tkwiło słoneczko Sammy'ego, więc kiedy otworzyło się jej drzwi, w pokoju było jasno.

Sanjit podszedł do szklanych drzwi.

- Piękny widok.

- Czego chcesz?

- Chcę cię poznać - odparł Sanjit.

- Dlaczego?

- Jesteś interesująca.

- Taaa - odparła Lana - Nie sądzę, żeby ci się to spodobało.

Sanjit usiadł na stojącym przy biurku krześle. Położył kwiaty na skrzyni obok telewizora. Zauważył zadrapanie na ramieniu. Trochę krwawiło, ale nie było to nic poważnego.

- Nie - powiedziała Lana - nie ulecę twojego zadrapania.

- To dobrze - odparł Sanjit.

- Dobrze? Dlaczego dobrze?

- Bo nie chcę, żeby trzymanie mnie za rękę było dla ciebie pracą.

- Trzymanie za rękę? - Lana roześmiała się. - Tego właśnie chcesz? Trzymać mnie za rękę?

- Cóż, doszlibyśmy do tego. Gdybyśmy się polubili.

- Nie lubimy się.

Sanjit uśmiechnął się.

- Wydajesz się o tym przekonana.

- Znam siebie, a ciebie poznałam - odpowiedziała Lana. Westchnęła. - Okej, rozumiem. Jesteś jedną z tych osób, które uważają, że powinny pomagać dziwakom. Albo może kręci cię ryzyko. Ale posłuchaj: ja nie jestem Edwardem a ty nie jesteś Bellą.

- Nie wiem, co to znaczy - odparł Sanjit.

- Dzięki kontaktowi ze mną nie stajesz się fajniejszy, okej? Ty jesteś normalnym dzieciakiem, ja jestem dziwadłem, więc zapomnij o prawdziwej miłości.

- Ach, myślisz, że jestem normalny.

- Twoi rodzice są gwiazdami filmowymi.

- Moja mama była nastoletnią prostytutką, która umarła na zapalenie płuc po ataku żółtaczk. Ojciec był jednym z jakiegoś tysiąca jej facetów. Jeśli wiesz, co mam na myśli - Sanjit uśmiechnął się sztucznie. - Do chwili, kiedy zostałem adoptowany, połowa rzeczy, które jadłem, była kradziona, a druga połowa pochodziła z darów. - Zamilkł na chwilę. - Och, a widzisz to? Otworzył usta i wskazał dziurę, w której powinny być dwa zęby trzonowe. - Kiedyś stłukł mnie jeden alfons, który chciał mnie sprzedać jakiemuś niemieckiemu staruchowi.

Lana wpatrywała się w niego. Sanjit napotkał jej spojrzenie i wytrzymał je.

Wreszcie powiedziała:

- Okej. Chcesz pogadać, dobra. Porozmawiamy, a potem sobie pójdziesz. - Lana zapaliła kolejnego papierosa, zaciągnęła się i popatrzyła na niego przez kłęby dymu. - Poszłam tam, żeby go zabić. Gaiaphage. Pojechałam tam z cysterną propanu, rzuciłam ją do kopalnianego szybu i musiałam tylko zapalić zapalniczkę. Kojoty mnie śledziły. Wystrzelałam je. Powinnam była doprowadzić do eksplozji, ale nie zrobiłam tego. Podoba ci się ta historia?

- Czy to historia, którą chcesz mi opowiedzieć?

- Była w mojej głowie. Nie mogłam jej zabić. Zamiast tego poczołgałam się do niej na kolanach. Jak robak, poddałam się jej. Stałam się jej częścią.

Sanjit pokiwał głową. Miał wrażenie, że powinien to zrobić.

- Kazała mi strzelić do Edilia. Bang - pokazała gestem. - Ale przeżył. Potem Sam i Caine zaatakowali gaiaphage. Zostałam wyzwolona.

- I uratowałaś Edilia. Ale nie chcesz o tym rozmawiać, prawda?

- Ratowanie kogoś, do kogo właśnie się strzeliło, nie jest jakimś niesamowitym wyczynem.

- Nie ty do niego strzeliłaś, tylko ten potwór. Ty go uleczyłaś. Wtedy byłaś sobą.

Spojrzenie Lany było tak świdrujące, że ledwo udało mu się je wytrzymać. Szukała w nim słabości. Albo może spodziewała się obrzydzenia.

- Sama poszłaś tam, żeby ją zabić - powiedział Sanjit.

- I nie udało mi się.

- Ale spróbowałaś. Gdybyś była facetem, powiedziałbym, że masz jaja.

Lana roześmiała się, zawstydzona, roześmiała znowu. Potem wciąż się śmiała, próbowała powstrzymać i nie potrafiła.

- Nie wiem, dlaczego się śmieję - powiedziała ze zdziwieniem i niemal przepraszająco.

Sanjit uśmiechnął się.

- Nie wiem, dlaczego się śmieję - powtórzyła.

- Pewnie jesteś trochę zdenerwowana - stwierdził sucho Sanjit.

- Tak sądzisz?

Lana znowu wybuchła śmiechem, a Sanjit zorientował się że jej śmiech naprawdę mu się podoba. Nie był głupiani histeryczny. Tak jak wszystko, co dotyczyło dziewczyny, był mądry i sarkastyczny. Głęboki. Hipnotyzujący.

- Ej, koleś - powiedziała, uspokajając się. – Po to tu przyszedłeś? Śmiech jest najlepszym lekarstwem? To tyle? Bawisz się ze mną w dobroczynność? Uzdrowiasz Uzdrowicielkę przy pomocy śmiechu?

Jej cynizm znów ujawnił się w pełnej krasie.

- Nie wydaje mi się, żebym chciał cię uleczyć - odparł Sanjit.

- Dlaczego nie? - naskoczyła na niego. - Nie oszukujmy się. Jestem tak pokręcona, jak tylko się da. Jestem wzorem dla wariatów. Dlaczego nie chcesz mnie uzdrowić? Jestem ucieleśnionym chaosem.

Sanjit wzruszył ramionami.

- No nie wiem.

- Myślisz, że skoro jestem taka pokręcona, łatwo będzie dobrać mi się do majtek? Jestem łatwym celem?

- Lano - powiedział Sanjit - nosisz przy sobie pistolet i wyglądasz, jakbyś go używała. Masz psa. Próbowalaś na własną rękę zabić potwora. Uwierz mi, nikt, kto na ciebie patrzy, nie pomyśli sobie: „Ona jest łatwa”.

Lana westchnęła ze zmęczeniem, Sanjit nie wierzył jednak ani w westchnienie, ani w zmęczenie. Nie. Nie miała go dość. Powiedział:

- Zobaczyłem cię. Usłyszałem twój głos. Otworzyłem się na ciebie. To nie jest szczególnie skomplikowane. Po prostu poczułem...

- Poczułeś?

Sanjit znów wzruszył ramionami,

- Tak. Poczułem. Poczułem, że całe moje życie, od ulic Bangkoku, przez czasy jachtów i prywatnej wyspy, do tego szaleństwa z helikopterem, wszystko to, od moich narodzin teraz, że wszystko to było kosmiczną intrygą, która doprowadziła mnie do ciebie.

- Jasne - powiedziała lekceważąco.

Odczekał.

- Poprzednio powiedziałaś, że jestem na drugim miejscu pośród najodważniejszych dziewczyn, jakie spotkałeś. Kto jest pierwszy?

Uśmiech Sanjita zniknął. W sekundę znalazł się z powrotem na brudnej ulicy, śmierdzącej zgniłą rybą, curry i moczem.

- Pamiętasz tego alfonsa, który wybił mi zęby? Zamierzał mnie zabić - powiedział Sanjit. - Chciał pokazać, że nie wolno mu odmawiać. Miał nóż. Byłem na wpół żywy. Nie mogłem się ruszać. A ta dziewczyna była tam. Nie wiem, skąd się wzięła. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Ona...

Nagle, ku swemu własnemu zdziwieniu, zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie mówić. Lana poczekała, aż odzyskał głos.

- Podeszła do tego faceta i powiedziała: „Przestań go bić”.

- I wypuścił cię? Tak po prostu?

- Nie. Ona była bardzo ładna, miała jedenaście albo dwanaście lat. Rozumiesz, ładny, mały chłopiec jest dla alfonsa sporo wart. Ale ładna dziewczynka jest warta znacznie więcej.

- Zabrał ją?

Sanjit pokiwał głową.

-Byłem chory przez jakiś tydzień. Myślałem, że umrę. Udało mi się doczołgać do jakiejś kupy śmieci i... W każdym razie, kiedy mogłem znowu chodzić, szukałem jej. Ale nie znalazłem.

Patrzyli na siebie. Wydawało się, że trwa to długą chwilę.

- Muszę iść do miasta - powiedziała wreszcie La - Nie daję sobie rady z tą gripą. Uzdrowianie diabli wzięli. Mogę się jednak zająć zwykłymi złamaniami, oparzeniami i tak dalej.

- Dobrze - powiedział Sanjit, wstając. - Nie zatrzymuję cię.
 - Nie powiedziałam, że nie możesz iść ze mną – Lana w zasadzie warknęła.
- Sanjit powstrzymał uśmiech, który aż prosił się, żeby rozjaśnić jego twarz.
- Jestem gotowy.

ROZDZIAŁ 17

33 GODZINY, 14 MINUT

- Dekka, obudź się.

Jej oczy otworzyły się. Zamrugęła. Była pełnia dnia. Ranek dawno się skończył. Spała bardzo długo. Gwałtownie nabrała powietrza. Zerwała się na nogi i zaczęła się klepać, badać, szukać czegoś, czego nie powinno tam być. Oparzenie na ramieniu paliło jak ogień.

W brzuchu jej burczało. Stopy bolały, tak samo jak podrapane łydki. Spanie na skale wykrzywiło jej plecy.

- Wszystko mnie boli - powiedziała Dekka.

Sam wydawał się zaniepokojony.

- Ale to chyba dobrze? Hunter niczego nie czuł, prawda? - upewniła się.

Sam pokiwał głową.

- Tak, tak, to dobrze. Rozumiem, że wypalenie w tobie dziury było dobrym pomysłem?

- Jeszcze mnie to nie bawi. Sam. Gdzie jest Jack?

Sam wskazał na szczyt wzgórza. Znajdowali się w bardzo suchym, pustym miejscu. Wzgórze było wysokie na jakieś dwieście stóp i wyglądało bardziej na kopiec z piasku na górę.

Jack stał na jego szczycie, osłaniając oczy i patrząc północny wschód.

- Co widzisz? - zawołał Sam.

- Jest tam miejsce, które wygląda na zupełnie wypalone.

Sam pokiwał głową.

- To chata pustelnika. Co jeszcze?

- Kilka wzgórz, skały i tak dalej - zawołał Jack. Ruszył w dół, ale pośliznął się na żwirze i upadł. Wstał i skoczył. Przeleciał w powietrzu jakieś trzydzieści stóp i wylądował tuż obok Sama.

- Stary! - zdziwił się Sam.

- No cóż - odparł Jack - nie miałem pojęcia, że to potrafię.

- Może jesteś w stanie wykorzystywać swoją siłę jeszcze na inne sposoby.

- Szkoda, że nie przyda się do znalezienia wody.

- Dekka, jak myślisz: wspinamy się, czy przechodzimy przez wypalony teren?

- Nienawidzę wspinaczki.

- Kopalnia jest niedaleko od chaty - przypomniał Sam.

- Tak, pamiętam. Po prostu chodźmy tam - powiedziała Dekka.

Do chaty było dość blisko. Właściwie trudno było mówić o chacie; z dawnej siedziby Jima Pustelnika zostały zwęglone deski. Sam ponownie wyciągnął mapę. Zmierzył odległość palcami.

- Do jeziora jest stąd jakieś sześć czy siedem mil. Myślę, że wszyscy będziemy mieli co pić, jeśli pójdziemy tędy.

Wzgórze Santa Katrina znajdowały się teraz po ich lewej stronie. Składały się z gołego kamienia i żwiru, a niektóre z kamieni wyglądały, jakby właśnie wydostały się prosto z ziemi, jakby żwir wciąż się z nich osuwał. Po prawej stronie wznosiła się góra, a obok widniała szczelina, w głębi której kryła się kopalnia. Nie rozmawiali o tym miejscu. Przez godzinę szli przez jałową ziemię, nim dotarli do drucianego ogrodzenia. Po obu jego stronach widać było taki sam piach. W zasięgu wzroku nie dostrzegli niczego, co smagałoby otoczenia płotem. Obok stał zakurzony, zardzewiały, metalowy znak.

- „Uwaga, strefa zamknięta” - przeczytał na głos Jack.

- Tak - stwierdził Sam - na pewno ktoś nas tu znajdzie.

- Czyż nie byłoby wspaniale, gdyby ktoś przyszedł naszaaresztować? - powiedziała Dekka z nadzieją.

- Jack, rozwał płot - zarządził Sam.

- Serio?

- Bariera jest tam - wskazał Sam. - Powinniśmy pójść wzdłuż niej w stronę jeziora. I, tak jak mówi Dekka, byłoby super, gdyby ktoś zaaresztował nas po drodze. Musieliby nas nakarmić i napoić.

Sam nie był pewien, co znajdą w bazie Evanston Air National Guard. Nie był też pewien, na co ma nadzieję. Może na baraki pełne żołnierzy. To byłoby wspaniałe. A jeśli nie na to, to chociaż na wielki galon wody. To też byłoby super.

Zamiast tego znaleźli kilka podziemnych bunkrów. Z zewnątrz wszystkie wyglądały identycznie: betonowe rampy, prowadzące do stalowych drzwi. Jack kopnął w pierwsze z nich i otworzył je.

Sam zapalił światło. W środku zobaczyli długie, niskie pomieszczenie. Panowała w nim kompletna pustka.

- Pewnie trzymali tutaj bomby albo coś takiego.

- Teraz nic tu nie ma - stwierdził Jack.

Otworzyli cztery kolejne bunkry, zanim pogodził; z myślą, że nic tam nie znajdą. Po drodze napotkali jeszcze ciężarówkę z kluczykami w stacyjce. Silnika nie dało się zapalić, ale znaleźli w litrową butelkę wody mineralnej, w połowie pełną.

Cała trójka usiadła w cieniu samochodu i podzielili się wodą.

- No dobra, to było rozczarowanie - zauważył Sam.

- Chciałeś znaleźć bomby? - spytała Dekka.

- Nie. Jak oni nazywają to jedzenie, które dają żołnierzom?

- PGS-y. Posiłki Gotowe do Spożycia. - odparł Jack.

- No to kilka takich. Albo, powiedzmy, milion takich,

- Albo przynajmniej działający samochód, żebyśmy mogli jechać, a nie leżeć - mruknęła Dekka.

Ruszyli dalej. Wkrótce pół litra wody stało się już tylko odległym wspomnieniem. Zaczęli zauważać przed sobą przezroczystość bariery. Wyrastała z krzaków i piachu.

- Dobra, znajdziemy to jezioro i wracajmy do miasta - powiedział Sam.

Wędrowali po lewej stronie bariery. Szło się coraz trudniej; podłoże pełne było szczelin przypominających wyschnięte koryta rzek i dziur.

Przed nimi, niczym fatamorgana, migotał niski dom, który przypominał Samowi tymczasowe budynki, z których czasem korzystały szkoły. Było w nim kilka okien, w których widniały poziome listwy starych żaluzji. W kilku miejscach na ścianach wisiały urządzenia do klimatyzacji. Na parkingu stało więcej ciężarówek w kolorze piasku i kilka cywilnych samochodów. Wszystkie zostały ustawione w porządku, pomiędzy białymi liniami.

Wysoka antena celowała w niebo. A za budynkiem leżała góra wielkich, zardzewiałych, zakurzonych pudeł.

- Ej, to jest pociąg! - powiedział Jack.

Sam spojrzął na mapę. Dopiero teraz zauważył zaznaczoną krzyżykiem linię, oznaczającą tory kolejowe. Wcześniej nie wiedział, co to takiego.

Sam pożałował, że nie wziął ze sobą lornetki. Z budynkiem było coś nie tak. Wydawał się zbyt opuszczony. Oczywiście, za barierą ETAP-u mogło być wiele różnych budynków. Więc być może ten znajdował się po prostu na skraju większego zbiorowiska.

A jednak miejsce to budziło niepokój, sprawiało wrażenie celowo odizolowanego. Sam miał wątpliwości, czy byłoby je widać na zdjęciu satelitarnym. Wszystko, prócz kilku samochodów, pomalowano bowiem na ten sam, zlewający się z otoczeniem, kolor ochry.

- Najpierw zajrzyjmy do budynku.

Sam ostrożnie otworzył drzwi. Podłoga z linoleum pokryta była piachem i kurzem. Był tam duży pokój, dwa korytarze i dwa prywatne biura za szklanymi drzwiami. W największej sali stało sześć metalowych, pomalowanych na szaro biurek i staromodne krzesła z niedopasowanymi obiciami. Komputery na biurkach były wyłączone, tak samo jak światła i klimatyzacja. W pomieszczeniu panowała straszna duchota.

Sam spojrzał na stojące na biurku zdjęcia: czyjaś rodzina dwoje dzieci, żona i matka albo babcia. Na innym biurku zauważył relaksacyjną piłęczkę. Leżały tam też biurowe segregatory i sterty starych dyskietek. Wszystko pokrywał kurz. Kwiaty w wazoniku zmieniły się w zeschnięte gałązki. Papiery spadły z biurek na podłogę.

Wyglądało to upiornie, ale zdążyli już do takich widoków przywyknąć. Opuszczone samochody, puste domy i biura.

Jednej rzeczy nie widzieli natomiast od dawna: oto na jednym z biurek stał otwarty słoik nutelli z łyżką w środku.

Rzucili się w jego stronę.

- Zostało trochę! - zawołał Jack z radością, która byłaby właściwa przy znacznie ważniejszym odkryciu.

Sam i Dekka uśmiechnęli się. Był to duży słoik, wypełniony czekoladową masą przynajmniej do połowy.

Jack uniósł łyżkę. Nutella spłynęła z niej powoli. Chłopak zamknął oczy i włożył łyżkę do ust. Bez słowa podał ją Dekce. Przypominało to religijny rytuał, niemal komunię, trójka w ciszy brała po kolei łyżkę do ust, zachwycając się intensywnym smakiem, słodyczą, którą poczuli wreszcie po przytłaczającej ilości ryb i kapusty.

- Jak długo tego nie jedliśmy? - spytała Dekka. - Jaka słodka!

- Słodka, kremowa i czekoladowa - westchnął Jack z rozmarzeniem.

- Dlaczego ona jest wciąż kremowa? - spytał nagle Sam.

Jack zamarł z łyżką w dłoni.

- Dlaczego wciąż jest kremowa? - powtórzył.

- Ten słoik został otwarty wiele miesięcy, przed nastaniem ETAP-u - stwierdził Sam. - Powinna wyschnąć. Powinna być cała twarda i popękana.

- I tak bym ją zjadła - stwierdziła Dekka.

- To nie zostało otwarte wiele miesięcy temu. Ani nawet parę dni temu - powiedział Sam. Odstawił słoik. - Ktoś tu musi być.

Jack przejrzał rozrzucone wokół kartki.

- To była stacja badawcza.

Dekka niezwykle spięta, rozglądała się dokoła w poszukiwaniu potencjalnych intruzów, wrogów.

- Badania czego? Broni? Kosmitów?

- Projekt Kasandra - przeczytał Jack. - Taki jest tytuł większości tych raportów. Szkoda, że nie mogę się dostać do komputerów.

- Ktoś tu jest - Sam powtórzył to, co uważał za najważniejsze. - Ktoś, kto otworzył słoik nutelli i wyjadał ją łyżką. A więc nie jest to kojot. Tu musi być człowiek.

- Ktoś z Perdido Beach? - zastanawiała się Dekka. - Może ktoś opuścił miasto, znalazł to miejsce i nigdy nic wrócił- Przecież i tak byśmy tego nie zauważyli.

- Albo ktoś z Coates. - Sam pokazał dłonią, że rusza korytarzem w lewo i chce, żeby Jack i Dekka byli gotowi do niego dołączyć.

Nie był to długi korytarz. Po każdej jego stronie znajdowało się tylko czworo drzwi. Mleczne światło dobiegało zza szklanego okna na jego krańcu

Sam otwierał drzwi po kolei. Za pierwszymi i drugimi znajdowały się puste biura, za kolejnymi - obskurny pokój z metalowym stołem i krzesłami. Na jednej ze ścian wisiał ekran. Na podłodze leżała podkładka do pisania.

Sam podniósł ją.

- Projekt Kasandra - przeczytał na głos. - Obiekt 1-01. Numer testowy GV-788.

Położył kartki na stole i wszedł do następnego pokoju.

Otworzył drzwi i od razu wiedział, że ktoś tam jest. Zanim jeszcze kogokolwiek zobaczył.

Przez szybę z przezroczystego szkła dobiegało słoneczne światło. Było tam łóżko, biurko, duży telewizor na ścianie. Za nim leżały zakurzone konsole.

Na bocznym stoliku leżała sterta książek.

Jedną z nich trzymał chłopiec na oko dwunastoletni, siedzący na krześle i trzymający nogi na biurku. Jego czarne włosy sięgały niemal do pasa. Był wysoki i chudy. Miał na sobie dzinsy, tenisówki i białą-czarną koszulkę ze zdjęciem zespołu Hollywood Undead.

- Cześć - powiedział Sam, marszcząc czoło.

Chłopiec ledwo zareagował.

- Czy ja cię znam? - nalegał Sam.

Chłopiec patrzył na niego zmrużonymi oczami. Uśmiechnął się lekko. Wyglądał, jakby chciał wrócić do książki.

- Ej, stary - powiedział Sam - nie masz przypadkiem na imię Toto?

Chłopiec uniósł brwi. Jego wargi zadrżały. Zapytał:

- Czy on jest prawdziwy?

Mówił do styropianowej, pomalowanej na czerwono i niebiesko głowy Spider-Mana naturalnej wielkości, która leżała na półce.

- Jestem prawdziwy - powiedział Sam, po czym zawołał - Dekka! Jack!

- Dlaczego on krzyczy? - spytał Toto Spideya. - Może to Decepticon.

- Nie jestem Decepticonem - powiedział Sam, zdziwiony, jak idiotycznie brzmią te słowa.

- To prawda - rzekł Toto do Spideya. - Nie jest Decepticonem. Ale może pracować dla Dementorów, dla Saurona albo dla demona.

- O czym ty mówisz, Toto? - spytał Sam. Jack i Dekka przybiegli w tej chwili.

- O! - zawołała Dekka.

- On wie, o czym ja mówię - powiedział Toto do Spider-Mana. - Zgaduje, testuje. Pyta, o czym ja mówię. To jasne. Wie. Zna demona.

- Nie pracuję dla nikogo - powiedział Sam.

- Kłamca, kłamca, długi nos. Ktoś cię tu wysłał.

- Albert, ale...

- Oni zawsze próbują kłamać, ale to nigdy nie działa, prawda? - powiedział Toto.

Sam zwrócił się do Dekki:

- Wydaje mi się, że ten chłopiec od bardzo dawna jest tu sam.

- Uważa, że zwariowałem - tym razem Toto zwrócił się pośrednio do Dekki, nie do Spider-Mana, chociaż wydawał się rozdarty między dwoma rozmówcami.

- Prawdomówny, prawdomówny Toto.

- Czy to ty jesteś obiektem testowym jeden zero jeden? , spytał Jack.

Toto wydawał się tego nie słyszeć. W jego oczach jednak pojawiły się łzy.

- Jeden zero jeden. Tak. Jeden zero dwa, chcesz wiedzieć, co się z nią stało?

- Tak - odparł Sam.

- Spidey, czy powinniśmy powiedzieć? - Toto obnażył zęby i warknął. - Ona mieszkała po drugiej stronie korytarza. Darla. Miała osiem lat. Na wszystkich jej rzeczach był napis Hello Kitty. Potrafiła przechodzić przez ściany. Nie chciała tu zostać, chciała wrócić do domu, więc próbowała wydostać się na zewnątrz, a strażnicy zauważyli ją i wiesz, co się stało?

- Powiedz nam.

- On tak naprawdę nie chce wiedzieć, prawda? - spytał Spideya Toto. - Widział już zbyt wiele złych rzeczy. Ale ja i tak mu powiem, że trafili w nią paralizatorem elektrycznym, kiedy była w ścianie. Umarła. Musieli wyburzyć całą ścianę, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

- Kot Alberta - powiedział Jack.

Sam pokiwał głową. Wszyscy słyszeli historię teleportującego się kota, który źle trafił i zastygł wewnątrz książki.

- Nie dziwią się - powiedział Toto. Pokiwał głową, wyraźnie rozbawiony. - Oni wiedzą, prawda? - spytał Spideya.

- Tak, wiemy - odparł Sam. Uniósł dłonie wnętrzami do przodu i wystrzelił zielonym światłem w głowę Spider-Mana. Materiał zapalił się, a styropian zaczął topić.

Błada twarz Tota zbladła jeszcze bardziej. Przełknął ślinę i po raz pierwszy spojrzął prosto na Sama.

- Przepraszam, stary - powiedział Sam. - Ale naprą mamy już dosyć wariatów. A spiesz nam się.

- Tak, on mówi prawdę. Spiesz mu się.

- On wciąż mówi do Spider-Mana - zwróciła uwagę Dekka. - Jest wariatem.

- Cóż, wszyscy jesteśmy wariatami - stwierdził Sam

- Nie, on nie jest wariatem, chłopiec Sam - powiedzają Toto, kiwając głową do przodu i do tyłu, po czym dodał nieśmiało: - A w każdym razie uważa, że nie jest.

- Szukamy dużego jeziora. Jeziora Tramonto. Wiesz jak tam dojść?

- Nie wiemy, jak gdziekolwiek dojść - powiedział Toto Nagle skrzywił się, jakby był bliski płaczu. - Gdzie jest Spidey?

- Od jak dawna tu jesteś? - spytał Sam niecierpliwie. Odpowiedział mu Jack:

- Nieco dłużej niż rok. Praca nad obiektem jeden zero jeden zaczęła się kilka miesięcy przed ETAP-em.

Sam myślał nad tym przez kilka sekund. Zastanawiał się, co robić. Nie mógł po prostu zlekceważyć chłopaka i odejść. Nie mógł, zwłaszcza po tym, jak spalił mu Spideya.

Z drugiej strony, nie uśmiechała mu się konieczność wzięcia pod opiekę kolejnej osoby. A nie wyglądało na to, by Toto zamierzał się gdziekolwiek ruszać. Sam mógł zawsze po niego wrócić. Poza tym, gdyby udało im się znaleźć wodę, całe miasto musiałoby się przenieść i trafiłoby tu ponownie.

- Posłuchaj, Toto, będę udawał, że nie jesteś kompletnie szalony. Pozwolę ci wybrać. Możesz albo pójść z nami i zacząć zachowywać się chociaż trochę normalniej, albo zostać tutaj. Twój wybór.

Toto nie przestawał spoglądać na brązowo-czarną magmę, która była wcześniej styropianową głową. W międzyczasie jednak zerkał też na Sama, Dekkę, a nawet Jacka.

- Co macie do jedzenia? - spytał.

- Suszoną rybę, kapustę i karczochy.

Ku zdziwieniu Sama Toto oblizał usta.

- Macie też inne rzeczy, ale nie chcecie się podzielić. Tonie szkodzi. Ja jadłem tylko nutellę. Od samego początku.

- Musisz mieć jej mnóstwo - powiedziała Dekka, nie będąc w stanie ukryć łakomstwa.

- Tak.

- Pokaż nam - poprosił Sam. - Pokaż nam, co masz. A potem pójdziemy szukać tego jeziora. Sam wyprowadził ich na zewnątrz. Jack i Dekka podbiegli do niego.

- Oni wiedzieli, prawda? - spytał Jacka.

Jack wciąż trzymał w dłoni papiery zebrane z jednego z biur.

- Tak - odparł, wciąż wczytując się w wydrukowane tabele z danymi. - Nie sądzę, by wiedzieli, co to jest i skąd się wzięło, ale wiedzieli.

- O czym wiedzieli? - spytała Dekka.

- Ktokolwiek prowadził tę placówkę - powiedział Sam ze złością - wiedział, że coś dziwnego dzieje się z dziećmi z Perdido Beach.

Jack podbiegł do niego, chwycił za ramię i podał mu kawałek papieru.

- Lista imion.

Oczy Sama natychmiast zauważył własne imię, trzecie na liście pięciu.

- Toto, Darla, ja, Caine i Taylor. - Ze złością oddał kartkę Jackowi. - Nie wszyscy odmieńcy, ale przynajmniej jakaś część.

Zamurowało go. Nie wiedział, co o tym wszystkim powiedzieć, ani co myśleć. Wściekał się, ale nie był nawet pewien, czy słusznie. To jasne, że chcieli dowiedzieć się więcej o dzieciakach, u których rozwinęły się nadprzyrodzone zdolności. I rozumiałe, że chcieli utrzymać to w sekrecie. Mimo to był zaniepokojony i zły.

- To oznacza, że wiedzą. Ludzie na zewnątrz przynajmniej częściowo domyślili się, co się tutaj dzieje.

- Prawdziwe dane są w tych komputerach - powiedział Jack. - Ten wydruk to tylko mały plik. Gdybyśmy tylko mieli prąd...

Sam spojrzął na barierę. Nie po raz pierwszy zastanawiaj się, co by ich spotkało, gdyby kiedykolwiek zniknęła.

ROZDZIAŁ 18

32 GODZINY, 36 MINUT

Toto zaprowadził ich do pociągu. Droga byk dłuższa, niż spodziewał się Sam. To złudzenie optyczne na pustyni sprawiło, że wydawało mu się, że pociąg leży tuż za budynkiem. W rzeczywistości szli do niego przez jakieś dziesięć minut.

Dwa czarno-żółte silniki Union Pacific sterczały pionowo na torze. Za nimi stał pokryty rdzą wagon towarowy, za nim zaś panował straszliwy bałagan. Siedem wykolejonych wagonów, z których wypadły na ziemię po dwa wielkie, stalowe sześciany.

Bariera przecięła wagon towarowy na pół. Jej nagłe pojawienie się musiało spowodować wykolejenie pozostałych wagonów.

Sam, Dekka i Jack nie byli jednak zainteresowani rozważaniem tego. Dostrzegli natomiast, że po torach i po ziemi dookoła rozsypało się kilkanaście opakowanych w plastik palet towarowych. Każda z tych palet była wypełniona słoikami nutelli.

- Tu są setki słoików - powiedział Sam.

- Tysiące - poprawił go Jack. - Tysiące. Jesteśmy... jesteśmy bogaci.

Gdyby każdy z tych słoików był wielkim diamentem Sam i tak wolałby nutellę.

- To najwspanialsze odkrycie w historii ETAP-u - powiedziała Dekka głosem kogoś, kto właśnie doświadczył cudu

- Co to jest etap? Co to znaczy? - spytał Toto.

- ETAP. Ekstremalne Terytorium Alei Promieniotwórczej - wyjaśnił Sam. - To miało być śmieszne. Co jest w pozostałych kontenerach?

Toto wydawał się zmieszany. Tak się wiercił, że wyglądał, jakby tańczył.

- Nie wiem.

- Jak to: nie wiesz? Kłamiesz? - spytała Dekka ostro.

- Nie kłamię. - Oczy Tota zabłyśły. - Jestem prawdomównym Toto, obiektem jeden zero jeden. Nie Toto kłamczuchem.

- No to co ty gadasz? Nigdy do nich nie zajrzałeś? Jest ich tu czternaście no i jeszcze ten pierwszy wagon towarowy. Jak możesz nie wiedzieć? - Dekce wydało się to nieprawdopodobne.

Toto znowu zaczął się wiercić.

- Nie potrafiłem ich otworzyć. Są ze stali i są do tego zamknięte. Uderzałem w nie krzesłami, ale to nic nie dało.

Sam, Dekka i Jack spojrzeli na dziwnego chłopca. A potem na zbiorniki. Potem na siebie nawzajem.

- No cóż - powiedział Sam - wydaje mi się, że nam uda się je otworzyć.

Jakieś osiem sekund później Sam wypalił zamek w najbliższym z kontenerów. Jack otworzył drzwi.

Zawartość kontenera była owinięta w folię, ale wciąż łatwa do rozpoznania.

- Kible? - spytała Dekka.

Wiele porcelanowych konstrukcji popękało w czasie upadku, ich kawałki podtrzymywała taśma klejąca. W kolejnym kontenerze znajdowały się następne sedesy. A w trzecim - tysiące niewielkich kartonów. W kartonach, czapeczki bejsbolowe Dodgersów.

Pasują na każdego - powiedziała Dekka z obrzydzeniem - Ale ja jestem fanką Angelsów.

Przejrzenie tego wszystkiego zajmie nam chwilę - powiedział Sam. - Ale myślę, że warto.

W czwartym kontenerze znajdowały się wiklinowe meble.

- Albo i nie - powiedział rozczarowany Sam.

W piątym były wiklinowe kosze i popękane, gliniane donice oraz śliczne figury aniołków, krasnali i Matki Boskiej, szóstym - farba do ścian i belki podłogowe. Siódmy był ciekawszy: znaleźli w nim zupki chińskie o smaku krewetek i kurczaka, filtry i ekspresy do kawy oraz pudełka różnych herbat.

- Chciałbym zjeść trochę tych klusek - powiedział Toto. - Ale byłoby fajnie zjeść zupe.

- Kluski są niezłe - zgodził się Sam.

- Też bym nie pogardził.

- Tak, to słuszna uwaga. Nie pogardziłby kluskami - powtórzył Toto.

Ósmy kontener było całkiem pusty. W dziewiątym znajdowały się dwa urządzenia przemysłowe.

- Jak-im-tam - powiedział Jack, szukając odpowiedniego słowa. - No wiecie. Listwy przemysłowe czy coś w tym stylu.

- Super - westchnęła Dekka. - Jeszcze jakieś 220 voltów i możemy założyć sklep z maszynami. Sam zaczynał się niepokoić. Nutella i kluski były w porządku. Wręcz wspaniałe. Miał jednak nadzieję na więcej jedzenia, więcej wody, lekarstw lub czegoś takiego. Ten dzień był dla niego jak absurdalne Boże Narodzenie: miał nadzieję na coś, czego nie potrafił nawet nazwać. Coś co wszystko zmieni. Coś... ekstra.

Kiedy Jack otworzył dziesiąte pudło, znieruchomiał.

- No dobra, co to jest?

Nikt nie odpowiedział. Sam pochylił się, żeby popatrzeć na palety ciężkich kartonów. Na każdym z nich widniało logo Apple'a.

- Komputery? - zastanawiał się Sam. - IPody? - Do niczego nie mogły się przydać.

Wreszcie Jack poruszył się. Podbiegł do pierwszej palety i zawahał się. Dokładnie wytarł ręce o spodnie. Potem oderwał taśmę i delikatnie, ostrożnie otworzył pierwszy karton.

Drżącymi palcami wyciągnął białe pudełko. Widniało na nim zdjęcie laptopa.

- Super by było, gdybyśmy mieli internet - powiedział Sam - albo prąd.

- Przesyłają je naładowane - warknął Jack, tak zły, jakby Sam odezwał się w kościele. - Minęło mnóstwo czasu, ale... ale może bateria jeszcze nie padła.

- Okej - powiedział Sam - to sobie pograsz w jakąś grę. Przejdźmy do następnego...

- Nie! - zawołał Jack głosem, w którym brzmiało coś pośredniego między udręką a wściekłością. - Nie, ja muszę... muszę zobaczyć.

Przez całe pięć minut ostrożnie otwierał pudełko, wyciągając z niego styropianowe części, jakby były delikatnymi dziełami sztuki.

Wyglądało to trochę jak nieznany, lecz pełen znaczenia religijny rytuał. Sam niemal się wzruszył. Nigdy nie widział na twarzy Jacka takich emocji.

Jack zaś cierpliwie oderwał mały kawałek taśmy, który utrzymywał na miejscu piankową otulinę. Wreszcie drżącymi dłońmi uniósł srebrny laptop, zupełnie jakby trzymał w nich dziecko. Odwrócił go. Napięcie zaczęło udzielać się i Samowi. Jack zamknął oczy, zaczerpnął powietrza, by się uspokoić i nacisnął wskaźnik baterii. Rozbłyły dwa zielone światełka.

- Dwa! - zawołał Jack. - Dwa! Bałem się, że zobaczę tylko jedno migające światełko. - Potem szeptem dodał: Dwa oznaczają jakieś półtorej godziny. Może nawet dwie.

- Stary, czy ty płaczesz?

Jack przetarł oczy.

- Nie. O Jezu...

- Kłamie. Płacze - zawołał Toto, najwyraźniej chcąc pomóc.

- Potrzebujesz chwili? - spytał Sam. Był pewien, że żadna siła nie zmusiłaby Jacka, żeby się teraz ruszył.

Jack pokiwał głową.

- Okej. My z Dekką otworzymy następne.

W jedenastym kontenerze znaleźli więcej mebli ogrodowych. Dwunasty był szczelnie wypełniony najcudowniejszymi rzeczami, jakie Sam i Dekka kiedykolwiek widzieli. Tym razem to oni zamarli, porażeni, pełni wzruszenia. Nie dało się nie rozpoznać tego logo.

- Czy można wlać pepsi do chińskiej zupki? - zastanawiała się Dekka.

Skoczyli ku paletom i wydobyli z nich puszki.

Trzask. Pssst.

Trzask. Pssst.

Trzask. Pssst.

Znów rozbrzmiał dźwięk, którego nikt w ETAP-ie nie słyszał od miesiąca. Puszki zostały otwarte, a Sam, Dekka i Toto wypili ich zawartość do dna.

- Och - westchnęła Dekka.

- Jakie to pyszne - dodał Toto.

- Czuję się... jakby wszystko było z powrotem w porządku. Jakby wszechświat wreszcie postanowił się uśmiechnąć - stwierdził Sam, cały rozradowany.

Beknięcie.

-O tak! - powiedziała Dekka - Gazowane beknęcie.

Cała trójka roześmiała się.

- Jack! - zawołał Sam.

- Jestem zajęty! - odpowiedział chłopak.

- Chodź tu natychmiast!

Jack podbiegł, jakby spodziewał się kłopotów. Roześmiany Sam podał mu puszkę.

- Czy to...

- Tak - zapewnił go Sam.

Trzask. Pssst. Beknięcie.

Jack rozplakał się. Łkał, pił, bekał i śmiał się.

- Jack, zwariowałeś? - spytała Dekka.

- Chodzi o to, że... - nie potrafił znaleźć słów. Sam otoczył go ramieniem.

- Tak, stary, to za dużo, prawda? To za bardzo przypomina dawny świat.

- Ja jem szczury - wykrztusił przez łyż Jack.

- Wszyscy jemy szczury - odparła Dekka. - I cieszymy się, kiedy trafi nam się soczysty i tłuściutki.

- To prawda - wyszeptał Toto z pewnym niepokojem. - Oni jedzą szczury. Wcześniej o tym nie wspominali, Spidey.

Minęło południe. Sam zaproponował:

- Sprawdźmy, co jest w pozostałych kontenerach. A potem ruszajmy. To, że nam się udało, nie oznacza, że tym w mieście też.

- Nie potrzebujemy wody, mamy pepsi! - powiedział Jack.

Która jest super - odparł Sam. - I pewnie wystarczyłoby na parę dni, gdyby udało nam się zabrać ją do miasta.

To otrzeźwiło Jacka. Pokiwał szybko głową i powiedział:

- Tak, masz rację. Przepraszam. Ja po prostu... nie wiem. Przez chwilę wydawało mi się, że wszystko minęło.

Tym razem podeszli do wagonu towarowego. Gdy tylko otworzyli drzwi, poczuli słodki zapach pleśni. Wagon był pełen pomarańczy, ale dało się je poznać jedynie po etykietach.

Kleista ciecz pokrywała podłogę pagonu. Z niektórych skrzyni wyłaniały się fantastyczne formy włochatej pleśni.

- Na to już trochę za późno - powiedział Sam z żalem.

- Pomarańcze byłyby fajne - zauważył Toto.

Zawartość ostatniego kontenera była dość zróżnicowana: śrubokręty, piły, zestawy narzędzi i różne przedmioty do ćwiczeń.

Nikt się jednak tym nie interesował, bo myśleli jedynie o przedostatnim kontenerze.

Był wypełniony ręcznymi wyrzutniami raketowymi.

W tak zwanym szpitalu było jeszcze gorzej niż po pożarze. Wtedy bowiem dzieci krzyczały. Wykrzykiwały imię Lany.

Tym razem nie było krzyków. Pomieszczenie wypełniał chrapliwy kaszel. Jakby dzieciaki próbowały od razu wypluć swoje płuca.

Dahra stała nad jednym z łóżeczek, kładąc na głowie chłopca wilgotny ręcznik. Nie zauważyła, jak weszli tam Lana z Sanjitem.

Lana szybko policzyła. Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden? Jedne dzieci leżały w łóżeczkach, inne na materacach, owinięte kocami, zabranymi z kilkunastu domów. Niektóre, lekko ubrane, leżały na chłodnej, wyłożonej kafelkami podłodze.

Większość z nich kaszłała, kaszłała, kaszłała.

Dahra uniosła głowę, słysząc ich głosy.

- Dzięki Bogu, Lana. Spróbujesz jeszcze raz?

Lana bezradnie rozłożyła ręce.

- Zrobię, co w mojej mocy. Ale magia na to nie działa

Dahra otarła pot z czoła. Wyglądała, jakby nie spała od dawna. Albo nawet nigdy.

- To się nazywa wtórna infekcja. Człowiek zaraża się wirusem, a potem pojawia się coś jeszcze. Bardzo często to właśnie zabija.

- Ty tu rządzisz - powiedziała Lana. Naprawdę tak myślała.

- Ona - wskazała Dahra - Zaczynj od niej. 41 stopni. Tak jak Pookie wcześniej...

Lana podeszła do dziewczynki. Wydała jej się znajoma, chyba miała na imię Judith, ale trudno było rozpoznać kogoś o twarzy czerwonej od kaszlu, pokrytej potem, z ulizanymi włosami i przerażonymi, pustymi oczami.

Lana położyła rękę na głowie dziewczynki i omal jej nie cofnęła. Była gorąca jak talerz wyjmowany ze zmywarki.

Lana nie uważała leczenia za rytuał. Po prostu dotykała chorego i próbowała się skupić.

- A ty coś za jeden? - spytała Sanjita Dahra.

- Chłopak Lany - odpowiedział chłopak.

- Wcale nie - zaprzeczyła Lana.

- Nie powinno cię tu być - Dahra ponownie zwróciła się do Sanjita. - Już trzy osoby umarły. Idź się umyć w oceanie, a potem do domu.

- Dzięki, ale zostanę. Chciałbym pomóc.

Dahra zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy chłopak zwariował.

- Naprawdę chcesz pomóc? Bo potrzebuję, żeby ktoś opróżnił wiadro. Jeśli rzeczywiście chcesz pomóc.

- Chcę- Jakie wiadro?

Dahra wskazała na plastikowy kosz na śmieci z pokrywą. Wokół niego stała sterta plastikowych pojemników, których Dahra używała jako baseników.

Sanjit pochwycił je i ułożył na wiadrze z uryną i fekaliami- Smród wypełnił pokój.

- Na placu jest rów. A jeśli jesteś już taki chętny, mógłbyś wszystko splukać wodą.

- Zaraz wrócę - powiedział Sanjit.

Kiedy wyszedł, Dahra powiedziała: Podoba mi się twój chłopak. Niewiele osób zgłasza się do noszenia fekaliiów i wymiocin. Lana roześmiała się.

- On nie jest moim chłopakiem.

- Jeśli ma ochotę, może zostać moim. Jest uroczy. I nosi gównno.

Lana poczuła, że dziewczynka trzęsie się i drży pod jej rękami.

Dahra chodziła jak automat od łóżka do łóżka, od materaca do materaca, od koca do koca. Wzdychała, po raz kolejny zapisując temperaturę. Wszystko zapisywała. Prawdopodobnie nie tak dobrze, jak zrobiłby to lekarz, ale lepiej niż przeciętna czternastolatka, która znalazłaby się w pokoju z dwudziestką drżących, kaszlących pacjentów.

- Czemu nie jestem w stanie nic zrobić? - Lana zastanawiała się na głos. - Podczas pierwszej fali grypy zazwyczaj działało.

- Kwestia odporności - odparła Dahra. - Wirus dostaje się do ciała, ciało z nim walczy, wirus uczy się i wraca, gotowy na kolejną bitwę. Zamiast walczyć z przeciwciałami, nauczył się walczyć z tobą.

- Ale ja nie jestem przeciwciałem - zaprotestowała Lana.

- A to nie jest nasz stary świat, prawda? To jest szaleństwo, w którym nic nie działa tak, jak powinno.

Jej szaleństwo, pomyślała Lana. Przy pomocy jednej zapałki mogła ją spalić, zabić. Być może. Ilu śmierci można by uniknąć, gdyby Lana nie zawiodła?

Chłopiec, którego Lana знаła, pierwszoklasista o imieniu Dorian, nagle wstał i chwiejnym, niepewnym krokiem pobiegł w kierunku drzwi.

Dahra zaklęła i ruszyła za nim.

Dzieciak w sekundę opuścił pokój.

Już po chwili Sanjit pojawił się w drzwiach, trzymając w jednej ręce dłoń Dorian, a w drugiej na wprost wyczyszczone wiadro.

- No chodź, mały - powiedział. - Wracaj do łóżka.

Dorian jednak nie chciał słuchać. Zaczął krzyczeć i wyrywać się.

Rozpętało się istne pandemonium. Dwoje dzieci zaczęło głośno płakać, trzecie sturlało się na ziemię, a czwarte krzyknęło: „Chcę do mamy, chcę do mojej mamy!”

Potem kaszlnięcie, tak głośne, że wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Dorian. Wstał. Wydawał się zdziwiony tym, co właśnie wydostało się z jego ust. Odchylił się i zakaszał znowu.

- O nie - wyszeptała Dahra.

Lana podbiegła do chłopca i przyłożyła dłonie do jego głowy. Zakaszał tak głośno, że przewrócił się na plecy. Sanjit usiadł na nim okrakiem, a Lana położyła jedną dłoń na jego ciężkiej piersi, drugą zaś na gardle. Dorian zakaszał znowu, Sanjit odchylił się w tył, a głowa chłopca uderzyła o podłogę z przerażającym trzaskiem. Lana wciąż go trzymała.

- Jest tak gorący, że ledwie mogę... - powiedziała Lana, a Dorian zwinął się w konwulsjach, zgiął w pół i wypluł krwawą tkankę prosto na twarz Sanjita.

Lana nie zawahała się, nie wycofała, ale Dorian zakaszał znowu i tym razem krew wypłynęła z jego uszu i ust.

Lana nagłe wsiada i cofnęła się.

Nie przestawaj - powiedziała Dahra błagalnie.

Nie potrafisz wyleczyć śmierci - szepnęła Lana.

W tym momencie w drzwiach pojawiło się dwoje dzieci niosących trzeciego. Lana widziała z daleka, że dziewczynka, którą z trudem dźwigali, już nie żyła. Dahra też to zobaczyła.

- Połóżcie ją - powiedziała do nich. - Po prostu połóżcie ją tutaj, umyćcie się w oceanie i wróćcie do domu.

- Czy ona wyzdrowieje? Mieszka z nami.

- Zrobimy, co w naszej mocy - powiedziała Dahra obojętnym tonem. A kiedy wyszli, dodała: - Czyli nic.

Lana zamknęła oczy i poczuła zbliżającą się ku niej Ciemność, jej bladą mackę próbującą dotknąć jej umysłu.

A zatem tak właśnie nas zniszczysz, pomyślała Lana. Tak nas pozabijasz. Staromodny sposób: epidemia.

ROZDZIAŁ 19

28 GODZIN, 11 MINUT

Orc zбочył z drogi na plażę, żeby rozwalić stary budynek i znaleźć w nim butelkę. Znalazł dwie.

Trzymając po jednej w każdej ręce, ruszył w stronę wody. Pił z obu: łyk z lewej, łyk z prawej; bardzo szybko ciężar odchodów w jego spodniach zaczął mu się wydawać zabawny.

- Orc, stary, gdzieś ty był? Howard. Tuż przed nim.

- Spadaj - powiedział Orc. Nie czuł jednak wściekłości. Był zbyt zadowolony, żeby się wkurzać.

- Orc, stary, co się z tobą dzieje? Wszędzie cię szukałem! Orc patrzył na Howarda tęnym wzrokiem. Napił się, odchylając głowę tak mocno, że omal nie stracił równowagi.

- Dobra, wystarczy - powiedział Howard. Podszedł bliżej, sięgnął po butelkę i zacisnął na niej palce.

Orc odepchnął go. Poczuł nagłą potrzebę kopnięcia Howarda. Ten patrzył na niego, jakby już został skopany, a nie tylko odsunięty. Zdradzony i zbolaty.

Orc zamknął oczy i odwrócił głowę. Nie dawał rady. Gacie miał pełne, bolała go głowa, w jego umyśle wciąż kołatały się wspomnienia i w ogóle miał dość.

- Stary, tak nie powinno być. Zajmę się tobą, dobra? Howard wstał, chcąc pokazać, że wszystko z nim w porządku. Jego głos był kojący, jakby mówił do dziecka albo do jakiegoś prymitywnego zwierzątka.

- Mam wszystko, czego mi trzeba - powiedział Orc. Pokazał obie butelki, jak trofea.

Howard był spięty, gotowy do wycofania się. Z nosa ciekła mu krew.

- Wiem, że masz wyrzuty sumienia z powodu Drake'a. Wiem to, bo jesteśmy najlepszymi kumplami, prawda? Wiem, co czujesz. Ale trudno, stało się. A poza tym to była tylko kwestia czasu: prędzej czy później musiało się tak skończyć.

Orkowi podobał się taki tok rozważań. Miał jednak wrażenie, że podszyty jest on niechęcią.

- Bo nie można mi ufać, tak?

- Nie, stary, nie o to chodzi - odpowiedział Howard.

- Chodzi o to, że w żadnym więzieniu nie dałoby się zatrzymać Drake'a na zawsze. To wszystko wina Sama. Gdyby tylko zrobił to, co powinien...

- Wydaje mi się, że skrzywdziłem małego chłopca - powiedział wtedy Orc.

Wyrwało mu się. Po prostu. Nie planował tego. A w przyszłości mogło mu się wymknąć więcej takich słów. Tak jak zDrakiem: nie dawało się ich trzymać na uwięzi na zawsze.

To porównanie rozśmieszyło go. Śmiał się głośno, przez dłuższą chwilę. Potem zaczerpnął jeszcze łyk i zrobiło mu się niemal wesoło. Do chwili, gdy ponownie spojrzał na twarz kumpla. Bo Howard był bardzo poważny. I zmartwiony.

- Orc, stary, co masz na myśli? To znaczy, że skrzywdziłeś jakiegoś dzieciaka?

- Chcę tylko iść się umyć - powiedział Orc.

- Zaraz, ten dzieciak. Gdzie to się stało?

- Nie wiem - warknął Orc. Rozejrzał się, jakby mógł znajdować się we właściwym miejscu. Nie, to nie było to... To było... Na końcu przecznicy zauważył znak stop.

Obok leżała kupka łachmanów.

Orc poczuł, jak jego ciało ogarnia przenikliwie zimno Howard. wciąż coś mówił, ale jego głos był teraz tylko odległym bzyczeniem.

Orc wpatrywał się w jeden punkt, nie będąc w stanie nic powiedzieć, poruszyć się, odwrócić, normalnie oddychać. Wpatrywał się w małą kupkę ubrań, która - to okrutnie jasne - była ciałem.

Wspomnienie. Orc miał wtedy swoje dawne ciało, to zrobione z mięśni, a nie z twardego kamienia. Unosił swój kij bejsbolowy, chcąc, żeby Bette go popamiętała. Chciał ją lekko klepnąć. Pacnąć, by udowodnić, że to on rządzi.

Jej też nie chciał zabić.

- Pozbędę się tego - mówił Howard z daleka. - Schowam albo coś w tym stylu.

„To”. Jakby sterta ubrań nie była małym dzieckiem.

Orc odszedł, nie zważając na wołanie Howarda.

Był to niewielki, piaszczysty teren. Nie zatoczka, ale i nie plaża. Po prostu piaszczysta przestrzeń między skałami a trawą i zniszczonymi palmami.

Pięć rybackich łodzi - cała flota - zostało przycumowanych na plaży. Quinn pomyślał, że wyglądają jak z pocztówki z europejskiego portu. A przecież nie były wcale ładne, raczej zniszczone i strasznie śmierdziały.

Mimo to wydawały się właściwie idealne.

Quinn i jego rybacy rozstawili całkiem przyjemne obozowisko. Nigdy nie padał deszcz, więc brak namiotów specjalnie im nie przeszkadzał.

- Będziemy mieć kemping w starym stylu - ogłosił Quinn, jakby miało to stanowić ciekawą odmianę.

Dziewiętnastka rybaków szybko odkryła, że na plaży żyły pchły, maleńkie piaskowe kraby i inne zwierzątka, które czyniły sen niezbyt przyjemnym. Zapowiadała się długa noc.

Potem ktoś wpadł na pomysł, że należy wypalić pas trawy, bo dzięki temu można by usunąć z tego terenu robaki i kraby.

To oczywiście dało początek prawdziwemu ognisku. Wprawdzie zdecydowanie zbyt mocno dymiło i trudno było utrzymać płomień, ale i tak poprawiło wszystkim humor, tym bardziej że już niedługo upieczono w nim kolację złożoną z ryb, w tym z doskonałych steków z rekina.

Podczas kolacji rozmawiali o tym, co działo się w mieście. Quinn miał nadzieję, że ktoś wpadnie na to, żeby ich informować, że nie wszyscy o nich zapomną. Upewnił swoich towarzyszy, że Sam i Edilio zajmą się ich rodzeństwem i przyjaciółmi.

- Chodzi tylko o to, żebyśmy nie zachorowali i nie przestawali pracować - wyjaśnił.

- Och, super: praca - westchnął Cigar, a wszyscy się roześmiali.

Żaden z rybaków nie wydawał się chory. Żaden nie narzekał. Być może to, że byli w miarę zwartą grupą, a większość czasu spędzali sami ze sobą na oceanie, zapewniało im bezpieczeństwo. Mieli szansę.

Quinn patrzył, jak słońce zniża się ku horyzontowi. Samotnie wyszedł na cypel z kamienia i piachu, rozciągający się na kilkadziesiąt stóp. To dziwne, jak bardzo pokochał pracę na wodzie. Zawsze uwielbiał surfować. Teraz nie mógł już tego robić, ale wody wciąż było pod dostatkiem. Zbyt spokojna, zbyt cicha, zbyt przypominająca jezioro, ale wciąż była: namiastka prawdziwego oceanu. Uwielbiał przebywać nad nią.

Co by zrobić, gdyby bariera kiedykolwiek opadła? Czy poczekałby, aż będzie na tyle dorosły, by wyprowadzić się do Maine albo na Alaskę i zostać rybakiem? Roześmiał się. Dawniej nie taka ścieżka kariery przysłałaby mu do głowy. Teraz jednak nawet nie chciało mu się udawać, że ma ochotę iść na studia, by zostać prawnikiem albo biznesmenem, albo czymkolwiek, czego chcieli jego rodzice. Przekroczył pewną granicę. Odrobinę go to zasmucało, żadne z nich nie będzie już nigdy normalnym dzieckiem. A już na pewno nie ci, którym udało się odnaleźć szczęście wewnątrz ETAP-u.

Światło. W pobliżu wysp. Nie dałoby się go dostrzec przy pełnym oświetleniu Perdido Beach.

Quinn słyszał, że Caine i Diana mieszkają na jednej z wysp. Zdziwiła go myśl, że światło może dobiegać z sypialni Caine'a i że ten może spoglądać teraz przez okno w ciemną noc.

Trudno będzie o spokój, póki ten facet żyje.

Quinn zwrócił wzrok na południe. Słoneczka Sammy'ego nie były na tyle jasne, by oświetlić miasto. Czerwony blask zachodzącego słońca malował jednak kontur Clifftop, tak że rysował się na tle najbliższego łuku bariery.

Lana. Quinn lubił ją. Przez chwilę wydawało mu się, że i ona lubi jego. Coś się w niej jednak zmieniło. W pewnym sensie była dla niego zbyt ważną, zbyt potężną istotą.

Tak samo jak Sam, kiedyś jego najlepszy przyjaciel. Teraz należeli do różnych klas. Sam, bohater. Przywódca. Lana? Lana była postacią wspaniałą i tragiczną, niczym bohaterka sztuki lub powieści. A Quinn był rybakiem.

W odróżnieniu od nich odczuwał jednak radość. Spojrzał na swoją rybacką załogę. Czyścili sieci, porządkowali kołowrotki, ścinali trawę, by zrobić z niej łóżka, narzekali, żartowali, śmiali się, opowiadali historie, które wszyscy już słyszeli. Quinn tęsknił za swoimi rodzicami. Tęsknił za Samem i Laną. Ale to była teraz jego rodzina.

Roscoe zasnął z wyczerpania. Obudził się i poczuł natarczywe swędzenie w brzuchu. Podrapał się przez koszulkę.

Zasnął z powrotem. Sny nie pozwalały mu jednak porządnie się wyspać. Sny i swędzenie. Znów obudził się i dotknął swędzącego miejsca. Znalazł tam guzek, drobną opuchliznę. Kiedy przycisnął do niej palce, poczuł, że pod skórą coś się rusza. Nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Roscoe zadrżał. Podeszedł do okna, licząc na trochę światła. Zobaczył księżyc, jego blask był jednak słaby. Chłopiec zdjął koszulkę przez głowę. Spojrzał na swój brzuch. Coś się tam poruszało. W ciele. Czuł to pod palcami. Jakby coś pukało do niego. Nie czuł tego jednak od wewnątrz, w brzuchu. Zdał sobie sprawę, że całe jego ciało jest otępiate. Miał czucie w opuszkach palców, ale nie w skórze na brzuchu...Nagle skóra rozstąpiła się!

- Aaaa!

Pisnął ze strachu, macał ją, kiedy pękała, a tymczasem coś wydostało się z pozbawionej krwi dziury w jego ciele.

- O Boże, Boże. Nie, nie, nie!

Roscoe krzyknął i rzucił się ku drzwiom. Zacisnął dłoń na klamce, wołał i łkał, ale drzwi były zamknięte; o Boże, Boże, uwięziono go.

Walił w drzwi pięściami, ale był środek nocy. Któż mógłby go usłyszeć w środku nocy, w pustym ratuszu?

- Hej! Hej! Czy ktoś tam jest? Pomóżcie mi! Błagam, niech ktoś mi pomoże!

On krzyczał, a to coś w jego brzuchu wystawało już na pół cala. Bał się na to spojrzeć. Zrobił to jednak i zaczął krzyczeć, bo to coś miało teraz paszczę, wstrętny pysk robaka, niepodobny do żadnych normalnych ust. Hakowate, przerażające zęby zazgrzytały. To było wewnątrz niego i wygryzało swoją drogę na powierzchnię. Wykluwało się z niego.

- Pomóżcie mi, błagam, nie zostawiajcie mnie samego!

Kto jednak go usłyszy? Sinder? Nie, już nie. To się skończyło. Był sam, nie miał przyjaciół. Nikt nie słyszał jego krzyków i błagania. Okno. Chwytał poduszkę, oparł ją o szybę i mocno uderzył. Szkło pękło. Zdjął but i dalej uderzał w nie, póki większość odłamków nie pospadała na ziemię. Zaczął wołać o pomoc. Wypełniał krzykiem nocne powietrze Perdido Beach. Bez odpowiedzi.

- Pomocy! Proszę, proszę, Boże, pomóż mi! Ratunku! Nie możecie zostawić mnie tutaj w zamknięciu.

Wciąż jednak bez odpowiedzi. Poczł strach. Głęboki, oszałamiający strach. Nie, nie, nie, nie, nie, to nie może się dzieć. Nigdy nikogo nie skrzywdził, nigdy nie zrobił niczego okropnego. Dlaczego? Czemu go to spotkało? Roscoe upadł na kolana i zaczął się modlić. Boże, proszę, nie, nie, nie! Niczego złego nie zrobiłem. Nie byłem odważny ani silny, ale nie byłem też złym człowiekiem. Nie w ten sposób, proszę, Boże, nie, nie, nie w taki sposób! Roscoe poczuł swędzenie pośrodku pleców. Usiadł i zapłakał.

ROZDZIAŁ 20

25 GODZIN, 37 MINUT

Diana nakarmiła Penny trochę zbyt późno. Penny jednak nie narzekała. Trwała pogrążona we śnie, który sprawiał, że uśmiechała się do siebie, do swoich iluzji. W łazience było pełno ludzkich odpadów. Penny siedziała po turecku na plastikowej macie do ćwiczeń.

- Hej, chcesz wziąć prysznic? - spytała Diana.

Penny nie odpowiedziała, zachichotała tylko do czegoś, czego Diana nie widziała.

Diana pochyliła się i poklepała ją po ramieniu. Musiała to zrobić kilka razy, aż w zamglonych oczach Penny dał się dostrzec wyraz skupienia. Dziewczyna roześmiała się.

- Och, to rzeczywiście ty, prawda?

- Tak prawdziwa, jak tylko się da - odparła Diana.

- Przyszłaś nakarmić zwierzątko w zoo?

- Tu jest twoje jedzenie. Ale pomyślałam, że mogłabyś też wciąć prysznic albo kąpiel. To by ci pomogło.

- Dlatego, że śmierdzą, tak?

- Tak - odrzekła obojętnie Diana. Nie czekając na odpowiedź, podeszła do wielkiej, owalnej wanny z różowego marmuru. Nie wiedziała, na jak długo starczy wody. Na razie jednak była i to nawet gorąca. Mieli też zestaw szamponów, soli i płynów do kąpieli Bulgari. Wrzuciła do wody dwie musujące kulki. Penny nie miała zbyt wiele na sobie: tylko brudną, żółtą koszulkę i poplamione różowe szorty. I po dwie skarpetki na każdej ze złamanych kostek.

- Jak bóle? - spytała Diana.

- Paskudne. Czuję się, jakby ktoś połamał mi nogi kostki i stopy. Pokażę ci, jak to jest.

Nagle w pomieszczeniu znalazła się wataha wściekłych psów. Ich oczy były czerwone, z ich pysków buchała para, kłapały zębami w stronę Diany, gotowe, by się na nią rzucić i rozerwać na strzępy. A potem zniknęły.

- Właśnie tak - powiedziała Penny, czerpiąc okrutną przyjemność z tego, jak tamta odskoczyła do tyłu, z przerażeniem wpatrując się w iluzję. Diana uspokoiła się. Jej zdenerwowanie tylko dodałoby Penny siły.

- Przykro mi - powiedziała, nie potrafiąc wymyślić nic innego. - Zjedz coś, zanim wanna się napełni.

- Nie musisz tu zostawać. Mogę się podciągnąć i wejść do wanny sama. Ręką uniosła do ust trochę spaghetti z mięsnym sosem.

- Mogłabyś się utopić.

- A to byłoby straszne, prawda?

Diana nie odpowiedziała. Penny nie czekało nic poza cierpieniem. Jej nóg nie dało się uleczyć bez pomocy Lany, a jedyne lekarstwa, jakie mieli to tylenol i motrin. To tak, jakby próbować ugasić pożar przy pomocy pistoletu na wodę.

- Dobrze, że masz swoją moc - powiedziała Diana.

- Tak, świetnie. Naprawdę super. To tak, jakbym miała prywatne kino gore. Chcesz wiedzieć, co widziałam, zanim przyszłaś?

Diana była przekonana, że wcale nie chce.

- Tworzyłam potwory z zębami z igieł. Podobne do wampirów, ale też trochę do wilków, nietoperzy i różnych innych przerażających stworzeń, które widuje się na obrazkach. A wiesz, co robiły?

- Pomogę ci zdjąć szorty.

Diana uklękła i powoli zdjęła szorty Penny. Była tak ostrożna, jak tylko się dało, ale dziewczyna i tak krzyknęła z bólu.

- Rozrywały cię na strzępy - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Rzuciły się na ciebie i robiły wszystkie obrzydliwości, jakie tylko umiałam wymyślić.

- Podnieś rękę.

Diana ściągnęła Penny koszulkę, ale już nie tak delikatnie.

- Wsłuchiwanie się w twój wrzask w moich snach pomaga mi nie krzyżeć - oświadczyła Penny.

- Każdy sposób jest dobry - odparła Diana.

Włożyła ramię pod pachę Penny, pochyliła się i uniosła

ją. Dziewczyna nie była ciężka. Jedzenie nie zmieniło jej szczupłej sylwetki topmodelki.

- Au, au, auuuu - załkała Penny.

Diana posadziła ją na krawędzi wanny i odchyliła się, żeby zakręcić kran.

- Caine'owi byłoby łatwiej - powiedziała Penny - ale tego nie zrobi, prawda? Nie chce tu przyjść i zobaczyć, co zrobił. Pan i władca Caine.

Dianie z trudem udało się utrzymać większość ciężaru Penny i zanurzyła w ciepłej wodzie górną połowę jej ciała. Poskręcane nogi zsunęły się za właścicielką.

Penny wrzasnęła.

- Przepraszam - powiedziała Diana.

- O Boże, jak to boli, boli, boli!

Diana cofnęła się o krok. Penny pociała się, była i bledsza niż zazwyczaj. Jednak już nie krzyczała. Oparła o wannę, zanurzyła się w wodzie i bąbelkach. ^^^

- Umyję ci włosy. - Diana sprawdziła temperaturę wody i zmoczyła nią gładkie włosy Penny.

Nalała sobie szampon na dłonie i spieniła go.

- Całkiem jak u fryzjera - powiedziała Penny.

- Taaa. Pewnie będę tam kiedyś pracować - powiedziała Diana.

- Nie, jesteś na to za mądra - powiedziała Penny. Zamknęła oczy. Diana splotkała szampon z jej głowy i szyi. - Piękna, mądra, no i teraz masz Caine'a tylko dla siebie, prawda?

Diana westchnęła.

- Jestem przegrana, Penny. Tak samo jak ty.

W tym momencie wszedł Caine. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Usłyszałem krzyk.

- Och, przepraszam bardzo - warknęła Penny. - Mam nadzieję, że cię nie obudziłam, ty cholerny...

- Wszystko okej? - Caine zwrócił się do Diany.

- Doskonale - powiedziała Penny. - Cała jest doskonała: ma doskonałe włosy, zęby i skórę. No i może chodzić, a to jest naprawdę super.

- Już mnie tu nie ma - wycofał się Caine.

- Nic z tego - zaprotestowała Diana. - Pomóż mi ją podnieść.

- Właśnie, Caine, nie chcesz zobaczyć mnie nago? Wciąż jestem całkiem atrakcyjna. O ile nie przeszkadzają ci moje nogi. Może po prostu na nie nie patrz, bo od tego może ci się zrobić niedobrze.

Ku zaskoczeniu Diany, Caine powiedział:

- Powiedz tylko kiedy.

Diana wyciągnęła zatyczkę z wanny.

- Czemu po prostu mnie nie zabijesz? - spytała Penny. I tak wcześniej czy później to zrobisz. Wiesz, że nie będziesz mógł opiekować się mną w nieskończoność. Chcesz to zrobić, prawda? Diana próbowała odczytać odpowiedź w oczach Caine'a. ale nie mogła. Czasami wydawało jej się, że jest w nich odrobina ludzkiej przyzwoitości. Kiedy indziej były oczami bezlitosnego rekina.

- Okej, podnieś ją - powiedziała Diana.

Caine podszedł bliżej i unióś ręce. Penny wynurzyła się z wody jak przerażająca parodia bawiącego się delfina. Unosiła się, a bąbelki piany spływały po jej ciele.

Dianna chwyciła prysznic i skierowała strumień wody na lewitującą Penny. Nawet dotyk kropli na nogach sprawił, że Penny skrzywiła się i zacisnęła zęby.

Diana rozłożyła na macie czysty ręcznik, a Caine powoli, delikatnie ułożył na nim Penny.

- Mogłabym wypełnić twoją głowę żywymi koszmarami - zwróciła się Penny do Caine'a. - Mogłabym sprawić, że zaczniesz krzyczeć tak jak ja.

- Ale wtedy zabiłbym cię, Penny - powiedział chłodno Caine. - A nie wydaje mi się, byś była gotowa na śmierć.

Albert wpatrywał się w księgę rachunków, jakby była odpowiedzią na wszystkie jego zmartwienia. Tak naprawdę jednak to ona była powodem do zmartwień. Kolumny, w które zazwyczaj wprowadzał rezultaty zbiorów, liczbę gołębi i mew schwytych przez Briannę, liczbę sprzedanych mu szczurów, upolowanych przez Huntera oposów, wiewiórek i saren, były tego dnia puste.

Albert przypomniał sobie, że powinien wysłać kogoś portu, żeby odebrał połów. Powinien był zrobić to wcześniej ale zbyt wiele się tego dnia działo. Mógłby wysłać Jamala. No właśnie: gdzie był Jamal? Miał wrócić o zmierzchu a było już znacznie później.

Albert zanotował sobie w głowie: dać Dahrze coś ładnego w podziękowaniu za szybkie myślenie. Gdyby Quinn i jego ludzie zachorowali, sytuacja stałaby się jeszcze bardziej dramatyczna.

W swojej księdze Albert miał stronę, na której zapisywał dane dotyczące wody. Butelki wody znalezione w domach i samochodach: zero. Przywiezione cysterny wody: zero przez cały dzień.

W mgnieniu oka Perdido Beach z miasteczka samowystarczalnego w podstawowej kwestii, zmieniło się w miejsce na skraju katastrofy.

Albert rozejrzał się po pokoju. Jego wrodzona ostrożność zaczęła ocierać się o paranoję. Dom był całkiem pusty, nawet pokojówka wyszła. Jednak to, co zamierzał zrobić, mogłoby ściągnąć na niego kłopoty: otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej butelkę wody.

Odkręcił kapsel butelki wody Arrowhead. Napił się, po czym zakręcił ją z powrotem i schował. Zamknął biurko. Nie trzeba było nic dodawać do tabeli.

Wtedy usłyszał łatwy do rozpoznania dźwięk: tłuczonego szkła. Albert zamarł. Dźwięk dobiegał z niedaleka. Z kuchni? Przez chwilę wahał się, rozważając, co może zrobić. Potem sięgnął pod spód biurka i wymacał przyczepiony do niego pistolet. Drzwi otworzyły się. Usłyszał ich łomot i poczuł, jak zmienia się ciśnienie powietrza. Odsunął krzesło i spróbował oderwać taśmę, żeby móc chwycić pistolet porządnie, tak jak pokazywał mu Edilio. Działał jednak zbyt wolno, spóźnił się a oni zdążyli już wpaść do środka i rzucić się na niego. Turk, Lance, Watcher i Raul. Wszyscy uzbrojeni.

Watcher - spokojny jedenastolatek, którego przyłapano na kradzieży - uderzył go drążkiem w kolano.

- Aaaa! - Uderzenie nie było bardzo mocne, jednak ból smagnął jego nogę tak, że przez sekundę nie był w stanie myśleć o niczym innym. Nigdy nie czuł podobnego bólu. Jego kostka i stopa drżały, jakby nastąpił na przewód pod napięciem.

- Łap go!

-Tak!

- Walnij go jeszcze raz!

- Nie! - zawołał Albert, jednak tym razem Turk zamachnął się i trafił go strzelbą w twarz. Z nosa pociekła mu krew. Bardziej go to otępiło, niż zabołało. Jego myśli były rozbiegane.

- Co...? - zawołał.

Jego pistoletu nie było. Zaciśnął pięść, głupiejac na parę sekund, nie będąc w stanie zrozumieć...Turk chwycił go za szyję i uderzył jego twarzą o biurko. W jakiejś części umysłu Alberta pojawiła się w tym momencie myśl, że krew może spłynąć na kartki i uniemożliwić ich odczytanie. Jęknął, kiedy ktoś uderzył go w plecy i w bok, po czym gwałtownie przycisnął jego twarz do blatu. Potem Turk podniósł go i rzucił o ścianę. Nogi Alberta odmówiły mu posłuszeństwa i upadł na pośladki.

Cała czwórka stała nad nim. Albert zdawał sobie sprawę, że krwawi i płacze. I że zarówno jego łyzy, jak i krew sprawiają tym potworom wiele radości.

- Czego chcecie? - zapytał bełkotliwie, zdając sobie sprawę, że złamany ząb utkwiał w jego języku.

- Czego chcemy? - przedrzeźniał go Turk. - Wszystkiego. Chcemy wszystkiego.

Kiedy Diana wykąpała Penny, poczuła, że sama ochotę na prysznic. Umyła włosy szamponem. Nałożyła na nie odżywkę. Ogoliła nogi i pachy. To było takie normalne. Poczowała się prawie jak w domu. Tyle że tutaj obleśni faceci jej matki nie wchodzili do łazienki, udając, że szukają aspiryny. Niechętnie zakręciła kurek. Mogłaby stać pod prysznicem godzinami. Gdzieś z tyłu głowy tkwiła jednak myśl, że najpierw zmarnowali kupę jedzenia, a potem musieli głodować. Nauczyła się, że niczego marnować nie wolno. Owinęła się miękkim ręcznikiem kąpielowym i umyła zęby. Podeszła do swojego łóżka i zobaczyła, że Caine czeka na nią. Stał w dziwnej pozycji, obgryzając paznokcie.

- Napoleon? - spytała go.

- Nie - odparł i wlepił wzrok w ziemię.

- Ahaaaa.

- Pomogłem przy Penny.

- Tak, pomogłeś. I tylko raz zagroziłeś, że ją zabijesz.

Cień uśmiechu.

- Nawet Sam by jej zagroził.

Diana podeszła do niego. Nie dotykali się. Stali jednak o parę centymetrów od siebie. Na tyle blisko, że Diana czuła na twarzy jego oddech.

- Dlaczego mnie uratowałeś?

Caine wzięty głęboki, uspokajający oddech, jakby przygotowywał się do skoku do wody.

- Bo ja... - - przerwał i zamrugał; wydawał się zaskoczony słowami dobiegającymi z własnych ust: - Bo co ja bym bez Ciebie zrobił? Jak miałbym żyć bez ciebie? Bo...

- Bo?

- Bo jesteś jedynym człowiekiem, jakiego potrzebuję.

Diana popatrzyła na niego sceptycznie. Czy się zmienił? Chociaż trochę? Czy była to tylko manipulacja?

Być może miała się nigdy nie dowiedzieć. W tym momencie była jednak pewna, że tylko tyle od niego dostanie. I że to wystarczy. Nie zamierzała go odtrącać. Chwyła jego głowę w obie ręce i przyciągnęła do siebie. Pocałowała go. Był to wygodniały, dziki pocałunek. Nie było czasu na oddech, na delikatność, na jakiegokolwiek inne głupie pytania i wątpliwości. Diana cofnęła się o krok i rozchyliła ręcznik, który opadł na podłogę.

Caine wydał z siebie dźwięk duszonego zwierzęcia. Popchnęła go mocno. Wylądował na plecach na łóżku. Zaczął zdejmować z siebie koszulkę.

- Nie, ja to zrobię - powiedziała Diana. - Zrobię wszystko.

PETE

Coś było nie w porządku. Nie był już w stanie utrzymać równowagi na szkle. Spadł. Wciąż spadał. Dzwoniło mu w uszach. W jego ciele płonął ogień, a poza tym ciałem nic innego już nie widział. Głos siostry odbijał się słabym echem. Ciemność była daleko. Był wewnątrz samego siebie, paląc się, skręcając i spadając, wiecznie spadając. Spróbował wezwać matkę, ale wymknęła mu się. Chłodny wiatr nie był w stanie go dosięgnąć, muskał jego twarz, ale nie gasił ognia. Czuł, jak jego ciało wypełnia pustka. Źle. Źle, że w ogóle je widział, że ciało zajmowało tak wiele jego myśli, odsuwając na bok wszystko inne. Ból. Jeden z wielu wybuchów białych, gorących strzał. Jego siostra była smutna. Jej niespokojne, zbyt jasne zbyt niebieskie oczy pływały wokół jak ryby w akwarium. Błada macka sięgnęła, szukała, ale nie mogła go znaleźć, bo nie stał już na szczycie w pełnej równowadze, ale spadał, spadał prosto w pragnienie, ogień i ból. Musiał to powstrzymać. Ale jak?

ROZDZIAŁ 21

24 GODZINY, 10 MINUT

Mały Pete oblizwał wargi. Były suche i spękane. Astrid też chciało się pić. Nie zważając na kwarantannę, kilka razy wyszła z domu w poszukiwaniu wody. Teraz planowała doczekać świtu, kiedy rosa osiądzie na liściach drzew i krawędziach dachu. Miała wycieraczkę, wiadro i w miarę czyste szmaty. Musiała zdobyć wodę. Musiała dać Pete'owi coś do picia. Nie było nikogo, kogo mogłaby poprosić o pomoc. Sam odszedł. Edilia nie mogła znaleźć. Kto byłby w stanie coś dla niej zrobić, jakoś jej pomóc? Mały Pete zakaszłał chrapliwie i oblizwał wargi. Zwisając w powietrzu, obrócił się jak kurczak na różnie, poruszany silnym wiatrem, płynącym zza okna.

Gdy już było po wszystkim, Diana ułożyła się samotnie w łóżku. Wyrzuciła stamtąd Caine'a, a on cieszył się, że może sobie pójść. Dianie nie przeszkadzałoby, gdyby został. Poczula jednak, że powinien odejść i wszystko przemyśleć, zastanowić się w co się wpakował, i pożałować, że się uspokoił i zaakceptował wszystkie jej warunki. Oczywiście wszystko to było tylko fantazją. Marzenie, on się zmieni. Może kiedyś. Może gdy będzie starszy. gdy będzie miał pracę, dom, żonę i to wszystko, co zmienia szalonych chłopców w mężczyzn. Oczywiście nie znaczy to, że mężczyźni zawsze zachowuj się lepiej od chłopców. Diana leżała teraz po swojej stronie łóżka, jakby Caine wciąż leżał obok. Tamta strona po prostu należała do niego. Oczywiście, jeśli tak było, musiała wyruszyć na poszukiwanie prezerwatyw. Po dwóch razach ryzyko zajścia w ciążę nie było jeszcze takie wielkie, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak wycieńczony był jej organizm. Ale jednak. Ostatnim, czego ktokolwiek mógł tu chcieć, było dziecko. Jakie szanse miałoby dziecko, którego ojcem byłby Caine, a matką ona? Diana roześmiała się cicho. Później nie była w stanie przypomnieć sobie konkretnego powodu, dla którego jej śmiech zamienił się w pełne goryczy łzy.

Edilio stał nieruchomo w korytarzu przed pokojem Roscoe. Ledwie oddychał. Co miał powiedzieć? Co miał powiedzieć chłopcu, który był bliski śmierci? Najstraszniejsze było to, że nie potrafił nic dla niego zrobić. Dobrze, że Roscoe wołał Boga, bo tylko on mógł go uratować. Edilio nie. W gruncie rzeczy to, co zamierzał, oznaczało zniszczenie ostatniej nadziei Roscoe. Edilio spojrzał na dyktę. Trzy połówki prześcieradeł, każda o wymiarach cztery na cztery stopy. Młotek i gwoździe. Trzeba to zrobić. Po prostu trzeba. Roscoe - to, co w nim rośnie - nie mógł uciec. Emilio przeciągnął po podłodze pierwszą płachtę i zawiesił ją na drzwiach.

- Słyszę tam kogoś! - zawołał Roscoe.

- To ja, Roscoe. Edilio.

- Edilio! Proszę, czy możesz mi pomóc?

Edilio otworzył opakowanie gwoździ, uniósł młotek, ustawił gwoździe tak, żeby przebił się przez drewno aż do gzymsu.

- Roscoe, bracie, mc me mogę zrobić. Muszę... Usłyszysz przybijanie gwoździ.

-Co?

Edilio uderzył młotkiem w gwoździe. Musiał działać ostrożnie: było całkiem ciemno, a uderzenie na chybił trafił nie było najlepszą metodą wbijania gwoździ. Pomyślał, że to zajmie mnóstwo czasu.

- Roscoe, stary, ja muszę to zrobić - tłumaczył Edilio.

- Zamkniesz mnie tutaj i pozwolisz mi umrzeć?

Edilio zawahał się.

-Tak.

- Nie możesz. Nie zrobisz tego. Nie!

- I muszę to samo zrobić z oknem.

- Edilio, nie. Stary, proszę. Przecież nie chcesz tego robić.

- Nie, nie chcę.

Roscoe zamilkł, kiedy Edilio przybijał pozostałe kawałki dykty do okna. Drugi kraniec przybił do podłogi ogromnymi gwoźdźmi, których mocowanie trwało całe wieki.

Na świeżym powietrzu Edilio przygotowywał się do tego, co go teraz czekało. Oparł drabinę o ścianę budynku i z pewnym trudem uniósł płachtę plywood. Pomyślał, że zaraz spadnie i zabije się, a to będzie sprawiedliwe. Roscoe stał przy oknie. Jego twarz w świetle księżycy wyglądała przerażająco.

- Czy naprawdę nie ma... - jęknął.

- Nawet Sam nie potrafił tego zabić - powiedział Edilio. - Próbował, ale mu się nie udało. Nie mogę im pozwolić, by krzywdziły więcej ludzi.

- Jasne - Roscoe pokiwał głową. Jego szczęki były tak sztywne, że zęby zgrzytały głośno.

- Przepraszam cię, stary - powiedział Edilio. Oparł drewno o okno, ostrożnie ustawiając je na wąskiej ramie.

- Powiedz wszystkim, dla których byłem niemiły, że ich przepraszam - poprosił Roscoe. Jego głos był przytłumiony.

- Nigdy nie byłeś dla nikogo niemiły. Byłeś świetnym chłopakiem - powiedział Edilio, zbyt późno zdając sobie sprawę, że używa czasu przeszłego. Szybko przytknął pierwszy gwoźdź. Uderzył się gwoździem w palec. Ból aż oszołomił go. I ucieszył.

Orca obudził ból głowy i dreszcze. Leżał na brzuchu na piasku. Woda zakrywała jego stopy, delikatnie omywając łydki. Jego głowa była wielką obolałą banią. W ustach miał piasek. Podobnie jak w szczelinach między kamieniami, składającymi się teraz na jego skórę, widział butelki. Leżały o kilka centymetrów od jego głowy. Całkiem puste. Ani kropelki. Wciąż był trochę pijany. Nie spał wystarczająco długo, żeby wytrzeźwieć całkowicie, ale nie był to już stan, w którym urywa się film.

Był nagi. Zdziwiło go to trochę, ale niczym przez mgłę przypomniał sobie, jak zdarł brudne, poplamione ubrania i podobny do dzikiego, ryczącego zwierzęcia, rzucił się do wody.

I tak nikt go nie widział. Nikogo nie było w okolicy. Nikt nie wytrzymałby w okolicy wściekłego Orca. Wszyscy się mnie boją, pomyślał. A to niespodzianka. Potwór Orc, utyłany własnymi odchodami, drący się, przedzierający się przez sięgającą do pasa wodę, przerażał ludzi. Postanowił poszukać następnej butelki. Jak najszybciej, ^nim wszystkie wspomnienia wrócą. Było już jednak zbyt późno: wróciły. Ukląkł. To prawda: był brudnym, obrzydliwym pijakiem, ale był też silny. Musiał przejść nago przez ciemne ulice. I co z tego? Nie był już chłopcem, był potworem. Nagi Orc stanowił tylko ciekawostkę, z której można się pośmiać. Kolejną rzeczą, która budziła ich obrzydzenie. Próbował wstać, ale przewrócił się na plecy. Zwymiotował. Zaślinił twarz, ostatni kawałek swego ciała pokryty ludzką skórą.

Gwiazdy świeciły na niebie, zamglone. Oto on: Charles Merriman. Nienawidził siebie z całego serca. Dostał to, na co zasłużył. Zimną wodę, zimny piasek i ból. Dlaczego nie mógł po prostu umrzeć? Zasłużył na śmierć. Chciał umrzeć. Jeśli jakiś Bóg patrzył na niego z góry, z pewnością czuł wstręt. Bóg oczywiście zapewne lubił robić takie rzeczy. Charles Merriman był pewnie jego ulubioną ofiarą. Musiał pomyśleć sobie coś takiego: „Dam temu dzieciakowi ojca pijaka, tępą matkę, sprawię, by nawet nie nauczył się czytać, a potem, kiedy wreszcie

uda mu się zyskać trochę szacunku, zmienię go w potwora”. Nikt nie traktował Charlesa Marrimana, jakby był po prostu dzieciakiem, kimś wartościowym. No, może poza Howardem, ale Howard po prostu go wykorzystywał. Jediną osobą, która była dla niego miła, była Astrid. Nie to, żeby go lubiła, ale nie uważała go za śmiecia. Nie uważała go za wielkie nic. Raz nawet uratowała mu życie. Ale nawet wcześniej była dla niego miła. Ona jedna. Z wielkim wysiłkiem Orc wstał.

Sam postanowił rozbić obóz tuż koło pociągu. Mieli drewniane skrzynki, których mogli użyć na podpałkę. Po chwili ogień wzbił się w niebo. Skonstruowali obozowisko z mebli ogrodowych. Zjedli nutellę i wypili pepsi, i nadal nie mieli dość słodczy. W spokoju patrzyli na płomienie i wzbijające się w powietrze iskry.

- Jeśli przyprowadzimy tu dzieciaki, dowiedzą się o broni - powiedziała Dekka.

- To prawda - zgodził się Sam. Pokazał jej gest, znaczący „ciszej”, wskazując na Toto, który drzemał spokojnie na wiklinowym krześle.

- Nie damy rady zanieść tego wszystkiego do miasta. Oni muszą przyjść tutaj.

- Tak.

- Teraz potrzebujemy tych... jak one się nazywają?

- M3-WPS0. Wielofunkcyjny Przeciwpancerzy System Obrony-Jack w świetle płomieni czytał instrukcję obsługi.

Sam przewrócił oczami.

- Właśnie, M3. To ostatnia rzecz, jaką chciałbym zobaczyć w łapach dzieciaków.

- Możemy je jakoś schować? - zasugerowała Dekka.

- Ja nikomu nie powiem - zapewnił Jack - I tak nie chciałbym, żeby ktoś się tu zwał i zwinął moje komputery.

- Przypominam, że mamy w naszej małej drużynie nowego członka - zauważył Sam. - Prawdomównego Toto. Nie wygląda na szczególnie dyskretnego gościa.

Wstał i wrzucił do ognia kolejną drewnianą skrzynkę. Miał nadzieję, że ognisko odpędzi kojoty. Ziewnął, usiadł na wiklinowym krześle i położył zmęczone stopy na stoliku,

- Wiecie co? - powiedział Sam. - Wciąż zapominam, że nie jestem już dowódcą - roześmiał się z zadowoleniem.

Powiem o wszystkim Albertowi. Edilio przejmie małego. I nie będzie to już mój problem.

- Tak, jasne, to na pewno się uda. - rzuciła Dekka.

Sam zauważył, że maca się po brzuchu, uciska go marszcząc brwi.

- Coś nie tak? - spytał.

Dekka pokręciła głową.

- Muszę się przespać.

Sam zasnął. W środku nocy obudził się i zobaczył, że ognisko wypaliło się prawie i pozostał po nim tylko rozżarzony węgiel. Dekka siedziała nieco dalej, tyłem do niego, z uniesioną koszulką. Macała się po brzuchu. Sam poszedł z powrotem spać, ale znowu się obudził. Wydawało mu się, że minęło ledwie kilka sekund, ale ognisko całkiem już zgasło, a Dekka chrapała na swoim krześle.

Coś kryło się w ciemności.

Kojoty? Nie chciał walczyć z kojotami. Gdyby ktoś został ranny, trudno byłoby się im dostać do Lany. Uniósł dłoń i zapalił słoneczko Sammy'ego. Uniosło się kilka metrów w górę, otaczając obozowisko słabym światłem. Toto i Jack wciąż spali. Dekka już nie.

- Co się dzieje? - spytała.

- Nie wiem.

Wskazał miejsce, z którego - jak mu się wydawało - dobiegł dźwięk. Potem, na tyle głośno, by zostać usłyszanym, ale na tyle cicho, żeby nie obudzić towarzyszy, powiedział:

- Jeśli tam jesteś, wiedz, że jestem Jasną Dłonią. Spalę cię, jeśli nas zaatakujesz.

Żadnej odpowiedzi. Jedynie słaby szelest. Coś w rodzaju kliknięcia. Albo i nie. Potem znowu cisza.

- No to koniec spania - powiedział Sam.

- Mogę zostać na straży.

- Dekka, czy chciałabyś mi coś powiedzieć?

Usłyszał westchnienie.

- Mam paranoję, Sam. Wiesz, upewniam się. Burczy mi w brzuchu, a ja pomyślałam, że może... no wiesz

- Dekka, ostatni raz jadłaś coś słodkiego wiele miesięcy temu. Nic dziwnego, że z twoim żołądkiem coś się dzieje.

- Wiem. A z twoim okej?

- W miarę. Nie do końca - skłamał Sam.

Jack obudził się, uderzając ramieniem w stół.

- Co jest? - spytał. Usiadł. Potarł twarz. Znalazł okular i założył je. - Dlaczego nie śpicie? Wciąż jest noc.

- To prawda: wciąż noc - zgodził się Toto.

- No dobra, ale skoro nikt już nie śpi, równie dobrze możemy ruszać. Im szybciej, tym lepiej - powiedział Sam z westchnieniem. - Chodźmy znaleźć to jezioro.

Sanjit był szczupły, ale silny. Kiedy więc Lana zemdląca, był w stanie chwycić ją i podtrzymać. Dahra widziała tę scenę.

- Potrzebuje snu - powiedziała. - Zabierz ją stąd.

- A ty? - spytał Sanjit.

- Mam już wprawę w krótkich drzemkach - Dahra wzruszyła ramionami. - Poza tym Virtue przydaje nam się prawie tak samo jak ty.

- Prawie? - mruknął Virtue.

Przyszedł do tak zwanego szpitala, sądząc, że Bowie czuje się znacznie lepiej. Zostawił resztę swojego rodzeństwa w łóżkach z niewystarczającą ilością wody i niewystarczającą ilością jedzenia. A teraz pomagał Dahrze. Dziewczyna położyła dłoń na jego ramieniu.

- Ratujesz mi życie, Virtue, mój mały, afrykański bracie - powiedziała.

Virtue uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało. Rodzice Dahry pochodzili z Ghany, a Virtue'a z Kongo, więc nie byli nawet z tych samych okolic, ale i tak odnosił wrażenie, że mają ze sobą coś wspólnego. Coś oprócz tego, że oboje byli niesamowicie przyzwyczajonymi ludźmi.

- Nie dam rady zanieść Lany do Clifftop - stwierdził Sanjit - Ale znajdę jakieś miejsce, gdzie będzie mogła odpocząć. Lana obudziła się, mruknęła: „Uchhh... co?”, po czym znowu zamknęła oczy, a Sanjit wziął ją w ramiona. Virtue przyniósł parę koców i przerzucił mu je przez ramię. Sanjit wyniósł Lanę z piwnicy, minął korytarz pełen biednych, chorych dzieci i wyszedł na plac. Spoczywało tam obok siebie pięć niepochowanych ciał. Na każdym z nich leżał inny koc, twarze przykryte były satyną, wełną i kordonkiem. Nadali epidemii imię, okrutny pseudonim. Nazywali ją NKŚ: Nadprzyrodzony Kaszel Śmierci. Tego dnia zdali sobie jednak sprawę, że niektóre dzieci zdrowieją. Grypa była okropna, ale nie stała się wyrokiem śmierci dla każdego, kto się nią zaraził. Nie dawali rady prowadzić dokładnego rejestru, ale z pospiesznych notatek Dahry wynikało, że mniej więcej jedna osoba na dziesięć zapadała na skrajną formę NKŚ. Sanjit niósł Lanę z trudem, ale nie chciał położyć jej na ziemi obok

martwych ciał, ani tam, gdzie wciąż słycać było ostry kaszel. Brakowało jej nie tylko snu. Brakowało jej miłości i nadziei. Tkwiła w poczuciu winy, że nie udało jej się zostać bohaterką, że nie pokonała zła, że nie zauważyła, co dzieje się z Mary. Zaniósł ją na plażę i ułożył na jednym z koców, który rozpostarł na miękkim, suchym piasku. Leżała na swoim pistolecie, więc wyjął go jej zza pasa i położył na brzuchu. Potem przykrył drugim kocem.

Jej wierny pies towarzyszył im przez cały czas i skulił się obok swojej pani. Popatrzył pytająco na Sanjita. Pomyślał, że będzie tu bezpieczna. Nikt nie chciał skrzywdzić Uzdrowicielki. A Patrick zaszczezałby, gdyby ktoś odważył się zbliżyć.

Sanjit jednak nie chciał zostawić jej samej. Usiadł w pozycji jogina i postanowił poczekać na wschód słońca.

Albert nie stawiał oporu. Pomyślał, że ktoś bardziej odważny by to zrobił. Ale on nie był odważny. Kiedy Turk spytał go, gdzie jest jego sekretna kryjówka, Albert powiedział mu. Po prostu. Wcześniej zmoczył się. Rozryczał. Wciąż nie przestawał płakać. Wiedział, że umrze. Za chwilę zorientują się, że puszczenie go wolno byłoby niebezpieczne. On sam zdawał sobie z tego sprawę, więc jak oni mogliby nie wiedzieć? Być może jednak uda mu się coś wynegocjować. Może teraz, kiedy przejęli już całą zawartość jego kryjówki, całe to żarcie w puszkach i wodę. Nie było tego dużo, chociaż w ETAP-ie wydawało się niezmiernym bogactwem. Zapakowali jego rzeczy do dwóch małych pudełek i do kieszeni swoich bluz.

- Macie, czego chcieliście. - Albert desperacko starał się pokonać łkanie, nie udawało mu się to jednak. - Po prostu idźcie stąd. Nic nikomu nie powiem.

- Chowałeś trzy puszki spaghetti z sosem! - powiedział Raul z niedowierzaniem. - Trzy puszki!

- Weźcie je - błagał Albert. - Weźcie wszystko.

Turk spojrzał na Lance'a. Nawet bliski desperacji, Albert wiedział, że jeszcze nie zdecydowali. Zapaliła się w nim maleńka iskra nadziei. Może jednak. Może tego nie zrobią.

- Słuchajcie, chodzi wam o jedzenie i wodę, prawda? zaczął Albert.

- A masz więcej? - spytał Lance wściekle.

- Nie-nie-nie tutaj.

- Nie-nie-nie - przedrzeźniał go Lance.

- N-n-n-nie tu-tu-tutaj - powiedział ze śmiechem Watcher.

- No to gdzie jest reszta? - spytał Turk i kopnął go lekko. To jednak wystarczyło, żeby ból ze złamanego kolana Alberta przeszył całe ciało. Kolano było już strasznie spuchnięte. Bolało najbardziej ze wszystkich ran na jego ciele.

- Tutaj nie mam nic więcej - wyjaśnił. - Ale wiecie, dużo zarabiam, więc dużo kupuję. Kontroluję wszystko, co się tu produkuje i tak dalej.

- Tak - kpił z jego poważnego tonu Turk - Jesteś ważniakiem, Albercie. Szkoda tylko, że się zsikałeś.

Wszyscy znowu roześmiali się donośnie.

- Masz nas za idiotów? - spytał Lance. - Myślisz, że jesteśmy bandą białych durni, którzy nie wiedzą, że możesz w każdej chwili wezwać Sama, Briannę albo innego z tych dziwaków?

- Nie zrobiłbym tego - powiedział Albert. Szczęka tak mu się trzęsa, że ledwo mówił: - Nie zrobiłbym. Bo gdybym to zrobił, to wy, wy, wy powiedzielibyście wszystkim, że się popłakałem.

- I złałeś się w gacie. - Watcher wydawał się skłonny go puścić, ale Albert wiedział, że ostateczne decyzje podejmują Turk i Lance. Na ich twarzach nie było litości. Lance kpił nienawiścią. Turk nie okazywał emocji.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić? - zasugerował Turk, już śmiejąc się z żartu. - Powinniśmy wrzucić go do jednego z dołów, które kazał nam wykopać.

- Nie, nie, nie róbcie tego - błagał Albert. Kąpiel w ekskrementach była jednak i tak o niebo lepsza od śmierci. - Nie, błagam was!

Lance spojrział w dół i zniżył swoją przystojną twarz poziomu Alberta.

- Wydaje ci się, że jesteś królem świata, co? Tak, fajnie byłoby popatrzeć, jak kąpiesz się w gównie, w którym kazałeś się grzebać nam. Ale potem wy dostałbyś się stamtąd i, nim zdążylibyśmy się odwrócić, wezwałbyś Sama Temple'a. A on użyłby tego swojego światła i pach. Już po nas.

- Ja nie... to nie... - mamrotał Albert. - Proszę, proszę nie zabijajcie mnie.

Turk wydawał się obrażony.

- Czy powiedzieliśmy, że cię zabijemy? - Spojrział na Lance'a. - Skąd w ogóle ten pomysł?

Lance włączył się do gry.

- Nie mam pojęcia.

- Może stąd - powiedział Turk. Wycelował strzelbę w twarz Alberta.

Rozległ się huk.

Albert jednak nic nie usłyszał. Leżał na boku. Krew zalała jego prawe oko, oślepiając je. Albo może wcale już nie miał oka. Próbował oddychać i usłyszał w płucach chrapliwy dźwięk. Usłyszał, jak jego serce zwalnia...Turk wydawał się jednocześnie przestraszony i podniecony. Twarz Lance'a zachmurzyła się. Dwójka młodszych dzieciaków cofnęła się potykając i wybiegła. Lance poklepał Turka po ramieniu. Drugie oko Alberta zamknęło się.

ROZZDZIAŁ 22

12 GODZIN, 48 MINUT

- To jest jezioro - powiedział Sam. - To niewątpliwie jest jezioro.
- Nie mogę uwierzyć, że nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu - odparła Dekka.
- Słońce jeszcze nie wzeszło, ale perłowe światło padało na długie zbocze, prowadzące do rozległego zbiornika wody. Większego od wszystkich, jakie Sam kiedykolwiek widział, jeśli nie liczyć oceanu. Wokół rosły kępki suchej trawy. Dziwnie postrzępione sosny wyrastały tu i ówdzie, ale sam brzeg otoczony był dużymi skałami i wąskimi pasami piaszczystych łach.
- Na skraju ich pola widzenia znajdował się mały port z dwoma tuzinami przycumowanych łodzi. Bariera przecinała jezioro, ale w części, która znajdowała się po ich stronie, i tak było znacznie więcej wody niż dzieciaki z Perdido Beach mogły sobie wyobrazić.
- Myślisz, że nadaje się do picia? - zapytała Dekka.
- Sprawdźmy - zaproponował Sam.
- Zbiegł na dół, uważając, by się nie przewrócić. Nie mógł się doczekać. Gdyby okazało się, że woda jest słona, byłby załamany. To byłoby kolejne oszustwo, kolejne rozczarowanie. Nie wspominając już o tym, że mogłoby ono oznaczać ostateczną klęskę. Dotarł do brzegu tuż przed pozostałymi. Błada skała odgradzająca go od wody chwiała się, więc stawiał na niej stopy bardzo ostrożnie. Wreszcie zdjął buty i bez zastanowienia wskoczył do wody. Przy brzegu była płytka, wystarczyły jednak dwa kroki by przykryła mu głowę. Wypełniła mu usta. Wypływając odwrócił się do Jacka, Dahry i Tota, którzy niepewnie patrzyli na niego z brzegu.
- Panie i panowie - ogłosił z szerokim uśmiechem na twarzy - mamy pitną wodę.
- Po jakichś pięciu sekundach wszyscy znaleźli się w jeziorze
- Woda! - zawołał Jack.
- Czysta woda! - zgodziła się Dekka.
- Mówi prawdę, Spidey! - krzyknął Toto.
- Sam z radości zrobił salto. Woda była chłodna, ale nie mroźna. Wspominając surferskie czasy, wyliczył, że byłoby mu całkiem ciepło, gdyby tylko miał na sobie niezbyt grubą piankę.
- Wypił jeszcze trochę wody i popłynął do przyjaciół.
- Świeża woda - powiedziała Dekka. - Zimna, świeża woda. Brrr.
- Sam spojrzał na wybrzeże.
- To nie jest odpowiednie miejsce do zakładania nowego miasta. Potrzebujemy płaskiego terenu. Poza tym musielibyśmy uważać, żeby wszystkie ścieki nie znalazły się w naszej pilnej wodzie. Myślę, że... - Przerwał. Albert i Edilio zajęliby się szczegółami. On zrobił, co do niego należało.
- Widziałem łodzie - zauważył Jack. - Ciekawe, czy są tu ryby.
- Ryby, tak... ryby - powiedział Toto.
- Wiesz coś o tym? - spytał go Sam.
- Tata zabierał mnie na ryby - oznajmił. Potem, jakby zdziwiony własnymi słowami, rozejrzał się w poszukiwaniu nieobecnej głowy Spideya i dodał: - To nie jest to samo jezioro, prawda? To było jezioro Isabella.
- Okej - powiedziała cierpliwie Dekka. - W tamtym jeziorze pływały ryby?
- Pstrągi. Okonie. Złote rybki. Ryby.
- Jeśli w łodziach znajdziemy wędki i inne takie, to znaczy, że są tu ryby - zauważył Jack.
- To tylko jakieś pół mili. Możemy przepłynąć - powiedział Sam.
- Ty możesz płynąć - odparła Dekka. - Ja wolę się przejść.

Ruszyli przed siebie bardzo ostrożnie. Nowo odkryta woda dodawała Samowi energii, ale nie wiedzieli przecież, co kryje się w jeziorze i dookoła niego. Rozumiał więc, że Dekka i reszta nie mają ochoty na długodystansowe pływanie w zimnie. Brzeg był kręty, niczym krawędź koronkowej serwetki, otoczony piaszczystymi plażami i skalistymi cyplami. Szybko znaleźli się na ścieżce, śmiejąc się i rozmawiając wesoło. Sam wiedział, że bez paliwa - mnóstwa paliwa - nie uda im się zawieźć wody do...Zatrzymał się.

- Przyszań - powiedziała. Poczł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z temperaturą.

- Przyszań. Wiecie, co tam jest?

- Łodzie? - zasugerował Jack, jakby obawiał się, że to nie jest właściwa odpowiedź.

- Łodzie - uśmiechnął się Sam - może żaglowce. Ale wiecie, co jeszcze? Motorówki. Skutery wodne.

- Chcesz się przepłynąć skuterem?

- Stary, co jest potrzebne, żeby skuter działał?

- Woda...? - powiedziała Dekka.

- Paliwo! - zawołał Jack. Sam poklepał go po ramieniu.

- Właśnie! Przyszań nie może obyć się bez paliwa.

Uśmiechnął się i ruszył biegiem w stronę przystani. Głos w jego głowie ostrzegał go, żeby nie robił sobie za szybko nadziei. „To przecież ETAP” - powtarzał w myślach. To wciąż ETAP. Ale po tylu rozczarowaniach, takiej ilości bólu i rozpaczycy należała im się chyba jakaś dobra wiadomość? Na pewno.

Lana otworzyła oczy. Patrick lizał ją po twarzy. Pewnie dlatego się obudziła. Coś ciężkiego leżało na jej piersi. Głowa. Długie, ciemne włosy. Odepchnęła ją. Głowa ziewnęła i powiedziała:

- Nie śpię.

Sanjit usiadł, spojrzał na nią i wytarł ślinę z kącika ust. Lana leżała na plaży. Słońce świeciło już na niebie, ale nie wzniosło się jeszcze ponad góry. Nie wiedziała, jak się tam znalazła. Instynktownie sięgnęła po pistolet. Nie było go na pasku. Został owinięty w koc.

- Jak się tu dostałam?

- Przyniosłem cię.

Lana przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

- Dlaczego? - spytała podejrzliwie.

- Zemdląłeś.

Lana przeczesła palcami rozczochrane włosy. Wytarła usta i oblizała się.

- Masz może wodę?

- Niestety nie - odparł Sanjit.

Westchnęła i spojrzała na niego zmęczonymi oczami.

- O co chodzi? Nie masz nawet koca! - powiedziała.

- Nie zamierzałem spać.

- Proszę, powiedz, że nie patrzyłeś na mnie, kiedy spałam, bo inaczej zwymiotuję.

Sanjit uśmiechnął się.

- Owszem, patrzyłem, jak śpisz. I słuchałem.

- Co masz na myśli?

- Zdarzyło ci się pierdnąć. No i mówisz przez sen. I warczysz.

- Co mówiłam?

Sanjit zrobił minę, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Głównie coś w rodzaju: „mmm, uchhh, mmm, nie próbuj... urghhh”. A poza tym pierdnęłaś bardzo cichutko. Niemal melodyjnie.

Lana wpatrywała się w niego. Zadrżał.

- Zimno ci? - spytała.

-Tylko trochę chłodno. Wiesz, dopiero się obudziłem. - Znów zadrżał i otoczył ramionami zdrętwiałe nogi.

Ściągnęła z siebie koc, wytrzepała i podała mu. Zarzucił go sobie na ramionach.

- Ile osób umarło?

- Kiedy wychodziliśmy, na plaży leżało pięć ciał.

Lana opuściła na chwilę głowę. Sanjit milczał. Potem wstała i podeszła do brzegu. Zdjęła ubranie, zostając w samej bieliźnie. Potem, szczerząc zęby, wskoczyła do wody, a kiedy ta sięgnęła jej kolan, zanurzyła się. Była zimna, ale czysta. Zmyta krew i brud. Lana zanurzyła usta w słonej wodzie. Potem, trzęsąc się z zimna, wyszła na brzeg i podbiegła do Sanjita.

- Gapisz się - stwierdziła.

- Tak. Jestem nastolatkiem. Piękne dziewczyny w mokrej bieliźnie są jak zaproszenie.

Pochyliła się, podniosła koc, wytrze pała i owinęła się nim. Sanjit wstał. Pocałowała go w usta. Naprawdę go pocałowała. Wziął jej mokrą głowę w dłonie i odwzajemnił pocałunek.

- Nie było tak źle, jak myślałam - powiedziała Lana.

Sanjit wyjątkowo nie miał nic do powiedzenia. Tak naprawdę wyglądał, jakby było mu trochę niedobrze i jakby bardzo chciał pocałować ją znowu.

- Wracamy do szpitala - zarządziła.

Brittney odzyskała świadomość na wąskiej, żwirowej ścieżce. Otaczały ją wysokie na siedem stóp kamienne ściany. A na nich stały kojoty, z otwartymi pyskami i wysuniętymi językami. Jamal stał za nią, sprawdzając sznur, który pętał jej ramiona w nadgarstkach i łokciach. Jej kostki też były związane, ale na tyle luźno, żeby mogła robić małe kroczki,

- Gdzie jesteśmy? - spytała Brittney.

Jamal wzruszył swoim jednym zdrowym ramieniem.

- Gdzieś, gdzie chce nas zabrać Drake - ziewnął, nerwowo spojrzął na kojoty i ziewnął znowu.

- Powinieneś odpocząć - powiedziała Brittney. - Jesteś obolały i zmęczony.

- Tutaj? - roześmiał się gorzko. - Sądzisz, że to dobre miejsce na drzemkę?

- No, nie - przytaknęła milcząco Brittney. Wydawało jej się, że jest ciemno, chociaż słońce świeciło wysoko na niebie. Coś dziwnego wisiąło w powietrzu. Coś dziwnego było w oczach kojotów. Ciemność, która sięgała do jej martwego serca.

- Chcę wracać - powiedziała Brittney.

- Serio? Ja też - powiedział Jamal. - Ale jeśli wrócimy, Drake obędzie mnie ze skóry. Popchnął ją naprzód. Potknęła się o sznur i omal nie wywróciła. Utrzymała się jednak na nogach i kroczyła dalej, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić. Co mam zrobić, Boże, by zasłużyć na prawdziwą śmierć i miejsce w Twoim niebie?

- To miejsce jest złe, Jamal - powiedziała Brittney. - Czuję to.

- Tak - odparł. - Drake jest złym chłopcem i chodzi w złe miejsca. Ale wydaje mi się, że lepiej być z nim niż przeciwko niemu.

Wyszli spomiędzy ścian i zobaczyli na wpół przysypaną dziurę u zbrocza skały. Bładoróżowe światło wystarczało, by dostrzec, że szyb jest zasypany tonami kamieni. Gigantyczne belki, które otaczały dół, były połamane i wyglądały, jakby zaraz miały spaść. Zło, które wyczuwała Brittney odzywało się właśnie stamtąd, z tej dziury, z tej sterty kamieni.

- Gdzie my jesteśmy?

- Przy kopalni - powiedział Jamal. - Nie słyszałaś o niej? O tym, jak ramię Drake'a zmieniło się w bicz?

- Ale to wszystko jest zasypane - powiedziała Brittney.

- To chyba dobrze, nie? Bo jeśli to coś wydaje się tak złe nawet stąd, wolę nie myśleć, ile zła jest w tej dziurze. - Zagryzł wargi i cicho dodał: - Jak szpony, trzymające za serce. Jak odłamki lodu w twoim mózgu.

- Jamal, gdybyś uciekł...

Pokręcił głową.

- Drake by mnie znalazł. Nie da się ciebie zabić, prawda? I jego też nie da się zabić. A to oznacza, że jeśli go zdradzę, prędzej czy później mnie dopadnie.

- Może ogień... - powiedziała łagodnie Brittney. - Może święty, boski ogień byłby w stanie nas zniszczyć.

- Sorry, ale nie mam go przy sobie.

- Tylko Sam mógłby z tym skończyć.

Jamal uniósł ramiona.

- Ja tam nie mam nic przeciwko temu. Jeśli Sam będzie chciał załatwić Drake'a, nie zrobię nic, żeby go powstrzymać. Ale ty cały czas powstrzymujesz Drake'a, prawda? On i Sam kiedyś się spotkają, więc może powinnaś to przyspieszyć. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Brittney wpatrywała się w Jamala, zastanawiając się czy to podstęp. Czy to diabeł mnie kuszi?

- Co kazał ci zrobić demon Drake? Jamal wskazał głową na jaskinię.

- Powiedział tylko, żebym tu przyszedł. Uważa, że jest w stanie porozumieć się z tym czymś, co tam siedzi, A przynajmniej, że słyszy głos.

Brittney wierzyła w to. Jak mogła nie wierzyć w to, co nadprzyrodzone? Jej brat czasami przychodził do niej pod postacią anioła. A Bóg był przy niej przez cały czas. Był, prawda?

Ona sama, paskudna pozostałość po dziewczynie, którą kiedyś była, stała się czymś nadprzyrodzonym. Czy Sam był sługą bożym? Narzędziem, któremu Bóg wyznaczył zadanie uwolnienia jej? Często błagała go o wolność, ale ścieżki Boga były niezbadane. To nie był jeszcze jej czas.

- Czego Drake ode mnie chce? - spytała.

- No wiesz, tylko tego, żebyś nie próbowała wciąż uciekać, żebym nie musiał cię związywać i tak dalej.

- Czy on szuka Sama? Czy na tym polega jego plan? Wydało jej się, że w oczach Jamala dostrzega cień kłamstwa.

- Tak, właśnie na tym. Najpierw zgłosi się do... no wiesz, a potem ruszy prosto za Samem.

- Możesz się przespać, Jamal - powiedziała Brittney. - Śpij, póki Drake nie wróci. Nie ucieknę stąd.

- Dlaczego miałbym ci zaufać?

- Bo przysięgam. Przysięgam na krew Baranka.

- Jamal obudził się, czując, jak Drake go kopie.

- Co?

Drake uśmiechał się. Nie był to miły uśmiech.

- Spałeś - powiedział. - A ja wciąż tu jestem.

Jamal podskoczył i szybko rozwiązał Drake'a.

- Zrobiłem tak, jak kazałeś. Dokładnie tak. Powiedziałem jej, że ruszysz za Samem. Że potem Sam spali was oboje i... - Przełknął ślinę, nagle zdając sobie sprawę, że posunął się za daleko. Drake jednak był w dobrym nastroju. Czubkiem biczu delikatnie poklepał go po policzku.

- Dobrze się spisałeś. A ja dorwę Sama Temple'a. prędzej czy później.

Drake spojrział na szyb. Czuł do Ciemności coś, co bardzo przypominało miłość. Także strach, ale Ciemność zasługiwała na jego strach. Na strach i oddanie.

Gdyby nawet musiał wyciągać te kamienie, jeden po drugim, gdyby nawet zajęło to wiele tygodni, mógłby wtedy dosięgnąć Ciemności i uwolnić ją.

- Moje stare ciało tam leży - powiedział Drake, po raz pierwszy zdając sobie z tego sprawę. - Moje ciało leży tam razem z nią.

Drakę poczuł nagłą falę tęsknoty. Pragnął oprzeć swoje ciało o skały. Zbliżyłby się do niej. Być może Ciemność odezwałaby się do niego, dotknęła jego umysłu, powiedziała, co ma teraz zrobić.

Nie mógł jednak zrobić tego przy Jamalu.

- Zaczynaj odgarniać głązy - rozkazał. - Musisz układać je na stertę, tam z tyłu - wskazał na kawałek stosunkowo płaskiego terenu. - Nie wiem, jak wiele ich jest. To może zająć nam trochę czasu. Kiedy Brittney Świnia wróci, też ma pracować.

Przez ponad dwie godziny podnosili głązy i układali je na kupę. Byłoby im znacznie łatwiej, gdyby mieli taczkę i gdyby Jamal nie miał złamanej ręki. Musieli podnieść każdy kamień, każdą złamaną belkę. Niektóre były tak wielkie, że każdy z nich musiał chwycić za jeden koniec. Inne tak gigantyczne, że nie dawali rady nawet ruszyć ich z miejsca i musieli je ominąć. W ciągu dwóch godzin udało im się znaleźć tylko o jakieś półtorej stopy niżej. Brittney pojawiła się w tym czasie raz i pomogła przy kopaniu. Drake nie mógł się jednak dłużej oszukiwać: nie uda im się. Kopanie mogło potrwać wiele miesięcy. Lat. Całą wieczność. Kojoty przychodziły i odchodziły, przyglądając się im, niewątpliwie myśląc o tym, że chętnie zjadłyby Jamala. Kiedy więc Drake usłyszał jakiś dźwięk za zakrętem, pomyślał, że to one.

Tyle tylko, że tym razem nie było to zwykłe człapanie kojotów. Usłyszał klikanie pancerzy i nagłe zamieszanie. Wytarł czoło i ostrożnie odwrócił się tam, skąd dobiegał dźwięk. To, co zobaczył, wyglądało, jakby wyskoczyło z filmu science-fiction. Jak obcy albo robot. Zbyt wielkie jak na zwyczajnego owada. Było srebrno-brązowe, delikatnie odbijało światło. Miało oblicze insekta z zębatym pyskiem, który skojarzył się Drake'owi z kucharzem, ceremonialnie ostrzącym noże. Z boku pyska wystawała żuwaczka z czarnej kości. Pachniało curry i amoniakiem. Gorzko, ale z nutą gnijącej słodyczy. Nagle pojawiło się ich więcej. Miały oczy i antenki. Ich oczy były niebieskie i niemal przypominały ludzkie. Nie było w nich jednak ludzkiej wrażliwości, świadomości ani emocji. Jakby były zrobione z lodu. Biegały na sześciu nogach, zatrzymując się, ruszając znowu, skacząc z przerażającą szybkością. Opierały swoje srebrne skrzydła na brązowym tułowiu, niczym żuki albo karaluchy. Ich skrzydła lekko świeciły w biegu. Robaki. Być może. Ale każdy długi na pięć stóp i wysoki na trzy, z długimi antenkami. Drake wpatrywał się w bezduszne ślepie pierwszego robala. Trzymał swój bicz w gotowości, a Jamal uniósł strzelbę, nie mieliby jednak większych szans, gdyby doszło do walki. Było ich dwanaście. Wspiwały się na siebie jak mrówki wyłaniające się z gniazda os.

Drake poczuł ukłucie strachu. Czy przeżyłby, gdyby go zjedzono? Gdyby te wstrętne pyski pogryzły go na kawałki i połknęły? Jeden z kojotów, trzymających się w bezpiecznej odległości, stanął na szczycie wzgórza i, zduszonym głosem, jaki zyskał jego gatunek, powiedział:

- Spotkać Ciemność.

- One? - spytał Drake. Czy kojoty i te robale potrafiły się porozumieć? - One chcą spotkać się z Ciemnością? Dobrze. - Kciukiem wskazał na szyb. - Idźcie.

- One głodne - wyjaśnił kojot.

Drake nie musiał pytać, co powinien na to poradzić. Teraz bowiem ten sam głos, który przemawiał przez kojota, dotarł do niego bezpośrednio, dotknął jego umysłu i wypełnił go głęboką, okrutną radością. Drake zamknął oczy i zakołysał się, czując dotyk swojego mistrza. Niedługo spotka się z Ciemnością. Ciemność da mu wszystko, czego potrzebuje. A Jamal wykonał już swoje zadanie.

-No to powiedz im, żeby coś zjadły – odezwał się Drake. - Sorry, Jamal.

- Co? - Jamal czekał, aż Drake się roześmieje, potwierdzi, że to tylko żart.

Drake jednak tylko uśmiechnął się, mrugnął i powiedział:

- Wiesz, stary, i tak zamierzałem cię zabić, prędzej czy później.

- Nie! Nie! - zawołał Jamal. Cofnął się o krok. Odwrócił i rzucił się sprintem przed siebie.

Najbliżej stojący robak wpatrywał się w niego z przeraźliwą uporczywością. Wyciągnął coś, co odrobinę przypominało język. Był czarny, gruby niczym sznur, z kolczastym czubkiem, podobnym do rybackiego haka. Jęzor chwycił Jamala za nogę i przewrócił go na ziemię.

- Drake! Drake! - zawołał Jamal błagalnie. - Proszę cię!

Drake roześmiał się. Pomachał do niego, patrząc, jak jęzor wciąga go w otchłań swojej paszczy. Jamal wystrzelił. BAM, BAM, BAM! Najpierw z bliska, potem z bardzo bliska, potem o kilka centymetrów od paskudnego pyska robala. Język puścił go i cofnął się. Wtedy ostra szczeka przecięła Jamala na pół i nie było już słychać wystrzału, a tylko bezradny, desperacki krzyk. Gigantyczne robale zbliżyły się i po kilku sekundach z Jamala nie zostało już nic.

Potem niebieskookie potwory zabrały się do pracy, rozbijając kamienie z nieopisaną, przerażającą prędkością, popychając je zębami, unosząc się na czterech tylnych nogach i kopiąc dwiema przednimi.

Drake poczuł, że Brittney wraca. Nie zmartwił się jednak, bo teraz jego Pani i Mistrzynie, Ciemność, jedyna Bogini Drake'a była przy nim, wypełniała jego serce i duszę.

I nic nie mogło pokrzyżować Jej planów.

ROZDZIAŁ 23

9 GODZIN, 14 MINUT

Kiedy to się stało, Astrid korzystała właśnie z wychodka na podwórku. Przez całe dwa dni w strachu siedziała przy łóżku małego Pete'a.

Choć była odwodniona, w końcu musiała się załatwić. Miała nadzieję, że nic się nie stanie. Miała nadzieję, że zobaczy, jak ludzie Alberta przenoszą wodę i jedzenie, miała nadzieję, że epidemia minęła. Na ulicach nikogo jednak nie było. Nie słyszała ani odległego warkotu silników, ani furkotu kół taczek. Zrobiła więc to, co musiała zrobić, nie przestając się modlić. Ostatnio wciąż się modliła.

ŁUP!

Całe górne piętro domu zawaliło się. Nie wybuchł pożar. Po prostu górne piętro - dach, ściany, drewno i beton, wszystko - zawaliło się niemal bezgłośnie. Wielki kawał dachu przefrunął jej nad głową, gubiąc czerwone dachówki. W końcu wylądował, uderzając z hukiem o ścianę domu obok. Zobaczyła, jak okno, wciąż jakimś cudem nie pęknięte, wznosi się do góry niczym rakietą. Podążyła za nim wzrokiem, czekając, aż spadnie na nią. Uderzyło drzewa i wreszcie, dopiero wtedy, szkło rozbiło kawałki. Łóżko z jej sypialni wylądowało na dachu dwa domy dalej. Pościel i ubrania zostały porzucane po ziemi jak konfetti. Wyglądało to prawie na festyn na czwartego lipca, a ona teraz powinna zachwycać się iskrami. Nie było jednak ognia. Żadnej głośniejszej eksplozji. W jednej sekundzie dom miał dwa piętra, w drugiej - już tylko jedno. Jedną z jej skarpetek wylądowała na trawie. Astrid przypomniała sobie, że potrafi się poruszać. Pobiegnęła do domu, krzycząc: - Petey! Petey!

Tylne drzwi były częściowo zablokowane małym kawałkiem elewacji. Odrzuciła go na bok i wbiegła po schodach na górę. Wtedy zdała sobie sprawę z całej absurdalności sytuacji. Poręcz skończyła się na poziomie górnego piętra. Gołe schody wystawały z na wpół zniszczonego półpiętra. Astrid weszła na to, co kiedyś było drugim piętrem jej domu, a teraz już tylko górną platformą. Nic nie zostało. Nic. Tak jakby jakiś gigant przyszedł tam z wielkim nożem i po prostu odciął górny poziom, przez ściany, rury i kable elektryczne. Zostało tylko łóżko małego Pete'a. I sam mały Pete. Zakaszał dwa razy. Oblizał wargi. Jego oczy skierowane były w niebo. Astrid podążyła za jego wzrokiem. A tam, na błękitnym, porannym niebie, zobaczyła chmurę koloru szarej bawełny. Dokładnie nad ich domem.

Brianna kipiała ze złości. I tak wściekała się przez większość czasu, a teraz jeszcze myślała o kłótni z Drakiem i o tym, że Jack opuścił miasto, nic jej nic mówiąc, i że musiała się tego dowiedzieć od Taylor. Nie przepadała za Taylor. Zasugerowała kiedyś, że Taylor mogłaby przyjąć jakiś fajny pseudonim, tak jak Brianna kazała nazywać się „Bryzą”. Może coś w rodzaju „Teleporterki”. Taylor śmiała się z niej. Brianna nie powinna być na ulicy, wciąż obowiązywała kwarantanna. Była jednak spragniona, głodna, upokorzona i wściekła. Szukała kłopotów. Albo przynajmniej wody. Zamierzała poczekać jeszcze parę minut, a potem ruszyć samotnie do jeziora Evian. Taylor powiedziała, że jest tam niebezpiecznie, że można spotkać latające węże. Brianna się ich jednak nie bała. Była zbyt szybka nawet dla głupich węży, niezależnie od tego, czy wily się, czy latały. Ktoś przybijał deski do okna w ratuszu.

- Co tam się dzieje? - zastanawiała się na głos.

Otrząsnęła się i już miała sprawdzić, o co chodzi, kiedy usłyszała dźwięk podobny do przeżuwania. Głośnie, coraz głośniejsze przeżuwanie. Dochodzące zza okna z...Deski rozbiły się w drzazgi. Wyłoniło się zza nich coś srebrnego, co poruszało się z godną podziwu prędkością. Brianna patrzyła na nie przez kilka sekund, a potem nagle metaliczne insekty,

każdy wielkości niedużego psa, zaczęły wydostawać się na zewnątrz. Pierwszy rozłożył skrzydła i zleciał na ziemię. Brianna miała mnóstwo czasu, by przyjrzeć się jego pyskowi i antenkom i przerazić się jego oczu koloru rubinu. Domyśliła się, czym są. To one tak przeraziły Taylor. To one wydostały się z wnętrza Huntera. Tyle tylko, że teraz były tuż obok, wyskakiwały ze ściany na drugim piętrze ratusza. Kiedy tylko pierwszy robił wylądował, rzucił się na Briannę. Odskoczyła w bok, jak matador przed bykiem.

- Przyszaj, jesteś szybki - powiedziała – Ale nie jesteś Bryzą.

Cały rój ruszył na nią niczym jedno ciało, z błyszczącymi oczami i szczękającymi zębami. Zaczynało jej się to podobać. Mogła oczywiście natychmiast uciec, ale miała ochotę na tę zabawę. Nagle pojawił się Edilio, drąc się wniebogłosy i celując w nie strzelbą.

- No dobra - powiedziała Brianna - pora z tym i skończyć.

Wyciągnęła nóż i odcięła antenki najbliższemu z robali. Potem, dla czystej przyjemności, zrobiła salto i niemal wylądowała okrakiem na kolejnym. Wbiła w niego nóż, celując w miękką tkankę pomiędzy skrzydłami. Nie udało jej się i trafiła w twarde skrzydło. Robal obrócił się z niesamowitą prędkością. Nie dość szybko jednak. Brianna wycelowała w krwistoczerwone oko, Ostrze wbiło się w nie głęboko. Robal znieruchomiał.

- Oto dlaczego nie wolno denerwować Bryzy – powiedziała Brianna.

Edilio był już blisko i Brianna miała pewność, że popsuje jej zabawę. Poczekała więc na nadejście kolejnego robala i przecięła jego dwie przednie nogi. Wylądował na swoim przerażającym pysku.

BAM! BAM!

Edilio wystrzelił w jednego z potworów, który uciekał przed Bryzą. Brianna patrzyła na uderzające pociski. Patrzyła, jak odbijają się od twardych skrzydeł.

- W głowę! - krzyknęła. - Musisz trafić w głowę! - Dla przykładu chciała wskazać mu jednego, którego sama trafiła. Martwy robal jednak poruszał się. Tak samo jak ten, którego przednie nogi ucięła. Zmarszczyła czoło i wyciągnęła pistolet. Wycelowała w jego upiorne oczy i pociągnęła za spust. Głowa robala odleciała w tył, obnażając czarnozielony mózg. Robak otrząsnął się jak mokry pies. Wciąż się ruszał.

- Nie, nie, nie! - powiedziała Brianna. - Mogę przegrać z Drakiem, ale nie przegram z bandą obleśnych karaluchów!

BAM! BAM!

Edilio strzelił do robala jeszcze dwa razy. Widząc, że Brianna się waha, zawołał:

- Spróbuj je przygnieść!

- Niby czym?

Edilio rozejrzał się bezradnie.

- Nie wiem.

- Uciekają!

Sześć robali ruszyło biegiem ulicą, nie zwracając uwagi na Briannę i Edilia.

- Są dla ciebie za szybkie - powiedziała Brianna.

Edilio wyglądał, jakby za chwilę miał dostać zawału. Spojrzał na okno na piętrze, potem na uciekające robale, a Brianna mogłaby przysiąc, że zaraz zawoła: „Mam to gdzieś. Zmywam się stąd”. On jednak odetchnął głęboko; najwyraźniej przygotowywał się do podjęcia decyzji, co do której miał wątpliwości. Poważne wątpliwości.

- Bryzo - powiedział ponuro. - Posłuchaj mnie, zanim pobiegiesz za nimi. Chcę, żebyś je śledziła, dowiedziała się, gdzie zmierzają. Choć kiedy to zrobisz, pozostaniemy bezbronni. Orc włączy się gdzieś pijany. Sam, Dekka i Jack są poza miastem, dzieciaki chorują, a Drake wciąż gdzieś się tu kręci... - wskazał na nią palcem. - Nie ryzykuj, nie zachowuj się

nieodpowiedzialnie i głupio jak zazwyczaj. Wróć jak najszybciej, kiedy tylko zobaczysz, dokąd idą.

Brianna zasalutowała żartobliwie: nie przeszkadzało jej, że nazywa ją głupią, póki doceniał jej odwagę. Ruszyła przed siebie jakieś sześćdziesiąt mil na godzinę, żeby dogonić robale.

- Nie martw się, Edilio - zawołała przez ramię – Bryza zajmie się tymi potworami.

Orca suszyło. Wpatrywał się tępo w trzymaną w dłoni butelkę. Czy nie powinien już nie żyć? Ile jeszcze musiał wypić, żeby wreszcie umrzeć? Starał się znaleźć rozwiązanie problemu. Prawdopodobnie w domu było jeszcze kilka butelek, o ile tylko dzieciaki jeszcze ich nie opróżniły. Była też jeszcze jedna możliwość, ale wiązała się ona z długim spacerem, a on nie miał ochoty na długi spacer. Długi spacer mógłby go otrzeźwić. Szedł w stronę domu, znów topiąc swój umysł w alkoholu, kiedy bezmyślnie minął znak stop. Nie leżało obok niego żadne ciało. Przez chwilę wydawało mu się, że jest w innym miejscu, albo że mylił się co do ciała. Potem jednak przypomniał sobie jak przez mgłę, że wpadł na Howarda, a ten obiecał, że wszystkim się zajmie. Teraz więc ciało chłopca gniło pewnie w jakimś pustym domu. Prawdopodobnie leżały tam też inne ciała. Prawdopodobnie. Orc napił się. Chwiał się na nogach. Przyzwyczał się już do alkoholu, ale tego dnia naprawdę udręczył swoje ciało. Palił go żołądek. W głowie jakby walił młotek. Teraz musiał pokonać pokusę, by zacząć biec, biec, biec, aż...Aż co? Biec dokąd? Prędzej czy później przecież się zorientują. Zabił małego chłopca, chłopca, który nigdy nie skrzywdził ani Orca, ani nikogo innego. Jakieś chore dziecko. Ktoś pewnie to widział, a jeśli nawet nie, to któreś z mądrych dzieciaków - Astrid, Albert albo Edilio – domyśli się. A jemu nawet nie pozwolą się wytłumaczyć. Każą mu odejść wypędzą go z miasta, tak jak wypędzili Huntera. On jednak nie był Hunterem. Nie dałby sobie rady gdzieś, gdzie były kojoty. Orc pamiętał kojoty. Pamiętał, jak zanurzyły pyski w jego wnętrznościach i wyciągnęły je na zewnątrz. To wtedy wszystko się zaczęło. To wtedy jego ciało zamieniło się w żwir, a potworna kamienna skóra pokryła go całego. Nie. Nie mogli wyrzucić go z miasta. Astrid miała jednak zasady: wymyśliła je i trzeba się było ich trzymać. Wyrzuci go. „Wynoś się, Orc, wynoś się i zdechnij, ty mutancie”. Wewnątrz tego potwora był jednak Charles Merriman. Nie był Orkiem. Był Charlesem Merrimanem. Musiał porozmawiać z Astrid. Ona zawsze była dla niego miła. To były jej głupie zasady, więc na pewno będzie w stanie coś wymyślić. Była przecież taka mądra. I miła. Mętne myśli kłębiły się w jego głowie, kiedy skręcał w stronę domu Astrid. Dwie przecznice dalej zauważył coś bardzo dziwnego. Tak dziwnego, że przez chwilę myślał, że to tylko jego wyobraźnia. Coś bowiem było nie tak, tego był pewien. Chmura. Ciemna, szara chmura. Szedł dalej. Pił dalej. I dalej patrzył na tę dziwną chmurę na niebie. Skręcił w ulicę Astrid. Z daleka zobaczył zniszczone rzeczy zwisające z drzew i płotów, porozwalane na ziemi. A potem dom. Zamarł na jego widok. Nie miał dachu. Astrid stała na górnym piętrze, na zewnątrz, bo nie było też ścian. A jej nedorozwinięty brat leżał... nie, właściwie nie leżał, tylko wisiał w powietrzu nad łóżkiem. Orc wpatrywał się w Astrid, ale dziewczyna nie zauważyła go. Patrzyła na niebo, na chmurę. W jednej ręce trzymała wielki pistolet. Srebrzysty błysk oświetlił wszystko dokoła. Pobliskie drzewo wybuchło.

KRRRAK! BUUUUM!

Błyskawica. Grzmot.

Drzazgi i liście z drzewa spadały wszędzie dokoła Orca. Nagle wydało mu się, że chmura spada z nieba. Ale nie była to sama chmura, tylko deszcz. Szare strumienie wody. Orc poczuł się, jakby wszedł pod zimny prysznic. Deszcz padał na jego zdziwioną twarz, zadartą głowę. Zalewał jego oczy, spływał po kamiennym ciele. Astrid wrzasnęła. Orc usłyszał jej strach, jej

desperację. Stała, całkowicie przemoczona, drąc się na brata i łkając. Orc otworzył usta i poczuł w nich wodę. Czystą, świeżą, zimną jak lód wodę.

ROZDZIAŁ 24

9 GODZIN, 6 MINUT

Brittney zobaczyła wielkie, niebieskookie robale. Zobaczyła jaskinię. I nic z tego nie rozumiała.

Potem dostrzegła pistolet Jamala. Strzępy jego ubrania. Plamy krwi. Nie zostało po nim nic poza ubraniami, butami i pistoletem. Robale biegały wokół niej, nosząc skały osiem, dziewięć, dziesięć razy większe od nich samych. Jak pracowite mrówki - wielkości kucyków albo owczarków szetlandzkich. Kojoty obserwowały je. Były niespokojne, wyraźnie obawiały się gigantycznych insektów. Żałowała, że nie może spytać Jamala, co się dzieje. Wiedziała jednak, że Jamal nie odpowie już na żadne pytania. Zastanawiała się, czy dałaby radę uciec. Ale co by to zmieniło? Robale ułożyły kamienie w stos. Wyciągały coraz większe skały. Stała naprzeciw jednego z insektów. Niósł kamień, który z łatwością by ją zgniótł. Robale mogłyby zaatakować ją bez trudu, rozerwać na strzępy, jak to zrobiły z biednym przerażonym Jamalem. One jednak tylko biegały wokoło. Dlaczego? Dlaczego zjadły Jamala, a jej nie? Dlatego, że jadły tylko prawdziwie żywe mięso? Czy dlatego, że wiedziały, że jest Drake, a Drake jest nią, jego zaś nie chciały skrzywdzić? Co je powstrzymywało? Kto? Brittney знаła już jednak odpowiedź. Wiedziała, że coś, ktoś, czyjś umysł wkrada się w jej mózg. Tak jakby zawsze o tym wiedziała. Jakby ta zimna świadomość zawsze była w pobliżu, przyglądała się jej, nawet kiedy ona kierowała swój wzrok ku niebu. Poczła ją, kiedy była jeszcze w grobie, szarpiąc ziemię paznokciami. Kiedy patrzyła w oczy swojego brata, Tannera, czasami dostrzegała ją za jego anielskim przebraniem. Wiedziała, choć nie chciała przyjąć tego do wiadomości, że Drake należał do tej mocy, należał do diabła, tak jak ona należała do Boga. Spojrzała na szyb, stojąc nieruchomo, gdy insekty usuwały z dołu kamienie. Czowała się, jakby sama była kamieniem pośrodku rwącej wody. A one uwalniały zło. Nie mogła zrobić nic, żeby je powstrzymać. Nie mogła zrobić nic, by nie dopuścić do spotkania Drake'a ze złem. Diabeł wygra tę bitwę. Ciemny umysł skradał się ku jej świadomości. Składał jej obietnice cichym szeptem, pozbawionym stów.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała.

„Chcę dać ci to, czego pragniesz”.

- Pragnę umrzeć - powiedziała Brittney. – Umrzec i pójść do nieba.

Kiedy zamknęła oczy, zobaczyła, a właściwie poczuła świetlisty uśmiech wyłaniający się z ciemności. Błagała Boga, żeby ją uwolnił. Może taka właśnie była Jego wola. Może to nie Sam ją uratuje, ale to diabelstwo z gór. Brittney podeszła do szybu i uniosła niewielki kamień.

- Rozumiesz, o co w tym chodzi? - spytał Sam Jacka.

Byli w biurze na przystani. Dwa tuziny łodzi spokojnie kołysały się na wodzie. Kilka tuzinów więcej czekało w długim hangarze. Na biurku leżały papiery, na stalowych półkach stały książki, obok nich znaleźli dwa połamane biurowe krzesła. Stare kalendarze przypominały, że już od bardzo dawna nikt tam nie zaglądał. Nie było prądu, więc komputery do niczego się nie nadawały. Jack nalegał jednak, żeby wynieść z pociągu trzy na wpół rozładowane laptopy. W czasie poszukiwań natrafili też na stację dysków.

- To zamknięte oprogramowanie. Musiałem otworzyć podgląd, z którego nic nie rozumiem. Toto przeglądał szafy, ale niczego szczególnego nie znalazł. Dekka siedziała na jednym z krzesel z nogami na biurku, patrząc ponuro na jezioro. Od czasu do czasu przeciągała rękami po brzuchu, szukając śladu pasożytów. Od czasu do czasu podnosiła też rękaw koszulki, żeby spojrzeć na ranę, która pozostała po oparzeniu Sama.

- Ha! - zawołał Jack. - Chyba mam! Tydzień przed ETAP-em ciężarówka przywiozła do przystani gaz. Jakies tysiąc galonów. A to dawałoby w sumie dwanaście tysięcy. Mają też diesela. Nie mogę tylko znaleźć tych... - Przerwał, znów zagłębiając się w liczbach.

Oto dlaczego zabrałem Jacka, pomyślał Sam. Czuł się zaskakująco zadowolony. Nagle zasypały go same dobre wiadomości. Znaleźli jedzenie. Znaleźli napoje. Gdyby przeszukali łódzie, z pewnością znaleźliby piwo, więcej napojów, stare chipsy i inne różności, które wędkarze zabierali ze sobą. A co najlepsze, jezioro było wielkie i pełne świeżej wody. Wody wystarczyłoby im na następny tysiąc lat. Znaleźli też dane, które wskazywały, że jezioro napełniono ostatnio pstrągami i okoniami. Zdawało się, że weszli do rajskiego ogrodu. Mogli przenieść tutaj całe miasto. Wykorzystać łódzie i domy. Wędkować w jeziorze. Pić wodę. Zebrać plony z okolicznych pól. Nie było idealnie. Jak na ETAP jednak - wprost niebiańsko. Gdyby tylko była z nimi Astrid... Próbował odepchnąć od siebie tę myśl. Był wściekły na Astrid. Miał jej dosyć. A jednak mógł myśleć tylko o tym, jaką miałyby minę, gdyby podał jej słoik nutelli i puszkę pepsa.

- Dlaczego oni nic nie zrobili? - Dekka zastanawiała się na głos.

- Kto?

- Ludzie, którzy badali tego wariata - wskazała głową na Toto.

- Co mieli zrobić? - spytał Sam, wzruszając ramionami.

- Na przykład ostrzec ludzi, co się dzieje? - odpada Dekka. - Powiedzieć coś w rodzaju: „Hej, ludzie z Perdido Beach, dzieje się coś bardzo dziwnego!”

- To byli naukowcy - wymamrotał Jack, który nie próbował już odczytać dokumentów, ale wciąż przeszukiwał twardego dyska laptopa, dla czystej przyjemności otwierania kolejnych aplikacji.

- To prawda. I co z tego? - spytała Dekka.

- Naukowcy badają - powiedział Jack. - Najpierw chcieli to wszystko zrozumieć. Nie mogli po prostu opowiadać... Ej, zobaczcie, tu jest takie fajne wielkanocne jajko, kiedy naciśnię się...

- To znaczy, że ludzie na zewnątrz wiedzą, co się dzieje - powiedziała Dekka.

- Jak myślisz, co się stanie, kiedy bariera opadnie? - zastanawiał się na głos Sam. - Co się stanie z nami?

- Pewnie nasze moce znikną - zastanowił się głośno Jack.

- Najprawdopodobniej - zgodził się Sam. - Ale nie na pewno.

- Nie.

- Skoro do szkoły nie pozwalają nawet nosić scyzoryka, ciekawe, co by zrobili z tobą, Sam - wtrąciła Dekka. - W końcu masz wciąż przy sobie dwa gigantyczne lasery.

- Jak już mówił Jack, najprawdopodobniej nasze moce znikną. To będzie ulga.

- Nieprawda - powiedział Toto. - Mówi, że mu ulży, ale wcale tak nie uważa.

Sam spojrział na Toto.

- No dobra, pewnie będzie mi jej brakowało.

- Prawda - zgodził się Toto. Potem, znów zwracając się do niewidzialnego Spider-Mana, dodał: - To prawda.

- Zobaczcie, co zrobili z Totem i z obiektem numer dwa... - powiedziała Dekka.

- Zamknęli nas - wyjaśnił Toto. - Bez rodziny. Porwali nas i zamknęli.

- Nic takiego nam się nie stanie - uspokajał Sam. - Wszyscy już pewnie o nas wiedzą. Jesteśmy zbyt znani.

- Wierzy w to - orzekł Toto.

- Ale nie jest pewien - dodała Dekka sucho. - Sam, przed ETAP-em nigdy nie byłeś odmieńcem. Ale ja? Wiele osób uważało mnie za dziwaczkę, zanim to wszystko się zaczęło.

Jeśli moi rodzice wystali mnie do Coates tylko dlatego, że jestem lesbijką, domyśl się, jak bardzo by się ucieszyli, wiedząc, że potrafię też likwidować grawitację. Roześmiała się, żeby rozładować atmosferę, Sam jednak zachował powagę.

- I tak chciałbym, żeby bariera opadła – stwierdził.

- Nieprawda - zaprzeczył Toto.

- Prawda! - zaprotestował Sam. - Myślisz, że to wszystko mi się podoba?

Toto już miał odpowiedzieć, ale Dekka wtrąciła pierwsza:

- Sam, może ty nie zastanawiałeś się nad tym zbyt długo, ale ja tak. I uwierz mi, nie tylko ja, i nie tylko dziwadła obdarzone mocami. Myślisz, że Albert chciałby wrócić do szkoły i znowu być małym kujonkiem?

- Astrid chce, żeby to się skończyło - powiedział Sam

- To na pewno - potwierdziła Dekka. - Jack też chciałby wrócić do swoich komputerów, bo teraz i tak bez przerwy zapomina, że ma tę swoją super moc. Edilio też chciałby, żeby bariera opadła, chociaż boi się, że zostanie deportowany z powrotem do Hondurasu. Ale czy naprawdę uważacie, że Brianna chętnie zrezygnuje z bycia Bryzą?

- Briannie się to nie spodoba - przyznał Sam.

- Część dzieciaków co noc modli się, żeby bariera opadła jak najszybciej. Druga część modli się, żeby została tam, gdzie jest. A teraz, kiedy pokażemy im wszystkim tę cudowną, świeżą wodę, to wspaniałe miejsce...

- Wierzysz w to - stwierdził Toto.

- Dzięki za potwierdzenie - powiedziała Dekka z sarkazmem.

Sam spojrzał na jezioro z nowym nastawieniem. Gdyby mieli wodę i jedzenie, gdyby między nim a Caine'm zapanował pokój, a zwłaszcza gdyby jakimś cudem udało im się zapewnić sobie paliwo, ile dzieci przestałoby marzyć o końcu ETAP-u?

- Musisz to przemyśleć, Sam - powiedziała Dekka.

- W końcu to ty jesteś przywódcą.

- Już nie - odpowiedział.

Roześmiała się. Wstała i rozprostowała ramiona.

- Sam, wciąż nim jesteś. I zawsze nim będziesz. To nie jest kwestia wyboru.

Wzięła go za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. Jej nastrój gwałtownie się zmienił. Do tej pory grała, ale teraz jej twarz spochmurniała. Stanęła blisko niego, ujęła jego dłoń i przyłożyła ją do swojego brzucha.

- Czujesz to? Ten guzek?

Pokiwał głową.

- Moja mama miała kiedyś cystę, może to tylko to? _ spytała poważnie.

- Myślisz, że...

- Może zauważyłam to tylko dlatego, że czegoś szukałam, ale może to jeden z nich - powiedziała Dekka.

- Nie wyciągaj pochop...

- Nie wyciągam - przerwała mu. - Ale jeśli to właśnie to, poproszę cię, żebyś się mną zajął.

- Już o tym rozmawialiśmy - powiedział Sam, odsuwając dłoń.

- Powiem ci, kiedy nadejdzie czas, okej?

Nie potrafił odpowiedzieć.

- Nie boję się śmierci.

Sam cieszył się, że Toto ich nie podsłuchuje.

- Musisz mi coś obiecać - powiedziała Dekka.

- Co?

- Nie mów Briannie, co czuję. To tylko sprawiłoby jej ból. Kocham ją i nie chciałabym, żeby cierpiała.

- Dekka...

- Nie - rzuciła ostro. - Nie kłóć się ze mną, okej? Może się mylę i to nic takiego, więc na razie się nie kłóćmy.

- Dobra. - Przez chwilę stali w milczeniu, po czy powiedział: - Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało dziwnie ale wiesz, że cię kocham, prawda?

- Ja też cię kocham, Sam.

Sam poruszył się, jakby chciał ją przytulić, powstrzymał się jednak.

Uśmiechnęła się.

- Chyba nie jesteśmy ludźmi, którzy się przytulają, co?

- Chodź, sprawdźmy, co jeszcze kryje się w łodziach - zaproponował Sam.

ROZDZIAŁ 25

9 GODZIN, 5 MINUT

Kiedy Astrid stała przemoczona w deszczu, jedna rzecz stała się dla niej całkowicie jasna: jej długo skrywana tajemnica nie była już tajemnicą. Spojrzała w dół i zobaczyła Orca. Wpatrywał się w nią z otwartą kamienną gębą. Za nim dostrzegła czterech innych chłopców. Rozpoznała Lance'a i Turka, pozostałych ledwo znała. Wszyscy czterej byli uzbrojeni. Orc nie potrzebował broni. Desperacko rozejrzała się we wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy. Może Sam wrócił. Może Brianna. Może Edilio i jego żołnierze... Na ulicach nie było jednak nikogo oprócz zgiętej w pół, kaszlącej dziewczyny, która zataczając się szła w stronę placu. Orc już raz obronił Astrid przed Zilem i jego towarzyszami z Ekipy Ludzi. Teraz czterech z tych towarzyszy patrzyło na nią i na niesamowitą, deszczową chmurę, a potem rzuciło się przed siebie, wszyscy pełni okrutnej energii. Chmura rosła. Deszcz się rozprzestrzenił. Orc stał jak wryty, przemoczony, niczym nieruchoma kupa żwiru. Pozostali zwolnili, weszli w strefę deszczu i tak jak Orc odchyłili głowy, żeby napić się cudownej, świeżej wody. Miała pistolet. Czy będzie musiała go użyć?

- To ten niedorozwój - zawołał Turk z uśmiechem pod drzewem udekorowanym ubraniami i kawałkami połamanych zabawek. - To ten jej tępy brat.

Turk ominął Orka i przeskoczył przez płot na podwórko Astrid. Jego towarzysze ruszyli za nim ostrożnie, spoglądając to na Astrid, to na Orka. Orc nie poruszył się. Turk błyskawicznie znalazł się na schodach, a potem na piętrze. Pozostali zebrali się wokół niego. Turk roześmiał się głośno.

- To ten debil! To on wywołał deszcz!

- Orc! - krzyknęła Astrid.

- Ten dzieciak musi mieć jakąś niesamowitą moc! - wrzasnął Lance.

- Idźcie stąd - poprosiła Astrid.

Była świadoma faktu, że mokra koszula nocna oblepia jej ciało. Pistolet w ręce ważył chyba tonę.

- Łap dzieciaka - rozkazał Lance. - Jeśli będziemy go mieli, będziemy mogli kontrolować deszcz, prawda?

Na koszulce Turka widniała krew. Mnóstwo krwi.

- Co ty zrobisz? - spytała Astrid.

Turk spojrzał na krew. Wydawał się zaskoczony.

- Ach, to? - roześmiał się dziko. - To nic takiego. Oznacza tylko tyle, że teraz my rządymy tym miejscem, Astrid. Sama nie ma w okolicy, prawda? Gdzie Pan Świetliste Dłonie?

- Orc! - zawołała Astrid. Nie chciała zdradzić, jak bardzo się boi, choć wiedziała, co robi Turk. A nie chciała używać pistoletu. Nawet teraz, nawet dla Peteya.

- Jakie jeszcze debil zna sztuczki? - spytał Lance. - Potrafi unosić się w powietrzu, wywoływać deszcz... co jeszcze?

- Mutant. Debil. Pe-tyn - powiedział jeden z dzieciaków, uśmiechając się nieśmiało, jakby nie był pewien, czy powiedział coś zabawnego.

- On nie wie, co robi - powiedziała Astrid. Zaczynało być jej zimno. - Po prostu chciało mu się pić. Ma grypę i chciało mu się pić.

Na ulicy pojawiły się kolejne dzieci z miskami i wiadrami- Z pełnymi zdumienia oczami zbliżały się do kurtyny z deszczu, ona zaś zbliżała się do nich.

- Ten debil musi być niezłym mutantem, skoro potrafi robić takie rzeczy - powiedział Lance. - Zdmuchnąć dach domu? Wywołać deszczową chmurę? To oznacza przynajmniej trzy kreski mocy. Może nawet cztery...

- Jeśli mu przeszkodzisz, pewnie przestanie - nagle pomyślała, że groźba może podziałać.

Oczy Lance'a zwęziły się jeszcze bardziej, a Turk znieruchomiał. Woda pitna była ważna nawet dla takich idiotów jak Turk i Lance.

Turk pokręcił głową i powiedział:

- Nieźle, Astrid. Ale jeśli ten opóźniony w rozwoju debil potrafi wywołać deszcz, kiedy chce mu się pić, musimy sprawić, by wciąż chciało mu się pić i wtedy będziemy kontrolować zaklinacza deszczu.

- Ciekawe, co robi, kiedy zgłodnieje? - spytał Watcher.

Deszcz uderzał o dywan. Na brudnej podłodze zbierały się kałuże. Turk podjął decyzję.

- Myślę, że po prostu musimy zabrać go ze sobą. - Skinął głową dwóm młodszym chłopcom. - Biercie go.

Pistolet uniósł się nagle, jakby sam podjął decyzję. Astrid wycelowała go w Turka.

Mimo deszczu usta miała suche. Nic była w stanie wydać z siebie dźwięku. Położyła palec wskazujący na spuście a kciuk na blokadzie. Odbezpieczyła broń. Widziała tylko twarz Turka i celownik pistoletu.

- Nie pociągniesz za spust, Astrid - stwierdził Turk.

Jakiś dźwięk na schodach. Kroki. Zobaczyła Edilia. Mierzył ze strzelby w Turka.

- To koniec, Turk - powiedział.

Astrid opuściła broń. Odetchnęła z ulgą.

- Pozwolisz, żeby Astrid dalej zajmowała się tym dziwakiem? - spytał Turk.

- Opuśćcie broń. Natychmiast!

Młodzi chłopcy spojrzeli na Turka, czekając na polecenia. Lance poruszył się jako pierwszy. Uniósł swój pistolet i wycelował go w małego Pete'a.

- Jeśli tylko ktoś wystrzeli, dzieciak zarobi kulką prosto w głowę.

- Oj stary, nie chcesz tego robić - ostrzegł Edilio.

- Serio? No to posłuchaj: Albert już nie żyje.

Edilio otworzył szeroko oczy.

- Widzisz, sytuacja szybko się zmienia - powiedział Lance, parodiując głos telewizyjnego prezentera. - Teraz, panie i panowie, znaleźliśmy się w impasie. Jeśli ty pociągniesz za spust, ja wciąż będę miał szansę trafić dzieciaka. Bang.

- Musicie zrozumieć, czym jest impas - powiedział Turk, unosząc broń i celując nią w Astrid. - Widzicie? Teraz sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana. Lance ma rację: Albert, hmmm... nie czuje się dobrze. Już nigdy nie poczuje się lepiej. Nikt ci więc nie zapłaci. Powinieneś spadać, nim pojawi się policja emigracyjna i cię stąd wykopie - roześmiał się.

W głowie Astrid pojawiła się przerażająca myśl: jeśli mały Pete zostanie zabity, niewykluczone, że wszystko się skończy. Zwyczajne morderstwo... Czym było jego życie? Czy życie małego Pete'a było warte tego wszystkiego? Czy było ważniejsze od życia Edilia? Czy było ważniejsze od życia tych wszystkich dzieci, które umierają i będą umierać? Czy naprawdę warte było tych wszystkich zgonów w okrutnym przerażającym, opuszczonym przez Boga ETAP-ie?

- Dawaj - powiedziała słabym głosem Astrid. Upuściła swój pistolet na dywan. - Dawaj, Zastrzel go. Zabij małego Pete'a.

Diana i Caine uprawiali seks jeszcze kilka razy w jej łóżku. W jego łóżku. W wielkiej sypialni pełnej zdjęć słynnych rodziców z Leo DiCaprio, Naialie Portman, z dziewczyną, która grała w „Mamma Mia!”, ze Stevenem Spielbergiem, Heathem Ledgerem i paroma innymi facetami, którzy też pewnie byli gwiazdami, ale wyglądali raczej jak biznesmeni. Diana podgrzewała w kuchni jedzenie dla Penny, ubrana w szlafrok i kapcie. Nowoangielska zupa z małży i *quesadilla*. Dania nie pasowały do siebie, ale Penny i tak nie będzie narzekać. Mnóstwo czasu minie, zanim zaczną narzekać na jedzenie.

Diana nie sądziła, że jej stosunki z Caine'm ułożą się w ten sposób. Podejrzewała, że coś takiego stanie się raz, ale nie tego, że będzie się to wciąż powtarzało. Apetytu Caine'a nie dało się jednak zaspokoić. Nocą przychodził do jej łóżka. A potem jeszcze rano, zanim wzeszło słońce.

Coś się z nią działo. Zaczynała lubić Caine'a. A może kochać? Nie była nawet pewna, co to znaczy. Może go kochała. To byłoby dziwne. Niełatwo go było kochać. A kiedy się go poznało, nie wzbudzał też sympatii. Diana zawsze uważała, że jest fascynujący i atrakcyjny. Gorący, powiedziałaaby, kiedy była młodsza. Gorący na swój chłodny sposób, o ile w ogóle było to możliwe. Teraz jednak sytuacja się zmieniała. Nie wykorzystywał go tak, jak zazwyczaj. Wcześniej tak właśnie robiła, a przynajmniej wmawiała sobie, że Caine po prostu jest użyteczny. Dziewczyna taka jak Diana, dziewczyna, którą pociągają ryzyko, która lubiła zaczepiać złośliwie inne dziewczyny kusić podnieconych nastolatków i spoglądać pożądlivie na starszusków, taka dziewczyna potrzebowała silnego ochroniarza. A Caine z pewnością był silnym ochroniarzem. Tylko samobójca mógłby chcieć wejść mu w drogę. Nawet zanim pojawiła się jego moc, wszyscy schodzili mu z drogi. Nie był największy ani najsilniejszy, ale zawsze najbardziej zdeterminowany. Pozbawiony skrupułów. Po prostu było wiadomo: jeśli zdrzesz z Caine'm, będziesz cierpieć. Podejrzewała, że tak naprawdę już dawno coś do niego poczuła. Nie była to miłość ani nawet sympatia. Ale coś czuła. Coś, co normalni ludzie mogliby uznać za chore. Diana położyła *quesadillę* na talerz i naląa zupę do miski. Postawiła naczynia na tacce i zaniósła na górę. Zapukała, otworzyła drzwi i postawiła posiłek pod nosem śpiącej Penny. Przypominało to karmienie psa. Caine stał w miejscu, które kiedyś było wypielęgnowanym trawnikiem, prowadzącym od domu do klifu. Teraz zarastały go chwasty, z których niektóre były wysokie na ponad metr, Caine przez teleskop przyglądał się odległemu miastu. Usłyszał jej kroki. Nie odwracając się, powiedział:

- Coś dzieje się w mieście.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Chmura. Deszczowa chmura. I wydaje mi się, że pada. To niewielka chmurka, ale prawdziwa, a nie tylko iluzja.

- Pewnie widzisz jakieś odbicie. Albo to jednak iluzja.

Caine podał jej teleskop. Nie chciała go wziąć, ale była zbyt ciekawa. Spojrzała. Miasto stało się bliższe. Nie tak bliskie by widziała ludzi, ale wystarczająco, by dostrzec chmurę. Tylko jedną chmurę, która wisiała zdecydowanie za nisko i nie ruszała się z miejsca. Szare smugi pod nią mogły oznaczać deszcz.

- No i? - spytała. - Pewnie któryś z odmieńców nauczył się tworzyć chmury.

- Nie zastanawia cię, kto to może być? To dość potężna moc.

Diana westchnęła sztucznie.

- A co cię to obchodzi?

- Nie podoba mi się myśl, że pojawiła się kolejna osoba o czterech kreskach. Nas dwóch to już i tak za dużo.

- To jeszcze nie znaczy, że ktoś ma cztery kreski - powiedziała Diana. - Brianna, Dekka i Taylor mają tylko trzy, a ich moce są ogromne.

- No ale przynajmniej trzy kreski. - Z powrotem wziął teleskop. - Nie sądzisz, że jeśli znajdą sposób, przyjdą tu po nas? Jeśli Sanjitowi udało się tam dostać, Sam już wie, co tu mamy. Nie sądzisz, że po to przyjdzie?

- Nie - odpowiedziała szczerze. - Nie sądzę, by chciał z tobą walczyć. Nie jest tak niepewny siebie jak ty.

Caine roześmiał się.

- Tak, masz rację, to jest właśnie mój problem: brak pewności siebie.

- To i tak nie ma znaczenia. Nie mamy jak wrócić, nawet gdybyśmy chcieli.

- Zawsze jest jakiś sposób, Diano. Zawsze.

- Nie - powiedziała. - I nie szukaj go.

ROZDZIAŁ 26

9 GODZIN, 0 MINUT

- Chcesz, żebyśmy zastrzelili twojego brata? - spytał Turk z niedowierzaniem.
- Nawet o tym nie myśl - powiedział Edilio. Zaciskał dłoń na strzelbie, trzymając palec na spuście. Wszyscy patrzyli na zaniepokojoną twarz Turka. Jego oczy były jednak zamglone. Powstrzymywał kaszlnięcie. - Ona wcale tego nie chce.
- Za dużo dzieci już zmarło - powiedziała Astrid zmęczonym głosem. - Nie mogą dalej umierać. Trzeba z tym skończyć.
- Edilio poczuł narastającą panikę. Co miał teraz zrobić? Czy Astrid zwariowała tak jak Mary Terrafino?
- Wiem, że wiele dzieci umarło - potwierdził Edilio, - Pochowałem większość z nich.
- To wszystko przez małego Pete'a.
- Nie. Nie wiesz, czy tak jest - Edilio spojrzał na nią wściekle.
- Zamrugła. Delikatnie pokręciła głową. Jej długie, mokre włosy zwisały jak złote węże.
- To nie ty się nim opiekujesz, Edilio. To nie ty jesteś za niego odpowiedzialny.
- Edilio zakaszłał, próbował się powstrzymać, zakaszłał raz. Próbował się uspokoić. Skoncentrować.
- O czym wy w ogóle mówicie? - spytał Turk. Nie rozumiał, co się dzieje.
- Edilio poczuł, że dom się trzęsie. Usłyszał ciężkie kroki. Orc. To musiał być Orc. Po czyjej stronie stanie? To było najważniejsze pytanie. Chłopiec-potwór wszedł na piętro. Idąc, wydawał dziwny dźwięk jakby ciągnął za sobą mokry żwir. Przeszedł obok Edilia. Jego głowa opadła na pierś i przez chwilę Edilio pomyślał, że chłopak zasypia. Nie, był tylko pijany.
- Opuście broń.
- Nie, nie, nie! O czym wy mówicie? - spytał Turk, wyczuwając przewagę, której nie był jeszcze w stanie zrozumieć. Jego pistolet wciąż wycelowany był w Astrid.
- Turk, zamknij się i opuść broń. Jeśli zabiłeś Alberta, zostaniesz wygnany.
- Co się stanie, jeśli zastrzelę debila? - spytał Lance.
- Znasz prawo. Jeśli kogoś zabijesz, odbędzie się proces. Jeśli zostaniesz uznany za winnego, opuścisz miasto i już nigdy nie wrócisz.
- Dobrze wiesz, że nie o to pytam, Edilio - fuknął Lance. - Powiedz mi, Astrid. Powiedz nam wszystkim. Co się stanie, jeśli zabijemy debila?
- Panika. Panika zżerała umysł Edilia. Co miał zrobić? Musiał przejąć kontrolę nad sytuacją. Musiał dowodzić. Ale jak? Spojrzał na Turka. Kręciło mu się w głowie, było mu strasznie gorąco. Przesunął strzelbę o centymetr, żeby dokładnie widzieć Lance'a. Wygra ten, który pierwszy podejmie decyzję.
- Jeśli... - powiedziała Astrid.
- BUM!**
- Połowa przystojnej twarzy Lance'a wybuchła fontanną krwi.
- Lance! - zawołał Turk. Lance uniósł broń. Nie celował już w małego Pete'a, ale w Edilia.
- BUM!**
- Źle wycelował. Nie trafił w Edilia, tylko w nogę Orca. Pocisk odbił się od niej rykoszetem. Turk, którego twarz zasłoniła maska czystej wściekłości wycelował w Edilia. Edilio jednak zdążył w tym czaj wycelować w niego.
- Nie rób tego! - ostrzegł.
- Turk zawahał się. Edilio nie widział jednak wahania widział tylko swoją broń i broń Turka, czarną dziurę jego lufy. Nie zastanawiając się, pociągnął za spust. Kolejne głośnie uderzenie.

Turk wylądował na plecach. Próbował pochwycić swój pistolet, ten jednak leżał poza jego zasięgiem.

- Powiedziałem: nie rób tego! - zawołał znowu Edilio.

Turk jedną ręką trzymał się za brzuch, drugą zaś sięgał po pistolet. Palec Edilia ślizgał się na spuście. Burmistrz czuł wewnątrz coś straszego, falę ohydy, którą ledwo udawało mu się powstrzymać, kiedy celował w głowę Turka. Orc zmiażdżył stopą pistolet Turka. Edilio odetchnął, próbując złapać oddech. Odkaslnął. Opuścił broń. Lance zapiszczał. Był to pisk strachu i bólu. Pocisk przebił jego policzek i wyleciał uchem. Czerwone skrawki mięśni zwisały mu z twarzy. Turk jęczał ciszej. Jego gardło drżało konwulsyjnie. Próbował chwycić powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Ręką wciąż sięgał po bezużyteczny już pistolet. Obaj jednak żyli. W głowie Edilia pojawiła się myśl, która później miała go zawstydzić: mógł z nimi skończyć. Powinien to zrobić, Podejść blisko i BUM! Gdyby tego nie zrobił, dzięki pomocy Lany, mogliby przeżyć. A gdyby przeżyli, z pewnością wróciliby, żeby się zemścić. Orc i Astrid przyglądali się mu. Wydawało mu się to nie fair, że nawet teraz oczekują od niego odpowiedzi.

- Sprowadzę Lanę - rzucił. Odwrócił się i pobiegł przed siebie, potykając się na schodach. Oślepiony deszczem i łzami popędził do Clifftop.

Sam i Jack musieli pracować razem, żeby uruchomić jedną z motorówek. Prawie wszystkie miały wyczerpane baterie, w jednej zostało jednak wystarczająco dużo mocy, żeby odpalić silniki.

Obudziły się, warcząc głęboko.

- Myślę, że ta łódka ma dość mocy, żeby dało się pojeździć na nartach wodnych - zauważył Sam.

Dekka uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Masz ochotę na narty wodne?

- Nie teraz. Tak tylko mówię...

- Kłamie. Chce jeździć teraz - powiedział Toto.

- No cóż, nie zawsze można robić to, co się chce - mruknął Sam. - Na razie musimy zbadać resztę jeziora, a potem wrócimy do miasta i zostaniemy przywitani jak bohaterowie.

Chciał, żeby to zdanie zabrzmiało ironicznie, ale tak naprawdę jakaś jego część nie mogła doczekać się, kiedy wróca a on ogłosi, że znaleźli mnóstwo wody i do tego sporo słodkości.

Później poszedłby spotkać się z Astrid. A co stałoby się potem?

Nic. Byliby w tym samym miejscu, co wcześniej. Kiedy wszystkie liny znalazły się na pokładzie, w z przystani i skierował łódź na zachód. Mokre krople na twarzy, warczący silnik pod stopami - wrażenie było wręcz upojne. Później paliwo się skończy, cała pepsi zostanie wypita a kluski zjedzone. Ale ten czas jeszcze nie nadszedł. Tu, nad jeziorem, mogli rozpocząć nowe, lepsze życie. Pozostawić za sobą śmiecie, ruiny i wspomnienia o Perdido Beach. Pozostawić za sobą zniszczony kościół i spalone domy. Pozostawić za sobą ten okropny cementarz. Tym razem wszystko zrobią tak, jak trzeba. Zorganizują wszystko, zanim jeszcze zaczną się przeprowadzać. Stworzą małe rodziny, które będą mogły mieszkać na łodziach w hangarze albo w biurze w przystani. Zmarszczył czoło, próbując obliczyć, ile łodzi miało jakąkolwiek nadbudowę, Może z sześć małych żaglówek, tuzin motorówek, cztery czy pięć jachtów. To oczywiście nie wystarczyło, ale mogli przecież rozstawić namioty, może zbudować też małe schroniska, W ETAP-ie nigdy nie było zimno, nikt nie potrzebował ogrzewania, najwyżej dachu, żeby chronić się przed słońcem. Popatrzył na linię brzegową, próbując znaleźć miejsce na pole kempingowe. Logicznie rzecz biorąc, musiało tam być; nad

jeziorem zawsze były pola kempingowe. Oczywiście mogło się ono znajdować po drugiej stronie bariery. Zresztą to nieważne, i tak wszystko było w porządku. Mieli dość paliwa, żeby przyjechać z Perdido Beach kamperami i przyczepami, które nie spaliły się w pożarze i wciąż stały zaparkowane przy drogach. Będzie miał łódź, wystarczająco dużą dla niego, Astrid i małego Pete'a. Może poprosi też Dekkę, żeby z nimi zamieszkała. Zakładając oczywiście, że zajmie jeden z jachtów, a dlaczego miałby tego nie zrobić? Na jednym z takich jachtów mogłoby pewnie nocować sześć osób. On i Astrid... zdał sobie sprawę, że w jego planach dzielą podwójne łóżce. A na to nie było zbyt wielkich szans. A może? Może, gdyby znaleźli się daleko od Perdido Beach, to wtedy... Przyszła mu do głowy nowa myśl. Próbował odepchnąć ją od siebie, ale uparcie wracała. Co by było, gdyby wzięli ślub? Byliby wtedy rodziną. On, Astrid i mały Pete. Nikt nie wiedział, ile będzie trwał ETAP. Być może wiecznie. Być może nigdy się stąd nie wydostaną. A w takim wypadku, co mieliby zrobić? Oboje mieli po piętnaście lat, żadne z nich nie zniknęło. W normalnym świecie byliby dziećmi, tutaj byli starzy.

- No dobra, ale kto udzieli nam ślubu? - Nieświadomie wypowiedział to pytanie na głos. Rozejrzał się niespokojnie, czy nikt go nie usłyszał. Oczywiście nie było to możliwe przy warkocie silnika i dźwięku, jaki wydawał uderzający o fale dziób. Dekka siedziała na jednym z krzeseł na rufie, spoglądając tęsknie na ląd. Jack wpatrywał się w jeden z laptopów, uśmiechając się i uderzając palcami w klawiaturę. Toto rozmawiał z kimś niewidzialnym.

- Statek szaleńców. - Sam uśmiechnął się do siebie.

Woda, paliwo, kluski, pepsi, nutella, prawdopodobny wariat... mimo obaw Dekki, pojawiła się nadzieja. Quinn. On byłby niezłym sędzią pokoju. To chyba wystarczy, żeby odprawić ceremonię ślubną, prawda? Tak było przecież z jego mamą i ojczymem. Skoro mogli powołać burmistrza, mogli też chyba powołać sędziego pokoju?

- Wyjdź za mnie i zamieszkajmy na jachcie – powiedział.

- Lubię cię, Sam, ale nie w ten sposób - powiedziała Dekka.

Sam szarpnął ster w jedną stronę. Próbował zignorować rumieniec, który pokrywał jego policzki. Stała tuż obok niego.

- Jak tam ramię? – spytał.

- Widzisz, oto dlaczego cieszę się, że Taylor z nami nie ma - powiedziała Dekka. - Gdyby to ona cię usłyszała, wiadomość rozprzestrzeniłaby się z prędkością światła.

- Miałem chwilę optymizmu - westchnął Sam. Dekka poklepała go po plecach.

- To dobrze, Sam. ETAP jest ci winien parę dobrych wiadomości.

Orc stał nieruchomo. Dziecko wciąż wisiało w powietrzu, w strugach deszczu, jakby nie było w tym nic szczególnego. Astrid wyglądała jak zombie czy coś w tym rodzaju. Dwaj postrzeleni chłopcy krzyczeli i wili się w spazmach. Denerwowało to Orka. Nic go w gruncie rzeczy nie obchodzili. Nie byli lepsi od niego. Pozwoliłby im może pokrzyczeć, ale nie teraz, kiedy w jego głowie waliły setki młotów, kiedy wciąż miał w uszach dźwięk wystrzałów. Edilio powiedział, że muszą wynieść się z miasta. Ta myśl kołatała się też po jego głowie. Mordercy muszą wynieść się z miasta. Zasady Astrid. To ona je wymyśliła.

- To prawda? - spytał bez żadnych wstępów.

- Co?

- Że jeśli się kogoś zabije, trzeba odejść na zawsze.

- Zamierzasz ich zabić? - miała na myśli zranionych chłopców. Zrozumiał to dopiero po chwili.

- A co jeśli... a co jeśli zrobiło się to nieumyślnie?

- Muszę go stąd zabrać - powiedziała Astrid. Orc pomyślał, że jednak nie mówi do niego.

- Chodzi mi o sytuację, kiedy to stało się niechcący. Kiedy to był wypadek.

- Nie wiem, o co mnie pytasz.

Orkowi zabrakło słów. Był taki zmęczony. Tak obolały.

- Mógłbyś go podnieść? Wziąć go na ręce? - Astrid prosiła go o coś. Może więc nie obchodziło ją, co zrobił.

- Pe-tyna?

- Małego Pete'a. Czy możesz go zabrać, Charles?

- Dokąd?

- Daleko stąd - powiedziała Astrid. - Takie jest prawo. Mordercy muszą odejść. Wiesz, on właśnie jest mordercą. Jest najgorszy z nas wszystkich. Wszystkie te zmarłe dzieci...

Orc pochwyił myśl, która przepłynęła przez jego powolny umysł. Zgubił ją jednak, kiedy Lance zaczął jęczeć jeszcze głośniejszym głosem niż wcześniej.

- Zamknij się albo cię zastrzelę! - wrzasnął. Z wysiłkiem próbował ponownie się skoncentrować. Mały Pete. Morderstwo. - No tak, ale on nie wie, co robi, prawda? Ludzie, którzy nie wiedzą, co robią... to nie ich wina...

- Proszę cię, Charles. Podnieś go. Edilio niedługo wróci z Laną. Wtedy musi nas już tu nie być.

Orc podszedł do Turka. Chłopak trzął się w niekontrolowany sposób. Jego nogi były wyprostowane, stopy dziwnie wykręcone. Drgał, jakby tylko siłą woli nie wypływał wnętrzości. Lance wciąż krzyczał, ale teraz też przeklinał, wściekając się na wszystkich, wyrzucając z siebie wszystkie pełne nienawiści słowa, jakie tylko przychodziły mu do głowy.

Orc spojrzał na małego Pete'a. Astrid powiedziała, że zabił ludzi. Orc nie wiedział, jak to możliwe - chłopiec wyglądał, jakby nie był nawet w stanie się poruszyć.

Mały Pete zakaszlał trzy razy bardzo szybko. Nie zakrył ust. Wydawało się, że nawet nie zdaje sobie sprawy, że kaszle. Orc wziął go w ramiona. Chłopiec nie ważył dużo. A Orc był silny. Astrid patrzyła na nich, jakby byli odlegli o setki mil. Jakby patrzyła na nich przez teleskop.

- Dokąd? - zapytał ją Orc.

Astrid uklękła i podniosła upuszczony pistolet.

- Jak najdalej - odpowiedziała.

Orc zszedł po schodach i ruszył na północ, w stronę wzgórz, jak najdalej od krzyku.

ROZDZIAŁ 27

6 GODZIN, 11 MINUT

Pojawił się Drake. Trzymał kamień. A to oznaczało, że Brittney trzymała ten sam kamień. Dla niej musiał sporo ważyć, jednak jego bicz utrzymywał ciężar bez specjalnego wysiłku. Robale wokół niego coraz mniej wyglądały na insekty, nawet na duże. Najmniejszy z nich był wielkości dalmatyńczyka, największe - wielkości kucyka. Bardziej przypominały jednak czołgi albo samochody terenowe. Wydawały się teraz bardziej kruche, jakby ten sam lśniący egzozszkielet został rozciągnięty dla potrzeb znacznie większej istoty. Tylko połowa z nich wciąż nosiła gruz. Pozostałe, te największe, odeszły na bok i czekały niecierpliwie. Jak samoloty, gotowe do startu. To mu właśnie przypominały: samoloty myśliwskie. Miały w sobie coś drapieżnego, niebezpiecznego. Jakby czekały tylko na sygnał, żeby poderwać się do lotu, rozsiewając śmierć i zniszczenie. Kto miał dać im sygnał? On? Kojoty zniknęły. Czy postanowiły odejść? Czy też robaki wreszcie je zjadły? Drake zauważył plamę krwi na kamieniu i pomyślał, że zna już odpowiedź. Czy Ciemność postanowiła złożyć kojoty w ofierze, nakarmić nimi swoje nowe sługi? Drake rzucił kamień na stertę. Odwrócił się i podszedł do szybu, do dziury w ziemi, która jakby zapraszała go do siebie. Szedł lekkim krokiem. Jego serce biło szybko z radości, nie ze strachu. Poczuł, jak Ciemność dotyka jego umysłu. Poczuł jej silną wolę. Pożądała go. Wiedział już teraz, o co go poprosi i jaką da mu broń. Szyb był pusty, lecz wciąż niebezpieczny. Belki, na których się wspierał, nie zostały wymienione, a kamienny dach był wyszczerbiony, pełen czarnych dziur, które powstały po zawaleniu.

- Już idę - szepnął Drake. Dlaczego jednak szeptał? - Już idę! - zawołał. Zostawił za sobą resztkę światła. Otoczył go mrok. Wyczuwał drogę, krok po kroku, wyciągając przed siebie ramię i bat. Szurał nogami po kamieniach, dziesiątki razy ranił się w stopy. Czuł zapach stęchlizny. Było cieplej niż powinno być w szybie, bardziej gorąco niż na zewnątrz. Pocił się w mroku, z trudem chwycił powietrze.

- Już idę! - zawołał znowu, ale jego głos brzmiał teraz metalicznie i płasko. Potknął się i upadł na kolana. Wstając, uderzył się w głowę. Szedł w dół długim, długim zboczem. Jak daleko zaszedł? Nie był w stanie ocenić. Słyszał za sobą nadchodzące robale. Musiały się przeciskać przez wąskie szczeliny jak gigantyczne karaluchy, spłaszczające się, by przedostać się przez kamienne wały. Szły za nim. Jego armia. Tak, był tego pewien. Przewodził im, musiały go słuchać. Jego armia! Nie mógł już oddychać powietrzem. Nie pierwszy raz jednak brakowało mu tlenu. Wciąż wracało do niego wspomnienie powolnej ucieczki z grobu. Nie, Drake nie potrzebował powietrza. Powietrze służyło żywym, a Drake był w znacznie lepszej niż żywi sytuacji. Nieśmiertelny. Nieśmiertelny żołnierz gaiaphage. Z radości aż zakręciło mu się w głowie. Nagle droga urwała się i Drake runął, głową w dół. Spadał przez kilka długich sekund. Wylądował na twardej skale, odbił się od niej, przeturlał i roześmiał bezdźwięcznie. Wymacał rękami podłoże. Wiedział już, że znajduje się na wąskim gzymsie, mając pod sobą ziejącą przepaść. Wstał, postawił nogi na krawędzi i spojrzał w dół. Znacznie niżej zobaczył mętne, zielone światło, jedyne światło w tej ciemnej otchłani. Mogło znajdować się o sto stóp od niego, o milę, może o sto mil. Nie było sposobu, by to ocenić. Spadał i spadał, jak Alicja w króliczą norę. Wydawało się, że trwa to wieki. Nie sekundy, lecz minuty. Wieczność. ŁUP! Uderzył w ziemię z taką siłą, że powinien był połamać kostki, łydki i uda, powinien rozwalić kręgosłup i rozbić głowę jak jajko. Zamiast tego, po chwili oszołomienia, poskładał swoje połamane kończyny z powrotem i wstał. Wszystkie ściany wokół niego błyszczały. Jego oczy przyzwyczyły się już w pełni do ciemności, widział więc dość dobrze w radioaktywnym

blasku. Czy był już na miejscu? Czy dotarł do celu podróży? „Chodź.” Zszedł jeszcze niżej. Znalazł się w innym rodzaju tunelu, już nie w wykopanym przez człowieka kopalnym szybie, ale w naturalnej jaskini, prowadzącej do głębi ziemi. Wszedł do pieczary, której sklepienie wznosiło się nad jego głowę. Zielonkawe stalaktyty spotykały się w niej z krótkimi stalagmitami. Czuł się, jakby wszedł do paszczy gigantycznego rekina. Przeszedł przez pieczarę i znów w głąb, śledząc szlak słabego, zielonego światła. Potwory postępowały za nim. Spadały tak jak on, spowalniając upadek skrzydłami, wirując niczym helikoptery. Armia! Jego armia! Jak nisko spadł? Nie wiedział. Jak głęboko był teraz? Wiele mil pod ziemią. Coraz bliżej. I właśnie wtedy, gdy zdawało mu się, że jego podróż dobiega końca, Drake poczuł znajome zakłócenia i falę obcości - oznaki transformacji.

- Nie! - jęknął. - Nie teraz! Nie miał jednak takiej mocy, która mogłaby zatrzymać metamorfozę. To nie Drake, lecz Brittney dotarła wreszcie do miejsca, gdzie leżał gaiaphage. Przypominała żywy, zielony piasek. Biliony części, z których każda była niemal niewidoczna, razem tworzyły jednak jedną, żywą istotę. Ul. Pieczara była wielka, wprost ogromna. Wyglądała jak stadion piłkarski, zakopany głęboko pod ziemią. Zielona, błyszcząca masa gaiaphage przykrywała stalaktyty i stalagmity, granitowe ściany i wieżowce z piaskowca. Ziemia pod stopami Brittney była jednak zaskakująco płaska i gładka. Gaiaphage zostawił dla niej miejsce, żeby mogła popatrzeć i zrozumieć. Ukłękła i oparła ręce o skrawek przezroczystej, perłowej szarości. Przeszywający ból, jaki poczułaby żywa osoba, był dla Brittney ledwie lekkim swędzeniem. Wiedziała, co ma przed sobą, wiedziała też, gdzie jest. Znajdowała się na dnie muru ETAP-u, na dnie gigantycznej bańki. Dziesięć metrów pod ziemią, w najniższym punkcie zamkniętego świata ETAP-u. Wstała, spojrzała w lewo, w prawo, w każdą możliwą stronę, powoli dostrzegając, że wszystko opiera się na barierze. Kamienne ściany, stalagmity - wszystko to wyrastało z samej bariery. I wszędzie, poza tym małym strzępkim szarości, gaiaphage pokrywał barierę. Dotykała jej i nie czuła bólu. Potem, spoglądając w dół, Brittney dostrzegła, że kolor bariery się zmienia. Odwieczna szarość była przetykana ciemną zielenią, barwą letnich liści. Zrozumiała wtedy, że gaiaphage może dotykać i przemieniać samą barierę. Wiedziała, że jest obdarzona świadomością. Wiedziała to, bo czuła teraz dotyk jej straszliwego umysłu. Nie było co do tego wątpliwości. Brittney upadła na kolana. Złożyła dłonie i zamknęła oczy. Nie była jednak w stanie uchronić się przed zielonym blaskiem. Nie potrafiła przestać widzieć. Nie potrafiła uchronić swojego umysłu przed tym okrutnym dotykiem. Czuła, jak każda jej myśl zostaje otwarta niczym plik na komputerze. Otwarta, obejrzana, rozumiana. Była niczym. Teraz już to wiedziała. Niczym. Próbowwała zawołać swojego Boga, nie potrafiła jednak ułożyć modlitwy, nie potrafiła wyszeptać jej drżącymi wargami. Wszystko stało się dla niej jasne. Rasa istot, które czczą życie. Wirus, zaprogramowany, by rozsiewać życie, gdzie tylko się dało. Planeta, najpierw zainfekowana, a potem celowo wysadzona w powietrze, by nasienie życia rozpadło się na bilion meteorów. Nieskończona, nieograniczona czarna przestrzeń, tysiąclecia, podczas których kamienie toczyły się wzdłuż bezkresnej drogi. Meteor pochwycony w pole grawitacyjne małej gwiazdy a potem małej planety. Wstrząsające, ogniste uderzenie. Śmierć. Człowiek obrócony w nicość. Potem obcy wirus wchłonął coś nowego, niesamowitego ludzkie DNA. Nowa forma życia. Niezamierzona konsekwencja szlachetnego planu. Bóg nie mógłby stworzyć gaiaphage. A teraz Bóg nie może uratować jego z tej nory. To wtedy, w ostatecznej desperacji, Brittney zaczęła się modlić, jednak nie tak, jak do tej pory, lecz do nowego Boga. Do zbawiciela, który czekał na to, by się wyzwolić, by się narodzić. Brittney pochyliła głowę i pomodliła się do gaiaphage, Podczas modlitwy ukazał jej się Tanner. Jej

martwy brat był aniołem. Nie miał co prawda skrzydeł ani aureoli, wiedziała jednak, że jest aniołem. A teraz ukazał się jej i powiedział spokojnym, łagodnym głosem:

- Nie bój się.

- Pozwól mi umrzeć - szepnęła Brittney.

- Do kogo się modlisz? - spytał.

- Do ciebie - odparła. Nie miała bowiem wątpliwości, że Tanner mówi poprzez gaiaphage.

- Nie mogę dać ci śmierci - powiedział Tanner. - Jesteś dwiema osobami w jednej postaci. Twoja nieśmiertelność jest jego nieśmiertelnością. A on jest mi potrzebny.

- Ale kto uczynił mnie taką? I dlaczego? Dlaczego?

- „Dlaczego” to pytanie dla dzieci - roześmiał się Tanner.

- Ale ja jestem dzieckiem - powiedziała Brittney.

Lekko świecąca magma wyciekała z okrutnych ust Tannera. Pochylił się i dotknął jej lodowatymi palcami.

- Muszę się narodzić - powiedział Tanner. - A wtedy, będziesz mogła umrzeć.

- Nie rozumiem. - Budzącymi litość oczami spojrzała na anioła, który zmienił się w diabła. - Co powinnam zrobić?

- Nemesis musi być mój - powiedział Tanner. - Nemesis musi służyć mnie i tylko mnie. A ci, którzy go chronią, muszą zostać zniszczeni. On musi stać się moim sługą.

- Ja... ja nic nie rozumiem... - Uklękła z pochyloną głową, niezdolna, by spojrzeć na Tannera, wiedząc już, że nigdy nie był on aniołem ani sługą bożym, że w ogóle nie był prawdziwy, że był tylko głosem zła.

- Nemesis - wysyczał Tanner. - Jesteśmy dwojgiem w jednej postaci, tak jak ty i Biczoreki. Dwoje w jednym, czekamy tylko, by się narodzić. Posłuż mi tylko, gdy będzie sam, całkiem sam. A ja wtedy wydostanę się z kokonu.

- Nie znam nikogo o imieniu Nemesis - szepnęła Brittney.

Czuła, że powoli traci świadomość. Jej palce splatały się w bicz.

Zanim utraciła wzrok i słuch, odchodząc w ciemność, gdy Drake już się z niej wyłaniał, udręczony umysł Brittney zobaczył twarz Nemesis. Znała jego imię. Peter Michael Ellison. Znany wszystkim jako mały Pete.

PETE

Unosił się nad ziemią w ramionach potwora. Jego policzek opierał się o kamienne ramię. Deszcz już nie padał. Jaskrawe kolory - zieleń i żółć, brąz i czerwień - zgrzytały, raniąc jego uszy. Siostra szła za nim. Jej twarz była równie kamienna, jak oblicze potwora. Jej usta były zbyt czerwone, oczy zbyt niebieskie, dźwięk jej oddechu zbyt głośny. Przy każdym kroku żwirowa skóra potwora ocierała się o nagie ciało Pete'a niczym papier ścierny, niczym setki ostrzy powoli raniących delikatne strupy. Chciał wrzeszczeć, ale gdyby wrzasnął, głośne kolory stałyby się jeszcze bardziej krzykliwe. Nie znajdował się już na szklanej płaszczyźnie. Spadł do świata pełnego hałasu i oślepiającego światła. Ciemność była już tylko odległym echem. Był tu i teraz, czuł igły na skórze, noże w uszach. Jego oczy pulsowały bólem. Zakaszłał, jakby w jego płucach wystrzeliła armata, a pocisk przeleciał przez gardło i usta, paląc go niby rozżarzona lawa. Dlaczego tu był? Dlaczego w ramionach potwora? Co się z nim działo? Po długiej, spokojnej ucieczce znów został schwytany w świat nadmiaru i zniekształconych obrazów. Czuł i widział tylko swoje ciało, które bolało i trzęsło się tak okropnie, jakby zaraz miało się rozpaść na kawałki. Jego ciało odwracało uwagę od nieskazitelnego, szklanego klifu. Zmuszało go, by poczuł każdy dreszcz, wił się po każdym kaszlnięciu, by czuł, naprawdę czuł chorobę, która wysysała z niego siły.

ROZDZIAŁ 28

5 GODZIN, 1 MINUTA

Drake nie widział Tannera. Gaiaphage nie potrzebował anielskich iluzji, by przedrzeć się do jego rozgorączkowanego umysłu. Drake wiedział wszystko, co powinien wiedzieć. Robale miały mu służyć. Był przywódcą własnej armii. W głowie miał ułożoną listę imion. Najpierw mutanty. Potem normalni. Wszyscy. Wszyscy poza jednym, podkreślił gaiaphage. Zabijaj, póki nikt już nie zostanie. Nie wolno ci jednak skrzywdzić Nemesis. Drake'a wypełniała radość, jakiej nie znał nigdy wcześniej. Czuł w sobie dziką energię. Przez całe życie czekał na tę chwilę. Miał wrażenie, że wszystko, co do tej pory zrobił - wszystkie bójkę, w których ucierpiał, jeszcze więcej bójkę, w których był górą, przyjemność, którą czuł, podpalając żaby, wkładając szczeniaka do kuchenki mikrofalowej i rysując obrazki broni, noży, narzędzi tortur - to wszystko, nienawiść i pożądanie, szaleństwo i gniew, złożyło się na tę ostateczną, idealną chwilę krystalicznej radości. Pomyślał, że mógłby umrzeć z rozkoszy, pośród tego sztormu emocji, wirowania planet. Śmierć! Był śmiercią, nareszcie wypuszczoną na wolność. Strzelił z bicia, odchylił głowę i wył, wył, aż gardło wyschło. Potem biegł, skakał wśród chmury wspinających się insektów, nie przejmując się ostrymi kamieniami, które raniły jego niemartwe ciało. Zabić ich wszystkich! Wściekł się, gdy dotarł do stopni, na które nie był w stanie się wspiąć, wtedy jednak potwory pospieszyły mu z pomocą, unosząc go i przyspieszając jego bieg przez niekończące się pieczary. Armia! Jego własna armia! Wskoczyli z szybu i Drake wbiegł na skałę, na której czekał na niego kojot.

- Gdzie on jest, Przywódco Stada? - wysapał Drake.

- Nie ma Przywódcy. Stado zabite.

- Wszystko mi jedno, jak się nazywasz. Gdzie on jest?

- Kto? - spytał kojot.

Drake uśmiechnął się.

- Ten, który zabija dłońmi, ty głupi psie. Sam!

- Jasne Dłonie jest daleko stąd. Przy wielkiej wodzie.

Odwrócił się i wskazał pyskiem na wschód.

- Znakomicie - zamruczał Drake.

Właśnie wtedy kolejna grupa robali wyłoniła się zza krawędzi i wtopiła w armię Drake'a. Były inne. Miały krwistoczerwone oczy. Nie były jednak same. Brianna wpatrywała się w niego, z opartymi dłońmi na biodrach.

- To ty! - zawołał Drake.

- Ja - odparła.

Zwrócił się do potworów:

- Czerwone oczy, słuchajcie mnie! Idźcie do miasta! Zabijcie wszystkich prócz Nemesis!

- Czy ty mówisz do tych robali? - spytała Brianna. - Nie sądzę, by znały język psycholi.

- Niebieskie oczy, za mną! Dwie drużyny: niebiescy ze mną, czerwoni do miasta. I zabijajcie. Zabijajcie!

- Co ty chcesz zrobić? - spytała Brianna.

- Ja? - roześmiał się Drake. - Ruszam w morderczą podróż.

- Najpierw musisz pokonać mnie.

- Taki właśnie miałem zamiar.

Astrid, Orc i mały Pete wyszli spod deszczowej chmury. Nie ruszyła za nimi. Nie pojawiła się też żadna nowa chmura. Pierwsza zaś wciąż wisiała w powietrzu, zalewając ulicę i zrujnowany dom. Mały Pete kaszlnął prosto w twarz Orka. Kaszel stawał się coraz głębszy, powoli coraz cięższy. Być może go zabije... „Dawaj. Zabij go. Zabij małego Pete'a.” Astrid powtarzała sobie, że wcale tego nie chciała. To była tylko taktyka. W końcu, kiedy ktoś ci grozi, musisz zlekceważyć tę groźbę, udawać, że nic sobie z niej nie robisz. Eksplodująca twarz Lance'a. Jej strzępy spadły na nią. Jęczący z bólu Turk, wijący się na mokrym dywanie. To musiało się wreszcie skończyć. Jedna śmierć mogłaby uratować tuziny, może setki dzieci. Zwyczajne morderstwo... Astrid przypomniała sobie, jak dusiła Nerezzę. Znów poczuła, jak jej palce zaciskają się na miękkiej szyi, jak szuka miejsca pomiędzy arterią a ścięgnem. Nigdy nie czuła czegoś, co byłoby podobne do czerwonej, mglistej wściekłości. Nienawidziła już wcześniej - nienawidziła Drake'a. Bała się też wcześniej - wiele, wiele razy. Ale nigdy nie sądziła, że okaże się zdolna do morderczej wściekłości. Prawdziwym odkryciem była dla niej radość, którą wtedy poczuła. Czysta, prosta, okrutna radość, która ogarnęła ją, kiedy wyczuła palcami krew, próbującą przedostać się przez zablokowane przez nią żyły, gdy usłyszała spazm w tchawicy Nerezzy. Astrid jęknęła. To musiało się skończyć.

- Wszystko okej? - spytał Orc.

Czy kiedyś jeszcze znów będzie sobą? Czy też Astrid, dawna Astrid umarła, a zastąpiła ją nowa istota, wściekła, przerażona czarownica? Nie po raz pierwszy pomyślała, że tak wyglądało życie Sama od chwili, gdy zaczął się ETAP. Ile wściekłości i strachu on musiał przetrwać? Jak wiele gorzkiego wstydu w chwilach porażki? Jak wielkie musiało być poczucie winy, które zżerało go tak, jak teraz zżerało ją? Żałowała, że nie ma go teraz przy niej. Może mogłaby go wtedy zapytać, jak z tym żyć. Nie, pomyślała. Nie potrzebujesz Sama. Potrzebujesz księdza. Musisz się wypowiadać, odbyć pokutę i otrzymać rozgrzeszenie. Ale jak mogłoby zostać jej przebaczone to, że patrzyła teraz na Orca, wspinającego się pod górę, widziała kołyszącą się głowę Peteya i wciąż zastanawiała się, czy mówiła poważnie. „Dawaj. Zabij go.” Powtarzała sobie, że Bóg słyszy modlitwy, nawet tych, którzy nie okazali skruchy. Chciała się pomodlić. Nie była jednak w stanie dostrzec twarzy cierpliwego Chrystusa, którą widziała wcześniej tyle razy. Widziała krucyfiksy, obrazy, rzeźby. Ale Boga, w którego wierzyła, już tam nie było. Czy traciła wiarę? Czy już ją straciła? Zwyczajne morderstwo...

Leslie-Ann wiedziała o kwarantannie. Wiedziała jednak, że nie przetrwa ani chwili dłużej bez picia i jedzenia i że to samo dotyczy jej braci. Jediną dobrą stroną pracy u Alberta było to, że jej szef zawsze dbał o to, żeby miała co jeść, Albert miał jedzenie i wodę. Nie dałby jej głodować. Leslie-Ann wyszła więc z domu, który dzieliła z rodzeństwem, i ruszyła w stronę znacznie elegantszego domostwa Alberta. Na zachodzie dojrzała coś dziwnego: chmurę. Leslie-Ann zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czemu wydaje jej się ona taka dziwaczna. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się; ETAP był pełen nienormalnych rzeczy. Kiedy ktoś miał okazję widzieć Sama, strzelającego światłem z rąk - a ona miała - przestawał w ogóle się dziwić. Frontowe drzwi domu Alberta stały otworem. W pewnym sensie zdziwiło ją to bardziej niż chmura. Albert nigdy nie zostawiał otwartych drzwi. Leslie-Ann podeszła ostrożnie bliżej. Sięgnęła po rękojeść swojego noża. Miała dziewięć lat i nie była szczególnie duża ani przerażająca. Raz jednak zamachała nożem przed oczami dzieciaka, który chciał ukraść jej arbuza, i chłopiec uciekł.

- Albert? - zawołała.

Otworzyła drzwi na oścież. Wyciągnęła nóż.

- Albert?

Wydawało jej się, że słyszy jakiś dźwięk, dobiegający z salonu. Pośliznęła się na kafelku. Spojrzała w dół: czerwona ciecz. Krew. To była krew.

Odwróciła się i pobiegła z powrotem do drzwi. Wyleciała na zewnątrz, wymachując nożem. Rozejrzała się w nadziei, że Edilio albo ktoś inny pojawi się w okolicy. Gdyby tak się jednak stało, wściekliby się na nią za wychodzenie w czasie kwarantanny. Wciąż byłaby głodna, tak samo, jak jej bracia. Leslie-Ann zeszywniała i weszła z powrotem do środka. Stała na plamie krwi. Niemal potknęła się o puszkę, która poturlała się z brzękiem. Puszka na podłodze Alberta? Kto mógłby zrobić taki bałagan? Gdyby od razu tego nie posprzątała, Albert by ją zwolnił. Pochyliła się i wolną ręką podniosła puszkę. Pachniała jedzeniem. Pocięła jej ślinka. Odchyliła nóż, wkładając palec do środka puszek, sprawdzając, czy przypadkiem coś w niej nie zostało. Wylizała z palców sos pomidorowy. Smakował niebiańsko. Puskę wzięła ze sobą do salonu. Tam jej oczom ukazał się przeraźliwy bałagan: puszki i papierowe opakowania leżały wszędzie dookoła. Na dywanie były plamy przypominające pomidorowy sos. Ale Leslie-Ann dobrze wiedziała, że to nie był sos pomidorowy. Wtedy zobaczyła Alberta. Siedział, plecami oparty o pokrytą zakrzepłą krwią ścianę. Miał zamknięte oczy. Nie ruszał się.

- Albert?

Walczyła z pokusą, by wybiec stamtąd, biec, biec, biec jak najdalej. Wciąż była jednak głodna i spragniona, a przed nią leżała nie do końca opróżniona butelka wody. Napiła się jej. Zawsze coś.

Weszła do kuchni i drżącymi palcami sięgnęła do plastikowych worków na śmieci. Potem, jak najszybciej, tak szybko, by nikt nie zdążył jej powstrzymać, zebrała puszki i butelki i wrzuciła je do worka. Nic było tego wiele, ale jej bracia będą mogli wygrzebać sobie trochę jedzenia. Spojrzała na Alberta i poczuła nagłą falę współczucia i poczucia winy... Jego oczy... Były otwarte.

- Albert?

Podeszła bliżej. Czy patrzył na nią?

- Ty żyjesz?

Nie odpowiedział, ale powoli, bardzo powoli zamknął oczy. A potem znowu je otworzył. Leslie-Ann wybiegła z salonu, a potem z domu, nie upuszczając jednak torby.

ROZDZIAŁ 29

4 GODZINY, 8 MINUT

Brianna wyciągnęła nóż z pokrowca.

- Nie wystarczyło pokroić cię na trzy części - powiedziała. - Więc tym razem posiekam cię jak cebulę.

Zamachnęła się i rozcięła Drake'a w pasie. Nie do końca, ale łatwo było to poprawić kolejnym cięciem.

- Łapcie ją! - wrzasnął.

Obróciła się w powietrzu, odepchnęła się nogami od grzbietu robala i znów opuściła swój wielki nóż, odcinając bicz Drake'a, który spadł na ziemię jak czerwony pyton. Wciąż wił się, ale nie był już częścią ciała Drake'a.

Trafiła! Znowu! I znowu! W mgnieniu oka.

Robale zaczęły jednak reagować, cała ich chmara rzuciła się na nią. Były powolne, zbyt powolne, ale wciąż musiała im się wymykać, co kosztowało ją cenne sekundy.

A Drake wciąż żył. A w każdym razie zachowywał się tak. Przedarła się przez zgrzytające zębami pyski i szczękające żuwaczki, i wbiła nóż w czaszkę Drake'a. Ostrze zatopiło się w kości. Próbowwała je wyciągnąć, ale zbyt mocno tkwiło w ciele Drake'a. Świiiiist! Coś chwyciło ją za łydkę. Odwróciła się, żeby na nią spojrzeć i zobaczyła długi, czarny, kolczasty sznur, wyłaniający się z pyska najbliższego z robali. Potrząsnęła nogą, ale nic chciał puścić.

- Ohyda!

Kolejny robak spróbował zrobić to samo, ale ona wykonała salto i odsunęła się na bok. Pierwszy język wciąż jednak trzymał jej nogę. Czuła haki wbijające się w jej skórę. Potrzebowała noża, ale znalazł się teraz poza jej zasięgiem. Drake odsuwał się coraz dalej, opierając się na jednym ramieniu. Brianna zauważyła kamień o tępej krawędzi. Z całej siły uderzyła nim w język, który zaczął krwawić, jednak nie zdołała go przerwać. Niebieskie oczy robala patrzyły na nią w sposób, który mógł uchodzić za triumfalny.

- Co to, to nie!

Uderzała w język bardzo szybko, jakieś dwadzieścia razy na sekundę i odcięła go, jak odcięła bicz Drake'a. Teraz jednak robale kłębiły się wokół niej, wysuwając swoje żabie jęzory, z prędkością, która miała znaczenie nawet dla Brianny. To był podstęp. Nie spodziewała się broni, którą skrywały w swoim arsenale. Siuuup! Brianna kopnęła i wylała się, ale dwa robale wgramoliły się na nią. Kamieniem uderzyła w jęzor, który owijał jej brzuch. Pękł, ale po chwili zastąpiły go trzy kolejne. Siuuup! Siuuup! Miały ją! Była uwięziona w sieci. Wrzeszczała, przeklinała, uderzała. Drake łączył się tymczasem z powrotem w całość, ale jego bicz wciąż wił się samotnie niczym wąż na gorącej ziemi. Otaczało ją pół tuzina języków. Pozostałe robale zbliżyły się, żeby ją pożreć, grzechocząc zębami, jakby były to zakrzywione szable. Brianna poczuła nagłą falę strachu. Czy może przegrać tę walkę?

- Nie zabijajcie jej! - zawołał Drake. - Zostawcie ją! Jest moja!

Wstał, rozglądając się po poboju w poszukiwaniu swojego bicia. Nagle pośród zamieszania pojawił się kojot. Skoczył ku niej z otwartym pyskiem, ze świecącymi na żółto zębami.

- Na pewno? - zawołała.

Z całej siły odepchnęła chciwy pysk. Potężna szczeka kojota nie trafiła w ramię Brianny, ale w język robala, który pękł i odskoczył, niczym przecięty kabel pod napięciem. Była przygnieciona, ale nie straciła jeszcze szybkości. Chwyciła kojota za szyję i obróciła go, żeby pysk zakleszczył się na drugim języku. Teraz krępowaty ją już tylko cztery jęzory. Nie miała

wystarczająco dużo siły, żeby wciąż trzymać się kojota, Zwierzę, bojąc się odwetu robali, wycofało się, jakby ktoś je kopnął. Cztery liny trzymały Bryzę, wszystkie po jej prawej stronie, przekręciła się więc bliżej robali. Jęzory osłabły. Brianna zrobiła salto. Nie wykonała go najlepiej i wylądowała na plecach, ale cztery jęzory były teraz wykręcone i puściły ją, jeden po drugim. Ledwie jedne puściły, zobaczyła, jak kolejne lecą już ku niej jak atakujące kobry. Mocno kopnęła robala w żuchwę, a potem bum, bum, bum, trzy kolejne kopnięcia i już jej nie było. Odzyskała oddech na wzgórzu, jakieś sto stóp dalej. Jej ciało było poranione wszędzie, gdzie dotknęły ją języki. Ale przeżyła. Trzęsąc się, patrzyła, jak macka Drake'a łączy się z powrotem z jego ciałem.

- No chodź, Bryzo - kusił. - Chodź i dorwij mnie. Jestem tutaj.

Brianna nigdy nie ignorowała podobnych propozycji. Nigdy nie odmawiała walki. Ale ledwie udało jej się uciec.

- To koniec, Bryzo - zapał Drake. - Zabiję was wszystkich. Co do jednego! - Zrobił kilka tanecznych pełnych dzikiej radości kroków. - Uciekaj, Bryzo. Uciekaaaaaaj! Bo kiedy cię złapię, będziesz cierpieć.

I Bryza uciekła.

Leslie-Ann nakarmiła rodzeństwo resztkami z puszek i dała im wodę do picia. No dobra, pomyślała. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Tyle tylko, że to nie była prawda. Nigdy nie przepadała za Albertem. Zazwyczaj był dla niej wredny. Nigdy nie powiedział niczego w rodzaju: „Dobra robota, Leslie-Ann”. Nie zasługiwał jednak, żeby tak po prostu umrzeć. Być może wciąż jeszcze żył.

- Jestem tylko dzieckiem - powiedziała na głos.

Wiedziała jednak, co czuje, a czuła, że nie zrobiła jeszcze tego, co trzeba. Wyszła na ulicę, nie wiedząc, kogo powinna znaleźć ani komu powinna o wszystkim powiedzieć, wiedziała jednak, że komuś powiedzieć musi. Teraz znalazła się bliżej dziwnej chmury. Wyglądała, jakby padał z niej deszcz. I właśnie w tym momencie obok przebiegło dwoje dzieci. Szły razem, niosąc ciężką, plastikową tubę, z której wyciekała woda.

Jedno z dzieci zauważyło ją i uśmiechnęło się:

- Pada!

- Nikt nie powinien wychodzić – odpowiedziała.

Dzieciak wzruszył ramionami.

- Nikt nam nie mówi, co mamy robić, a tam jest woda. Na twoim miejscu pobiegłbym tam jak najszybciej. Leslie-Ann weszła z powrotem do środka i znalazła w garażu wiadro. Potem ruszyła w stronę deszczowej chmury tak szybko, jak tylko mogła. Skoro wszyscy tam są być może znajdzie kogoś, komu będzie mogła powiedzieć o Albercie. Zbliżając się, dostrzegła coś, co w pewnym sensie było równie dziwne jak chmura: w rynience płynęła woda. Prawdziwa woda. Pobiegła jeszcze dalej i zobaczyła przed sobą grupę tańczących, rozradowanych dzieciaków. Woda sphywała do wiader. Dzieci odchylały głowy, żeby się napić, próbowały wziąć prysznic albo po prostu bawiły się, rozbryzgując wodę dokoła. Piskliwy, dziecięcy śmiech był w ETAP-ie dźwiękiem niespotykanym. Leslie-Ann postawiła na ziemi swoje wiadro i ze zdziwieniem patrzyła, jak woda zakrywa dno. Odwróciła się i zobaczyła starszego dzieciaka. Widywała go czasami. Zazwyczaj jednak towarzyszył mu Orc, a ona za bardzo się go bała, żeby się do nich zbliżyć. Pociągnęła Howarda za mokry rękaw. Spojrzał na nią. Nie wydawał się podzielać powszechnej radości. Jego twarz była ponura i smutna.

- Co? - spytał zmęczonym głosem.

- Coś wiem.

- No to znakomicie.

- Chodzi o Alberta.

Howard westchnął.

- Tak, słyszałem. Albert nie żyje. Orc zwał, Albert nie żyje a ci idioci cieszą się, jakby to był tłusty czwartek czy coś w tym rodzaju.

- Myślę, że on jeszcze żyje – powiedziała Leslie-Ann.

Howard pokręcił głową, zły, że ktoś mu przeszkadza. Odwrócił się i odszedł. Po chwili jednak zatrzymał się i podszedł do niej.

- Ja cię znam – powiedział. – Sprzątasz w domu Alberta.

- Tak. Jestem Leslie-Ann.

- Co ty mówiłaś o Albercie?

- Widziałam, jak otwiera oczy. Popatrzył na mnie.

Albert nie żył. Sam odszedł i nikt nie wiedział, kiedy wróci. Astrid odeszła z małym Pete'em i z Orkiem. Dekka odeszła z Samem i Jackiem. Edilio, przygnieciony ogromem katastrofy, usiadł na schodach tak zwanego szpitala, kompletnie wykończony. Nie potrzebował termometru Dahry, by wiedzieć, że jest słaby i gorączkuje. Zakaszłał. Spojrzał tępo na Briannę, która, bzzycząc, zatrzymała się w pędzie tuż przed nim.

- Robale! - krzyknęła. - Minęłam je po drodze. Drake i kilka innych robali wciąż są w szybie kopalni. Skierowali się na zachód, ale ja myślę, że to tylko podstęp, myślę, że też tu idą.

- Jak możemy je powstrzymać? - spytał, pokaszując.

- Potrzebujemy Sama - odparła Brianna.

- My... - Zakaszłał znowu, walcząc z zawrotami głowy, sprawiającymi, że bardzo chciał się położyć. - Nic wiem, gdzie on jest.

- Znajdę go - obiecała Brianna.

- Mam tylko ciebie - powiedział Edilio - tylko ty masz jakąś potężną moc. Nie sądzę, żeby Syrena mogła pomóc w walce - zakaszłał - z tymi potworami.

- Mogłaby jednak podzielać na Drake'a – powiedziała Brianna, uśmiechając się, jakby nie zwracała uwagi na to, co dzieje się dokoła niej. Dopiero, kiedy Edilio zakaszłał znowu, zamrugła, zmarszczyła czoło i spytała - wszystkie dzieci są chore?

- Kiedy Syrena śpiewa, wpływa na wszystkich. Działa jak przycisk pauzy na pilocie. - Edilio znów zakaszłał głęboko, aż zabolaty go płuca. Był chory. Chorowało zarówno jego ciało, jak i jego serce. Widział już tyle strasznych rzeczy i zrobił ich tak wiele od początku ETAP-u. Niczego nie można było jednak porównać z tym, że wycelował pistolet w twarz Lance' i pociągnął za spust. Prawdopodobnie był to słuszny krok. I skuteczny, skoro dzięki niemu nic nie stało się ani Astrid, ani małemu Pete'owi. Wybór mniejszego zła. Tak samo postąpiłby na jego miejscu Sam. Ale ten bezlitosny ruch stał się trucizną, która zalewała serce Edilia.

- Ja nie mogę nas uratować - powiedział. - I ty też nie, Brianno. A Sam... nie wiem, czy nawet jemu się uda. Być może to jest koniec i wszyscy przegramy.

Brianna uderzyła się mocno w pierś.

- Ja nie przegrywam!

- Nie uda ci się pokonać ich samotnie, Bryzo. - Znów dostał ataku kaszlu, najgorszego, jak do tej pory. Dopiero po dłuższej chwili mógł mówić dalej. - Ze mną na pewno koniec. Nie wiem, czy ta choroba mnie zabije, ale na razie nie jestem nawet w stanie się podnieść.

- Ej, nie możemy się poddać - zaprotestowała Brianna, - Niektóre z tych robali są wielkości kucyków, a ciągle rosną. Nie możesz się poddać, Edilio! Jesteś dowódcą!

Próbował na nią spojrzeć, ale nie był w stanie skupić wzroku. Kontury jej twarzy rozplywały mu się przed oczyma.

- Daj mi kartkę i długopis, proszę - wykrztusił.

Wróciła po kilku sekundach. Jego palce drżały, kilka kolejnych dreszczy przeszło ciało. Ledwie udało mu się utrzymać długopis w palcach. Z wysiłkiem napisał parę słów, złożył kartkę i podał ją Briannie

- Quinn - powiedział.

Przeczytała wiadomość i cała zapłonęła wściekłością, rzuciła w niego papierkiem. Trafił go w głowę.

- Oszalałeś? Nie zrobię tego!

- Ja tu dowodzę - szepnął. Pochylił się i drżącymi palcami uniósł kartkę. - To moja decyzja. Musi tak być. Zrób to, Bryzo. Zrób to.

- Nie. Nie ma mowy.

Edilio chwycił ją za ramię i ścisnął je resztką sił.

- Zastanów się, chociaż raz w życiu. Czy jesteś w stanie je zatrzymać? Czy jesteś w stanie zapobiec temu, by dotarły do miasta i zamordowały nas wszystkich? Tak czy nie?

- Mogę spróbować.

- Tak czy nie?

Nagle wybuchła szlochami. Pokręciła głową.

- Nie.

- No dobrze - wychrypiał Edilio. - Chcesz wziąć na siebie odpowiedzialność za ich śmierć? Chcesz, żeby wszyscy zginęli tylko po to, żebyś ty mogła się popisać?

Nie odpowiedziała od razu. Rozejrzała się, jakby po raz pierwszy zobaczyła chorych i martwych, zrujnowany kościół i ponury cmentarz.

- Nie.

- A zatem idź, Bryzo. Idź.

ROZDZIAŁ 30

3 GODZINY, 50 MINUT

Sam przepłynął łodzią przez całe jezioro, tam i z powrotem. Znaleźli dwa małe kempingi, ale nie zbadali ich zbyt dokładnie. Widzieli pewnie z tuzin dużych kamperów, kilka podartych namiotów, zniszczonych mniej lub bardziej. Na pewno można tam było też liczyć na trochę jedzenia - napoje, piwo, colę - wszystko to, co ludzie zabierają na biwaki. W niektórych bakach było jeszcze paliwo. Wspaniała, wręcz cudowna benzyna. Wyobrażał sobie, jakie powinien poczynić kroki. Pojechaliby kamperami do przystani i tam ustawiliby je w okrąg albo może w dwa koncentryczne okręgi. Szamba musieliby wykopać z daleka od jeziora, żeby zanieczyszczenia nie dostały się, do wody. Gaz należało racjonować bardzo, bardzo ostrożnie, oszczędzając go, żeby nie powstrzymać produkcji jedzenia. Wciąż potrzebowaliby dostaw nietoperzy od Quinna, żeby uspokoić zębaki. Poza tym należało uważać, by nie przesadzić z ilością ryb w jeziorze. Żadnych głupich błędów. Tym razem wszystko zrobią jak należy. Sam musiał przyznać, że to była robota odpowiednia dla Alberta. Z pewnością uczyni go jeszcze bogatszym, ale tylko Albert ma odpowiednie umiejętności organizacyjne. Tak, to się sprawdzi. Będą budować i planować i tym razem im się uda. On z kolei musiał znaleźć jakiś sposób, żeby wytępić latające węże. Z pomocą siły Jacka, mocy Dekki i być może Brianny, która zapewne byłaby w stanie bez szwanku przebiec przez chmurę węży, da się pewnie zamknąć tę pieczarę i zabić wszystko, co się z niej wydostało. Płynęli teraz powoli w stronę przystani. Robiło się późno i Sam zastanawiał się, czy powinni wsiąść do jednego z zaparkowanych w niej pojazdów jeszcze tego wieczora, czy też lepiej wszystko zaplanować i zrobić to rano. Ostatnią rzeczą, jaka była im potrzebna, to chmara dzieciaków, rzucająca się na poszukiwanie słodyczy. Połowa zgubiłaby się na wzgórzach i stałaby się żerem dla kojotów. Należało przekazać wiadomości w odpowiedni sposób: Edilio i reszta Rady musiała im w tym pomóc.

- Myślę, że powinniśmy zapakować do samochodu tyle wody, ile się da, i wrócić jeszcze dzisiaj - zwrócił się do Dekki.

- Zauważyłeś chyba, że nie ma żadnej drogi, która poprowadziłaby nas bezpośrednio do miasta?

- Z mapy wynika, że droga, która otacza jezioro, zakręca i urywa się przy barierze, prawda? Ale musi być też droga, która prowadzi przez Stefano Rey i dociera do autostrady...

Dekka wzruszyła ramionami. Myślała o czymś innym.

Nie mógł jej winić. Jednak wciąż przekonywał sam siebie, że martwi się bez powodu. Zrobił sobie przyjemność, pogrążając się w fantazjach. Będą bohaterami, kiedy pokażą się w mieście, wioząc wodę, nawet jeśli nie będzie jej bardzo dużo. Samochód pełen butelek zostanie przywitany z radością. Może wezmą parę słoików nutelli z pociągu, jeśli tylko zbroczą na chwilę z drogi. Potem spotkają się z Radą. Od razu mogliby rozpocząć przewóz wody. To uspokoiłoby wszystkich do czasu, gdy ich plan zostanie zrealizowany.

- Pojedziemy... - Głos zamarł mu na ustach, gdy spojrzął ku przystani. - Dekka, Jack... popatrzcie.

Spojrzeli we wskazanym kierunku. Gigantyczne, srebrne karaluchy, robale wielkości małych samochodów, strzegły brzegu. Było ich ze dwanaście. To musiała być iluzja. Oszustwo. To było absolutnie niemożliwe. Jak koszmar prosto ze starego filmu science-fiction. Sam sięgnął po lornetkę, którą znalazł w szafce na pokładzie. Spojrzął przez nią.

- To robale Huntera - powiedział, nie będąc w stanie powstrzymać drżenia głosu. - Ale są ogromne.

Uniósł lornetkę i zobaczył człowieka, stojącego na jednym z robali. Nie był w stanie rozpoznać jego twarzy, ale długiego bicza nie dało się z niczym pomylić. Drake. Nie był już zamknięty w piwnicy. Rajski Ogród Sama miał swojego węża.

W pierwszej chwili Howard chciał pójść do tak zwanego szpitala i znaleźć Lanę. Ale jaką miałby z tego korzyść? Orc kręcił się gdzieś, kompletnie pijany i oszalały. Wróci, kiedy skończy mu się alkohol, ale na razie go nie było, a gdy Drake uciekł, Howard poczuł się, jakby ktoś dał mu w twarz. Jakaś część kalkulującego umysłu Howarda zastanawiała się, czy Orc nie zdecydował się zrobić tego, co Mary. Wprawdzie nie zbliżały się jeszcze jego śmiertelne, piętnaste rodziny, ale Howard nie zdziwiłby się, gdyby Orc któregoś dnia wdał się w bójkę i dał się zabić. Mógłby też zapisać się na śmierć. A wtedy co? Co zostałoby Howardowi, gdyby nie było już Orca? Jeszcze głębiej w jego głowie krył się smutek, że Orc go opuścił. W końcu byli przyjaciółmi. Amigos. Przeszli przez wszystko razem. Orc był nie tylko głównym atutem Howarda - był jego jedynym przyjacielem. Zależało mu na Orcu. Naprawdę mu na nim zależało. Najwyraźniej jednak uczucie to nie było odwzajemnione. Howard nie spieszył się z podjęciem decyzji. Spokojnie wziął prysznic nie zdejmując ubrania. Wreszcie jednak podjął ją i wyszedł spod chmury, przemoczony, ale stosunkowo czysty, niezauważony przez cieszące się dzieci. Dom Alberta był blisko. Drzwi były otwarte, więc szybko znalazł właściciela. Jego oczy były zamknięte. Wyglądał na martwego. Na bardzo, bardzo martwego. Podszedł do niego ostrożnie, jakby bał się, że Albert zaraz wstanie i na niego nawrzeszczy. Przycisnął dwa palce do jego szyi. Nie wyczuł pulsu. Poczuł jednak ciepło. Złotki powinny być zimniejsze. Ukucnął przed Albertem i palcem uniósł jedną z jego powiek. Ciemna tęczęwka skurczyła się. - Aaaa! - zawołał Howard, przewracając się do tyłu. - Stary, ty żyjesz?

Nie było odpowiedzi. Howard poczuł się sfrustrowany, bo miał nadzieję, że uda mu się ponegocjować z Albertem, o ile ten jeszcze żył. W końcu gdyby Howard uratował życie Alberta, coś by mu się za to należało, prawda? Howard zawahał się. Mógł nie robić nic, a wtedy, prędzej czy później, Albert byłby całkiem martwy. Mógł też znaleźć Lanę. A wtedy mógłby liczyć na jakąś nagrodę. Albert był skąpy, ale gdyby Howard naprawdę uratował mu życie...

- Okej, Donald Trump, nie wiem, czy mnie słyszysz ale jeśli uratuję ci tyłek, będziesz mi coś winien. - Zmarszczył brwi i dodał. - A, tak w ogóle, to mówi Howard. Więc będziesz coś winien Howardowi.

Gdy Howard dotarł do tak zwanego szpitala, zobaczył coś bardzo niepokojącego: Edilio siedział na kamiennych schodach, przez nikogo nie zauważony, trzęsąc się i mamrocząc. Był po prostu jednym z tuzinów chorych dzieciaków kaszlących, trzęsących się, duszących się. Howard w żadnym wypadku nie chciał się do nich zbliżyć.

- Hej! - zawołał Howard.

Nikt nie odpowiedział. Howard zamrugał, odwrócił się w jedną stronę, potem w drugą, nie będąc w stanie podjąć decyzji. Nie wiedział nawet, jaka mogłaby być jego nagroda i czy warto ryzykować dla niej życiem. W końcu człowiek powinien wiedzieć, jaka czeka go zapłata.

Krrrrraafffl

Jakiś chłopiec kaszlnął z trudną do wyobrażenia siłą. Kaszlnięcie odrzuciło go do tyłu. Wylądował na ziemi, z hukiem uderzając głową o granit. Potem przekręcił się na bok, ukląkł i zakaszlał krwią prosto na stojącą obok dziewczynkę.

- To niemożliwe - wymamrotał Howard. - Niemożliwe.

Nagle na szczycie schodów pojawił się ten nowy dzieciak, Sanjit, chłopiec od helikoptera. Od tyłu chwycił kaszlące dziecko za ramiona. Zauważył Howarda.

- Pomóż mi. Muszę znieść go na dół.

- Nie mam zamiaru go dotykać - odparł Howard.

Sanjit spojrział na niego wściekle. Potem jednak złagodniał, jakby zrozumiał, dlaczego Howard tak mówi. Sanjit próbował poprowadzić chłopca po schodach, ale ten zaczął kaszleć tak gwałtownie, że odepchnął Sanjita i znów się przewrócił. Tym razem sturlał się po schodach i wylądował pod nogami Howarda. Leżał, jęcząc i trzęsąc się. Fontanny krwi tryskały z jego uszu, nosa i ust. Sanjit zszedł na dół.

- Odsuń się - powiedział do Howarda. - Muszę wynieść go na ulicę.

- Czy on nie żyje?

- Nie, jest w świetnej formie - parsknął Sanjit. Chwycił chłopca za oba nadgarstki i pociągnął go w stronę placu.

- Widziałeś Edilia? - spytał Howard.

- Tak, widziałem Edilia.

- Czy nie powinieneś... - zaczął Howard.

- Tak, powinienem zorganizować jakieś nosze i zanieść go prosto na oddział intensywnej opieki - odparł Sanjit, powstrzymując złość. - Podłączę go do pompy tlenowej i podam antybiotyki. Albo może popatrzę sobie, czy umrze, czy nie, bo tak naprawdę tylko tyle mogę zrobić. Okej?

Howard cofnął się o krok, widząc wściekłość w oczach szczupłego chłopaka.

- Nie chciałem... - bąknął i odsunął się, patrząc, jak Sanjit ciągnie ciało po asfalcie.

Sanjit zatrzymał się i spojrział w niebo.

- Co to jest? Chmura?

- To? Tak. Pada. Znowu coś dziwnego - powiedział Howard.

- Co? Pada? Deszcz? Woda?

- Tak. Mnie też to zszokowało - przyznał Howard. - W ETAP-ie można by się raczej spodziewać, że zacznie padać ogniem albo psim gównem.

- Choooooooo! - zawołał Sanjit tak głośno, jak w stanie. - Choooooooo!

Kilka sekund później jego pulchny, afrykański brat zaniepokojony pojawił się na schodach.

- Woda! - zawołał Sanjit.

- Gdzie? - spytał Virtue.

Sanjit wskazał chmurę podbródkiem.

- Znajdź jakieś wiadro. Znajdź jak najwięcej wiader.

Virtue biegiem wrócił do budynku. Sanjit dalej ciągnął ciało.

- Posłuchaj, stary - powiedział Howard. - Muszę znaleźć Lanę. Wiesz, o kim mówię? O Uzdrowicielce.

- A co, zrobiło ci się kuku? - warknął Sanjit. - Jest nieco zajęta, ratuje jakichś wariatów, których postrzelił! Edilio.

- Gdzie?

- W domu Astrid. Nie wiem, gdzie to jest. A teraz albo pomóż mi, albo spadaj.

- Wybieram opcję numer dwa.

Dom Astrid. Okej. To było... w zasadzie dokładnie pod chmurą.

Dobrze, dobrze - pomyślał Howard, kiedy dotarła do niego prawda. „Mały Pete” - powiedział do siebie. - „A zatem to tam. Zapnij pasy, Howardzie, zapnij pasy.”

Quinn i jego załoga skierowali się w stronę brzegu znacznie później niż zazwyczaj. Mieli bardzo trudny dzień, Po nocy spędzonej w obozowisku ledwie udało im się zepchnąć jedną z łodzi z powrotem na wodę. Potem wpadli na ukryty kamień, który przedziurawił dno,

a to oznaczało wiele godzin łatania. Na szczęście był to jeden z kadłubów drewnianych, nie metalowy ani z szklanego włókna, bo tych nie byłoby w stanie załatać bez odpowiednich narzędzi. Mimo to musieli użyć swoich scyzoryków, żeby wystrugać względnie gładkie kawałki z dryfującego na wodzie Drewna. Potem odkryli, że nie mają śrub, więc musieli wyciągnąć je z innych łodzi, zrobić dziury w kadłubie i przymocować łatę. Zeskrobali i rozpuścili trochę farby i użyli jej jako kleju. Kiedy skończyli, łódź okazała się zaskakująco zdatna do pływania. Cieszyli się z dobrze wykonanej roboty, ale wciąż mieli przed sobą cały dzień wędkowania. Im później się robiło, tym było im trudniej. Słońce nagrzewało tafłę wody i część ich możliwej zdobyczy schowała się w głębinach. Nie żartowali więc, nie śmiali się ani nie śpiewali, jak to im się często zdarzało.

- Wciąż nie odebrali wczorajszego połowu! - zawołał Quinn, kiedy byli już blisko brzegu.

I rzeczywiście, ryby, które z takim trudem złowili poprzedniego dnia, leżały na pomoście, gnijąc w słońcu. To odkrycie najpierw wywołało falę przekleństw, a potem głęboki niepokój. Jak to możliwe, że Albert pozwolił na coś takiego?

- Coś jest nie tak - powiedział Quinn. - Jest gorzej, niż nam się wydaje.

Wciąż znajdowali się o jakieś dwieście jardów od brzegu, kiedy Quinn zobaczył wibrującą mgłę, która po chwili zatrzymała się i stała się Brianną. Stała na skraju pomostu. Trzymała coś w dłoni.

- Zostańcie z tyłu - zawołał Quinn w stronę pozostałych łodzi. - My sprawdzimy, co się dzieje.

Łódź Quinna dotknęła pomostu. Chłopak zarzucił linę na jeden z kołków.

- Nareszcie - powiedziała Brianna.

- Przepraszam bardzo, ale byliśmy dość zajęci - odparł Quinn z irytacją. - A nie wiedziałem, że musimy trzymać się harmonogramu.

- Nie podoba mi się to, co muszę teraz zrobić - powiedziała Brianna, podając Quinnowi kartkę.

Przeczytał notatkę. A potem jeszcze raz.

- Czy to jakiś żart? - spytał.

- Albert nie żyje - powiedziała Brianna. - Został zamordowany.

- Co?

- Nie żyje. Sam i Dekka są gdzieś w lesie. Edilio mg grypę, możliwe, że umrze. Wiele dzieci umarło. No i są jeszcze te... te potwory, coś w rodzaju robali, nikt właściwie nie wie, jak je nazwać. Zbliżają się do miasta. - Na jej twarzy pojawiły się jednocześnie złość, smutek i strach. - A ja nie potrafię ich zatrzymać! - zawołała.

Quinn popatrzył na nią, a potem z powrotem na kartkę. Poczuł, jak jego mały, spokojny świat rozpada się na kawałki. Na kartce widniały dwa słowa: „Wezwij Caine'a”.

ROZDZIAŁ 31

3 GODZINY, 49 MINUT

Sam pociągnął łódź, aż znalazła się o trzydzieści jardów od brzegu.

- Pewnie żałujesz, że mnie nie spaliłeś, co? - zawołał Drake.

- Ja na pewno - warknęła Dekka.

- To prawda - powiedział Toto. - Naprawdę tak uważa.

Sam musiał opanować dziką wściekłość, która paliła go od wewnątrz. Jak udało mu się uciec?

Czy znalazł jakiś sposób, by przekupić Howarda?

- Nie prowokowałyby nas, gdyby nie wierzył, że może nas pokonać - powiedział cicho Sam. -

Nie umiałem zabić tych robali, nawet kiedy były dużo mniejsze - spojrzał na Tota. - Potrafisz

wykrywać kłamstwa, nie? Nie masz może jakiejś innej mocy?

Toto odpowiedział, zwracając się do niewidzialnej głowy Spideya:

- Nie ma broni.

- Czy one potrafią pływać? - zastanawiał się Jack.

- Gdyby umiały, chyba już zaczęłyby nas gonić - zauważył Sam.

- Myślisz, że Drake potrafi je kontrolować? Rozkazuje im? - spytał Jack.

- Pewnie wcześniej czy później się dowiemy Sam.

Wszyscy umilkli, patrząc na niego wyczekująco.

Sam pomyślał, że na razie są bezpieczni, skoro Drake jeszcze ich nie zaatakował. Zejście na

brzeg oznaczałoby walkę. A Drake zachowywał się zrozumiście, prowokował ich i kusił. Mogli

skierować łódź z powrotem na jezioro. Mogli wylądować gdzie indziej i ominąć armię

insektów. Mogli dostać się gdzieś, gdzie mogliby walczyć, nie niszcząc przystani.

- Musimy się stąd wynosić - powiedział Sam.

- Hej, Sam. - zawołał Drake. - Myślę, że powinieneś wiedzieć, że to nie jest jeszcze cała moja armia.

Sam nie wątpił.

- Ta twoja panienska, Brianna, próbowała nas powstrzymać. - Drake zamachał nożem w powietrzu. - Zabrałem jej to. Użyłem swojego bicia. - Strzelił z ramienia. Uderzenie

zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu. - Połamałem jej nogi, żeby nie mogła biec. A potem...

Dekka była gotowa, by popłynąć na brzeg. Jack powstrzymał ją.

- Puść mnie! - krzyknęła.

- Trzymaj ją - rozkazał Jackowi Sam. - Nie bądź głupia, Dekka. On chce, żebyśmy się na niego rzucili.

- Potrafię go pokonać - powiedział Jack. - Razem z Dekką będziemy w stanie go zabić.

Sam nie pamiętał, by kiedykolwiek słyszał podobne groźby, płynące z ust Jacka. Na razie jednak bardziej przejmował się Dekką.

- Zabiję go - oznajmiła głosem, wydobywającym się prosto z gardła, brzmiącym jak warkot dzikiego zwierzęcia.

- Zabiję go. Zabiję! - Zwróciła się do Drake'a - Zabiję cię Drake! Zamorduję cię!

Drake uśmiechnął się.

- Myślę, że jej się to podobało. Krzyczała, ale podobało jej się.

- Kłamie - powiedział Toto.

- Kto? - spytał Sam.

- On - wskazał na Drake'a. - On nie zabił tej dziewczyny. Nie zrobił jej krzywdy.

Dekka uspokoiła się, a Sam i Jack puścili ją.

- Prawdomówny Toto - szepnął Sam. - Wie, kiedy ludzie kłamią.

- Dochodzę do wniosku, że cię lubię - stwierdziła Dekka. - Jesteś przydatny.

Toto zmarszczył brwi.

- To prawda: doszłaś do wniosku, że mnie lubisz.

- Słuchaj dalej. Toto - poprosił Sam. Pomyślał przez chwilę, po czym zawołał: - Brianna może nie żyć, ale my wciąż jesteśmy wystarczająco silni, żeby cię pokonać!

Drake odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jasne. Reszta mojej armii właśnie morduje ostatnie dzieciaki w Perdido Beach. To była piękna masakra, Sam, szkoda, że cię tam nie było.

Sam gestem pokazał Decce, żeby nie reagowała. Im więcej Drake powie, tym lepiej.

- Astrid wciąż jednak żyje, Sam! - zawołał Drake. - Schowałem ją w bezpiecznym miejscu. Zamierzam rozprawić się z nią powolutku.

Sam odczekał chwilę, wstrzymując oddech.

- To kłamstwa - powiedział Toto.

- Wszystko?

- Wszystko.

Sam odetchnął.

- Hej, Drake. - zawołał Sam. - Przykro mi to słyszeć. Wygląda na to, że zostałem ci już tylko ja. Jego ton był zbyt swobodny. Drake stał przez chwilę z otwartymi ustami. Dopiero po dłuższej chwili odpowiedział:

- O co chodzi, Sammy? Przestraszyłeś się?

- Nie, tak naprawdę pomyśleliśmy, że złowimy sobie parę rybek - krzyknął Sam. - Podobno pstrągi z tego jeziora są znakomite. Chciałbyś się dołączyć? Bicz chyba nie przeszkodzi ci w pływaniu, co?

Drakę wpatrywał się w niego. Potem spojrzał na nóż w swojej dłoni, jakby ten w jakiś sposób go zdradził. Potem zwrócił swój wzrok ku Totowi.

- No dawaj, Drake, nie bądź dzieckiem. Chodź tu i dorwij nas.

Sam powoli kierował łódź do brzegu, nie cumując jednak. Znajdował się o jakieś dziesięć jardów od Drake'a. Nie musiał już podnosić głosu, by tamten go słyszał. Nie odwracając się, zapytał szeptem:

- Dekka, dosięgniesz go stąd?

- Ledwo - powiedziała. - Im ostrzejszy ką, tym mniej jestem w stanie zrobić. Ale jakoś dam radę.

- Na trzy - polecił Sam. - Raz, dwa...

Dekka uniosła ręce, a Drake uniół się chwiejnie. Od razu poczuł, co się dzieje. Zaczął machać nogami w powietrzu niczym marionetka. Sam uniół ramiona. Dwa identyczne promienie zielonego światła wystrzeliły z jego dłoni. Trafiły jednego z robali po lewej. Potem Sam przechylił ręce w prawą stronę i uderzył w nogę Drake'a. Płomień otoczył ją i rozżarzył się.

Drakę strzelił na oślep z bicza, trafiając w jednego z robali. Usunął się poza zasięg Dekki i wylądował między potworami, chroniąc się przed atakiem Sama.

- Czy on umrze? - spytał Toto.

- Niestety nie - odparła Dekka. Usłyszeli z brzegu jęk i wściekle wołanie. , Bierzcie ich! No już! Potwory zareagowały natychmiast. Pospieszyły ku krawędzi wody. Sam pomyślał, że nie wyglądają jak żywe stworzenia, lecz jak przerażające roboty. Insekty nie bywały tak wielkie. Nie mogły być tak wielkie. Wskoczyły do wody. Biegły dalej.

- Unoszą się - powiedział Jack. - To niedobrze.

- To prawda, ale nie potrafią zbyt dobrze pływać , zauważył Sam.

Włączył wsteczny bieg i powoli wycofał się na bezpieczny dystans. Kreatury przestały wskakiwać do wody. Te, które dosięgały dna, wróciły na suchy ląd. Dwie inne unosiły się na wodzie niczym przyczepy podczas powodzi, bezradnie obracając się dokoła. Potem jeden ze stojących na brzegu robali rozłożył skrzydła. Pod twardym pancerzem schowane były skrzydła ważki.

- Ej, one nie umieją latać, prawda? - spytała Dekka.

Potwór uniósł się. Leciał powoli i niezadarnie, ale leciał. W stronę łodzi.

- Kiedy rozładujecie łodzie, wracajcie do obozu - rozkazał Quinn swoim ludziom. - Później do was dołączę. A jeśli nie... no cóż, róbcie to, co zawsze.

Gdy szedł pomostem, czuł na sobie zmartwiony wzrok towarzyszy. W jednej z motorówek zostało jeszcze kilka galonów paliwa, które postanowili zostawić sobie na wszelki wypadek. Sądził, że to był właśnie „wszelki wypadek”.

- Idziesz ze mną? - spytał Briannę. Pokręciła głową.

- Nie jestem w stanie pokonać tych potworów, ale przynajmniej spróbuję z nimi powalczyć.

- Co mam zrobić, jeśli on się nie zgodzi?

- Zgodzi się. To może być jego wielki moment.

- Uda mu się powstrzymać te robale?

- Skąd mam wiedzieć? - spytała Brianna. - To nie był mój pomysł. To nie ja uznałam, że należy go sprowadzić. Być może on i Drake znów zostaną najlepszymi kumplami. Skąd miałabym wiedzieć, co się stanie?

- Cóż, najwyraźniej Edilio uważa, że Caine będzie w stanie nas uratować.

Żadne z nich nie odezwało się przez chwilę. Oboje myśleli o Ediliu, zastanawiali się, czy przeżyje. Od samego początku Edilio był porządnym gościem. Prawdopodobnie najlepszym z nich. On i Mary: dwoje dobrych, lojalnych, pomocnych ludzi. Ona umarła po tym, jak zdradziła wszystko i wszystkich. On być może właśnie umierał, zapomniany i samotny.

- Brianna, mam jeszcze jedno pytanie. I pytam poważnie, więc nie możesz odpowiedzieć mi automatycznie jak twarda laska. Chcę prawdy.

- Tak?

- Czy potrafisz pokonać Caine'a? Gdyby zaczął robić to co zwykle, gardzić ludźmi, ranić ich... potrafiłabyś go pokonać?

Już miała uśmiechnąć się zarozumiale. Potem jednak westchnęła i powiedziała:

- Nie wiem, Quinn.

Wciąż wahał się. Nie chciał płynąć po Caine'a. I wiedział, dlaczego tak jest.

- Wszyscy teraz mnie lubią, bo potrafię łowić ryby. Robię dobrze coś, co jest potrzebne, i dlatego ludzie mnie szanują. - Westchnęła i odwiązała motorówkę. - A teraz stanę się gościem, który przywiózł tu Caine'a.

Brianna pokiwała głową.

- Tak, kiepsko być na twoim miejscu. Ale bycie na moim jest jeszcze gorsze.

Quinn przytulił ją, wiedziony nagłym impulsem. Jak przyjaciel. Nie odwzajemniła uścisku, ale też nie wyrwała się.

- Trzymaj się, Bryzo.

- Ty też, Rybaku.

Quinn wszedł na pokład. Brianna zniknęła mu z zasięgu wzroku, nim jeszcze odpalił silnik.

Wyłynął z przystani powoli. Potem ruszył naprzód na pełnym gazie i skierował kadłub w stronę wyspy.

Astrid rozejrzała się dokoła, zastanawiając się, gdzie są i dokąd zmierzają. Orc najwyraźniej myślał o jakimś miejscu. Jednak wydawał się również zagubiony. Znaleźli się na terenie pełnym drzew i dolin pokrytych krzewami.

- Zabierasz nas do Coates? - spytała Astrid.

- Tak - odparł Orc.

- Dlaczego tam?

- Chciałaś uciec, prawda?

- Chcę, żeby mój brat znalazł się w bezpiecznym miejscu - odparła Astrid, świadoma swojej hipokryzji.

- Tam jest bezpiecznie.

- Skąd wiesz?

- To sekret - mruknął Orc. - Chodzi o to, że nikogo tam nie ma. Żadnych dzieciaków w każdym razie. Caine'a i całej reszty.

- A jeśli Drake tam pójdzie?

Orc wzruszył ramionami, przez co głowa małego Pete'a opadła w tył.

- Jeśli Drake tam będzie, zajmę się nim.

Astrid szła szybko, żeby dotrzymać mu kroku. Położyła dłoń na jego ramieniu. Zwolnił, żeby mogła iść obok.

- Szukasz Drake'a? - spytała Astrid. - Niesądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Drake nic mnie nie obchodzi - powiedział złością. - Mam go dość. Ale muszę trzymać się z dala od miasta, więc gdzie miałbym pójść?

Astrid czuła, że jest to część prawdy. Ale nie cała.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała. - Ale nie musisz trzymać się z dala od miasta. To nie twoja wina, że uciekł.

- Nie powiedziałem, że to moja wina.

- No to dlaczego tak mówisz?

Orc nie odpowiedział, stawiał tylko kolejne kroki jak miniaturowa Godzilla. Potem powiedział:

- Ten dzieciak...

- Jaki dzieciak?

- Ten dzieciak, mały chłopiec, był chory czy coś takiego a ja... chyba byłem pijany.

- Co się z nim stało?

- Wszedł mi w drogę - odparł Orc.

Trudno było odczytać wyraz twarzy Orka. W jego głosie słyszała jednak smutek.

- Ach - westchnęła.

- Muszę odejść z miasta. Tak jak Hunter. Takie jest prawo. Powinnaś wiedzieć, sama je wymyśliłaś.

- To nie ja wymyśliłam przykazanie „nie zabijaj” - powiedziała Astrid. Robiło jej się niedobrze od bigoterii, którą słyszała w swoim własnym głosie. Biblia, która mówiła „nie zabijaj”, mówiła też: „kto nienawidzi swego brata, jest zabójcą”. Czyż ona nie nienawidziła swojego brata? Czyż nie myślała o morderstwie? Czy nie kusił Turka i Lance'a, by zrobili to za nią? Jeśli Orc musiał zostać wygnany, czy to samo nie dotyczyło jej?

Życzyła swojemu bratu śmierci i była gotowa żyć w śmiertelnym grzechu, a jednocześnie nie chciała przespać się z Samem. Czy to nie absurd? Morderstwo, proszę bardzo, ale cudzołóstwo? W żadnym wypadku. Astrid nigdy wcześniej nie czuła się aż tak przynębiona. Odwróciła się, żeby Orc nie mógł dostrzec łez w jej oczach. Jak to możliwe, że stała się takim człowiekiem? Jak mogła tak zawieść? Hipokrytka. Morderczyni. Zimna, manipulująca ludźmi

czarownica. Oto kim była. Genialna Astrid? Astrid Oszustka. A teraz przeczesywała ciemny las w poszukiwaniu schronienia razem ze swoim bratem i z pijanym mordercą. Jeden z nich zabijał ze złości i z głupoty. Drugi zabijał... właściwie dlaczego? Zwiedziony ignorancją? Obojętnością? Czy dlatego, że miał w sobie tak wiele mocy, że nikt nie był w stanie sobie z nią poradzić, a już na pewno nie autystyczne dziecko? Roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było radości.

- Co cię tak bawi? - spytał podejrzliwie Orc.

- Ja sama - odparła Astrid.

Pomiędzy gałęziami drzew zobaczyli ciemny, trójkątny dach Coates i ruszyli drogą, która prowadziła do frontowej bramy. Było to ponure miejsce, nawiedzone. Blady, wyblakły kamień nosił ślady przemocy. Ogromna dziura w fasadzie wyglądała jak rana po wystrzale. Drzwi zostały wyrwane i roztrzaskane. Orc spokojnie szedł przed siebie. Wspiął się po schodach i zawołał:

- Jest tu kto?

Jego głos odbił się echem od łuku korytarza.

- Na górze są łóżka. Musimy pójść tylnymi schodami.

Prowadził, najwyraźniej dobrze znając drogę. Astrid zastanawiała się, skąd wiedział, którędy iść. Orc nie był dzieciakiem z Coates. Znaleźli sypialnię, która nie została spalona, zniszczona i użyta jako toaleta. Orc niedbale rzucił małego Pete'a na materac. Astrid znalazła podarty koc i przykryta brata. Dotknęła jego czoła. Wciąż gorączkował, ale nie było chyba gorzej niż wcześniej. Nie miała termometru. Kaszlał zrywami. Był wciąż w takim samym stanie.

- Co teraz, Petey? - spytała.

Czy gdyby Lance pociągnął za spust, pocisk zabiłby małego Pete'a? Czy też potrafiłby go zatrzymać? Pewnie tak. Ale czy w ogóle wiedział, co się dzieje?

- Jak wiele wiesz, Petey? Co rozumiesz?

Kiedy się zmoczy, będzie potrzebował świeżej pościeli. Jej też przydałyby się ubrania, bo wciąż była w nocnej koszuli. Chociaż na miejscu nie zostało żadne jedzenie, pewnie byłoby w stanie znaleźć parę kropli wody. Astrid zawołała Orca, nie usłyszał jej jednak. Ona za to słyszała w ponurej ciemności jego ciężkie kroki. Tak, najlepiej zostawić go w spokoju. W innym pokoju znalazła ubrania mniej więcej w jej rozmiarze. Nie były czyste, ale przynajmniej nikt ich ostatnio nie nosił. W Coates od dawna nie było nikogo. Zastanawiała się, czy ubrania nie należały do Diany. Udała się na poszukiwanie wody. Zamiast niej znalazła Orca. Był w jadalni. Stał na ciężkim, drewnianym stole. Postawił dwa krzesła obok siebie, żeby były w stanie utrzymać jego ciężar. W dłoni trzymał szklaną butelkę, pełną przezroczystego płynu. Pokój pachniał węglem i czymś obrzydliwie słodkim. Źródło zapachu było oczywiste: w rogu obok okna stało jakieś urządzenie wyglądające jak destylator. Miedziana rura prawdopodobnie wyniesiona z sali od chemii, wystawała ze stalowej balii, opierającej się na żelaznym stojaku nad zimnymi resztkami ogniska.

- To tutaj Howard robi whisky - powiedziała Astrid. Dlatego znasz to miejsce.

Orc wypił pokaźny łyk. Część płynu wypłynęła z jego ust.

- Nikt tu nie przychodzi, odkąd Caine i cała reszta sobie poszli. To dlatego Howard rozstawił tutaj swoje rzeczy.

- Z czego to robi?

Orc wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia, po prostu z jakiegoś warzywa. Jest takie małe pole kukurydzy, o którym prawie nikt nic wie. Mogą też być karczochy, albo kapusta. To nie ma znaczenia.

Astrid usiadła na krześle niezbyt daleko od niego.

- Przebrałaś się - stwierdził.

- Było mi zimno.

Pokiwał głową i napił się. Patrzył na nią przenikliwie. Cieszyła się, że nie jest już ubrana w koszulę nocną. Zastanawiała się, czy Orc miał wystarczająco dużo lat, by w ogóle pomyśleć o niej w ten sposób. Wydawało jej się, że nie. Ale istniała taka przerażająca możliwość.

- Chyba nie powinieneś pić tak szybko.

- Muszę pić szybko - odpowiedział. - W przeciwnym wypadku mdleję i nie jestem w stanie robić sztuczek.

- Jakich sztuczek? - spytała Astrid.

Nie chciała się tym martwić. I tak miała już wystarczająco dużo zmartwień na głowie. Nie powiedziała więc nic, kiedy pił i pił, aż zabrakło mu oddechu.

- Orc - powiedziała miękko. - Czy ty chcesz się zabić?

- Już mówiłem: nie przejmuj się mną.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała. - To... to by było złe.

Zauważyła kolejne dwie butelki na podłodze, w miejscu do którego mógł sięgnąć bez trudu.

- To grzech śmiertelny - powiedziała, czując się jak idiotka. Samo słowo „grzech” wydawało się grzechem kiedy je wymawiała. Hipokrytka pomyślała. Oszustka.

- Jeśli to zrobisz, nie będziesz miał szansy na pokutę - powiedziała. - Umrzesz, mając na sumieniu śmiertelny grzech.

- Już mam - odparł Orc.

- Ale żałujesz go. Myślałeś o nim. Jest ci przykro.

Orc nagle zaszlochał głośno. Odchylił głowę. Zobaczyła, jak resztką alkoholu wpływa do jego ust.

- Jeśli poprosiłeś o wybaczenie i naprawdę żałujesz tego, co zrobiłeś temu chłopcu, Bóg ci to wybaczy.

Butelki nie miały korków, były tylko owinięte folią i gumkami. Orc zdjął plastik z kolejnej z nich.

- W ETAP-ie nie ma Boga. Nie wiedziałaś o tym? - zapytał.

ROZDZIAŁ 32

3 GODZINY, 50 MINUT

Sam wystrzelił. Promienie światła uderzyły prosto w wiszącego w powietrzu robala. Odbity się od niego i rozpadły na iskry, które posypały się do wody.

- Dekka! - zawołał Sam.

Zlikwidowała grawitację pod wiszącym robalem, tak że uniósł się nagle do góry w fontannie wody. To jednak nie wystarczało. Coraz więcej potworów rozkładało swoje karaluszki skrzydła i leciało w stronę łodzi. Sam zaklął. Włączył silnik i przekręcił ster. Łódź popłynęła na środek jeziora. Robaki próbowały ją gonić, były jednak insektami, a nie orłami, i nie potrafiły kontrolować swojego lotu.

- Może uda mi się je zgnieść? - powiedział Jack, przekrzykując warkot silników.

- On wierzy, że może mu się udać - skomentował Toto.

- Ale boję się ich.

- Też prawda - powiedział Toto.

- Mhm, domyślam się - krzyknął Sam, gdy omijali kolejną niezdarną kreaturę.

Mogliby omijać robale w nieskończoność, jednak gdy Sam sprawdził zbiornik, okazało się, że została jedna ósma paliwa. Do zbiornika na przystani przyczepiona była pompa, nie mogli jednak liczyć, że Drake pozwoli im przycumować i zatankować.

- Potrzebujemy paliwa - powiedział Sam.

Prowadził łódź jak najdalej od przystani, nie oddał się jednak za bardzo od brzegu w nadziei, że obrzydliwa armia Drake'a podąży za nimi. Robaki były szybsze na ziemi niż w powietrzu, więc poleciały zakosami z powrotem w stronę brzegu. Odwrócił się i zobaczył, jak Drake pospiesza potwory. Szybko machały swoimi owadzimi nogami, nie były jednak w stanie dogonić łodzi. Sam mógł ruszyć z maksymalną prędkością.

- Uciekamy? - spytał Toto.

- Tak - warknął Sam.

- To nieprawda.

- Nie ma jakiegoś przycisku, którym można by cię wyłączyć? - spytał Sam. - Jesteśmy od nich szybsi. Musimy ściągnąć ich za sobą, zawrócić i zaciągnąć z powrotem do przystani.

- I co wtedy? - spytała Dekka.

- Zatankujemy i będziemy tu pływać w nieskończoność.

- Świetny plan - mruknęła Dekka.

- Prędzej czy później Drake zamieni się w Britney. Może wtedy będziemy mieli szansę.

Dotarcie na drugi brzeg jeziora nie zajęło im dużo czasu. Ogromne karaluchy biegły w ślad za nimi, starając się dotrzymać łodzi kroku. Żaden z nich nie leciał.

- Gdzie jest Drake? - spytał Jack.

Sam zlustrował wzrokiem armię insektów. Nie zobaczył Drake'a. Zatrzymał silnik, oszczędzając gaz na drogę powrotną. W ciszy usłyszał inny silnik. Wąska łódka z dwoma motorami płynęła w ich stronę, rozbryzgując wodę. Nie mogli mieć wątpliwości co do tego, kto nią steruje. Robale na ziemi. Drake na wodzie.

- Jeśli jest uzbrojony, mamy kłopoty.

- Nie potrzebuje pistoletu - powiedział Sam ponuro. Może nas staranować. On jest nieśmiertelny. My nie.

- Co robimy? - spytał Jack. Potem, bardziej spanikowanym głosem powtórzył: - No, co robimy?

Dekka położyła dłoń na jego ramieniu.

- Uspokój się.

Sam spojrzął na brzeg, sprawdził, ile zostało im paliwa i w końcu zerknął na Tota.

- Potrafisz pompować paliwo?

Toto spojrzął w dal, przekazując pytanie wyimaginowanej głowie Spideya:

- Czy potrafię pompować paliwo? - Potem, najwyraźniej usłyszawszy odpowiedź, dodał: - Tak. Sam włączył silnik. Obrócił ster, czekając, aż dziób łodzi Drake'a będzie już blisko.

- Jack, chwyć ten bosak. Bądź gotowy.

- Co?

- Widziałeś kiedyś ten film, w którym Heath Ledger grał rycerza?

- Nie był najlepszy - stwierdziła Dekka.

- To prawda - przyznał Toto.

- Poczekać - ostrzegł Sam. Zmienił bieg, pchnął przepustnicę do samego końca i pofrunął w kierunku Drake'a.

Lana nie biegła, była na to zbyt zmęczona. Poza tym Howard pewnie się mylił. Turk i Lance na pewno byli pewni, że zabili Alberta. Kiedy położyła swoje uzdrawiające palce na ciele Lance'a, ten piszczał z bólu i wciąż mruczał coś o przebaczeniu, modląc się i przeprasząc za to się z Albertem.

- To nie ja, to Turk! - wymamrotał, a z jego policzka ciekła krew, wsiąkając w mokry dywan tuż obok jego głowy. Lana właściwie zupełnie uzdrowiła Turka i Lance'a. Wiedziała, że nie umrą. Nie widziała w tym zbyt wiele sensu: byli podli i prędzej czy później ktoś spróbuje zabić ich jeszcze raz. Uznała jednak, że nie jest jej rolą podejmowanie takiej decyzji. Była tylko pionkiem w szalonej grze. Straciła swoją szansę na zostanie bohaterką, kiedy nie zniszczyła gaiapliage. I nie udało jej się powstrzymać wirusa który był już odpowiedzialny za śmierć dziewięciu osób. Zamiast tego, uratowała dwóch świrów. Gratulacje. Tak jak powiedział Howard, Albert siedział oparty o ścianę. Wokół Lana zobaczyła mnóstwo krwi. Małe kleiste morze wokół Alberta.

- Nie umarł od razu - powiedziała Lana. - Umarli nie krwawią. Widzisz, jak poplamiona jest ta ściana? Próbował się podnieść. - Uklęka i położyła palce na jego szyi, - A potem siedział tak i wykrwawił się na śmierć.

Nie miała wątpliwości. W jego twarzy widniała pokaźna dziura po pocisku. Dziura z drugiej strony była jeszcze większa. Wyglądał, jakby jakieś dzikie zwierzę odgryzło mu kawałek czaszki.

- Nie potrafię wskrzeszać zmarłych - powiedziała Lana.

- Nie, poczekaj - nalegał Howard. Uklękał obok niej uniósł jedną powiekę Alberta. Było ciemno, nie wystarczało światła, by źrenica mogła na nie zareagować. Howard zapalił więc zapalniczkę. Lana uniosła brwi.

- Zrób to jeszcze raz.

Howard uniósł drugą powiekę. Źrenica znowu zareagowała.

- Hmm... - Lana przycisnęła obie dłonie do głowy Alberta. Po kilku minutach pochyliła głowę naprzód, by spojrzeć na paskudną ranę. Strzępy tkanek przykrywały jej poszarpane brzegi.

- Brat żyje - powiedział Howard.

- Był tak bliski śmierci, jak to tylko możliwe. Ale rzeczywiście żyje. A ja jestem w stanie go uleczyć.

- Chłopak będzie miał u mnie dług.

- Jesteś niezłym palantem, jakby to powiedział mój ojciec - stwierdziła Lana.

- Powiesz Albertowi, że to ja cię tu przyprowadziłem, prawda?
 - Dlaczego? Idziesz sobie?
 - Muszę znaleźć Orka - oświadczył Howard, wstając. - Właśnie wpadłem na to, gdzie mógł pójść.
- Lana usiadła w wygodniejszej pozycji. Patrick poszedł przeszukać dom.
- Jeśli tylko coś znajdziesz, masz się podzielić - powiedziała Lana do psa.

Łodzie pędem zbliżały się do siebie. Za kilka sekund zderzą się. Myśli pędziły też przez głowę Sama. Drake musiał wiedzieć, że blefuje. Skoro nie bał się uderzenia, wiedział, że Sam blefuje i że w ostatniej chwili skręci. Cztery sekundy do zderzenia.

- Jack! - zawołał Sam. - Na dziób!

- Co?

- Zrób to!

Jack rzucił się z rufy ku dziobowi. Bosak trzymał w dłoni niczym lancę. Jakby naprawdę był rycerzem. Miał nadzieję, że Drake to widzi.

Jedna sekunda.

- Teraz! Rzucaj!

Jack rzucił go z całą swoją nadprzyrodzoną siłą. Sam nie wierzył, że bosak trafi w Drake'a i tak się nie stało. Jednak nawet nieśmiertelny morderca ma instynkt przetrwania, więc Drake instynktownie schylił się przepuścić bosak nad swoją głową. Sam obrócił już ster. Przepłynęli obok łodzi Drake'a, rozbryzgując wodę dokoła. Dekka uśmiechnęła się do Toto.

- Widzisz, oto dlaczego Sam jest Samem. Wściekłemu Drake'owi odwrót zajął dziesięć sekund. Robale były jeszcze wolniejsze. Biegły teraz z powrotem wzdłuż brzegu, jednak ani one, ani Drake nie miały szans by dobić do przystani przed Samem.

- Okej - zawołał Sam, próbując przekrzyczeć silniki, - Toto, kiedy dołyniemy, pompuj z całej siły. Pokażę ci, jak to się robi. Drake będzie tuż za nami i może znów spróbować nas staranować, więc, Jack i Dekka, musicie być gotowi!

- Gotowi do czego?

- Trzymajcie się! - krzyknął Sam.

Wycelował dziobem w pomost, wrzucił wsteczny bieg, woda zagotowała się, silnik zawarczał, a łódź, zgrzytając, zatrzymała się przy pompie. Sam chwycił Tota i wypchnął go na pomost.

- Dekka! Przywiąż nas.

Odbezpieczył ręczną pompę, wcisnął jej końcówkę w zbiornik i położył na niej ręce Toto.

- W górę i w dół, w górę i w dół, i nie przestawaj, póki ci nie rozkażę.

Sam pobiegł na koniec pomostu. Drake był coraz bliżej. Sam rozejrzał się dokoła, w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby im się przydać. Żaglówka. Może być.

- Dekka! Łódź!

Dekka podniosła ręce, a łódź uniosła się nad wodę, przechylając się gwałtownie na bok, tak że przez chwilę Sam obawiał się, że uderzy masztem w ich głowy.

- Okej, Jack. Z bosakiem ci nie wyszło, to spróbuj tego!

Jack musiał ominąć pole działania Dekki. Na chwilę stracił równowagę i omal nie wpadł do wody. Sam chwycił go za rękę i pomógł się wyprostować. Jack wycofał się o jakieś siedem metrów, odetchnął głęboko i pobiegł prosto do łodzi, która teraz wisiała nad skrajem pomostu. Sam poczuł satysfakcję, widząc zaskoczenie na twarzy Drake'a. Jack pobiegł naprzód, podskoczył i uderzył w rufę żaglówki. Łódź pofrunęła, wirując w powietrzu. Leciąca tylko jakieś siedem czy dziesięć metrów, a gdy Sam wycelował w nią i wystrzelił, eksplodowała. Następnie runęła w dół, uderzyła w taflę wody, a łódź Drake'a rąbnęła w nią z całej siły. Obie

Łódki rozpadły się, zaś pływające drzazgi, metalowe części i odłamki silnika wylądowały wszędzie wokół nich. Toto krzyknął z bólu. Został trafiony w biodro. Krwawił, krzyczał i przestał pompować.

- Jack, pompuj! Dekka, łap Tota!

Sam wycofał się do swojej łodzi i zaczął wyrzucać z niej pływające odpady.

- No umrzyj wreszcie - mruzczał cicho.

Nagle poczuł palący ból. Na jego ramieniu pojawił się czerwony znak. Drake trzymał się pomostu swoim prawdziwym ramieniem; zamachnął się biczem, by uderzyć znowu. Sam wystrzelił, ale nie trafił. Zyskał dwie sekundy, gdy Drake nurkował we wzburzonej wodzie. Spojrzał w stronę brzegu. Stwory biegnęły przez parking, wskakiwały na samochody i biegały wokół nich. Teraz albo nigdy.

- Dosyć! Wracamy do łodzi!

Nikomnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Toto i Jack znaleźli się na pokładzie jako pierwsi. Dekka biegła z trudem, z ręką na brzuchu, i Sam przez chwilę pomyślał, że coś ją uderzyło. Bicz Drake'a smagnął tymczasem Jacka. Ten zawył, po czym próbował chwycić mackę, ale bez powodzenia. Sam odpalił silnik, zapomniał jednak o linie. Łódź zawarczała i ruszyła naprzód, wciąż przyczepiona do kołka na pomoście. Opór był wystarczający, żeby ją obrócić. Uderzyła w kolejną zaparkowaną łódkę. Wszyscy się poprzewracali. Zanim Sam się otrząsnął, Drake zdążył już chwycić ręką burtę i znowu strzelił z bicia, trafiając Jacka i Tota. Sam wycofał łódkę, obrócił ją i uwięził Drake'a między nią a pomostem. Potem zmienił bieg i odpłynął, zostawiając w wodzie przeklinającego Drake'a i szczękające zębami karaluchy. Wypłynął na środek jeziora i wyłączył silnik. W zbiorniku była ponad jedna czwarta paliwa. Udało się zatankować, ale za cenę zbolejących krzyków Tota.

- Nie jest dobrze - powiedziała Dekka. - Ale będzie żył.

Uniosła koszulkę chłopca, żeby pokazać Samowi brzydką ranę.

- Jack, sprawdź, czy nie ma tu gdzieś apteczki.

Sam czuł się coraz bardziej zmęczony.

- Wszystko okej? - spytał Dekkę.

Nie odpowiedziała. Popatrzył na nią z bliska.

- Dekka?

Wyglądała na chorą. Zagryzła wargi.

- Przepraszam, że dokładam ci problemów, szefie - powiedziała. Uniosła koszulkę. Sam zobaczył małe ząbki wystające z jej ciała. Kiedy zapadła noc, łódź spokojnie unosiła się na falach.

ROZDZIAŁ 33 : 3 GODZINY, 40 MINUT

Diana wstała z łóżka, niechętny ściągając z Caine'a kołdrę.

- Hej! - zaprotestował.

- Nie ma tam nic, czego bym nie widziała. I to wiele razy.

Caine uśmiechnął się i położył dłonie pod głowę.

- Mógłbym się przyzwyczaić do takiego życia. Zjadłbym jeszcze jedną puszkę brzoskwiń.

Diana wzięła błyskawiczny prysznic. Gdy spod niego wyszła, Caine czekał na nią z ręcznikiem w dłoniach.

- Nie, naprawdę - powiedziała. - Dostyc już.

- Może jednak, zanim pójdziemy coś zjeść?

Wytarła się i uczesała a on się jej przyglądał. Brak prywatności trochę ją irytował, wmawiała sobie jednak, że to niezbyt wysoka cena za spokój. W innym świecie pokój, który zajmowali, byłby ładnym pokojem w ładnym domu, na ładnej wyspie. W ETAP-ie jednak wszystko było tu po prostu cudem wygody i piękna. Zbyt dobrze pamiętała Coates. Zwłaszcza ostatnie miesiące, kiedy jedzenie się skończyło, ustępując miejsca lękom, depresji i nienawiści. Tak, to było piękne miejsce. A Caine był pięknym chłopcem - właściwie już młodym mężczyzną - no, przynajmniej miał piękne ciało. Nawet zajmowanie się Penny i radzenie sobie z Robalem nie stanowiło dużego problemu w porównaniu z tym co udało im się przetrwać. Zadrżała na wspomnienie o Pandzie. Zrobiło jej się niedobrze.

- Co się dzieje? - spytał Caine.

- Nic - zmusiła się do uśmiechu. - Chyba poczułam głód. - Jego mina wymusiła na niej dokładniejszą informację - Chce mi się jeść.

Założyli bieliznę i otulili się miękkimi, drogimi szlafrokami ze słynnymi inicjałami. Wsunęła nogi w jedwabne kapcie i razem poszli do kuchni. Robal już tam był, jeszcze bardziej zaniepokojony niż zazwyczaj. Oddychał ciężko. Diana wpatrywała się w niego, zastanawiając się, czy ich podglądał.

- Płynię tutaj łódź - powiedział.

- Co? - spytała Diana.

- Motorówka. Jest już blisko.

Caine natychmiast wypadł z domu, a Diana pobiegła za nim. Niebo było ciemne, słońce rzucało na taflę wody złote i czerwone promienie. Zobaczyli motorówkę. Na pokładzie był jeden człowiek, chłopak, nie potrafiła jednak jeszcze rozpoznać jego twarzy, Spojrzała na Caine'a pytająco. Na jego twarzy zobaczyła dokładnie to, czego się spodziewała. To, czego się bała. Jego oczy rozbłyły, na ustach pojawił się dziki uśmiech. Całe jego ciało zdawało pochylać się naprzód, zaciekawione, gotowe. Podekscytowane.

- Kimkolwiek jest, każ mu wracać - powiedziała Diana.

- Najpierw sprawdźmy chociaż, kto to jest.

- Caine, po prostu się go pozbądź.

Łódź przestraszyła Dianę. Otoczyła ramionami tułów, jakby chciała ochronić się przed zimnem. Chłopiec z łodzi uniósł głowę.

- To Quinn - powiedział Caine. - Co on tu robi? Spodziewałem się Zila albo któregoś z tych jego frajerów.

- Spodziewałeś się? - Diana zmarszczyła brwi. - Jak to „spodziewałeś się”?

Caine wzruszył ramionami.

- Prędzej czy później któryś z nich musiał do mnie przyjechać.

- Ale... ale dlaczego ty...?

Roześmiał się okrutnie.

- W ETAP -ie jest tylko dwóch ludzi o mocy na poziomie czterech kresiek, Diano. Prędszej czy później musieli znudzić się panowaniem Sama i przyjechać po mnie.

Diana poczuła, jak skręcają się jej wnętrzności.

- Hej, Quinn! Tutaj! - zawołał Caine. Potem zwrócił się do Robala. - Znikaj! Bądź gotowy. To może być jakiś podstęp.

Robal zniknął z pola widzenia.

Quinn wyłączył silnik. Wstał, choć fale kołysały łódź.

- Caine, gdzie mogę przycumować łódź?

- Nie musisz - powiedział Caine. Uśmiechał się coraz szerzej. - Siadaj i trzymaj się.

Caine stanął na skraju klifu. Uniósł ręce. Łódź uniosła się ponad taflę wody. Pofrunęła, ociekając i zostawiając za sobą ślady alg, po czym wylądowała na przerośniętej trawie. Caine upuścił ją i przewrócił na bok. Quinn wyskoczył, żeby wylewająca się woda całkiem go nie przemoczyła.

- A zatem, Quinn, co sprowadza cię na Wyspę Fantazji? - spytał Caine.

- Hej, Diana - przywitał się Quinn.

Diana nie odpowiedziała. Wiedziała już. Tak samo jak Caine. Quinn przypląnął, żeby zabrać Caine'a ze sobą.

- Edilio mnie przysłał - powiedział Quinn.

Caine uśmiechnął się sceptycznie.

- Edilio? Nie sądziłem, że ten koleś kiedykolwiek wyśle do mnie jakąś wiadomość.

- Edilio jest teraz burmistrzem.

Serce zabiło Dianie w piersi.

- Czy to znaczy, że Sam nie żyje?

Quinn już miał odpowiedzieć, Caine jednak przerwał mu

- Nie, nie, daj mi zgadnąć... Myślę, że Sam znudził się czarną robotą, ryzykiem i tym, że wina spada na niego zawsze wtedy, kiedy coś idzie nie tak.

Caine'owi podobała się milcząca zgoda na twarzy Quinna. Roześmiał się więc i powiedział:

- Sam nigdy nie chciał rządzić. A teraz już nie musi.

- Chodź, Quinn. Chodź do środka, zjesz coś.

- Przyjechałem tylko, żeby...

Caine machnął ręką i zaprotestował:

- Nie, nie, nie, musisz wejść. Nie chcę tu sterczeć w szlafroku. W końcu to jest ważny moment w historii ETAP-u.

- Ważny moment? - spytała Diana.

- Mój triumfalny powrót. Oto dlaczego Quinn tu przypląnął: żeby nakłonić mnie do powrotu.

- No to traci czas - powiedziała Diana, ale nawet ona sama nie wierzyła w swoje słowa. Weszła do domu za Caine'em i Quinnem.

- Masz ochotę na ser i krakersy? - zasugerował pogodnie Caine. Uśmiechał się szeroko, zarozumiale. Diana czuła, jak iskierka nadziei gaśnie w jej sercu.

Przynieśli Quinnowi ser, krakersy i ciastko. Jadł je szybko, z przyjemnością, której nie był w stanie ukryć.

- Wiesz co, my tu mamy naprawdę miłe życie - powiedział Caine. - Mnóstwo jedzenia. Wodę. Nawet ciepłą wodę do mycia, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć. Właśnie leżeliśmy w łóżku i rozmawialiśmy o tym.

- Tak, miło tu - powiedział Quinn, z zawstydzieniem zerkając na Dianę.

Caine patrzył, jak tamten je.

- Diana, myślę, że powinnaś odczytać moce Quinna. Na wypadek, gdyby coś się zmieniło.

Diana nie robiła tego od bardzo dawna. To właśnie była jej moc: potrafiła sprawdzać, czy ktoś jest mutantem, czy jest normalny. I jak wielka jest jego moc. To Diana wymyśliła na wpół pogardliwy system kresiek. Jedna kreska, dwie kreski, jak w telefonach komórkowych. Diana stanęła obok Quinna i położyła mu rękę na ramieniu. Skoncentrowała się, żeby w jej głowie pojawił się obraz.

- Nic - powiedziała.

- Sam mógłbym wam to powiedzieć - mruknął Quinn, przeżuując ciastko.

Diana opuściła ramię na biodro.

- Jesteś normalny, Quinn. A teraz... - urwała w połowie zdania. Już miała powiedzieć Quinnowi, żeby wrócił do domu, wyjechał, natychmiast wyniósł się z wyspy. Ale... poczuła coś. Jakąś moc. Mutant. Robał stał obok, wciąż niewidoczny. Nie dotykał jej jednak, nie było między nimi fizycznego kontaktu. Caine też jej nie dotykał. Moc rozpoznawania mutantów działała tylko poprzez dotyk. Czy czuła swoją własną moc? Nie, to było coś innego. Słabe, ale stałe wrażenie. Odwróciła się i położyła rękę na brzuchu.

- No dobra, Quinn, powiedz mi, o co chodzi z tym wielkim kryzysem - poprosił Caine.

Diana omal nie zemdląca. Wyraźniej niż wcześniej poczuła dwie kreski. Nie mogła się mylić.

- Panuje epidemia - mówił Quinn. - Coś w rod grypy, ale dzieciaki wypluwają wnętrzności i umierają.

Nie, pomyślała Diana. Nie, tylko nie to.

- Poza tym są jeszcze te stwory... ludzie nazywają je karaluchami... i Drake...

- Stary Drake wciąż żyje? - Caine wstał gwałtownie.

- W pewnym sensie - powiedział ponuro Quinn.

- Muszę... Muszę iść do łazienki - powiedziała Diana słabym głosem.

Wybiegła z pokoju, powstrzymując się, póki nie dotarła do swojej sypialni. Tam rzuciła się na łóżko i położyła obie ręce na brzuchu. Rozpoznawała swoją własną moc - jak zwykle dwie kreski. Ale z całą pewnością było tam coś jeszcze. Druga moc. To niemożliwe. To nie mogło stać się tak szybko. Próbowwała przypomnieć sobie lekcje o seksie, jakie miała wieki temu. Po głowie kołatały jej się słowa takie jak „blastocysta” i „embrion”. Minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy mogła zostać zapłodniona. Wiedziała, że domowy test ciąży działa dopiero po dziesięciu dniach. To absurd. Zaczęła panikować. Coś musiało być nie tak. To niemożliwe, nie tak szybko. Jakiś okrutny głosik w jej głowie powiedział, że to równie niemożliwe jak nagłe zniknięcie wszystkich osób powyżej czternastego roku życia i jak istnienie mówiących kojotów. A także jak to, że jej chłopak potrafił łamać prawa fizyki i unosić łódź ponad wodę tylko za pomocą myśli.

Gorączka małego Pete'a znów wzrosła. Astrid znalazła termometr w dawnym gabinecie pielęgniarki z Coates. W gabinecie siostry Tempie, matki Sama, pomyślała z biciem serca. To było jej miejsce pracy. Oczywiście zostało zniszczone, tak jak wszystko w Coates. Apteczkę opróżniono, szklane drzwi rozbite, prześcieradła na łóżku podarto, książki rozrzucono dokoła bez wyraźnego powodu. Z medycznych notatek ktoś rozpałił ognisko. Popiół leżał rozrzucony pod oknem. Na górnej półce jakiś ptak zbudował sobie gniazdo, a potem je opuścił. Jego pióra leżały na ziemi, wymieszane z popiołem. Termometr znalazła właśnie pomiędzy piórami. Oczywiście nie był wysterylizowany, ale w ETAP-ie w ogóle nic nie bywało czyste. Mały Pete miał prawie czterdzieści stopni gorączki. Jego kaszel brzmiał coraz gorzej.

- Co zrobisz, Petey? Pozwolisz sobie umrzeć?

Czy on w ogóle wiedział, że może umrzeć? Mały Pete nie miał pojęcia o wirusach. Jak mógł sobie poradzić z wrogiem, z którego istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy? Nie wiedział nic o zarazkach, ale miał świadomość gorączki. Zaczął wiać wiatr. Jak długo jeszcze, nim zerwie dach? Astrid usłyszała, jak Orc na dole wyje jakąś piosenkę. Nie mogła już na niego patrzeć. Skoro chciał zapaść się na śmierć, dlaczego miałaby go powstrzymywać? Ze względu na jego nieśmiertelną duszę? Pijany Orc był niebezpieczny. Widziała, jak patrzy na nią z dziwnym, uporczywym błyskiem w oczach. Nagle zdała sobie sprawę, że płacze. Niech się zabije. Czy sama nie chciałaby umrzeć na jego miejscu? A może chodziło o to, że sama nie chciała umrzeć? Wszystko to był jakiś makabryczny żart. Cały ETAP, niosący tylko śmierć i rozpacz. Czy warto było trzymać się takiego życia? Próbowała sobie wyobrazić prawdziwy świat. Próbowała przywołać obraz rodziców i swojego dawnego domu. Oczywiście ten dom został do szczętu spalony. A rodzice pewnie by jej nawet nie rozpoznali, nie mówiąc już o swoim synu. Nie, to nie była prawda. Rozpoznaliby ich i wiedzieli by, że to są wciąż ich ukochane dzieci. Dopiero potem zrozumieliby, jakimi stały się potworami. Ich dusze były przecież równie obrzydliwe, co zewnętrzna powłoka Orca. Może, gdyby ETAP się skończył, Orc mógłby na powrót przybrać swoją dawną postać. Ale jak ona miałaby powrócić do swojej? Jak miałaby stać się na nowo dziewczyną, która lubiła matematykę i biologię, potrafiła czytać przez całą noc, miała romantyczne marzenia i chciała naprawić świat?

- Skończy się tak, że wszyscy umrzemy, prawda? - spytała małego Pete'a. - Zło zwycięży, a my się poddamy. Najgorsze było to, że już się poddali. Widziała swój własny oddech. W pokoju z każdą chwilą robiło się zimniej. Znow włożyła termometr do ust małego Pete'a. Kaszlną i wypluł go.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Astrid. - Petey, ja... to musi się skończyć. Dzieci umierają z powodu tego kaszlu. A to wszystko dlatego, że stworzyłeś to miejsce. ETAP. Zmieniłeś zasady, a to ma swoje konsekwencje.

Mały Pete nie odpowiedział. Nie spodziewała się zresztą odpowiedzi. Obok niego leżała poduszka. Mogła przycisnąć mu ją do twarzy. Nawet by się nie zorientował. Nie bałby się. Nie cierpiał. Bezboleśnie przekroczyłby granicę między życiem a śmiercią, a wtedy bariera by znikła, pojawiliby się policjanci i karetki, przywieźli lekarstwa i jedzenie. Już nikt by nie umarł. „Mamo, tato, żyję. Udało mi się. Ale Pete'owi nie, Bardzo mi przykro, ale...” Astrid cofnęła się. Cała się trzęsła. Mogła to zrobić, o ile sam Petey by jej nie powstrzymał. Mogłaby. I nikt nigdy by jej nie oskarżył.

- Nie - szepnęła drżącym, niepewnym głosem. Potem, głośniej: - Nie.

powinna czuć się z tym dobrze. Pewnie w przeszłości tak było. Może pogratulowałaby sobie wtedy słusznego moralnego wyboru. Gdzieś w głębi czuła jednak, że jej wybór skazałby jeszcze więcej ludzi na śmierć. Że policja ani karetki nie przejadą przez barierę. Że dalej będzie trwała plaga, że pojawi się jeszcze więcej potworów, więcej cierpienia i śmierci. Astrid złożyła dłonie, chcąc pomodlić się o pomoc, nie potrafiła jednak znaleźć stów. W otchłani swojej doskonałej pamięci znalazła bardzo stary tekst. Fragment z wykładu, na którym kiedyś była. Napisał to jeden z starożytnych Greków. Arystoteles? Nie, raczej Epikur.

Czy Bóg chce zapobiegać złu, lecz nie może?

Zatem nie jest wszechmocny.

Czy może, ale nie chce?

Nie jest więc miłosierny.

Czy może i chce?

Skąd zatem zło?

Czy nie może i nie chce?

Dlaczego więc nazywać go Bogiem?

W ETAP-ie był tylko jeden Bóg. Chore, nieświadome dziecko, leżące w brudnym łóżku, w opuszczonej szkole.

- Nie mogę tu zostać, Petey - powiedziała. - Jeśli tu zostanę... przepraszam, to koniec.

Astrid zdrząła, potarła ręce, próbując je ogrzać, bo wiatr zrobił się jeszcze zimniejszy, i wyszła z pokoju. Pobiegła korytarzem. Zbiegła po schodach. Wreszcie wyszła przez główną bramę.

- Koniec - powiedziała, zatrzymując się na chwilę na kamiennych schodach. - Koniec.

Wkroczyła w noc.

ROZDZIAŁ 34

2 GODZINY, 51 MINUT

- Jedziesz? - spytała Diana.

- Oczywiście - odparł Caine. - Jedziemy. Zabierzemy nawet Penny. Może nam się przydać. Może Lana będzie w stanie wyleczyć jej nogi. A potem będzie bardzo przydatna, skoro potrafi kontrolować ludzi.

Caine gwizdał wesoło, pakując ubrania do torby Dolce & Gabbana.

- Powinnaś zabrać trochę ciuchów - powiedział. - Może nas tu nie być przez jakiś czas.

- Nigdzie nie jadę - oznajmiła Diana.

Caine znieruchomiał. Uśmiechnął się do niej. Potem jego oczy stały się martwe, a ona poczuła, jak niewidzialna ręka pcha ją w stronę szafy.

- Powiedziałem, że masz się pakować.

- Nie.

- Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił coś, czego oboje będziemy żałować - ostrzegł. Potem, spokojniejszym głosem dodał: - Myślałem, że mnie kochasz. O co ci chodzi?

- Jesteś podłym człowiekiem, Caine.

Chłopak roześmiał się.

- A ciebie to szokuje, tak?

- Miałam nadzieję...

- Na co? - warknął. - Na co miałaś nadzieję, Diano? Miałaś nadzieję, że mnie uszczęśliwisz? Że mnie okiełznasz?

- Myślałam, że może powoli zaczęliśmy dojrzewać - odpowiedziała.

Caine przyciągnął ją do siebie. Połknęła się, ale nie przewróciła. Unieruchomił ją siłą, której nie potrafiła się oprzeć, i pocałował.

- Dostałem od ciebie to, czego chciałem, Diano. Było świetnie, naprawdę. Poddadaś mi się z własnej woli, a przecież mogłem cię zmusić, kiedy tylko bym zechciał.

Nie odpowiedziała.

- Jeśli myślisz jednak - ciągnął - że masz nade mną jakąkolwiek kontrolę, to, cóż, pomyśl jeszcze raz. Jestem Caine. Mam cztery kreski. To ja rządzę i cieszę się, że jesteś częścią mojego życia. Możesz mnie przedrzeźniać i śmiać się ze mnie, nie obrażę się. Cieszę się, że mam przy sobie kogoś, kto się mnie nie boi i potrafi powiedzieć, co naprawdę myśli. Dobry przywódca potrzebuje kogoś takiego. - Był tak blisko, że czuła na uchu jego oddech, gdy wyszeptał: - Ale pamiętaj: jestem Caine. A ludzie, którzy próbują ze mną walczyć, później tego żałują. Teraz spakuj się. I nie zapomnij o tej czarnej, koronkowej bieliźnie. Podobasz mi się w niej. Robalu, powiedz Penny, że ruszamy.

Robal zniknął. Wszystko usłyszał. Zza pleców Caine'a pokazał Dianie środkowy palec.

- Coś wymyślimy, Dekka - powiedział Sam.

Siedziała nieruchomo z tyłu łodzi. Sam usiadł obok niej. Toto został wygnany na rufę - Sam nie chciał, żeby wytykał mu każde pocieszające kłamstwo.

- Nie boję się - powiedziała Dekka. - Ale pomyśl tylko, nie wiemy, czy ktokolwiek wydostanie się z ETAP-u żywy.

Sam nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu przytaknął.

- Pomyśl tylko o tych wszystkich dzieciakach - powiedziała Dekka - Bette. Bliźniaczki. Duck, biedny Duck. Harry. E.Z. Hunter... Mary - dodała po chwili.

- I wielu innych - powiedział Sam.

- Tak. Powinniśmy pamiętać ich imiona, prawda?

- Staram się. Bo jeśli to się jednak skończy i uda mi się stąd wydostać, muszę być w stanie podejść do ich rodziców i powiedzieć: „Oto, co się stało. W ten sposób umarło wasze dziecko.”

- Wiem, że się tym martwisz - Dekka podała mu rękę, Ścisnął jej dłoń.

- Trochę tak. Wyobrażam sobie coś w rodzaju procesu. Starzy, ponuro wyglądający ludzie każą mi się usprawiedliwiać. Zadają pytania w stylu: „Co pan zrobił, żeby uratować E.Z., panie Temple?” - Pokręcił głową. - W mojej wyobraźni zawsze zwracają się do mnie „pan Temple” .

- Co pan zrobił, żeby uratować Dekkę Talent? - powiedziała.

- Tak masz na nazwisko? Nie sądziłem, że je masz. Myślałem, że jesteś jak Iman, Madonna albo Beyonce. Jedno imię ci wystarczyło.

- Tak, ja i Beyonce... - powiedziała Dekka z wykrzywionym uśmiechem.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Sam, nie wiemy, czy te potwory widzą w ciemności.

Pokiwał głową.

- Też się nad tym zastanawiałem. Mam plan. Dosyć szalony.

- Gdyby nie był szalony, nie mielibyśmy zabawy.

- Umiesz pływać, prawda?

- Nie, wiesz, czarni ludzie nie potrafią pływać - powiedziała Dekka swoim dawnym głosem. - Jasne, że umiem.

Zawołał do siebie Jacka i Tota.

- Umiecie pływać?

Obaj przytaknęli, ale Jack zauważył:

- Jest ciemno.

- Woda w nocy nie robi się głębsza - powiedział Sam.

- Ale kto wie, co w niej pływa? - zaprotestował Jack.

- Pstrągi i okonie - odparł Sam. - One nie są mięsożerne.

- Jasne, a węże nie latają, a kojoty nie mówią - odgryzł się Jack.

- Prawda - przyznał Sam. - Ale myślę, że powinniśmy zaryzykować. Pomyślałem, że wszyscy cichutko wejdziecie do wody, ja włączę silnik, odbiję od brzegu i wyskoczę. Jeśli to podziała. Drake i jego przyjaciele usłyszą łódź i ruszą za nią w pogoń. A my dopłyniemy do brzegu i uciekniemy.

- Będą nas gonić - zauważył Jack.

- Spróbują - przyznał Sam. - Ale to robaki, to nie psy gończe. Nie sądzę, by potrafiły dostrzec ślady po ciemku.

- Nie jest pewien - powiedział Toto.

- Nie, nie jest - zgodził się Sam.

- To prawda - powtórzył Toto, po czym zwrócił się do swojego niewidzialnego przyjaciela:

- Jest zmieszany.

- Dokąd pobiegniemy? - spytała Dekka.

- Drake będzie podejrzewał, że skierujemy się prosto do miasta. Nie chcemy z nim walczyć na dworze, więc zwiewajmy w stronę pociągu. - Poklepał Jacka po ramieniu - Chciałbyś jeszcze jednego laptopa, prawda?

Jack skrzywił się.

- Przynajmniej jeszcze parę baterii.

- No dobra. Wchodźcie do wody, płyniecie do przystani. Jeśli nie zaczną mnie gonić, wrócę do was, zanim dotrzecie do pomostu i wymyślimy jakiś inny plan.

- Czy nie moglibyśmy wymyślić innego planu, zanim zaczniemy realizować ten? - spytał Jack.

Caine stał na dziobie łodzi Quinna, gdy ta powoli płynęła w stronę Perdido Beach. Quinn ostrzegwał go, że powinien usiąść, ale Caine nie obawiał się, że wpadnie do wody. Wykorzystywał swoją moc żeby się wesprzeć, tak że jego nogi ledwie dotykały pokładu. Nie zamierzał dotrzeć tam ze spuszczoną głową. Wracał do Perdido Beach jak Jerzy Waszyngton przekraczający Delaware: wyprostowany. Unosił się. Niemal frunął. Nie tylko fizycznie, ale w swoich myślach. Wypełniało go coś ciepłego i przyjemnego. Potrzebowali go. Postali po niego. Odkryli, że nie potrafią sobie bez niego poradzić. Bez niego, nie bez Sama. Bez niego. Penny leżała skulona z tyłu łodzi. Diana wpatrywała się w pustą przestrzeń. Robał gwizdał, potem przestawał i zaczynał gwizdać od nowa. Quinn stał przy sterownicy, mając przed sobą Caine'a. Caine czuł na plecach jego wzrok. Wątpliwości i smutek Quinna były wypisane na jego twarzy. Diana nie odzywała się. Caine podejrzewał, że dopiero teraz dociera do niej, że on wciąż jest przywódcą, że ona wciąż od niego zależy. Że potrzebowała go tak samo, jak dzieciaki z Perdido Beach. No cóż, będzie musiała się z tym pogodzić. Diana była silna, będzie umiała przezwyciężyć swoje rozczarowanie. A razem zostaną pierwszą parą Perdido Beach, jak król i królowa. Uśmiechnął się na samą myśl.

- Szkoda, że nie mamy aparatu - powiedział Caine. - Chciałbym móc uwiecznić chwilę mojego powrotu.

- Zimno mi - jęknęła Penny.

- Po prostu za mało się gimnastykujesz - rzucił, po czym roześmiał się ze swojego okrutnego żartu. Zgorzknienie Penny nie popsuje mu tej chwili. Ani Ono, ani smutek Diany ani poczucie winy Quinna. To była jeg o chwila. Quinn zręcznie poprowadził łódź wzdłuż pomostu. Przybił do brzegu i wysiadł, żeby pomóc wydostać się reszcie. Caine nie przyjął jego wyciągniętej dłoni, ale spojrzał na niego ostro, tak że tamten musiał odwrócić wzrok.

- Czego byś chciał, Quinn? - spytał Caine.

- O co ci chodzi?

- Co by cię ucieszyło? Czego chciałbyś najbardziej na świecie?

Quinn zamrugał. Caine'owi wydało się, że wręcz się rumieni.

- Ja i moi ludzie po prostu chcemy łowić ryby - oświadczył wreszcie.

Caine położył dłoń na jego ramieniu. Spojrzał mu w oczy ze szczerością, którą wciąż potrafił udawać, gdy sytuacja tego wymagała.

- W takim razie, Quinn, oto mój pierwszy dekret: możesz łowić ryby. Rób to, co robisz i już nigdy nie zostaniesz poproszony o nic innego.

Quinn chciał coś odpowiedzieć, był jednak zbyt zmieszany. Caine rozłożył szeroko ramiona i pofrunął z łodzi na pomost. Roześmiał się arogancko, ciesząc się z własnej mocy. Diana i Robal ostrożnie zeszli na ląd. Caine uniósł Penny i posadził ją na drewnianych deskach.

- Tym razem będzie inaczej - powiedział Caine. - Poprzednio było tu zbyt wiele sporów, zbyt wiele przemocy. Starłem się być pokojowym przywódcą, ale nie udało mi się.

- Ciekawe, dlaczego - mruknęła Diana.

- Ci ludzie - powiedział Caine, wskazując ręką miasto - potrzebują kogoś więcej, niż tylko przywódcy. Potrzebują... króla.

Ta myśl dotarła do Caine'a niespodziewanie. Jeszcze wcześniej była zupełnie nieobecna. Diana jednak w nieskończoność żartowała sobie z niego, że zachowuje się jak Napoleon a on znalazł scenariusz o nim w bibliotece domostwa. Napoleon przejął władzę, kiedy lud Francji miał dosyć pełnej brutalności, nieudolnie rządzonej republiki. Zaakceptowali jego panowanie, bo byli już zmęczeni, wypaleni. Chcieli i potrzebowali kogoś w koronie na głowie.

Było to całkiem naturalne. Tak to właśnie wyglądało przez wiele wieków historii. Napoleon obwołał siebie cesarzem. Tak jak Michael Jackson obwołał siebie Królem Popu, a Howard Stern - Królem Wszystkich Mediów. To dziwne, że można było zostać królem, po prostu samemu się nim obwołując i namawiając resztę, by się na to zgodziła. Król. Quinnowi opadła szczęka. Kątem oka Caine dostrzegł pełen niedowierzania uśmiech Diany. Powoli pokręciła głową, jakby wreszcie zrozumiała coś, nad czym długo się zastanawiała.

- Od teraz, Quinn, masz zwracać się do mnie jako do króla. A wtedy dam spokój tobie i twoim ludziom.

Poczuł, że wszyscy na niego patrzą. Penny była gotowa spełnić jego wolę, chociaż w głębi serca tak bardzo go nienawidziła. Robał uśmiechał się; jak zwykle stanowił po prostu przydatne narzędzie. Diana natomiast była zdziwiona i zdziwiona swoim własnym zdziwieniem.

- Okej - powiedział Quinn niepewnie.

- Okej? - powtórzył Caine, unosząc wyczekująco brew.

Uśmiechnął się, żeby pokazać, że nie jest zły. Na razie nie.

- Po prostu... okej? - nalegał.

- Okej... - Quinn rozejrzał się w desperacji, nie znając odpowiedzi. Wreszcie do niego dotarło. Caine niemal widział jak jego umysł pracuje. - Okej, wasza wysokość?

- Caine spojrzał skromnie w dół, chcąc ukryć sprytny uśmieszek, który niechybnie popsułby wrażenie.

- Możesz już iść, Quinn. Wracaj do pracy.

Quinn odszedł. Caine napotkał pełen niedowierzania wzrok Diany i roześmiał się głośno.

- Co jesteś taka ponura? Czyż każda dziewczynka nie chce być królową, kiedy dorośnie?

- Księżniczką - odparła.

- No to dostałaś awans. Robal, znajdź Taylor.

Taylor była największą plotkarą w Perdido Beach. Potrzebował informacji i to jak najszybciej. Był środek nocy, a on nie bardzo wiedział, kto gdzie jest i co robi. Quinn poinformował ich tylko, że Sam był poza miastem, Albert został zamordowany, a Edilio zachorował i mógł umrzeć w każdej chwili. Caine żałował, że Albert nie żyje. Albert był doskonałym organizatorem i Caine był pewien, że mógłby go wykorzystać. Śmierć Edilia byłaby natomiast znakomitą wiadomością; Edilio od samego początku był prawą ręką Sama. Caine nie wiedział nawet, kiedy te gigantyczne insekty miały niby dotrzeć do Perdido Beach. To mogło się zdarzyć w każdej chwili. Musiał jakoś zapobiec inwazji. To było najważniejsze. Z pewnością jednak dzieciaki przesadzały. Wielkie insekty? Pewnie miały z dziesięć centymetrów. A jednak myśl o tym, że mogłyby wgryźć się w jego ciało, sprawiała, że zrobiło mu się niedobrze. Caine stanął na biegnącym wokół plaży falochronie. Pomyślał, że jest to krawędź oddzielająca przeszłość od przyszłości. Nie tylko jego przyszłości, lecz przyszłości wszystkich. Miasto było pogrążone w ciemności i ciszy. W niektórych oknach widział ponure, blade światło słońceczek Sammy'ego. Księżyc chował się za dziwną chmurą, wiszącą nad zachodnią częścią miasta, zdecydowanie za nisko. Miał przed sobą nieskończenie wiele możliwości. Miał wrażenie, że z chciwej radości zaraz eksploduje. Wrócił. Wrócił jako ich wybawca. Quinn nieświadomie pokazał mu drogę. Chciał bowiem tego, czego chciała większość ludzi: świętego spokoju. Żeby nie bać się. Nie musieć walczyć. Nie musieć zadawać sobie trudnych pytań ani podejmować trudnych decyzji. „Po prostu chcemy łowić ryby.” Caine odwrócił się nieco, by spojrzeć na Dianę. Dał jej nadzieję i odebrał jej ją, a teraz ona stała nieruchomo niczym w transie, zdając sobie sprawę że poniosła całkowitą klęskę. Rezygnacja. Akceptacja. Widziała już, że to on jest przywódcą. Kiedy wszyscy to zobaczą, kiedy po prostu

pogodzą się, że tylko takie życie jest możliwe, wtedy będzie miał pełną kontrolę. Wyczuwał strach wiszący nad Perdido Beach. Brakowało im przywódcy. Byli chorzy, słabi, głodni, samotni. Kulili się pod naporem wirusa grypy i plagi monstrualnych robali. Kiedy to się skończy, kiedy on już zwycięży, powie: „Sam przegrał. Ja jednak wygrałem. Teraz uspokójcie się, pracujcie i nie zwracajcie uwagi na lepszych od siebie. Ciii... idźcie spać, wasz król będzie podejmował za was trudne decyzje.” Robal wrócił z Taylor zaskakująco szybko.

- Gdzie ją znalazłeś? - spytał Caine. Robal wzruszył ramionami.

- W jej domu. Zapamiętałem, gdzie mieszka, kiedy jeszcze wkradałem się do miasta.

- To znaczy wtedy, kiedy wkradał się do twojego domu i podglądał cię, kiedy się przebierałaś - wyjaśniła Diana.

- To tylko dzieciak. - Taylor wzruszyła ramionami. Sceptycznie i badawczo spojrzała na Caine'a.

Caine wiedział, że mając taką moc, nie ma powodu, by się go bać. Trudno byłoby też mu ją zawstydzić, musiał więc znaleźć jakiś inny sposób.

- Usiądź tu ze mną - poprosił, zeskakując z falochronu. Jak się masz, Taylor?

- Moje życie to jedna wielka impreza.

Roześmiał się z jej żartu.

- Musi być kiepsko, skoro Edilio po mnie posłał, co?

- Zawsze było kiepsko - powiedziała. - Ale teraz osiągnęliśmy nowy poziom dna. Widziałam te robale.

Caine zdobył się na najbardziej przekonującą szczerość.

- Muszę iść na wojnę z tymi stworami. Tyle że niezbyt wiele o nich wiem.

Taylor powiedziała mu wszystko, co wiedziała. Caine poczuł, jak część jego pewności siebie znika, gdy usłyszał obrzydliwe i przerażające detale, opisywane z pełnym przekonaniem.

- No to fajnie - oświadczyła Diana sucho. - Tak się cieszę, że wróciliśmy.

Caine zacisnął zęby, ale zignorował ją.

- Na czyją pomoc mogę liczyć? Taylor roześmiała się.

- Na pewno nie na moją, stary. Ja już do nich nie podejść.

- A Brianna? - spytał Caine. Taylor skrzywiła się.

- Masz na myśli Bryzę? To ona przybiegła do Edilia i opowiedziała mu, że robale zbliżają się i że są wielkie jak samochody. Nie wiem, co się z nią działo od tamtej pory. Pewnie szuka Jacka. Albo Dekki - dodała, spoglądając znacząco.

Caine pokiwał głową i opuścił ją, żeby nie zdradzić się ze swoją satysfakcją. Brianna stanowiła problem: dzięki swojej szybkości mogła przed nim uciec, podobnie Taylor. Poza tym była całkowicie lojalna wobec Sama.

- A co z Samem i Astrid?

- Och nie, „Sam i Astrid” już nie istnieją - Taylor zbliżyła się do niego i zaczęła opowiadać wszystko, co wiedziała na ten temat. Po dziesięciu minutach Caine miał już kompletny obraz stanu rzeczy. Sam udał się na szalone poszukiwania wody. Dekka i Jack towarzyszyli mu. Astrid odeszła razem z małym Pete'em. Quinn natomiast najwyraźniej nie słyszał szokującej, acz dobrej wiadomości: Albert żył i wracał do zdrowia pod opieką Lany.

- To samo dotyczy dwóch koleś, którzy próbowali go zabić - powiedziała Taylor. - To może być problem.

- Jakich koleś?

- Dwóch leśczy z Ekipy Ludzi: Turka i Lance'a. Może też Orc, bo nikt nie wie, co się z nim dzieje, poza tym, że bez przerwy chła.

Coraz lepiej. W mieście nie było nikogo, kto mógłby walczyć z Caine'em. Coś niesamowitego. Coś cudownego, Dar losu. Królowie powinni być wybierani przez Boga. Jeśli w ETAP-ie był jakiś Bóg, wydawało się, że dokonał swojego wyboru. Ale taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Musiał więc działać szybko.

- Taylor, musisz dla mnie zrobić coś bardzo ważnego - powiedział Caine.

- Nie pracuję dla ciebie - oświadczyła, rozgniewana.

Caine pokiwał głową.

- To prawda, Taylor. Masz niezwykłe moce. I jesteś mądrą dziewczyną. A nikt cię nie docenia. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbym tobą rządził.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma problemu.

- Myślę po prostu, że jesteś bardzo wartościową, przydatną dziewczyną. Myślę, że powinnaś sobie znaleźć miejsce przy moim boku. Szanuję cię.

- Po prostu chcesz, żebym ci pomogła - stwierdziła Taylor.

Caine uśmiechnął się szeroko.

- To prawda. Ale ja jestem w stanie zapłacić ci znacznie więcej niż Sam i Albert. Domyślam się, że wiesz o wyspie, prawda? A ty przecież możesz znaleźć się w każdym miejscu, jakie sobie tylko wyobrazisz, przenieść się, gdziekolwiek tylko chcesz.

Pokiwała głową ostrożnie. Wyglądała na zaintrygowaną.

- Gdybym zorganizował ci podróż łodzią, mogłabyś przeskakiwać tam, kiedy tylko byś chciała. Proste jak drut.

Znów przytaknęła.

- Co byś powiedziała na ciepłą kąpiel?

- Powiedziałabym, że bardzo dawno nie byłam mokra.

- Mnóstwo jedzenia. Masło orzechowe. Zupa z kurczaka. Krakery. Najróżniejsze filmy. Popcorn do chrupania podczas filmów.

- Teraz próbujesz mnie przekupić.

- Obiecuję ci zapłatę.

Nie musiała nic mówić. Widział to w jej oczach.

- Muszę wiedzieć, gdzie są te stwory, te robale. Skąd nadchodzą. I jak szybko się poruszają.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

I wtedy Taylor zniknęła.

ROZDZIAŁ 35

1 GODZINA, 55 MINUT

Sam patrzył na przyjaciół, póki nie zniknęli z zasięgu jego wzroku. Toto nie pływał najlepiej, dali mu więc poduszkę, na której mógłby się unosić, a Jack pomagał mu jedną ręką. Jack też nie był świetnym pływakiem, ale nie trzeba było być technicznie doskonałym, gdy dysponowało się nadludzką siłą. Sam włączył silnik; ten zawarczał z całą mocą, tak że Drake musiałby być głuchy, żeby go nie usłyszeć. Potem wrzucił bieg i ruszył naprzód wzdłuż brzegu. Światło księżyca było słabe, ale wystarczało, żeby dostrzegł nagły ruch insektów. Dały się oszukać. Sam szybko puścił ster i wyskoczył z łodzi z prawej strony. Znowu spojrzał na srebrny rój biegnących robali. Drake'a nie zauważył. Popytnął za resztą. Został w łodzi nieco dłużej, niż planował, i teraz znajdował się o pół mili od pomostu. Miał spory dystans do pokonania. Woda była jednak dla niego środowiskiem naturalnym. Surfował od dziecka, a pływanie w spokojnym jeziorze było niczym w porównaniu z walką z falami. W zimnej, czystej wodzie czuł się dobrze. Z kraula na chwilę przerzucił się na grzbiet, żeby popatrzeć na ciemne niebo, wciąż jednak nie tracąc tempa. Gdyby wrócił do normalnego świata, chciałby dołączyć do szkolnej drużyny pływackiej. Jego motylek był słaby, ale żabka naprawdę dobra, a grzbiet jeszcze lepszy. Jak dobrze byłoby martwić się jedynie doskonaleniem swojego stylu pływackiego, a nie tym, że jego przyjaciółkę robaki zjadają od środka. Co miał teraz zrobić? Ufali mu. I Dekka i Jack. Wierzyli, że zawsze ma jakiś plan. Nie miał jednak planu, wiedział tylko, że muszą uciec jak najdalej od Drake'a i jego armii. Drake pobiegnie teraz do Perdido Beach. Wyśle swoje robale do miasta, żeby wszystkich wymordowały. Potem zabierze Astrid i... Uważaj, żeby się nie wzruszyć - ostrzegł sam siebie. Po prostu wymyśl, jak go pokonać. Usłyszał przed sobą niezdarne chlapnięcia. Gładko przeszedł do kraula i uderzył mocno w taflę wody.

- Ciiii - syknął, kiedy ich dogonił. - Robicie więcej hałasu niż przedszkolaki w brodziku.

Cała czwórka zbliżyła się do pomostu. Sam wskazał towarzyszom, żeby cicho wpłynęli pod jego deski. Toto wypuścił swoją poduchę, która odpłynęła, unosząc się na wodzie. Jack uderzył głową o pomost i wyszeptał przekleństwo. Sam oparł dłonie na pomoście i przemoczony podciągnął się.

- Hej, Sam.

Brittney stała nie dalej niż pięć metrów od niego. Przy parkingu zauważył trzy robale. Czekają jak dobrze wytresowane psy. Został przechytrzony. Pokonany.

- Hej, Brittney - powiedział.

- Tyle razy prosiłam cię, żebyś mnie uwolnił. - Jej głos był chłodny i jakby odległy. Nie wściekły, nie przestraszony, może tylko trochę smutny.

- Wiem, Brittney. Ale ja nie potrafię zabijać z zimną krwią.

Brittney pokiwała głową.

- Tak, ty jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała bez sarkazmu.

- Staram się. Tak jak ty, Brittney. Ty też jesteś dobra. Spojrzał na robale. Nie poruszyły się, ale były gotowe. Mogły skoczyć na niego w jednej chwili.

- On cię nienawidzi - oznajmiła Brittney.

- Drake? - roześmiał się Sam. - On wszystkich nienawidzi. Nie zna innego uczucia.

- Nie Drake. Bóg.

Sam zamrugał. Co to miało znaczyć?

- Myślałem, że Bóg wszystkich kocha.

- Też tak myślałam, ale potem spotkałam Go.

- Naprawdę?

Brittney straciła jakikolwiek kontakt z rzeczywistością. Nie mógł jej za to winić. To, co przeżyła, każdego doprowadziło by do obłądzenia.

- On nie mieszka w niebie - powiedziała zwyczajnym, spokojnym tonem.

- Nie wiedziałem.

- Mieszka w ziemi, Sam. W ciemnym, bardzo ciemnym miejscu.

Serce Sama niemal się zatrzymało. Zadrżał.

- Spotkałaś Boga w jakimś ciemnym miejscu?

Pokazała swój pokręcony, zniszczony aparat na zębach w zaskakującym uśmiechu.

- Wyjaśnił mi swój wielki plan.

- Tak?

- Jego czas nadchodzi. To wszystko... - rozłożyła ramiona - to jak, jak... jak jajo. Musi wykluć się z tego jaja.

- Jak kurczak?

- Nie rób sobie żartów, Sam - ostrzegła go. - On czeka, żeby się narodzić. Ale musi do niego dołączyć Nemesis. A ty, Sam... ty nie pozwolisz, żeby to się stało.

- Nemesis? Co to jest Nemesis?

Spojrzała na niego chytrze.

- Och, Sam. Wiesz, kim jest Nemesis. On ma moc, która pozwoli wypełnić Boski plan. - Złożyła dłonie z uduchowionym wyrazem twarzy, jakby przystępowała do sakramentu. - Muszą się połączyć. Ciemność i Nemesis. Wspólnie posiadają pełnię mocy, a wtedy, Sam, wszystko się skończy. Skorupka pęknie i On się narodzi.

- To brzmi... - powstrzymał się przed dodaniem słowa „idiotycznie”. - To brzmi interesująco. Ale nie sądzę, by Gaiaphage był Bogiem. Myślę, że jest zły.

- Oczywiście, że jest zły - zgodziła się Brittney. - Oczywiście! Dobro, zło, nie ma między nimi żadnej różnicy. Nie widzisz tego? To jedno i to samo. Jak ja i Drake. In i jang. Dwa w jednym... Zatrzymała się, jak dziecko próbujące wyjaśnić coś, czego samo jeszcze nie rozumie.

- On cię okłamał, Brittney. Gaiaphage nie jest Bogiem. Dociera do ludzkich umysłów i każe im robić złe rzeczy.

- Ostrzegał mnie, że to powiesz - powiedziała Brittney. - Gaiaphage i Nemesis muszą się połączyć. A wy wszyscy musicie umrzeć. Jesteście jak choroba. Jak wirus. Plaga, którą należy zniszczyć, żeby mógł połączyć się z Nemesis i narodzić się.

Sama zaczynała męczyć ta rozmowa. Nigdy szczególnie nie interesował się żadną religią, a ta, wymyślona przez martwą dziewczynę, mająca usprawiedliwić kłamstwa Gaiaphage, była jeszcze mniej interesująca niż religijne wymówki Astrid. Niecierpliwie czekał, żeby Brittney powiedziała mu co zamierza zrobić. Jeśli mają walczyć, niech to się zacznie.

- I co wtedy, Brittney? Czy Gaiaphage wyjaśnił ci to?

- Wtedy cały świat zostanie stworzony od nowa. Taki jest właśnie cel, wiesz przecież.

- Nie, nie wiem. Chyba to przegapiłem. Skupiłem się na tym, że zamierza wszystkich zabić.

- Został stworzony przez rasę bóstw mieszkających w otchłani, żeby stworzyć świat od nowa.

- Wiesz co, Brittney, to brzmi jednak trochę jak wariactwo.

Uśmiechnęła się.

- Tak, wszystko jest wariactwem. Ale On stworzy świat od nowa, kiedy tylko się narodzi.

Sam był coraz bardziej zmęczony. Żałował, że nie ma z nim Astrid, być może ona byłaby w stanie więcej się dowiedzieć. Być może potrafiłaby przemówić Brittney do rozumu. On jednak nie potrafił.

- Wiesz co - powiedział wreszcie - jeśli twój przyjaciel z kopalni chce właśnie mnie, niech próbuje. Bo raz już próbował. A ja wciąż tu jestem.

- Nie na długo - odparła Brittney. - Myślisz, że te stwory pojawiły się same z siebie. Pan stworzył je tak, by nie dało się ich zniszczyć, by nie dało się ich powstrzymać, Sam.

- Przykro mi z powodu tego, co ci się stało, Brittney - powiedział Sam. - Zostałaś skrzywdzona bardziej niż ktokolwiek przed tobą. Ale i tak będę musiał cię powstrzymać - uniósł przed siebie ramiona. - Przykro mi. Promienie zielonego światła uderzyły Brittney. Wypaliły w niej dziurę. Robale skoczyły naprzód, błyskawicznie pokonując dystans między parkingiem a pomostem.

- Jack! Dekka! - zawołał Sam.

Jack uderzył z całej siły w deski pomostu, wybrał jednak złe miejsce. Wylądował między Brittney a Samem, uniemożliwiając mu atak.

- Zabijcie ich! - krzyknęła Brittney.

Jack potknął się i wydostał za linię ognia. Sam wycelował, żeby znowu uderzyć w Brittney, ale ona zaczęła uciekać. Ciało na jej plecach rozstało się, ukazując kręgosłup, ale biegła dalej.

Sam skierował swoje promienie ku najbliższemu z robali. Uderzyły, odbity się od niego i niemalże przecięły na pół maszt pobliskiej żaglówki. Zapłonął jak pochodnia. Jack wyciągnął Dekkę z wody. Wystrzeliła, zanim jeszcze stanęła na nogi. Grawitacja pod najbliższym z potworów przestała działać. Robal uniósł się, a jego pęd popchnął go ponad pochyloną głowę Sama. Wylądował na wpół w wodzie, a na wpół na pomoście.

- Popchnij go!

Jack rąbnął w odwłok robala, który wleciał do wody, po czym pobiegł do kolejnego z karaluchów. Oderwał deskę z pomostu i z nadludzką siłą trzasnął nią w szczękające zęby. Deska rozbiła się w drzazgi. Potwór nie zatrzymał się ani na chwilę. Jack upadł na plecy. Robal znalazł się na nim w jednej sekundzie.

- Jack! - krzyknęła Dekka.

Wciąż leżąc na plecach, Jack wierzgnął nogami z całej siły, tak że drewno pod nim trzasnęło.

Trzeci robal zamachnął się zębami na Dekkę, nie przeciął jej na pół, ale potężnym ciosem wrzucił ją do wody. Sam w ułamku sekundy pojął, co powinien zrobić. Nie podobało mu się to. Gdy jeden z robali rzucił się na niego, a ostrza w ustach zazgrzytały, Sam odmierzył czas, zaklął głośno i zanurkował prosto w otwartą paszczę robala.

- Dni niepewności skończyły się!

Caine stał na szczycie schodów prowadzących do ratusza. U jego stóp leżeli chorzy, kaszląc i trzęsąc się. Bezradny Edilio, słaby jak nowo narodzony kociak, drżał tak, jakby miał atak padaczki. Za chorymi stały tuziny dzieciaków. Wiele z nich było przemoczonych, bo kąpieli się w strugach deszczu. Część wycierała sobie zaspane oczy. Najmłodsze niosły ze sobą kocyki. Diana stała z boku, kompletnie obojętna. Penny siedziała na podanym przez kogoś krześle. Lana opierała się o drzewo na placu, opierając rękę na pistolecie. Obok niej stał zdenerwowany Sanjit. Caine widział to wszystko. Każdą zwróconą ku niemu, oświetloną księżycem twarz. Widział strach i oczekiwanie. Cieszył się tym. Czuł dumę.

- Najpierw chciałem donieść - mówił - że Taylor, która dołączyła do mnie, mówi, że robale są już niedaleko. Zbliżają się do autostrady i znajdują się w mieście w krótkim czasie. A kiedy tu będą, znajdą, zabiją i zjedzą... wszystko, co żyje.

- Możemy walczyć! - krzyknął ktoś. - Pokonaliśmy kojoty. I ciebie też pokonaliśmy, Caine!

- Jak chcecie walczyć bez Sama? - spytał Caine. - Jest tutaj? Nie! Sam nie powstrzyma tych stworów. Próbował, nie udało mu się, a teraz uciekł!

Odczekał chwilę, by ktoś przemówił w obronie Sama. Nic takiego się jednak nie stało. Słabe niedowiarki, pomyślał Caine. Niemal żałował Sama. Ile razy już narażał się dla tych niewdzięczników?

- Uratował sam siebie, uciekając razem z Asirid i Dekką – ciągnął - przynajmniej na razie. Uratował swoich przyjaciół a biednego, chorego Edilia i was wszystkich, zostawił samym sobie.

Kamienna cisza.

- Oto dlaczego Quinn, Quinn, który pracuje w dzień w nocy, by was nakarmić - przyjechał po mnie, błagając pomysł.

- A co ty zrobisz? - ktoś krzyknął.

- Co zrobię? - spytał Caine, rozkoszując się chwilą. - Przede wszystkim nie ucieknę. - Uniósł palec i zawołał: Kiedy nadeszło ostateczne niebezpieczeństwo. Sam uciekł. A ja wróciłem. Na mojej wyspie byłem bezpieczny i syty. Mieszkałem z moją piękną królową Dianą. Miałem tam przyjaciół, Penny i Robala. To było dobre życie - przysunął się do Diany i pocałował ją delikatnie. Pozwoliła mu na to.

- Bardzo dobre życie. Kiedy jednak dowiedziałem się, co dzieje się tutaj, jak straszliwe zawisło nad wami niebezpieczeństwo, nie mogłem dalej leżeć spokojnie w czystej pościeli, oglądając filmy i objadając się.

Obserwował efekt, jaki wywoływały jego słowa. Jedzenie? Filmy? Cokolwiek czystego? Te głodne, zdesperowane i do niedawna jeszcze spragnione dzieci słuchały go, jakby opowiadał im bajkę. Subtelna aluzja do seksu z Dianą również w pewien sposób zadziałała. Starsi chłopcy zrobili się zazdrośni, podobnie zresztą jak niektóre dziewczyny. Caine uśmiechnął się do siebie. Szło mu nieźle. Już miał ich w garści. Stado owieczek.

- Uratuję was - obiecał, skromnie opuszczając głowę. - Nie tylko przed tym straszliwym niebezpieczeństwem. Nie. Czyż nie nadszedł czas na lepsze życie? Czyż wycierpieliśmy wystarczająco?

Pomruk zgody.

- Cierpiałem głód, pragnienie, czułem ból. Cóż... - Znów odczekał, by jego słowa zdążyły wywołać właściwy efekt. Specjalnie rozciągał swoją przemowę, wiedząc, że myślą o zbliżającej się do miasta hordzie robaków. Wreszcie powiedział: - Cóż, starczy już cierpienia.

- A co z Drakiem? - rozległ się głos.

- Jest twoim przyjacielem! - oskarżył go ktoś inny.

- Nie - warknął Caine. - To ja go zniszczyłem. Nim Sam i jego towarzysze pozwolili mu wrócić. Począł znów chwilę na reakcję. Usłyszał pomruk aprobaty. Spojrzał na Dianę z uśmiechem. Nic nie działa tak dobrze, jak naprawdę bezczelne kłamstwo.

- Posłuchajcie mnie. Potrzebujecie prawdziwego przywódcy. Ale sytuacja, w której jesteście zmuszani do wyboru, jak w jakimś konkursie popularności, nie może trwać dłużej. Edilio jest dobrym dzieciakiem, ale to wciąż tylko dzieciak, lojalny pies Sama. Bez urazy. - Uniósł dłoń, jakby chcąc przeprosić za lekkomyślny dobór słów. Dzieciaki jednak już kiwały głowami. Edilio był jak pies Sama. Owszem, był porządny i odważny. Ale ich nie uratował. - A Sam? - ciągnął Caine, podnosząc głos. - Sam był kiedyś odważnym przywódcą, ale wypalił się i dobrze o tym wiecie. Nigdy nie wkładał w to serca. Teraz nareszcie uciekł. ETAP nie potrzebuje Sama. On nie jest królem.

Odwrócił się, gdy jego słowa wsiąkały w tłum. Usłyszał, jak ktoś pyta: „Czy on powiedział: królem?”. Lana roześmiała się sarkastycznie. Caine uniósł wysoko rękę.

- Potrzebujemy prawdziwego wodza, nie kogoś, kto musi odpowiadać przed Radą. Umówmy się: Howard jest członkiem Rady!

Te słowa wywołały pełen zrozumienia śmiech. A zatem wierny pies Sama Edilio musi składać raporty znanemu kanciarzowi Howardowi. - Uśmiech Caine'a przygasł. Należało kończyć. - Potrzebujecie przywódcy, który będzie naprawdę was prowadzić. Przywódcy, który dziś was uratuje, a od jutra uczyni wasze życie lepszym.

Caine zauważył Turka i Lance'a, stojących z boku i podśmiewających się. Wystąpił po nich Taylor. Powiedział im, że przyda mu się para silnych dzieciaków. Obiecał im podróż na wyspę.

- Turk, Lance. Chodźcie tutaj - rozkazał.

Weszli po schodach, żeby stanąć obok niego. Byli bladzi i drżący, ale pewni, że zostaną im powierzone nowe, ważne zadania.

- Ci dwaj tutaj przyznali mi się, że strzelili do Alberta, gdy przyszli go okraść.

Tłum zareagował złością. Nawet część chorych dzieci uniosła głowy. Albert nie był może szczególnie popularny, ale był potrzebny. Lance i Turk spojrzeli na siebie niepewnie.

- Zapewne ucieszy was fakt, że Lanie udało się uratować życie Alberta - powiedział Caine. - Ale co zrobimy z tymi dwoma niedoszłymi mordercami?

Turk pobladł jeszcze bardziej. Nie tego się spodziewali. Lance odsuwał się, gotowy do ucieczki. Niemal nie poruszając się, z delikatnym uśmiechem na ustach, Caine uniósł rękę. Lance poczuł, że odbija się od niewidzialnej bariery.

- Czy powinniśmy zwołać zebranie Rady? Przeprowadzić proces? Tracić czas, gdy z każdą chwilą zbliża się ku nam niebezpieczeństwo? Przecież wiemy, co należy uczynić. Sprawiedliwość! Szybko, bez bezsensownej zwłoki.

- Hej! - zawołał Lance - Nie to nam o...

- On wiele rzeczy obiecuje - mruknęła Diana.

Szerokim, dramatycznym gestem ręki, Caine cisnął Lance'a w powietrze. Lance frunął, jakby został wystrzelony z katapulty. Wszystkie oczy śledziły jego lot na tle ciemnego nieba. Usłyszeli stłumiony okrzyk. Było w tym coś komicznego. Caine nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Krzyk zamienił się w pisk, gdy Lance roztrzaskiwał się o ziemię po drugiej stronie placu.

-Sprawiedliwość! - wrzasnął Caine. - Nie później, ale właśnie teraz! Sprawiedliwość, bezpieczeństwo i lepsze życie dla nas wszystkich.

Turk stracił nad sobą kontrolę.

- Nie, nie, nie, Caine, nie!

- Nie ma jednak sprawiedliwości bez litości - powiedział Caine. - Lance spłacił swój dług. Teraz Turk spłaci swój, służąc mi. Prawda, Turk? Spojrzał na chłopaka i powiedział cicho:

- Na kolana.

Turk ukląkł, nie mówiąc nic więcej.

- To oznaka szacunku - powiedział Caine. - Nie szacunku do mnie, to nie o mnie chodzi. Szacunku do was wszystkich. To wy potrzebujecie silnych rządów. Po tak wielkim cierpieniu, czy nie chcecie, żeby ktoś wreszcie wziął sprawy w swoje ręce? To właśnie zamierzam zrobić. A gdy uklękniecie, po prostu okażecie szacunek. Tak jak Turk.

Uklękło może z sześćcioro dzieci. Kilka innych niezdarnie pochyliło głowy, jakby nie wiedziały, co właściwie mają zrobić. Większość nie zrobiła nic. Wystarczy, pomyślał Caine. Na razie wystarczy.

- Potwory nadchodzą - oświadczył ze spokojem. - Kto z nas potrafi je pokonać?

Odczekał chwilę, jakby naprawdę spodziewał się odpowiedzi.

- Kto jest w stanie je pokonać? - powtórzył. - Ja. Tylko ja.

Pokręcił głową, jakby dziwiąc się czemuś niesamowitemu.

- To tak, jakby sam Bóg mnie wybrał. I jeśli zwyciężę, jeśli uratuję was. Jego wola będzie oczywista dla wszystkich.

ROZDZIAŁ 36

1 GODZINA, 45 MINUT

Sam wskoczył w otwartą paszczę potwora. Jego głowa i ramiona zmieściły się. Gardło robaka skurczyło się jak mokra gąbka, odcinając mu dopływ powietrza do płuc. Sam zaciskał powieki, nie był jednak w stanie zatkać nosa i omal nie wymiotował, czując smród zgnitego mięsa, glonów i amoniaku. Machał rękami, szukając czegoś, czego mógłby się chwycić. Musiał podciągnąć nogi, nim zgrzytną zęby robala, teraz, zaraz, już! Poczuł na kostkach coś ostrego. Robał na razie tylko krztusił się, więc nie próbował jeszcze pogryźć go na kawałki. Sam wciągnął nogi do środka, do mokrego, śmierdzącego, pulsującego gardła. Nie zdążył: zęby zatrzymały się na jego prawej kostce. Nawet nie zauważył bólu, bo czuł się zbyt obrzydliwie, ściśnięty, duszący się w ciemności. Wyciągnął naprzód ręce i wystrzelił. Nie widział światła, bo powieki wciąż miał ściśnięte. Czuł jednak dreszcz, przebiegający przez ciało robala. Wystrzelił znowu i znowu, macając wnętrzości rękami, czując jak skóra pali go od amoniaku, który znajdował się w ciele potwora, i od gorąca swojego własnego światła. Musiał przestać, bo inaczej sam mógłby się ugotować. Czuł, jak robal się porusza, jakby znajdował się w trzęsącym się samochodzie o kwadratowych kołach. Potwór biegł przed siebie w panice, gdy jego wnętrzości paliły się i krwawiły. To jednak nie wystarczało, a Sam mógł za chwilę umrzeć z braku powietrza. Zignorował ból: strzelać! Na oślep złożył ręce, łącząc płynące z nich promienie światła. Skierował tę wiązkę we flaki robala, po czym zatoczył dłońmi koło. Wreszcie wrzeszcząc z gorąca i spazmatycznie wijąc się w odruchu protestu, zaczął z całej siły kopać w miejsce, w które wypalił. Powietrze! Odetchnął i wymiotował niemal w tym samym momencie. Ostrożnie otworzył jedno oko. Jack stał nad nim.

- Blee! - wrzasnął Jack, pełen obrzydzenia na widok Sama w kokonie flaków insekta.

Chwył go za rękę i podniósł z taką siłą, że Sam pofrunął w powietrze i wpadł do wody.

Wychylił głowę, nabrał powietrza, zanurkował z powrotem. Woda obmyła go całego i złagodziła oparzenia. Jednak zwierzę zraniło go. Pięta go bolała, ale znacznie gorszy był strach, że czeka go to samo, co Huntera. Kiedy wynurzył się z wody, zobaczył robaka, który wlał do wody i teraz wił się w konwulsjach, próbując wypłynąć na brzeg. Drugi, martwy - ten, którego Sam zabił od wewnątrz - leżał całkiem nieruchomo. Wydawał się zdziwiony. Jego przerażające, niebieskie oczy były szkliste. Jeden robal więc nie żył, drugi próbował wydostać się na brzeg, trzeci wciąż był śmiertelnie niebezpieczny.

- Jack! - zawołał Sam. - Maszt! Łódź!

Jack zmarszczył czoło ze zdziwieniem, po czym pokiwał głową, wskoczył na najbliższą żaglówkę, chwycił aluminiowy maszt i z siłą Herkulesa wyrwał go z pokładu. Dekka uniosła ręce, a biegnący ku niej robal zawisł bezradnie w powietrzu. To mogło potrwać tylko kilka sekund, ten czas wystarczał jednak Jackowi.

- Okej, Dekka, upuść go! - zawołał.

Dekka upuściła potwora na ziemię. Jack uniosł długi na trzydzieści stóp maszt nad głowę, i wycelował nim prosto w paszczę robala i dźgnął. Pierwsze uderzenie nie dosięgło celu, trafiło za to w jedno z niebieskich oczu. Jack wycofał się na koniec pomostu i pobiegł w stronę potwora.

- Taaaaaaaak!

Uderzył masztem w pysk potwora i pchał go jak szalony, podskakując na drewnianych deskach, aż końcówka masztu przebita wreszcie bok potwora, wywołując eksplozję flaków i

lepkiej mazi. Sam próbował podciągnąć się z powrotem na pomost, miał jednak poparzone ręce, więc Jack musiał złapać go za ramiona.

- Gdzie Brittney? - spytał.

Dekka pokręciła głową.

- Uciekła - powiedział Toto. - Ale wyglądała, jakby coś się z nią działo. Jej ramię było... - chłopak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Jak wąż. To bicz - pomogła mu Dekka.

- Tak - potwierdził Toto, po czym dodał: - Chciałbym już iść do domu.

- Ledwie chodzę - jęknął Sam. Musiał zaciskać zęby, by powstrzymać krzyk bólu. Kawałek jego pięty został odgryziony, krew ciekła na deski pomostu. - Chodźmy stąd, póki jeszcze możemy. Drake wróci tu ze swoją armią, a wtedy robale na pewno nas zeżrą.

Spróbował kuśtykać, ale Jack pochwyił go i posadził sobie na ramionach. Wyglądało to dość zabawnie: Sam był d niego o głowę wyższy i sporo szerszy, Jack jednak niósł go, jakby tamten był małym dzieckiem.

- Rządź, Jack - powiedział Sam.

Dekka poklepała go po plecach.

- To prawda.

Jack aż promieniał, chociaż nie chciał dać tego po sobie poznać. Potem jego twarz nagle zzieleniała, odstawił Sama na bok i zwymiotował w krzaki.

- Sorry - powiedział - chyba zrobiło mi się od tego niedobrze.

- To tylko nerwy, stary - powiedział Sam. - Miałem to samo. Chodźmy stąd, tą samą drogą, którą przyszliśmy. Drake podejrzewa, że pójdziemy prosto do miasta, a jeśli nas złapie po drodze, załatwi nas na cacy.

- A co się stanie, jeśli dostanie się do miasta razem z tymi potworami? - spytała Dekka.

- Edilio ma wciąż Orka, mam nadzieję. No i Briannę. I Taylor. Ma też swoich żołnierzy, chociaż nie sądzę, by pistolety na zbyt wiele się zdały, chyba że trafią prosto w ich gęby. - Sam pokręcił głową. Pomyślał o Astrid. W głowie miał zbyt wiele makabrycznych obrazów tego, co mogło się jej stać. Czy uda im się dostać do miasta na tyle szybko, by pomóc w walce? Może wtedy udałoby im się razem powstrzymać Drake'a. Może. Czy Edilio podejrzewał, co się do niego zbliża? Czy się przygotowywał? Czy znalazł jakieś wyjście? Sam go nie znalazł, choć próbował po raz kolejny. Próbował i wyobrażał sobie taki scenariusz, w którym byłby w stanie zwyciężyć wroga. Znowu doszedł do wniosku, że istniały tylko dwie osoby na tyle silne, by pokonać potwory. Pierwszą był Caine. A Caine był na wyspie. Drugą: mały Pete. On znajdował się na zupełnie innej wyspie, wewnątrz własnego umysłu. Caine i mały Pete.

- Posłuchajcie - powiedział Sam. - Nie wiem, jak moglibyśmy je pokonać. Muszą się tym zająć Edilio i inni ludzie w mieście, ale czy mają jakiegokolwiek pojęcie, co s dzieje? Trzeba ich ostrzec.

- Jak? - spytała Dekka.

- Jack.

Jack, który pochylał się ku nim, nagle się cofnął.

- Jack jest w stanie poruszać się szybciej niż my. Jego siła daje też większą prędkość. No i nie zmęczy się tak szybko. Wzgórza mu nie przeszkadzają, więc może pobiec na przełaj.

- Tak - przyznała Dekka. - To ma sens. Ale nie zrozumcie mnie źle, co prawda Jack jest bohaterem i w ogóle, ale czy to wystarczy? Ja też zrobiłam swoje obliczenia. Orc, Jack i Brianna?

- Są tylko dwie osoby, które mogłyby zwyciężyć - powiedział Sam. - Caine. On mógłby to zrobić.

- Caine? - prychnęła Dekka.
- Albo on, albo mały Pete - odparł Sam.
- Mały Pete? - Jack popatrzył na niego zmieszany.
Sam westchnął.

- Mały Pete. Brat Astrid nie jest tylko autystykiem. - Wyjaśnił im wszystko pokrótce. Toto przerywał mu od czasu do czasu słowami: „Sam wierzy, że to prawda”.

- Ale jak zmusimy go, żeby cokolwiek zrobić? - spytała Dekka.

- Ostatnim razem, kiedy poczuł śmiertelne niebezpieczeństwo, stworzył ETAP - wytłumaczył Sam. - Znowu musi się w nim znaleźć.

Jack i Dekka spojrzeli na siebie nieufnie, zastanawiając się co każde z nich wiedziało o możliwościach małego Pete'a.

- Mały Pete? - spytał znowu Jack. - Ten dzieciak ma taką moc?

- Tak - odparł po prostu Sam. - Przy nim Caine, ja i my wszyscy jesteśmy... jesteśmy jak pistolety na wodę leżące obok armaty. Nie wiemy nawet, jakie są granice jego mocy - powiedział. - Wiemy tylko, że nie potrafimy się z nim komunikować. Nie możemy nawet odgadnąć, co tak naprawdę myśli.

- Mały Pete - mruknęła Dekka, kręcąc głową. - Wiedziała, że on musi być ważny. Już dawno się tego domyślałam. Ale że potrafi aż tyle? Że ma aż taką moc? - Przez chwilę wahała się, pokiwała głową i powiedziała: - Rozumiem, dlaczego trzymałeś to w sekrecie. To tak jakby autystyczne dziecko miało dostęp do broni nuklearnej.

Sam wstał, krzywiąc się, gdy oparł ciężar na swojej zranionej stopie. Położył rękę na ramieniu Jacka.

- Powiedz Ediliowi, żeby wezwał Caine'a, jeśli tylko zdąży. Jeśli nie, pójdź po małego Pete'a.

- Ale co miałbym z nim zrobić? - spytał Jack, wyraźnie przestraszony tym pomysłem i wciąż zastanawiając się, jak to możliwe, że mały chłopiec był najpotężniejszą istotą w ich wszechświecie.

Sam znał odpowiedź. Wiedział, jaki może być jedyny zwycięski ruch. Powiedział Brittney, że nie potrafił morderać z zimną krwią. I nie potrafił. To nie było już jego zadanie, prawda? A jednak... A jednak widział możliwe rozwiązanie.

- Unieś go, Jack. Zanieś go do najbliższego z tych robali.

- Tak? - spytał Jack słabym głosem.

- I rzuć nim w niego - powiedział Sam.

Bicz Drake'a owinięty był wokół dolnej szczęki największego ze stworów, który biegł teraz na południe, zostawiając jezioro za sobą. Drake musiał leżeć niemal płasko, żeby utrzymać się na grzbiecie robala. Gdzie był Sam Tempie? Gdyby szedł tędy, powinni już go złapać.

„Przyprowadź Nemesis.”

Głos w umyśle Drake'a stawał się coraz głośniejszy coraz bardziej nagły, więc Biczoręki wolną ręką uderzał się w głowę, starając się uciszyć powtarzający się rozkaz.

„Przyprowadź go do mnie.”

Oczami duszy zobaczył Coates, swoją starą szkołę, swój dawny dom. Ponury, gotycki budynek, mglistą dolinę wokoło, żelazną bramę. Obraz był jego własnym wspomnieniem, ale to Ciemność domagała się, by na niego patrzył, by zobaczył go i zrozumiał. Nemesis był tam. Tam!

„Przyprowadź go!”

Drake pragnął jednak czego innego. Dla jego pana najważniejszy mógł być ten Nemesis, cokolwiek był, przed nim stało jednak równie naglące zadanie: musiał zabić Sama Temple'a. To przez niego przecież stracił rękę. To on zniszczył jego dawne życie, a w dodatku zmusił do współistnienia ze Świnia Brittney. Uwięził go niczym zwierzę. A teraz ponownie wymknął się śmierci. Znowu pokonał Drake'a. I zniknął!

- Sam! - wrzasnął, sfrustrowany. - Sam!

Robal pędził, więc krzyk Drake'a odpłynął z wiatrem; chłopak zawołał zatem znowu:

- Sam! Nadchodzę, żeby cię zabić!

Bez odpowiedzi. Nigdzie też nie widać było Sama ani pozostałych. Musieli przecież pędzić do Perdido Beach. A jednak dotąd ich nie spotkał i właściwie z każdą chwilą mógł się od nich oddalać.

„Przyprowadź do mnie Nemesis!”

Nie, Nemesis może poczekać. Drake służył Ciemności, ale nie był jakimś chłopcem na posyłki. Miał swoje własne potrzeby. Jego umysł wypełniały cudowne obrazy Sama, bezradnego pod uderzeniami jego bicia. Ale nie zamierzał zabić go, nim zrobi z Astrid obrzydliwego, obdartego ze skóry potwora. Wizja w jego głowie była tak wyrazista, tak wspaniała, że napełniła go radością i światłem, których nie potrafił nawet opisać.

„Nemesis!”

- Znajdę Nemesis - mruknął - ale najpierw...

Armia Drake'a ruszyła na złamanie karku długim zboczem, które prowadziło od jeziora ku terenom pustynnym. Poczł nagłą falę skierowanej ku niemu nienawiści. Falę wściekłości, która zatrzęsała nim do głębi. Ciemna macka owijała jego umysł, wypełniała jego myśli, groząc mu i rozkazując: „Nemesis!”

- Nie! - krzyknął Drake.

Reakcja była natychmiastowa. Rój robali zatrzymał się.

- To moja armia. Moja armia! - wrzasnął Drake. Jego własna nienawiść była zbyt silna, by mógł ją powściągnąć. Być może byłby nawet w stanie pokonać gaiaphage. Jednak gdy stał, czując jak nienawiść miesza się w nim ze strachem, stracił umiejętność podjęcia tej decyzji. To Brittney musiała wybrać, czy gonić za Nemesis, czy napaść na Perdido Beach.

ROZDZIAŁ 37

1 GODZINA, 39 MINUT

Sam kuśtykał szybciej, niż przewidywał. Opierał się o Tota i korzystał z pomocy Dekki, która szła za nimi, osłabiając grawitację. Był przygnębiony, tym bardziej że wcześniej udało mu się wykrzesać z siebie iskierkę nadziei. Już uwierzył, że wszystko będzie dobrze, skoro znaleźli jezioro i pociąg. To był jednak ETAP. I to, że należały im się jakieś dobre wiadomości, nie znaczyło jeszcze, że je dostaną. W przeciągu kilku godzin przebył drogę od wyżyn optymizmu po najgłębszą rozpacz. Po raz kolejny rozważał w myślach możliwe scenariusze. Edilio miał swoich ludzi, Briannę, Taylor, być może też Orka. Gdyby Jackowi udało się dotrzeć do miasta na czas, mógłby się naprawdę popisać. To jednak nie wystarczało. Nawet on i Dekka mogliby nie wystarczyć. Zamiast przybyć do miasta jako wybawiciel, niosący wieści o wodzie, kluskach i nutelli, dotrze tam zrozpaczony. Niektórym pewnie uda się przeżyć. Niektórym. Może mały Pete uratuje Astrid. Miał konieczną moc, ale czy był jej świadomy? Czy cokolwiek przedzierało się do jego umysłu?

- Myślisz, że da radę? - spytała Dekka. - Myślę o Jacku.

- Nie - powiedział Sam.

- Właśnie - zgodziła się Dekka.

- To prawda - powiedział Toto, Sam nie wiedział jednak, czy zgadza się z nimi, czy też automatycznie potwierdza, że wiedzą, co mówią.

- Nie jest takim człowiekiem - powiedział Sam. - Nie jest pozbawiony skrupułów. Zresztą, jaka jest szansa, że dotrze do miasta i znajdzie małego Pete'a? Poza tym, kto wie, czy nawet taki szok zmusiłby Pete'a do zrobienia czegokolwiek.

- Ty byś to zrobił, Sam.

- Owszem, zrobiłbym.

- Zrobiłby - zgodził się Toto.

- Taki otrzymałeś dar, Sam - powiedziała Dekka. - Tak było od samego początku.

- Brak skrupułów?

- To nie brzmi najlepiej - powiedziała Dekka zmęczonym głosem. - Ale ktoś musi być ich pozbawiony. Każdy z nas daje z siebie to, co ma.

Sam skrzywił się, gdy jego kostka otarła się o kamień.

- Pewnie to i tak by nie zadziało. Ten plan z Pete'em.

- Pociąg - powiedziała Dekka. - Rakiety.

- Myślałem o tym - odparł Sam - ale jak przenieśliśmy je do miasta? Skąd mamy w ogóle wiedzieć, jak je obsługiwać?

Sam zatrzymał się. Po chwili Dekka zrobiła to samo. Toto nie zorientował się i szedł dalej.

- Dekka?

- Tak?

- Jak wysoko sięga twoja moc? Potrafisz likwidować grawitację, tak że wszystko leci w górę.

- No tak. A więc?

- Widziałem, jak sama się unosisz. Potrafisz usunąć grawitację pod samą sobą i unieść się do góry, tak? Jak wysoko możesz polecieć?

- Nie wiem - przyznała. - Kiedy chcę unieść coś innego, moja moc sięga jakichś piętnastu metrów. Może trochę więcej.

- Okej, ale wtedy uderzasz z pewnego kąta, tak? Chodzi mi o to, że jakby przestrzelasz linię grawitacji, która prowadzi prosto w dół.

Dekka spojrzała na niego dziwnie. Rozłożyła ramiona i natychmiast zaczęła unosić się w górę, razem z piachem i kamieniami. Sam patrzył na nią, odsuwając się od spirali żwiru. W ciemności szybko stracił ją z oczu.

- Dekka! - Odchylił głowę, próbując dostrzec ją na czarnym tle.

- Gdzie jest Dekka? - spytał Toto.

- Na górze.

- To prawda - zgodził się Toto.

- Tak. Uważaj, gdzie stąpasz, jeśli sam nie chcesz unieść się w powietrze.

Wydawało się, że minęło sporo czasu, nim wreszcie Dekka pojawiła się pomiędzy spadającym żwirem. Spokojnie sfrunęła na dół, stanęła i powiedziała:

- Okej, na pewno więcej niż pięćdziesiąt stóp. Nie wiem, jak daleko dotarłam, ale dość wysoko. Może masz rację, może działa lepiej, kiedy usuwam grawitację pod sobą. Ale wtedy mogę lecieć tylko prosto do góry. Więc jeśli myślisz, że mogę polecieć do miasta, to muszę cię rozczarować.

- Myślę - powiedział Sam - że ETAP jest wielką bańką. Jak... jak się nazywają te szklane kule, którymi się potrząsa i wzbija w górę śnieg, i...

- Śnieżna kula - odpowiedział Toto.

- Nowłaśnie. A co robi bańka umieszczona w śnieżnej kuli? Unosi się do góry, prawda?

- Szczyt tej bańki znajduje się pewnie bezpośrednio nad elektrownią - powiedziała Dekka. - Oczywiście jeśli ETAP jest idealną kulą.

- Okej, to teraz powiedz mi, czy to ma sens - zmarszczył czoło Sam, myśląc na głos. - Pociąg znajduje się blisko północnej ściany ETAP-u. Gdybyś więc stanęła tam i zlikwidowała grawitację...

- Uniosłabym się wzdłuż ściany - co byłoby bardzo bolesne - a potem dotarłabym na szczyt. Jak bańka w śnieżnej kuli.

- W elektrowni są samochody. Mam na myśli te, które były używane niedawno, w przeciągu ostatniego miesiąca, te, które zaparkował tam Edilio. Ich silniki powinny wciąż działać. Pewnie brakuje w nich benzyny, ale nie potrzebujemy jej zbyt dużo - myślał na głos. Nie zwracał nawet uwagi na Tota, potwierdzającego: „On w to wierzy, to prawda, Spidey”.

- Nie pokonam tych robali - mówił Sam. - Moja moc na nie nie działa. W każdym razie nie wystarczająco. Ale można je roztrzaskać. Myślę też, że można je wysadzić.

- Mówisz o tych wyrzutniach rakietowych, które znaleźliśmy w pociągu? - spytała Dekka.

- Właśnie o nich - odparł. - Unosisz taki pojemnik z rakietami. Frunie na szczyt kopuły. Opuszczasz go przy elektrowni. Znajdujemy samochód i galon benzyny, i ruszamy do Perdido Beach. - Wzruszył ramionami.

- A potem sprawdzamy, jak tym robalom podoba się M3-WPSO. Wielofunkcyjny Przeciwpancerne System Obrony.

Caine przeszedł kilka przecznic z ratusza do autostrady. Wyglądał jak samotny rewolwerowiec z jakiegoś westernu. Dzieci poszły za nim, trzymając się jednak na dystans. Jakiś tuzin znalazł sobie miejsce w witrynie firmy ubezpieczeniowej. Inne usiadły w zaparkowanych samochodach. Doskonale, niech patrzą, jak ratuję im tyłki, pomyślał Caine. Teraz jednak, gdy stał sam pośrodku autostrady, nie był już tak bardzo pewny siebie. Ile stworów przyjdzie? Jakich są wielkości? Jaka jest ich moc? Czy już przypatrywały mu się w ciemności? No i co z Drakiem? Czy uda mu się przekonać go, żeby do niego dołączył? Drake wciąż mógłby być bardzo przydatnym zastępcą. O ile tylko nie zechce być dowódcą. Walka z superrobakami i Drakiem jednocześnie? Nagle zatęsknił za wyspą. Mógł teraz odejść. Zabrałby

Dianę i mieszkaliby znowu na wyspie, zupełnie sami. Penny i Robala zostawiliby w mieście. Tylko on i Diana. Przyzwoite jedzenie, luksus, seks. Czyż nie było to sto razy lepsze od tej bitwy? W jego głowie pojawiło się podejrzenie: czy został oszukany? Ciemność wykorzystała go już wcześniej. Czy to wola gaiaphage znów sięgnęła do jego umysłu? Nie czuł jej jednak. Gdy był na wyspie, nigdy nie poczuł Ciemności. W ogóle od czasu, gdy jej się przeciwstawił, gaiaphage zostawił go w spokoju. Nie. To była jego własna decyzja. Ale dlaczego ją podjął? Dlaczego opuścił wyspę? W imię czego? Czy po to, by zostać rozszarpanym przez potwory? A nawet jeśli przeżyje, co go czeka? Karczochy i ryby, żal, prawdopodobnie walka z Samem i ponura obojętność Diany.

- Król Caine! Juhuu!

Natychmiast odwrócił się ze złością, podejrzewając, że ktoś sobie z niego żartuje. Jeden z chłopców, którzy skryli się w firmie ubezpieczeniowej uniósł pięść i zawołał:

- Juhuuuuu!

Caine pokiwał do niego głową. Owieczki. Szczęśliwe, póki miały pasterza, który ochroni je przed wilkami. Pozbawione kręgosłupa, obojętne, słabe, głupie: trudno było nimi nie pogardzać. Oczywiście, gdyby poniósł porażkę, odwróciłyby się od niego w mgnieniu oka. Z drugiej strony, gdyby przegrał, byłiby zbyt zajęci zwiewaniem gdzie pieprz rośnie. Nagły srebrny błysk na autostradzie. Caine spojrział w mrok. Oczywiście nie było wokół żadnego światła, nawet słońeczka Sammy'ego. Tylko odrobina światła księżyca i gwiazd i gęsta ciemność. Ale tak, coś się tam poruszało. I brzęczało, klik-klak, szybko uderzając o beton. Zobaczył błyszczące, stalowe szczęki, jak oświetlone przez księżyc maczety. Nie wiedział, ile jest tam tych ogromnych stworzeń. Przynajmniej z pół tuzina, a każde wielkości miejskiego autobusu. Były już na tyle blisko, że mógł dostrzec ich okrutne, czerwone ślepia.

- Wyoście się stąd! - krzyknął do widzów, siedzących w zaparkowanym samochodzie.

Dwaj chłopcy wzruszyli ramionami, jakby nie wiedzieli, czy mają posłuchać rozkazu. Wtem samochód stojący tuż obok nich z brzękiem sprężyn i metalu uniósł się nad ziemię. Uciekli w te pędy. Caine unosił samochód coraz wyżej. Przy tym świetle trudno było rozpoznać kolory, ale wydawał się niebieski. Nieduży, niebieski samochód terenowy.

- Mam nadzieję, że to zadziała - Caine odetchnął.

Cofnął dłoń i przeciągnął nią w powietrzu, ciskając samochodem naprzód. Przeleciał mu nad głową, pędząc w stronę najbliższego z potworów. Spadł jednak za blisko i roztrzaskał się na ziemi z brzękiem metalu i szkła. Potem potoczył się w stronę paszczy robala. Caine nie miał czasu, by zobaczyć rezultat, bo drugi robal potruchtał po wraku samochodu. Jedna z jego nóg przedziurawiła dach.

- Mam mnóstwo samochodów - oświadczył Caine Uniósł terenówkę, w której wcześniej siedzieli chłopcy i szybko rzucił nią w bok. Auto obróciło się w powietrzu i tuż nad ziemią uderzyło w robala.

- Ha, udław się tym! - wrzasnął Caine. Taki okrzyk nie pasował być może do króla, ale najpierw trzeba walczyć a później dbać o etykietę. Caine nie był w stanie dostrzec pyska robala, widział za to, że jego nogi kopią bezradnie powietrze.

- Jeden z głowy. - To mogło być łatwiejsze, niż przypuszczał. Kiedy jednak gratulował sobie dobrej roboty, potwory zwartą falangą przeskakiwały przez trupy pierwszych dwóch, A co gorsza, sześć kolejnych biegło autostradą z drugiej strony, Otoczyły go! Pojął, że wybrał złe miejsce na walkę. Nie mógł wybrać nic gorszego niż wyjście na otwarty teren, gdzie mogły dopaść go z każdej strony. Serce waliło mu jak młot, szczęki zacisnął tak, że aż zazgrzytały mu zęby. Zakładał, że w opowieściach o tych stworach jest mnóstwo przesady. Mylił się. Caine złamał się i pędził przed siebie. Biegł prostopadle do dwóch zbliżających się skrzydeł armii.

Przeskoczył przez rów, wylądował ciężko i pobiegł dalej, mijając zszokowany i zaniepokojony tłum, ukryty w firmie ubezpieczeniowej.

- Zwiewajcie, idioci! - krzyknął do obserwatorów. Dwa potwory truchtały w jego stronę, żeby odciąć mu drogę. Mijając wóz dostawczy, uniósł go tak szybko, że ten poszybował tuż nad ziemią, omal nie trafiając go w głowę. Tłum zaczął panikować. Dzieciaki próbowały wydostać się przez wąskie drzwi, przeklinając i wrzeszcząc. Jeden z chłopców pośliznął się i szybko podniósł; opóźnienie okazało się jednak fatalne: robał nadział go na swoją nogę i uniósł sobie prosto do paszczy.

- Neeeeel - wrzasnął dzieciak. Jego krzyk umilkł nagle, zastąpiony przez dźwięk, który mogłaby wydawać śmieciarka, zgniatająca kurze kostki. Caine pobiegł ulicą San Pablo, dzieciaki pognały za nim, a insekty były zmuszone zmieścić się w węższej drodze. Trudna sytuacja stała się dramatyczna, i to szybciej, niż Caine podejrzewał. Jakaś dziewczynka została pochwycona przez coś, co wyglądało, jak długi, czarny jęzor żaby. Krzyczała, kiedy robał wciągał ją sobie do pyska. Caine zatrzymał się pośrodku ulicy, trzęsąc się na całym ciele. Nie był w stanie przepędzić potworów, a to miejsce nadawało się do walki nie gorzej od jakiegokolwiek innego - znajdował się pośrodku przecznicy, więc przynajmniej nie zostanie zaatakowany z boku. Pozostałe dzieciaki wybiegły z biura ubezpieczalni i popędziły na wszystkie strony, wrzeszcząc. Niektóre bezradnie waliły w zamknięte drzwi, błagając, żeby ktoś je wpuścił. Inne wskakiwały przez płoty na podwórka. Caine uniósł zaparkowany samochód, potem kolejny i jeszcze kolejny - trzy auta, jedno po drugim. Wyglądało to jak karambol na szosie: samochody uderzały o siebie, odłamki szkła latały w powietrzu, boczne lusterka odpadały, opony turlały się po chodniku. Jego wściekły kontratak zapewne zatrzymał albo nawet zabił niektóre z robali - nie mógł być tego pewien w ciemności - rój insektów nie zawahał się jednak ani na chwilę i pędził niczym fala. Uniósł w górę trzęsące się ręce. Skoro nie potrafił ich roztrzaskać, może uda mu się po prostu je powstrzymać. Najbliższy robał uderzył o ścianę telekinetycznej mocy Bezradnie machał nogami, żłobiąc dziury w asfalcie, kopiąc rozbite samochody, nie był jednak w stanie ruszyć naprzód - Ha, a masz! - krzyknął Caine. Drugi, trzeci, czwarty potwór, wszystkie po kolei zatrzymywały się na barierze, kopiąc i wijąc się bez opamiętania. Przez cały ten czas Caine stał samotnie pośrodku ulicy, Jak długo jednak? - zastanawiał się. Robale wydawały się nie męczyć, ale rzucały się na siebie w szalonym gmatwaninie nóg, srebrnych pancerzy, szczękających zębów i świecących, rubinowych oczu. Zawahał się, spoglądając w te oczy i nagle ściana robali przysunęła się o stopę. Skoncentrował się jeszcze bardziej, czuł jednak coś, czego nigdy wcześniej nie czuł, używając mocy: czuł się tak, jakby powstrzymywał je nie tylko swoją telekinetyczną mocą, ale też własnymi mięśniami. Czuł ciężar na swoich łydkach i udach, jeszcze bardziej na ramionach. Nie projektował po prostu mocy na robale, tak jak to zawsze czynił wcześniej, ale odpychał je, czując na sobie tysiące kilogramów popychających go tuzinów odnóży. Znajdowały się ledwie o dwadzieścia stóp od niego. Wdrapywały się jeden na drugiego, oparte o niewidzialną barierę. Z przerażeniem rozumiał, że robiły to z rozmysłem, próbując dotrzeć na szczyt niewidzialnego muru energii. Po chwili zauważył coś jeszcze gorszego: niektóre z potworów okrążyły Golding Street i zbliżały się do niego od tyłu. Zmienił pozycję, jedną rękę zwracając ku tamtemu skupisku robali, drugą - ku tym nadchodzącym z drugiej strony. Taki manewr nie miał jednak szans powodzenia. Wiedział, że ich nie powstrzyma.

- Powinienem być zostać na wyspie - powiedział do siebie. Zaryzykował wszystko i przegrał. Dwie niewidzialne ściany zbliżały się ku niemu. Podtrzymywał tony pchających się ku niemu potworów, ale nie był w stanie robić tego w nieskończoność. Nie miał dość siły. A kiedy zapory pękną, robale rzucają się na niego, zanim zdąży mrugnąć.

- Hej! Palancie!

Spojrzał w górę, szukając źródła dźwięku. Na dachu dwupiętrowego budynku stała Brianna.

- Przyszłaś się porozkoszować? - spytał.

- Widzisz front tamtego domu?

- Co?

- To tam musimy się dostać.

- Nie mamy czasu!

- Nie mamy czasu - powtórzyła złośliwie. – Rozluźnij się.

- Mam się rozluźnić?

- Tak. Ach, i jeszcze jedno: to będzie bolało.

Nigdy jeszcze nie widział, jak się porusza, ale poczuł potężne uderzenie, kiedy pochwyciła go z niesamowitą szybkością. Caine pofrunął. Jego koszulka rozdarła się na plecach. Upadł ciężko na trawnik. Za nim dwie armie robali wpadły na siebie niczym fale Morza Czerwonego, zlewające się w jedność za plecami Mojżesza. Caine próbował wstać, ale poczył wtedy na swoich plecach ręce, popychające go naprzód z nieopisaną szybkością. Frunąc, uderzył w ramę drzwi. Robale popędziły ku nim, ale drzwi zostały już zatrzęsnięte i zabarykadowane krzesłem. Brianna stała po środku pokoju przyglądając się swoim paznokciom z teatralnym spokojem.

- Ta cała superszybkość czasami się przydaje – powiedziała.

- Chyba złamałaś mi kark - jęknął Caine. Czuł też straszliwy ból między żebrami, ale i tak było to znacznie lepsze, niż toco mogło go spotkać.

Drzwi eksplodowały ukazując gmatwaninę odnóży.

- Mogę je podtrzymać, ale nie jestem w stanie zabić ich wszystkich! – zawołał Caine.

- Tak, trudno je załatwić. Masz jakiś plan?

Caine zagryzł mocno kciuk, odgryzając naskórek. Byli otoczeni. Ściany zaczęły się pochylać. Wszystkie szyby zostały wybite. Robale nie były jeszcze w stanie wejść przez drzwi, ale wiedział, że za chwilę dostaną się do środka. Caine i Brianna stanęli w kuchni, pośrodku domu, tak daleko od okien, jak tylko się dało, ale teraz paszcze robali pojawiały się w drzwiach i oknach, gryząc powietrze, dziko machając podobnymi do sznurów jęzorami.

Cały dom przypominał bęben, w który uderzają tuziny pałeczek.

- Wiesz co, jestem trochę zawiedziona - powiedziała Brianna. - Sam w takiej sytuacji na pewno wymyśliłby jakiś plan.

ROZDZIAŁ 38

59 MINUT

Sam wymyślił plan. A właściwie trzy. Jeden z nich opierał się na nadziei, że Jack znajdzie małego Pete'a i zrobi z nim coś okropnego. Drugi był kompletnie szalony. Należało unieść gigantyczny pojemnik z rakietami, upuścić go we właściwym miejscu, znaleźć pojazd z bakiem pełnym paliwa i działającą baterią, a potem wymyślić jak wystrzelić rakiety na tyle wcześnie, by uratować miasto. W trzecim planie główną rolę miała odegrać Dekka. Nie miał nawet zamiaru jej o nim mówić, bo nie był tylko szalony: był potworny. Sam doskonale wiedział, że żaden z tych trzech planów nie miał szans powodzenia. Stopa bolała go wprost nieprawdopodobnie. Dekka robiła, co mogła, osłabiając grawitację, ale wciąż musiał posuwać się naprzód i to jak najszybciej.

- Jak się czujesz, Dekka? - zapytał, kulejąc.

- Przestań mnie pytać.

- Musisz... - zaczął

- Co? Co muszę zrobić, Sam? Jedź mnie od środka, co niby miałabym ci powiedzieć?

- Mówi prawdę...

- Zamknij się, wariacie! - warknęła Dekka do Tota.

Byli już blisko. Musieli być blisko. Musieli dotrzeć do pociągu, nim robale wyłonią się z ciała Dekki i pożrą ją żywcem. A musiała jeszcze trochę pożyć. Potrzebował jej aż do zbliżającego się nieubłagania końca. Swoje ostatnie chwile spędzała biegnąc i starając się mu pomóc a on był bezradny; mógł tylko mieć nadzieję, że dziewczyna pożyje jeszcze trochę, że jeszcze trochę pocierpi, że powstrzyma swój strach, a wszystko to w imię absurdalnego planu.

- Tam! - zawołał Toto. - Widzę pociąg.

Światło było blade, wilgotne i dziwaczne. Ale Sam również zobaczył pociąg. Zagryzł zęby i pobiegł, choć z każdym krokiem miał wrażenie, jakby nóż wbijał się w jego stopę, przy czym ból promieniował na całą nogę.

- Nawet nie wiem, który to był pojemnik, Spidey.

Sam złożył dłonie i wytworzył bańkę mętneho, zielonkawego światła. Rosta, aż wreszcie zdołał dostrzec twarze swoich towarzyszy. Z przerażeniem zauważył, że robił wygryzł sobie drogę przez bluzę Dekki. Cała się trzęsa.

- Dekka - powiedział. - Nie musisz... Ja mogę...

Mocno chwyciła go za ramię.

- Jestem z tobą. Sam. Zdaje się, że nie będę miała lekko.

- Tam leży pojemnik z bronią - zawołał Toto. Potem, jakby po chwili zastanowienia, dodał: - To prawda.

- Sam - zaczęła Dekka. - Jeśli umrę...

- Wtedy spadniemy - odparł krótko Sam. - Ty i ja. Jeśli będę musiał odejść, zaszczętem będzie móc odejść z tobą. Sam zatrzaskał kontener i cała trójka wdrapała się na niego. Wierzch kontenera nie był całkiem płaski, ale miał dość duże stalowe uchwyty. Położyli się na plecach.

- Dajemy - rzuciła Dekka. Rozłożyła ręce, kierując dłonie w dół.

Kontener uniósł się. Sam leżał, wpatrując się w niebo, które nie było prawdziwym niebem. Gwiazdy bladły. Księżyc trwał nieruchomo. Jak szybko się unosili? Bariera była dość blisko, znajdowała się o kilkadziesiąt metrów od pociągu. Po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie słuchał uważnie na lekcjach geometrii. Niewątpliwie istniał jakiś wzór, który objaśniłby, ile czasu zajmie im droga ku najwyższemu punktowi bariery. Gdyby Astrid była z nimi, umiałyby...

Kraaaaaak!

Drzwiczki zazgrzytały, a cały kontener zatrzęsł się dziko.

- Trzymajcie się! - zawołał Sam.

Jeszcze mocniej chwycił się pojemnika. Poczłł przyjemne zaskoczenie, gdy zdał sobie sprawę, że nic nie waży. Trzymał się tylko po to, żeby nie odlecieć.

Zgrzyyyyt! Kraaaak!

Kontener zatrzęszczał kilka razy, zatrzęsł się jeszcze gwałtowniej, a jednak unosił się. Unosił się! Nagle palce, pierś i twarz Sama natrafiły na barierę. Poczłł się, jakby pochwycił przewód pod napięciem. Ból przyćmił wszystkie jego myśli. Nie po raz pierwszy dotykał bariery, ale po raz pierwszy twarzą.

- Dekka! - zawołał.

- Robię, co mogę! - krzyknęła.

Kontener ułożył się na tyle płasko, że Sam mógł przynajmniej puścić stalowe uchwyty, dzięki czemu udało mu się położyć ręce po bokach i nie dać się zgnieć. Bariera oddaliła się od jego twarzy, co przyniosło mu ulgę, jednak przez cały czas słyszeli zgrzytanie uderzającej o nią stali.

Piiiiisk!

Wciąż się unosili. Jeszcze szybciej. Wiatr smagał ich po twarzy, gdy prędkość z jaką się poruszali, rosła. Jak wysoko byli? Mogli grać na zwłokę albo spaść, albo, gdyby Decce w jakiś sposób udało się utrzymać ich w powietrzu, unieść się wzdłuż zakrętu kopuły. Kiedy znajdą się na szczycie łuku, ich twarze znów otrą się o barierę, a na to Sam nie miał najmniejszej ochoty. Przewrócił się na brzuch i przesunął ku krawędzi kontenera. W dole nie było nic widać. Żadnych świateł. Nie mogli się zorientować, gdzie się znajdują. Żałował, że nie ma ze sobą mapy Alberta; przy jej pomocy byłby może w stanie odczytać jakoś wzory z cieni i słabo widocznych w świetle gwiazd wzgórz. Z tej wysokości nie widział też bariery nad ich głowami. Nie wyglądała jak gładka, perłowa płaszczyzna, do której był przyzwyczajony. Wydawało mu się raczej, że jest przyciskany do szkła i widzi gwiazdy, znajdujące się po jego drugiej stronie. Odnosił niemal wrażenie, iż zostały one tam namalowane, był to jednak oczywiście absurdalny pomysł. Bariera podtrzymywała iluzję nawet na tej wysokości.

- Jak się czujesz, Dekka?

- Wprost nie wierzę, że to działa. Ale, Sam...

- Co?

- Jestem otumaniona. Nic nie czuję, nic mnie nie boli, ale słyszę je, Sam. Słyszę ich przeżuwające gęby.

Co mógł odpowiedzieć?

- Trzymaj się, Dekka.

- To tak jakbyśmy lecieli do gwiazd - mruknęła Dekka. – Tak to sobie wyobrażam.

- Jednak mam nadzieję, że tak nie jest - odparł Sam.

Wiatr stawał się coraz silniejszy; wolny od grawitacji kontener wciąż frunął i piszczął.

- Żałuję że mnie znaleźliście - powiedział Toto. - Byłem szczęśliwszy, kiedy byłem sam.

- Wiem. Przykro mi - odparł Sam. Próbował odgadnąć, jak szybko lecą. Starał się przypomnieć sobie jazdę samochodem przy otwartym oknie, jak mocno wiał wiatr, kiedy samochód jechał pięćdziesiąt, sto albo sto trzydzieści kilometrów na godzinę? Czy teraz wiał aż tak szybko?

- O Boże, o Boże, nie, nie! - zawołała Dekka, a kontener szarpnął gwałtownie i zaczął spadać jak popsuta winda. Po chwili jednak uspokoił się i z powrotem uniósł ku barierze.

- Przepraszam, spojrzalam. Zjada moje... - nie była w stanie dokończyć zdania. - Nie mam zbyt dużo czasu, Sam.

- Jazda po bandzie - szepnął Sam. Jeśli lecieli tak szybko, jak mu się wydawało, czy część z ich prędkości nie zostałaby zachowana nawet, gdyby Dekka ich upuściła? Tak. A potem uderzyliby w ziemię z zabójczą prędkością i to byłby koniec. Wydawało się, że zwalniają. Sam uniósł rękę i poczuł wstrząs. Zbliżali się do dachu kopuły. Zaraz dotkną go, a jak długo uda im się to wytrzymać? Niedługo. Ich prędkość zmniejszy się, a wtedy zostaną mocniej przyciśnięci do bariery.

- Wystarczy, Dekka - powiedział Sam. - Zaczynaj obniżać nasz lot. Tylko szybko.

- Co?

- Przesuń pole swojej mocy tak, żeby było silniejsze z tyłu, a słabsze z przodu.

- To właśnie robiłam, żebyśmy nie dotykali wciąż bariery.

- Świetnie. Tylko zrób to jeszcze mocniej. Niech moc osłabnie wszędzie, ale przede wszystkim z przodu, dobra? To powinno przypominać turlanie się ze zbrocza.

Ku jego zdziwieniu Dekka roześmiała się głośno.

- Skoro muszę umrzeć, chcę umrzeć właśnie tak. Za nic nie przegapiłabym tego szaleństwa.

Nagle pisk ustał. Kontener zatrząsł się tak mocno, że Toto puścił się i zaczął turlać w stronę Sama. Spadał powoli - wciąż znajdowali się w polu osłabionej grawitacji - więc Sam zdołał go chwycić.

- Ludzie z ośrodka chętnie poznaliby Dekkę - powiedział Toto. Jego twarz znajdowała się o kilka centymetrów od twarzy Sama.

- O, na pewno.

Kolejne szarpnięcie i nagle kontener zaczął powoli opadać, jak sanie sunące po zaśnieżonym wzgórzu.

- Nie widzę ziemi - powiedziała Dekka. - Nie chcę się ruszać. Musisz mi powiedzieć, kiedy będziemy blisko.

Spojrzał w dół, w ciemność, próbując odnaleźć coś, co pomogłoby mu dostrzec, gdzie się znajdują dokąd zmierzają. Były tam jednak tylko wzgórza i zarośla, których nigdy nie widział z tak wysoka. Pędzili, zsuwając się z niewidzialnej pochyłości i pozwalając, by grawitacja ciągnęła ich naprzód i w dół jednocześnie.

- Moje... - krzyknęła Dekka.

Podłoże usunęło się spod nich, jak winda, której obcięto kabel. Jednocześnie kontener obrócił się na bok. Sam, Toto i Dekka ześliznęli się z niego. Sam zawিrował w powietrzu, patrząc na niebo, ziemię, morze i znowu na niebo, spadając i obracając się. Jednego był pewien; znajdowali się zbyt wysoko. Upadek ich zabije.

Robale uderzały w dom jak stado dzikich byków. Okna i drzwi zostały dawno wyłamane, teraz zaczęły się już pochyłać ściany. Hałas był przerażający. Ściana salonu rozpadła się, ukazując połamane deski i wygięte przewody. Caine i Brianna skulili się w kuchni. Miała tylko dwie ściany - z jednej strony otwierała się na kącik śniadaniowy, z drugiej oddzielona była ladą od salonu. Caine rozejrzał się w desperacji, poszukując czegoś, czym mógłby rzucić. Były tam meble i sprzęty kuchenne, ale nic na tyle dużego, żeby było w stanie zrobić krzywdę zdeterminowanym bestiom, zdolnym do obalenia ścian.

- Coś jest nie tak - powiedział Caine.

- Czyżby? - rozłościła się Brianna.

- To tylko zwierzęta. Nie powinny być tak skoncentrowane na tym, co robią. One są inteligentne!

- Nic mnie nie obchodzi, czy znają łacinę i trygonometrię! - krzyknęła Brianna. - Jak je zabić?

- Powinny się już zniechęcić i poszukać sobie czegoś innego do jedzenia.

- Może jesteśmy wyjątkowo smaczni.

- Za tym stoi wyższa inteligencja. Jakiś plan.

- Tak, plan jest taki, że załatwią nas oboje, a wtedy nikt ich nie powstrzyma - stwierdziła Brianna.

- No właśnie - zgodził się Caine. - A przecież robaki nie myślą w taki sposób.

- Ciiii. - Brianna uniosła dłoń. Caine też to usłyszał. Dźwięki wystrzałów. Przynajmniej trzy albo cztery pistolety.

- Ludzie Edilia - szepnął Caine. Był wściekły, ale jednocześnie mu ulżyło. Z jednej strony nie chciał dzielić się chwałą z Ediliem i jego policjantami, z drugiej jednak: na razie nie było widoków na jakkolwiek chwałę.

- Na górę! - zawołał. Pobiegł w stronę schodów, ale po drodze musiał minąć drzwi. Jeden z potworów właśnie się w nie wgryzał, machając głową we wszystkie strony i powiększając dziurę. Caine odskoczył, a Brianna, która zdążyła już wbiec na schody, wróciła, żeby chwycić go za rękę i podciągnąć.

- Uważaj, one mają... - zaczęła Brianna.

Poczuł bolesne uderzenie w plecy. Sięgnął tam i poczuł coś jakby mokry, klejący sznur.

- ... języki - skończyła Brianna.

Wyciągnęła nóż, odcięła język i popchnęła Caine'a.

Caine podbiegł do okna sypialni. Cały dom był otoczony. Przynajmniej tuzin potworów łaził po trawniku, uderzając raz po raz o dom paszczami, niczym taranami. Kilka przecnic dalej Ellen i dwójka innych dzieciaków strzelała potworom w plecy. Robale ignorowały ich jednak całkowicie.

- O tak, zdecydowanie uparty się właśnie na nas - powiedziała Brianna.

- Nie jestem nawet w stanie dosięgnąć stąd samochodów - stwierdził Caine. - Nie mam czym w nie uderzać. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł: ależ miał czym w nie rzucić.

Uniósł ramiona. Robale zauważyły go w oknie. Uniosły się na swoich czterech tylnych odnóżach i zaczęły walić w szybę. Caine skupił się na najbliższym ze stworów. Sześć zaokrąglonych, owadzych nóżek zawisło w powietrzu. Uniósł potwora tak wysoko, jak tylko umiał, i upuścił. Robal wylądował ciężko, ale otrząsnął się i natychmiast z powrotem stanął na nogach.

- Poodwracaj je! - zawołała Brianna.

Caine dosięgnął tego samego, agresywnego robala, uniósł go i tym razem obrócił przed zrzuceniem na dół. Potwór wylądował na grzbiecie i zaczął szaleńczo machać sześcioma nogami.

- Pralka - powiedział Caine. - Jest na górze?

- W korytarzu.

Caine pobiegł, zerkając na ściany, w które robale uderzały z całej siły. Znalazł pralkę, odsunął ją od ściany, wyrwał kabel i sprawił, że pofrunęła do sypialni. Następnie rzucił nią przez okno. Wylądowała na plecach jednego z robaków, nie czyniąc mu szkody. Ten, którego Caine przewrócił, zdążył już wstać, więc chłopak przekręcił na grzbiet innego stworza. Potem, gdy stworzenie dziko machało nogami, starając się stanąć na nogach, Caine uniósł pralkę i opuścił ją prosto na jego obnażony brzuch. Przypominało to scenę z kreskówki. Łup! Z boków robala wyciekła maź. Jego nogi machały coraz wolniej.

- O tak, to działa - stwierdził Caine. Przewrócił następnego robala, uniósł pralkę i opuścił powtórnie. Tym razem wnętrze nie wypłynęły od razu, więc uderzył potwora jeszcze raz. Nagle rozległy się dźwięki rozdierania, pęknięcia i rozpruwania. Cały dom się trząsnął. Ku przerażeniu Caine'a, ściana przed jego nosem zaczęła upadać. Cały dom się walił. Brianna

błyskawicznie zniknęła. Caine próbował biec, ale podłoga przechylała się, uciekała mu spod stóp. Sufit runął. Caine przewrócił się na plecy, a dom walił się na niego niczym dotknięty potężnym tornadem. Coś spadło mu na brzuch. Na twarz posypał się tynk. Ręce miał unieruchomione. Kiedy spróbował odetchnąć, usta wypełnił mu pył. W jego polu widzenia znajdował się tylko kawałek tapety i strzęp plakatu Weezera. Wciąż czuł jednak ręce i nogi, nie miał żadnych złamań ani poważnych obrażeń. Miał dość mocy, żeby podnieść z siebie gruz. Gdyby to jednak zrobił, robale rzuciłyby się na niego w mgnieniu oka. Jeśli zostanie pod gruzem, może będzie bezpieczny. Stwory muszą dać mu przecież w końcu spokój i poszukać łatwiejszej zdobyczy. W tym czasie mógłby wydostać się spod ruin i wziąć je z zaskoczenia. Caine odetchnął z drżeniem. Ten plan zakładał, że kilkoro dzieciaków zginie, żeby on mógł żyć. Nie przeszkadzało mu to jednak.

ROZDZIAŁ 39

38 MINUT

Edilio leżał na schodach ratusza. Był kompletnie wycieńczony. Wielka przemowa Caine'a ledwo do niego dotarła. Zresztą niewiele go to obchodziło. Gorączka trzęsa nim tak, jakby ogarnęło go delirium i nic nie umiał na to poradzić. Zakaszał gwałtownie, zbyt gwałtownie. Kaszel osłabiał go coraz bardziej. Bał się każdego ataku. Jego żołądek był ściśnięty, bolały go wszystkie mięśnie. Ledwie zdawał sobie sprawę, że mówi coś pomiędzy kasznięciami.

- *Mama, mama, salvame.*

„Mamo, mamo, uratuj mnie.”

- *Santa Maria, salvame* - błagał, kaszłąc tak mocno, że aż uderzył o schody tyłem głowy. Czuł zbliżającą się śmierć. Wkradała do jego otumanionego umysłu, czuł, jak jej zimna dłoń chwyta go za serce.

*Santa Maria, Madre de Dios, ruega por nosotros pecadores, ahora y en la hora de nuestra muerte.*²

Nagle zobaczył ją w ciemności. Sylwetkę odzianą w białą-niebieską, zwiewną sukienkę. Miała smutne, ciemne oczy a wokół jej głowy unosił się złoty blask. Uniosła rękę w błogosławieństwie. Usłyszał jej głos. Zdziwił się, że mówi po angielsku. Zawsze wydawało mu się, że Matka Boska powinna mówić po hiszpańsku.

- Uciekaj, Edilio.

Zaczął powtarzać modlitwę: *Santa Maria, Madre de Dios...*

Ona jednak chwyciła go za ramię i powiedziała:

- Wiem, że jesteś chory, ale uciekaj. UCIEKAJ! Ja nie jestem w stanie cię uratować.

Z jakiejś przyczyny Maryja Dziewica mówiła głosem Brianny. Edilio wstał. Nagły ruch sprawił, że jego głowę przeszył ból. Przez chwilę nic nie widział, posuwał się jednak naprzód. Jego nogi były jak z ołowiu. Upadł, obrócił się i wstał znowu, oślepiiony. Biegł i biegł, kaszłąc, aż zgął się w pół i upadł na ziemię. Siedział tak przez chwilę. Liczył na to, że znajdzie siłę, by spełnić rozkaz Brianny i uciec. Podniósł wzrok i zobaczył, że znajduje się na placu. Popatrzył na zdesperowanych chorych i spokojnych już umarłych, którzy leżeli na schodach. Zobaczył też demony, uzbrojone karaluchy i ich niesamowite czerwone, diabelskie oczy. Wdrapywały się na schody. Brianna zobaczyła, jak Lana wybiega ze szpitala razem z Sanjitem. Robale zbliżały się. Edilio na szczęście uciekł, teraz czas na Lanę. Brianna zaklęła i zawołała:

- Lana, uciekaj! Na tyły budynku!

Lana wyciągnęła pistolet.

Ani mi się śni - powiedziała. Wycelowwała w pierwszego robala, którego zobaczyła i wystrzeliła trzy razy. Z jednego z jego oczu pociekła biało-czerwona ropa, ale nie zatrzymał się ani na chwilę i pożarł leżącą w pobliżu dziewczynkę. Brianna mogła tylko mieć nadzieję, że już nie żyła.

- Nie bądź głupia, Lana! Potrzebujemy cię. Uciekaj! No już! Ty - chwyciła Sanjita za kark - wyprowadź ją stąd! Jest nam potrzebna!

Brianna знаła najbardziej efektywny sposób zabijania robali, ale nie była Caine'em. Nie miała jego mocy. Miała jednak swoją. Spojrzała przed siebie. Caine leżał pod gruzami domu. Teraz nadeszła jej kolej. W jej dłoni błysnął nóż. Wiedziała, że nie wygra tej walki, ale nie zamierzała też uciekać.

² Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. (przyp. red.)

Dekka widziała bestie w swoim ciele. Śmierć... Och, Boże, pozwól mi umrzeć. Zbyt wielki był jej ciężar. Musiała umrzeć, skończyć z tym wszystkim, zabić robaki i zabić siebie, i nie musieć oglądać tego, co jej robią. Kontener wyśliznął się spod niej. W panice straciła kontrolę. Próbowwała ją odzyskać, ale spadała już, smagana przez wiatr. Wciąż wirowała, nie była nawet w stanie stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Rozłożyła ramiona i wytrzymała uwagę. Na czym jednak miała się skoncentrować? Gdzie była ziemia? Gwiazdy, blade zarysy wzgórz, czarne niebo - wszystko to szaleńczo wirowało. Kontener pojawiał się obok niej co jakiś czas. Widziała też dwa obracające się w powietrzu ciała. Musiała uratować Sama. Musiała zrobić chociaż tyle. Nabrała haust powietrza. Z oczu ciekły jej łzy. Jak mogła przerwać całe to wirowanie? Zbliżyła ramiona do ciała i spłotła nogi. W ten sposób zmniejszyła opór powietrza. Teraz wszystko nabrało sensu: spadała głową w dół. Wciąż wirowała, ale wolniej. No i bez wątpienia spadała głową w dół jak strzała. Nagle, aż zbyt wyraźnie, zobaczyła ziemię bezpośrednio pod sobą. Musiała znaleźć się niżej niż tamci. Sam i Toto byli niżej, wciąż gwałtownie wirując. Dekka jednak frunęła teraz odrobinę szybciej. Nagle zorientowała się, że ziemia jest już blisko. Że spieszy się, by rozgnieść ją na miazgę. Była już niżej niż Sam. Teraz! Rozłożyła palce, skupiła się i zlikwidowała pod sobą grawitację. Wciąż spadała. Zlikwidowała grawitację, ale nie zlikwidowała pędu. Za kilka sekund mieli uderzyć o wodę lub o ziemię. Tak czy inaczej, zostaną zgnieceni na miazgę.

Caine uniósł przykrywający go gruz. Robale zniknęły. Zobaczył jeszcze ogon uciekającego stwora. Gdyby pobiegł za nimi, najprawdopodobniej zostałby zabity. Ale czy miał tu zostać nic nie robiąc? Bezpieczny byłby na wyspie. Nie wrócił z niej, żeby dbać o swoje bezpieczeństwo. Istniały dwa możliwe rozwiązania: albo robale zabiją wszystkich i nie będzie miał nad kim panować, albo pokona je ktoś inny, a wtedy nigdy on nie zyska kontroli. Ten, kto zwycięży w tej bitwie, przejmie władzę. Wciąż jednak wahał się. Duże, ciepłe łóżko. Piękna dziewczyna, z którą mógłby je dzielić. Jedzenie. Woda. Wszystko, czego potrzebował, znajdowało się tylko kilka mil dalej, na wyspie. Istniało tylko jedno logiczne rozwiązanie. Właśnie dlatego świat jest taki pokręcony – powiedział. - Ludzie nie myślą logicznie. Wziął kilka głębokich, uspokajających oddechów, przygotowując się na śmierć w imię władzy.

Orcowi znów nie udało się umrzeć. Kiedy zdał sobie sprawę, że wciąż żyje, rozplakał się. Robił, co mógł, ale wymiotowanie i mdlenie utrudniały mu śmierć z przepicia. Spróbował podnieść się, czując, że musi się wysuszać, ale zsiusiał się bezwiednie. Nie trzeba było wstawać. Nagle dostrzegł jakiś ruch. Pokręcił głową, żeby zobaczyć, co to takiego. Ujrzał potwora w połamanym kawałku lustra, wiszącym na ścianie. Orc przyjrzał się swojemu odbiciu. Sześć stóp, może więcej, szarego, mokrego żwiru. Odchylił głowę do tyłu, rozłożył ramiona i zawył.

- Dlaczego? Dlaczego?!

Wybuchnął płaczem i zaczął tłuc się pięściami po twarzy. Potem kamiennymi palcami oderwał z niej ostatnie fragmenty prawdziwej skóry. Spłynęła czerwona krew. I znów był do swojego własnego odbicia:

- Dlaczego?!

Cofnął się. Gwałtownie skoczył w stronę schodów. Astrid. Nie wiedział, co robi, kiedy ją znajdzie. Była jedyną osobą, która kiedykolwiek mu pomogła. Jedyną, która kiedykolwiek zobaczyła w nim Charlesa Merrimana, a nie tylko Orca. Powinna poczuć jego ból. Powinna go poczuć. Ktoś musi poczuć jego ból. Dobiegł na szczyt schodów. Otworzył drzwi do pokoju

małego Pete'a. Rozejrzał się wokół tępym wzrokiem. Wiatr hulał po pokoju. Mały Pete wisiał w powietrzu, kilka stóp nad łóżkiem. Świecił. Astrid nie było.

- Astrid! - zawył Orc.

Z zewnątrz, zza otwartego okna, dobiegła wyraźna odpowiedź.

- To ty, Orc?

Orc skoczył do okna. Było otwarte, zresztą szyba już dawno została rozbita. Dłuższą chwilę zajęło mu skupienie wzroku na tyle żeby rozpoznać to, co zobaczył. A gdy już rozpoznał, nie uwierzył. Na dole, w bladym świetle poranka, stał Drake. Za nim i wszędzie dokoła było coś, co wyglądało jak gigantyczne karaluchy. To musiała być halucynacja.

- Drake? - spytał Orc, mrugając gwałtownie, by sprawdzić, czy wzrok go nie myli.

- Tak mi się wydawało, że to ty - zachichotał Drake. - I masz tam ze sobą Astrid? Znakomicie. Nie mogło być lepiej.

- Jesteś prawdziwy? - spytał Orc.

Drake roześmiał się z rozkoszą.

- Och, jak najbardziej.

- Idź stąd - tylko tyle Orc był w stanie wymyślić.

- Wiesz co, chyba jednak nie pójdę - odpowiedział Drake.

Ruszył do drzwi i zniknął mu z oczu.

Orc był kompletnie oszołomiony. Drake? Tutaj?

Po kilku sekundach Drake pojawił się w drzwiach. Jego zimny wzrok omijał Orka. Widział tylko małego Pete'a.

- No, no - powiedział Drake. - Nemesis.

PETE

To nie był jego pokój. To nie był sufit nad jego łóżkiem. Czuł, jak paląca lawa zbiera się w jego piersi. Wypluł ją z ust. Kiedy zakaszał, przez jego ciało przepłynęła fala bólu. Był teraz tylko ciałem. Żadnych odległych wizji. Żadnych szeptów. Tylko wymęczone bólem ciało. Wiatr hulał wokół niego, ale jego wciąż wypełniał ukrop. Nie wiedział, jak go nazwać. Jak miał się go pozbyć, skoro nie wiedział nawet, czym był? Gdzie podziła się jego siostra? Nie widział jej oczu. Był sam. Sam, uwięziony w bezradnym ciele, niszczone przez wewnętrzny ogień i zewnętrzny chłód, i biczujący wiatr. Wokół wciąż tyle było dźwięków, zgrzytanie pił, i ten atak szalonych, piskliwych kolorów. Głos tak potężny, że marzył o tym, żeby się przed nim schować, zapytał: „Gdzie jest Asztruh?”

Mówił do niego mokry, słaniający się, żwir.

„Asztruh!” - wrzeszczał potwór. - „Asztruuuuuh!”

Umysł Pete'a wycofał się, zanurzył się głęboko, próbował uciec przed dźwiękiem, jednak na próżno. Znów jego ciało zmuszało go do pozostania w rzeczywistym świecie, który nigdy nie był jego światem. Nie przestając wrzeszczeć, potwór odszedł. Pete zakaszał jak wulkan. Musiał coś zrobić. Ciało zapanowało nad nim, a ciało było bólem. Panika narastała. Musiał zrobić... coś.

ROZDZIAŁ 40

25 MINUT

Sam poczuł coś mokrego. Było wszędzie, jak chmura unosząca się ku górze. Zupełnie jakby leciał przez błotne tornado. Słona woda i piasek frunęły w górę, wolne od siły ciężenia.

- Rozłóż nogi i ramiona! - zawołał.

Bolesne uderzenie o wodę, drapanie piasku. Samowi wydawało się, że ktoś obdziera go ze skóry. Zamknął oczy i odwrócił głowę, żeby mokry piach nie wpadł mu do nosa i ust. Mocno uderzył w podłoże, twarde jak beton. Powietrze eksplodowało z jego płuc. Jakby został kopnięty w klatkę piersiową. Bolały go plecy, ścięgna miał naciągnięte, całe ciało parzyło i piekło, a tafla wody zamykała się nad jego głową. Instynktownie kopał nogami, żeby wydostać się na powierzchnię. Piasek rozstał się, tak że mógł wreszcie otworzyć jedno oko. Znajdował się o jakieś dziesięć metrów od brzegu; woda miała tu niecałe dwa metry głębokości. Potem i woda i piasek, które uniosły się, by wyjść im na spotkanie, zaczęły opadać.

Rozejrzał się, szukając Dekki i Tota. Próbował płynąć w stronę plaży przez oślepiający deszcz, trwający kilka minut. Toto leżał na plecach na plaży, wyjął z bólu. Sam ukląkł obok niego.

- Jesteś ranny?

- Moje nogi - załkał Toto. - Chcę do domu.

- Posłuchaj mnie. Toto, masz połamane nogi, ale możemy je wyleczyć.

Toto popatrzył na niego ze zdziwieniem, wytarł piasek z twarzy i powiedział:

- Mówisz prawdę.

- Wezwę Lanę. Tak szybko, jak tylko będę mógł. Ty się nie ruszaj.

Wstał i zawołał:

- Dekka! Dekka!

Nie odpowiedziała mu, ale zobaczył, jak płynie do brzegu. Podbiegł do niej, żeby pomóc jej wydostać się na ziemię.

- Przepraszam, Sam - odetchnęła.

- Nic mi nie jest. A Toto tylko połamał nogi. Spojrzał w lewo i w prawo, i zobaczył kontener, który rozbił się na urwisku. Prostokątne skrzynie i ich zabójcza zawartość powypadały.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy - powiedział Sam. - Myślę, że na południe od elektrowni.

Znów rozejrzał się wokół. Jego plan od początku wydawał się lekkomyślny i beznadziejny, ale wciąż miał nadzieję, że wylądują niedaleko od elektrowni. Tam mogliby znaleźć działający samochód. Ale tutaj? Nie był nawet pewien, gdzie jest owo „tutaj”. A kontener był zniszczony. Podobnie jak, bez wątplenia, większość pocisków.

- Sam!

Jakiś głos wołał do niego z morza. Łódź. Zobaczył w niej cztery osoby. Uderzenia ich wiosł rozbryzgiwały wodę na wszystkie strony.

- Quinn!

Łódź zatrzymała się na plaży. Quinn wyskoczył.

- Skąd się tu wzięliście?

- I tak byś nie uwierzył - powiedział Sam. - Lepiej ty mów. Co się dzieje w mieście?

Quinn wydał się przytłoczony tym pytaniem. Sam chwycił go za ramiona.

- Cokolwiek się dzieje, mów natychmiast. Nie wiem czy Dekka przeżyje jeszcze pół godziny. Szybko!

- Edilio jest chory. Mnóstwo ludzi zachorowało. Jest źle, dzieciaki padają jak muchy. Edilio posłał mnie po Caine'a. Żeby walczył z robalami.

Sam westchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu, Quinn. Ja raczej nie będę w stanie pokonać robali. Może jemu się uda.

- Ale... - zaczął Quinn, Sam przerwał mu jednak. Plan numer dwa nie zadziałał, Sam jednak miał jeszcze jednego asa w rękawie. Jeszcze jeden nadludzki wysiłek... nie po to, by uratować miasto, ale, być może, przynajmniej swoją przyjaciółkę.

- Dekka jest zarażona. Wygryzają ją od środka. Obiecałem, że... że jej to ułatwię. Rozumiesz? Quinn poważnie pokiwał głową.

- Mam jednak pomysł. Jak szybko dowiesz nas do miasta?

- W piętnaście minut - odparł Quinn. Wiosłowali, jakby od tego zależało ich życie. Sam wiedział, że w pewnym sensie tak było. Gdyby robaki wy dostały się z Dekki na łodzi, żadne z nich by nie przeżyło. Toto leżał na mokrym dnie łodzi i wył. Dekka siedziała na rufie obok Sama. Obejmował ją ramieniem, szepcząc do ucha, by się nie poddawała. Czuł je przez jej ubrania. Uważał, żeby nie dotknąć wylaniających się z jej ciała paszczy, ale nie mógł uniknąć obrzydzenia, wyczuwając ruch insektów w ciele Dekki.

- Sam, obiecałeś mi - jęknęła.

- Zrobię to. Przysięgam, że to zrobię. Ale jeszcze nie teraz, nie teraz. - Potem zwrócił się do Quinna:

- Kiedy tylko dotrzemy na miejsce, wezwij Lanę.

- Lana nie jest w stanie pomóc - mruknął Quinn, nic zwalniając ani na chwilę. - Nie potrafi ich zabić.

- Nie musi - odparł Sam.

- Zabieram dzieciaka, Orc - powiedział Drake. - Gdzie jest Astrid?

Orc wpatrywał się w niego. W jego pijanym, udreńczonym umyśle kołatało się zbyt wiele emocji. To Drake był powodem wszystkich jego problemów. Gdyby tylko nie uciekł... Ale czy on sam nie wbiegł na górę po to, żeby wyżyć się na Astrid? A jednak sadystryczny, zarozumiały uśmiech Drake'a sprawiał, że coś wzbierało w nim niczym fala.

- Czeochcesz odzieciaka? - wybełkotał Orc.

- Troszkę piłeś, co? - zadrwił Drake. - Jest potrzebny moim przyjaciołom. No to gdzie jego siostra?

- Zostaw ją w spokoju.

Drake roześmiał się.

- Kamienny chłopcze, nikogo nie zostawię w spokoju. Mam na zewnątrz całą armię. A z genialną Astrid zrobię, co tylko będę chciał.

- Nic ci nie zrobiła.

- Nie zgrywaj bohatera, Orc, nie nadajesz się do tego. Jesteś brudnym, pijanym degeneratem. Wiesz, jak śmierdzisz? Wydaje ci się, że jesteś jej rycerzem w srebrnej zbroi? Myślisz, że pocałuje cię w ten żwirowy pysk? - Podszedł bliżej, jakby chciał zajrzeć Orcowi do wnętrza. - Nie, Orc dostaniesz Astrid tylko w taki sposób, w jaki ja ją dostanę I tak o tym myślałeś, prawda?

- Zamknij się!

Drake roześmiał się z rozkoszą.

- Ty żalosna, chora ruino. Widzę to w twoich przekrwionych oczach. Wiesz co, dostaniesz to, co z niej zostanie kiedy ja...

Orc uderzył mocno, z zaskakującą prędkością. Kamienna pięść trafiła Drake'a trochę za wysoko, w bok głowy. Nawet takie uderzenie Orca było jednak niczym młot. Drake zatoczył się, uderzył o ścianę, ale utrzymał na nogach. Orc uderzył znowu, ale tym razem w ogóle nie

trafił. Jego pięść zrobiła dziurę w ścianie, w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej była głowa Drake'a. A sam Drake błyskawicznie znalazł się za jego plecami.

- Ty beznadziejny idioto. Nie da się mnie zabić. Nie wiedziałeś? No dawaj, Orc. Chodź tu, ty ciężki, śmierzący śmieciu.

Drake uderzył go biczem. Nie zabolalo za bardzo, ale dało się poczuć. Rzucił się na Drake'a, ten był jednak szybki i zwinny. Odskoczył, znów smagnął go biczem i tym razem owinął go wokół szyi przeciwnika. Niełatwo było udusić Orka, ale też nie było to niemożliwe. Drake z całej siły naciągał bicz centymetr po centymetrze, próbując rozłupać kamienny naskórek. Orc pochwycił bicz palcami i szarpnął go, chcąc się uwolnić. Nie dał rady. Z jakiejś przyczyny jego uchwyt zaczął słabnąć. Chciał odetchnąć, ale nie był w stanie. Nagle ramię Drake'a puściło go. Bicz cofał się, flaczejąc. Orc odwrócił się, żeby spojrzeć na Drake'a, i zobaczył, jak błyszczące druciki pokrywają jego zęby. Chude, żylaste ciało stało się pulchne.

- Co? - spytał Orc, mrugając gwałtownie. Wtedy zrozumiał. Jeszcze nigdy nie widział, jak Brittney się wyłania, wiedział jednak, że tak się dzieje, słyszał, jak to się dzieje, kiedy jeden głos ustępował miejsca drugiemu.

- Cześć, Orc.

- Brittney...

Rozejrzała się, zdziwiona. Potem jej wzrok zatrzymał się na małym.

- A więc to jest Nemesis.

- To mały Pete - poprawił ją Orc.

- Musimy go zabrać - oświadczyła Brittney. - To jedyny sposób. Pan tego chce.

- Nie - rozległ się głos.

- Astrid! - zawołał Orc. - Ja... szukałem cię.

Astrid ledwie na niego zerknęła.

- Uciekłam. Ale wróciłam.

- Astrid, Bóg powiedział, że potrzebuje małego Pete'a - powiedziała Brittney współczująco. - To jedyny sposób.

- Wiem, że wydaje ci się, że rozmawiasz z Bogiem...

- Nie, Astrid. To On przemówił do mnie. Widziałam Go. Dotknęłam Go. Jest Bogiem Ciemności, Bogiem Otchłani.

- Jeśli jest Bogiem, do czego potrzebny mu mały Pete? Zawsze myślałam, że Bóg nikogo nie potrzebuje.

Brittney spojrzała na nią chytrze.

- Jezus potrzebował Jana Chrzciciela, by ten ogłosił Jego nadejście. Potrzebował Judasza, żeby Go zdradził, Piłata i faryzeuszy, żeby Go ukrzyżowali, po to, by mógł nas zbawić. A Ojciec potrzebował Syna, żeby ten zapłacił za nasze grzechy.

Astrid była zmęczona. Kiedyś, dawno temu, cieszyłaby się z możliwości podjęcia teologicznej dyskusji. Sam nigdy z nią o tym nie rozmawiał - był całkiem obojętny wobec religii. To jednak nie był dobry moment na dysputy. Żalosna istota, jaką była Brittney, stanowiła tylko narzędzie w rękach okrutnej kreatury, którą wzięła za Boga. Ale dlaczego właściwie broniła teraz małego Pete'a? Była przecież gotowa na jego śmierć, gdyby oznaczała ona koniec wszystkich cierpień.

- Bóg nie żąda ofiar z ludzi - powiedziała Astrid.

- Nie? - Brittney uśmiechnęła się złośliwie. - A czym jestem ja, Astrid? Czym jesteśmy my wszyscy? I czym był Jezus? Ofiarą, mającą przebłagać mściwego Boga.

Astrid nie wiedziała, co odpowiedzieć. Znała wszystkie właściwe odpowiedzi, ale brak jej już było sił. Czy sama jeszcze wierzyła w Boga? Po co kłócić się o ducha? Były tylko dwiema

kretynkami, spierającymi się o kłamstwa, Astrid wciąż miała jednak swoją dumę. Nie mogła pozostawić Brittney ostatniego słowa.

- Naprawdę chcesz zabić małego chłopca? Niezależnie od tego, co mówi ten twój tak zwany Bóg, czy to nie jest po prostu złe? Kiedy twoja wiara każe ci zabijać, czy jakiś głos nie podpowiada ci, że to złe?

Brittney zmarszczyła czoło.

- Wola Boża...

- Nawet jeśli to wola Boża, Brittney, nawet jeśli ten potworny mutant w jaskini naprawdę jest Bogiem i nawet jeśli tak świetnie go rozumiałaś i wykonujesz jego wolę, On chce, żebyś zabiła, żebyś przyprowadziła do Niego małego chłopca, by mógł dalej zabijać. Czyż to nie jest złe? Po prostu złe?

- To Pan decyduje, co jest dobre, a co złe.

- Nie - odparta Astrid.

Teraz, mimo wszystko, mimo własnego zmęczenia, mimo strachu, mimo nienawiści do samej siebie, postanowiła powiedzieć coś, czego nigdy wcześniej nie akceptowała.

- Brittney, nie było wolno zabijać, nawet zanim jeszcze Mojżesz ogłosił ludziom przykazania. Dobro i zło nie pochodzą od Boga. Są w nas. Dobrze o tym wiemy. Nawet kiedy Bóg pojawia się tuż przed nami i mówi nam wprost, że mamy zabijać, to wciąż jest złe.

Astrid zdała sobie sprawę, że to bardzo proste. Naprawdę proste. Nie potrzebowała głosu Boga, by wiedzieć, że nie wolno jej zabić małego Pete'a. Wystarczył jej własny głos.

- W każdym razie, Brittney - mówiła dalej - jeśli chcesz zabrać Pete'a, musisz pokonać mnie. Potem uśmiechnęła się, po raz pierwszy od bardzo dawna. Brittney również uśmiechnęła się smutno.

- Nie zrobię tego, Astrid. Ale Drake tak. Robale są wszędzie. Kiedy tylko Drake się pojawi, zabierze małego Pete'a i zabije ciebie.

Dwie dziewczyny niemal już zapomniały o staniającym się Orku. Poruszył się z zaskakującą prędkością. Chwytał Brittney za szyję oraz w pasie i wyrzucił przez okno.

- Nie lubię jej - oznajmił.

Astrid pobiegła do okna. Zobaczyła Brittney leżącą na ziemi. Robale skierowały w górę swoje niebieskie oczy. Nie zwracając uwagi na Brittney, która zaczęła się już podnosić, ruszyły w stronę frontowych drzwi Coates.

- Rychło w czas - roześmiał się Orc. - Załatwmy to.

- Orc, nie daj im się zabić - poprosiła Astrid, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Zawsze byłeś dla mnie miła, Astrid. Przykro mi - wzruszył ramionami. - To już nie ma znaczenia. Uciekaj jeśli tylko możesz. Najprawdopodobniej nie potrwa to długo.

Zniknął w korytarzu. Astrid widziała go po raz ostatni kiedy roześmiał się do pędzących robali, przeskoczył przez poręcz i stanął pomiędzy nimi.

- Chcecie Orca? - zawołał. - No to chodźcie!

Chłopiec imieniem Buster próbował uciec; chciał wstać i biec, był jednak zdecydowanie zbyt chory, zbyt wolny Zakaszłał, potknął się i upadł na kolana. Robal przyłgnął jęzorem do jego szyi i wciągnął go w swoją błyszczącą paszczę. Dziewczynka imieniem Zoey zakaszłała, zgięła się wpół z bólu i w ciągu sekundy została pochwycona i pożarta. Była to prawdziwa rzeź. Brianna biegała jak szalona, jej nóż błyskał, jej obrzyn strzelał, robaki były już jednak na schodach i pchały się do środka, czując zapach świeżego mięsa dochodzący ze szpitala. Któryś z nich był już tak wielki, że zaklinował się w drzwiach, tarasując je, ale przynajmniej jeden znalazł się już w środku. Brianna słyszała przytłumione okrzyki

przeżenienia. Pobiegła, ominęła błyszczący jezioro, przeskoczyła nad szczękającymi zębiskami i dźgnęła potwora w czerwone ślepie. Potem wepchnęła pistolet w jego paszczę i pociągnęła za spust. Ogromny stwór zatrząsł się, ale przeżył. Briannie ledwie udało się odskoczyć na czas i uniknąć pożarcia. Kątem oka zobaczyła, jak jeden z potworów wstaje, obraca się w powietrzu i ciężko opada na grzbiet.

- Caine! - zawołała.

Przebiła się przez rój insektów, z łatwością przeskoczyła pomiędzy odnóżami przewróconego robala i wbiła nóż w jego podbrzusze. Potem wycelowała pistolet w największą z ran i pociągnęła za spust.

BUM!

Wnętrznosci potwora i kawałki pancerza wylądowały na niej, a jego nogi machały coraz wolniej i wolniej... Caine przewrócił kolejnego robala, po czym przygniół go samochodem. Uderzał w niego, aż stwór stał się miazgą - mieszaniną połamanych odnóży i kleistej cieczy. Potwory przerwały swoją ucztę. Zostało ich tylko siedem, nie licząc tego, który już wdarł się do szpitala i tego, który zaklinował się w drzwiach. Siedem.

- Poodwracam je! - zawołał Caine.

Brianna otarła z policzka resztkę flaków robaka i pokiwała głową. Szybko przeładowała pistolet i podbiegła do kolejnego z przewróconych stworów. Przy każdej swej ofierze dowiadywała się coraz więcej; robale miały swoje słabe punkty, jeden z nich znajdował się pod ich podbródkiem. Dźgnęła to miejsce nożem, obróciła go, żeby zrobić dziurę, potem zaś włożyła do niej lufę i pociągnęła za spust. Głowa robaka wybuchła.

- O tak! Właśnie tak! - zawołała Brianna.

Caine był jednak odrobinę zbyt wolny i teraz trzy robaki pędziły za nim. Wszystkie celowały w niego jeziorami, a on wrzeszczał, błagając o pomoc. Brianna zbiegła po śliskich od krwi schodach. Odcięła pierwszy język, a dwa pozostałe cofnęły się.

- Odwróć je!

- Próbuje - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Odwrócił jednego z nich, ale robale szybko się uczyły.

Drugi wcisnął się pod swego pobratymca i postawił go z powrotem na nogi.

- O nie, nic z tych rzeczy - powiedziała Brianna.

Caine znów musiał się wycofać pod naporem potworów. Gdyby go teraz złapały, byłoby po wszystkim. Brianna chwyciła go za rękę i odciągnęła za drzewo. Zęby robala przecięły pień na pół. Caine uniósł i przewrócił stwora, jednak rój gromadził się już wokół niego.

- Tropią nas! - zawołał do Brianny.

- Zauważyłam.

- Stacja benzynowa - zdecydował, ruszając naprzód.

Brianna dogoniła go bez trudu. Robale ruszyły za nimi.

- Rozumiesz? - spytał.

- Nie zostało tam zbyt wiele benzyny.

- Biegnij! - zawołał.

Brianna natychmiast zniknęła i w sekundę znalazła się na stacji. Na pompie wisiał ciężki łańcuch i - ku jej zdziwieniu - pilnował jej jeden z ludzi Alberta.

- Odepnij ją! - zawołała.

- Nie mogę, jeśli Albert... - zaczął dzieciak, Brianna przyłożyła mu jednak nóż do gardła i oświadczyła:

- Nie ma czasu na pogaduszki.

Odpiął pompę. Brianna chwyciła za rączkę i zaczęła pompować tak szybko, jak tylko mogła. Niestety, takich czynności lepiej nie wykonywać w nadmiernym tempie. Chwyciła strażnika za ramiona i krzyknęła:

- Pompuj! Pompuj, jeżeli nie chcesz zginąć!

- Nie mam kanistra.

- Na ziemię! - zawołała Brianna. - Na ziemię! Pompuj!

Benzyna zaczęła wypływać z pompy, tworząc na betonie

nieregularne plamy. Kiedy Brianna wróciła na pole bitwy, zobaczyła wyczerpanego Caine'a, który jeszcze nie dotarł do autostrady. Na wolnej przestrzeni robale bez problemu go dogonią, zanim dotrze do stacji.

- Biegnij dalej! - zawołała.

Popędziła ku najbliższemu z robali. Machnął w jej kierunku językiem. Chwyciła ten ozór w powietrzu i trzymając z całej siły, zanurkowała między nogami stworu. Robal potknął się i zatrzymał, ogłupiały. Brianna puściła jego język i wyskoczyła zza odwłoka. Zyskała dla Caine'a jakieś trzy sekundy, ale nie więcej. Wycelowała w demoniczne, rubinowe oczy drugiego robala, wystrzeliła i znów popędziła ku stacji. Ominęła spanikowanego strażnika, który wciąż wylewał na ziemię cenną benzynę. Zaczęła grzebać w śmieciach i gruzie w miejscu, które było kiedyś sklepikiem, aż wreszcie z triumfalną miną wyciągnęła niebieską zapalniczkę. Caine wciąż ledwie utrzymywał przewagę nad goniącymi go robakami.

- Wynoś się stąd, dzieciaku! - zawołała do strażnika. - Uciekaaaaj!

Zapach benzyny wręcz odurzał. Paliwo płynęło przez parking małymi strumykami, wypełniając szczeliny w betonie, tworząc płytkie kałuże we wgłębieniach. Caine przebiegł obok, rozbryzgując benzynę stopami. Brianna uśmiechnęła się. Pierwsze z robaków dotarły do stacji. Ich ostre jak igły nogi przedostawały się przez maleńkie rzeczki paliwa. Spaliny wypełniły powietrze. Brianna wiedziała dobrze, czym jest szybkość. Wiedziała, że sceny z hollywoodzkich filmów, w których ludzie umykają eksplozjom, to bzdura. Nawet Bryza nie dałaby rady przegonić ognistej kuli. Musiała jednak stanąć pośrodku pożaru, a potem przemknąć przez niego z prędkością dźwięku. Do eksplozji nie dojdzie natychmiast. Brianna liczyła, że przy odrobinie szczęścia plan się powiedzie. Schowała się za pompą i poczekała na pierwszego ze stworów. Obróciła się, zapaliła zapalniczkę i uchyliła się przed robalem.

Łuuuuup!

Trudno było porównać to z wybuchem dynamitu. Ale z pewnością była to kula ognia. Fala gorąca przypaliła jej włosy i brwi. Ciśnienie zatkało jej uszy. Jednak ogromna głowa robala ochroniła ją przed najgorszym. Robak dotarł do Caine'a, ten jednak uniósł się w powietrze. Potwór, Brianna i ognista kula przetoczyli się pod nim. Upadając, przewrócił potwora na grzbiet. Kula ognia dosięgła trzy z robali. Ogień zgął ich antenki i połamał pancerze. Dwie kreatury znajdowały się na tyle daleko, że uniknęły ognia, ale gorąco i dym oszołomiły je. Odbiegły, ale zbyt wolno. Ogień biegł wzdłuż sikawki, aż dotarł do gigantycznego, podziemnego kanistra pełnego gazu.

BUUUUUM!

Pompy, beton, sklepik, robale - wszystko eksplodowało w ognistej kuli, w porównaniu z którą pierwszy wybuch wydawał się tylko mizerną petardą. Strzępy ciał insektów, skręcone kawałki metalu i okruchy betonu spadły na ziemię. Tylko pierwszy z robali był jeszcze żywy. Leżał na plecach, dziko wierzgając w powietrzu. Brianna zatopiła nóż w jego podbródku, potem wycelowała w ranę pistolet i powiedziała:

- Kiedy pójdziesz do diabła, powiedz gaiaphage, że Brianna ją pozdrawia.

Wystrzeliła dwa pociski, a głowa robala eksplodowała jak rozgnieciony arbuz.

ROZDZIAŁ 41

13 MINUT

Orc rozbił butelkę na głowie niebieskookiego robaka. Nic to nie dało. Nie spodziewał się, zresztą, że coś da. Potwór kłapnął dolną szczęką i wbił zęby w pierś Orka. Chłopak wywinął kozła i upadł na twarz. Był zdyszany, ale żył. Wstał powoli. Po co się spieszyć?

- Jeśli mnie chcecie, chodźcie po mnie - powiedział. Trzy potwory ruszyły prosto na niego. Orc zamachnął się, chybił jednak i znowu upadł na twarz. Tym razem trzy podobne do sznurów jężory chwyciły go. Nie mógł już się podnieść.

Astrid krzyknęła.

- Co mi tam - powiedział Orc, gdy zacisnęły się na nim błyszczące zębiska.

Jack pędził przez otaczający go mrok. Wiedział, że musi dotrzeć do Perdido Beach, ale jego misja, choć całkiem prosta, bardzo mu się nie podobała. Jak Sam mógł rozkazać mu rzucić potworom małego Pete'a? To było szalone. I złe. Biegł przez wzgórza. Czuł pewne zmęczenie, ale był naprawdę bardzo silny i po raz pierwszy rozkoszował się tą siłą. Wydało mu się, że do tej pory żył za jakąś zasłoną, nie widząc, co się dzieje wokół niego. Zaczęło się to zmieniać, kiedy znalazł w pociągu laptopy. Znowu mógł dotknąć klawiatury, zobaczyć blask monitora... Chociaż nie trwało to długo, poczuł wtedy magię. Gdy walczył, doświadczył czegoś zupełnie innego. Użył swojej niesamowitej siły i uratował życie Sama. I Dekki, i Tota. On sam! Właśnie on, Komputerowy Jack. Był bohaterem. Wciąż nie wyglądał jak bohater - nie urósł ani nie przybyło mu muskułów, nie zmienił się w potężnego wojownika. Nadal był bladym, krótkowzrocznym chłopcem, ale jego siła nabrała nagle znaczenia. Mógł być Komputerowym Jackiem, ale mógł być też kimś więcej. A Sam poprosił go, żeby zabił małego Pete'a. Czy to mogła być słuszna decyzja? Biegł w stronę miasta albo przynajmniej tak mu się wydawało. Ze szczytu wzgórza zobaczył błyszczącą w oddali wodę i doszedł do wniosku, że to musi być właśnie gdzieś tam. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że się zgubił. Znajdował się gdzieś pośrodku lasu. To mogły być wzgórza, pomiędzy którymi mieszkał Hunter, ale równie dobrze mógł trafić do Stefano Rey. Wtem usłyszał krzyk. Ludzki głos. Wrzask jakiejś dziewczyny. Zamarł. Oddychał ciężko. Wytężył słuch. Nie usłyszał jednak drugiego okrzyku. Co miał zrobić? Sam wszystko mu powiedział: miał ostrzec Edilia. I musiał... ledwie był w stanie uświadomić sobie to, co musiał zrobić. Jednak nie mógł zignorować czyjegoś krzyku, prawda?

- Idź dowiedzieć się, co się, co się dzieje - wyszeptał do siebie - Ktokolwiek to jest, może potrzebować pomocy. No i może wiedzieć, gdzie jesteśmy.

W myślach dodał jeszcze: i może dzięki temu nie będę jednak musiał iść do miasta. Jack pobiegł w stronę dźwięku, przez pokryty krzewami wąwóz. Znalazł się na wąskiej drodze pomiędzy wysokimi drzewami.

- To Coates! - zawołał.

Nie usłyszał drugiego krzyku, ale dobiegały do niego odgłosy walki na pięści. Nagle rola bohatera wydała mu się znacznie mniej atrakcyjna. Ostrożnie potruchtał dalej. Minął żelazną bramę szkoły. Zobaczył tam scenę jak z horroru: kamienny potwór leżał przykryty przez rój gigantycznych insektów. Z okna całej scenie przyglądała się Astrid. I jeszcze wyciągnięty bicz Drake'a. Bycie bohaterem zdecydowanie ma wady, pomyślał Jack. Drake znowu pojawił się i stwierdził, że świat jest naprawdę wspaniały. Orc leżał na ziemi, pokonany przez robale. Astrid wyglądała z okna przerażona. I z jakiejś przyczyny, której Drake nie był w stanie odgadnąć, niedaleko stał Komputerowy Jack. Drake uśmiechnął się do Astrid:

- Nie ruszaj się stąd, ślicznotko, zaraz do ciebie przyjdę i wtedy się pobawimy. Muszę tylko przywitać się z moim starym przyjacielem Jackiem.

- Jack! - zawołała Astrid. - Pomóż Orcowi! Dwa z potworów zwróciły swój wzrok ku Jackowi.

- Cóż mamy z tobą zrobić, Komputerowy Jacku? - spytał Drake.

- Nie szukam kłopotów.

Drake pokręcił głową.

- Obawiam się, że tu jest mnóstwo kłopotów, Jack. Wszędzie same kłopoty. - Spojrzał na Jacka uważnie. - Gdzie jest Sam? Przysłał cię tu w pojedynkę? Uznał, że jesteś dużym chłopcem?

Przez cały ten czas Drake zbliżał się, obserwując, kiedy będzie w stanie dosięgnąć przybysza swoim biczem. Jack cofał się powoli. Orc zawył z bólu. Potwory Drake'a zderzały się ze sobą jak gokarty na torze, marząc o kawałku ciała chłopca - potwora.

- Tam, nad jeziorem, byłeś taki zarozumiały i odważny, Jack - kpił Drake. Jeszcze kilka kroków i znajdzie się w jego zasięgu.

- Ja tylko... - wydał z siebie zduszony krzyk, widząc coś za plecami Drake'a.

Drake odwrócił się. W tej samej sekundzie Jack skoczył. Drake strzelił z bicza, ale nadludzki cios rzucił go na ziemię. Kiedy się podnosił, zauważył, że znalazł się jakieś dwadzieścia stóp dalej. Wstał, pocierając podbródek.

- Łał! Całkiem niezłe, Jack. To by mnie zabiło... no wiesz, gdyby dało się mnie zabić.

Jack próbował go ominąć, pędząc w stronę drzwi na ratunek damie, która znalazła się w niebezpieczeństwie. Drake roześmiał się i owinął biczem nogę Jacka. Chciał go przewrócić, ale nie docenił siły tamtego. To nie Jack, ale on wylądował twarzą na ziemi. Puścił nogę Jacka, odwrócił się i podniósł się jednym, zgrabnym ruchem, czuł się jednak upokorzony. Wystrzelił i trafił Jacka w plecy, wyrывая mu z gardła okrzyk bólu. Chłopak jednak nie zatrzymał się, lecz wskoczył prosto w rój robali. Chwytał najbliższą nogę i szarpnął nią z całej siły. Noga oderwała się od ciała. Nie powstrzymało to robaka, ale Jack zyskał broń.

- Pospiesz się, jeśli chcesz uratować Orca - znów zakpił Drake. - Kiepsko wyglądasz.

Ryk Orca był coraz słabszy. Uderzenia pancerza o pancerz stawały się coraz głośniejsze i bardziej agresywne. Śmierć zaatakowanego wydawała się kwestią minut. A wtedy armia Drake'a zajmie się Jackiem. Musiał tylko odwrócić jego uwagę. Jack złamał odnoże na dwie części - jedna była gruba i ciężka, druga zaostroma. Drake wystrzelił z bicza, raniąc Jacka do krwi.

- Jack, przecież wiesz, że nie wygrasz - oznajmił ze spokojem Drake. - Nie możesz mnie zabić. Nie powstrzymasz też mojej armii. Możesz tylko stanąć po mojej stronie.

- Nie - odparł Jack.

- Moja strona jest jedyną. Druga armia robaków właśnie pożera Perdido Beach. Kogo chcesz uratować? Kto nie zginie w paszczach czerwonoookich, ten zostanie później zabity przez nas.

- Nie wiesz, co się dzieje w Perdido Beach - powiedział Jack.

- Ciemność mi mówi - skłamał Drake. - Przekazała mi panowanie nad nimi. Załatwimy wszystkich po kolei, Jack. Nikt nie dożyje wieczora. Dołącz do mnie, to może pozwolę ci żyć.

Wystrzelił z bicza. Jack nie zdążył się na to przygotować. Bat zacisnął się na jego gardle. Pociągnął za niego, ale dzięki temu Drake znalazł się tuż obok. Gdy ich twarze niemal się dotykały, roześmiał się. Zaciskał swą mackę mocniej, patrząc, jak blada twarz Jacka purpurowieje. Jack zebrał siły i uderzył Drake'a prosto w pierś tak mocno, że pięść zrobiła tamtemu dziurę w ciele. Drake nie puścił go jednak, a oczy Jacka niemal wyszły z orbit. Drake roześmiał się. Dźwięk szczękających zębisk zagłuszał całkowicie krzyki.

- Sam przecież przysięgłeś, że im nie pozwolisz! Łódź dobiła do pomostu, a Quinn rozkazał swoim żeglarzom znaleźć Lanę.

- Dekka, spokojnie, mam plan - powiedział Sam.

Jej ciało nie przypominało już ludzkiego. Pulsowało pod koszulką. Robaki wygryzały sobie drogę na zewnątrz. Jeden wydostał się cały i zatrzymał się na chwilę, patrząc na Sama oczami koloru nefrytu. Chwyił go, podniósł, ale upuścił. Quinn był jednak szybszy. Zarzucił na robaka rybacką sieć i stanął na jej krawędziach, tak że uwięził potworka na dnie łodzi.

- Teraz! - błagała Dekka. - Teraz, Sam! Och, Boże, teraz! Drugi robak był już wyraźnie widoczny pod cienką skórą na jej udzie.

- Dekka, mam plan, wytrzymaj jeszcze chwilę, wytrzymaj - prosił Sam.

- Niiieeee! - zawołała desperacko.

Sam spojrział na brzeg. Pusto. Nie było Lany. Cała ekipa Quinna również zniknęła. Quinn chwycił wiosło i zaczął uderzać nim uwięzionego robala. Walił coraz mocniej, potwór wciąż jednak żył. Nagle poczuli lekki powiew. Brianna pojawiła się na pomoście, drżąca, pokryta krwią.

- No nareszcie... - Zamilkła, widząc, co dzieje się z Dekką. - Co to...

- Bryzo: Lana. Teraz! TERAZ! - wrzasnął, drugie „teraz” kierując już w pustkę.

- Muszę... muszę ją jeszcze zobaczyć - szepnęła Dekka.

- Nie poddawaj się. Nie możesz się teraz poddać.

Gałki oczne Dekki ruszały się jednak gwałtownie, całe jej ciało ogarnął jeden, wielki spazm.

- Quinn, co ja mam zrobić... Przytrzymaj ją. Przytrzymaj ją za wszelką cenę.

Quinn po raz ostatni walnął robaka. Nie wiedział, czy potwór zdechł, ale przynajmniej już się nie ruszał. Sam ukląkł i złapał Dekkę za ramiona.

- Co ty robisz? - spytał Quinn.

- Operację - odparł głucho Sam.

Uniósł prawą rękę. Zielone, skupione niczym laser światło przecięło ubrania i ciało Dekki.

Brianna spotkała Lanę, gdy ta szła z Sanjitem na wschód.

- Lana!

- Żyjesz! Co z dziećmi?

- Wiele umarło - westchnęła Brianna. - Ale więcej jest rannych, a robale załatwione.

- Już idę - powiedziała Lana, odwracając się w stronę placu.

- Idziesz nie tam, gdzie trzeba i zdecydowanie zbyt wolno - stwierdziła Brianna. - Daj mi rękę. Potem będziesz mogła się wyleczyć. Brianna ruszyła, ciągnąc Lanę, a ta natychmiast się przewróciła. Pociągnęła ją za sobą, najpierw ulicą, potem plażą. Nie była w stanie osiągnąć pełnej prędkości, ale i tak ruszała się znacznie szybciej niż najszybszy sprinter. Kiedy wreszcie dotarli na koniec pomostu, nogi Uzdrowicielki były podrapane do krwi.

- Mam ją! - ogłosiła Brianna, po czym spytała z przestachem: - Co ty robisz?

Twarz Sama zastygła w przerażeniu. Rozciął Dekkę od szyi do miednicy. Jej organy przywodziły na myśl rzeźnię. Tuzin robali wypełzał z jej ciała. Quinn wyciągał robaki i wrzucał je do wody. Jego ręce były unurzane we krwi aż po łokcie.

- Lana, utrzyj ją przy życiu!

Lana wskoczyła do kołyszącej się dziko łodzi. Dekka nie była już nawet w stanie wrzeszczeć. Lana położyła ręce na jej wykrzywionej twarzy. Brianna wskoczyła za nią, odepchnęła Quinna i Sama na bok i powiedziała:

- Ja się tym zajmę.

Wyciągała wszystkie robaki po kolei - niektóre próbowały zaatakować Sama, inne po prostu wiły się jak przerażone karaluchy - odwracała je na plecy i strzelała w nie, dziurawiąc dno

łodzi. Quinn zarzucił linę na kołek na pomoście i przyciągnął do niego tonącą łódź. Razem z Samem wyciągnęli Dekkę z łodzi i położyli na pomoście. Leżała tam jak przekrojona pomarańcza. Lana położyła jej głowę na swoich kolanach. Sam, Quinn i jakiś dziwny chłopak, który wydawał się Briannie znajomy, przyglądali się im z przerażeniem i fascynacją. Łódź zatonięła. Rozgniecione ciała robali unosły się na wodzie. Usta Dekki poruszały się, nie wydobywał się z nich jednak żaden dźwięk. Jej oczy poruszały się, nic nie widząc.

- Próbuje coś powiedzieć - zauważył Quinn.

- Powinna się zamknąć i pozwolić, żebym ją utrzymała przy życiu - warknęła Lana. Spojrzała na Briannę ze złością. - Jesteś mi winna parę butów.

Dekka znów spróbowała się odezwać.

- Chodzi o ciebie, Bryzo - powiedział Sam. - Chce rozmawiać z tobą.

Brianna zmarszczyła czoło, nie wiedząc, czy Sam mówi prawdę. Schyliła się jednak, zbliżając ucho do ust Dekki. Słuchała przez chwilę, po czym zamknęła oczy i wstała, nic nie mówiąc.

- Co powiedziała? - spytał Quinn.

- Podziękowała - odparła Brianna. - Po prostu podziękowała.

Odwróciła się i odeszła, zdążyła jednak usłyszeć, jak dziwny, nowy chłopiec mówi:

- To nieprawda.

ROZDZIAŁ 42

3 MINUTY

Astrid bezradnie patrzyła w dół. Nie widziała Orca.

Możliwe, że już nie żył. Jack nie potrafił wyrwać się z duszącego uchwytu Drake'a. A ten dobrze o tym wiedział. Spojrzał w górę na Astrid i mrugnął. Podjęła decyzję: nie skrzywdzi małego Pete'a, nie zabije go, nawet jeśli przez to zginą inni. To była decyzja moralnie słuszna. Jednak za jakąś minutę Jack się udusi, a Drake ją pochwyti. Nie miała złudzeń co do intencji tego psychopaty. Drake i jego armia zabijają i będą zabijać. Jak można ich powstrzymać. Kto był do tego zdolny? Oddychała z najwyższym trudem. Całe jej ciało buzowało jakąś dziwną energią. Czy to był strach? Czy na tym polega atak paniki? Twarz Jacka robiła się tymczasem coraz ciemniejsza. Właściwie już nie stawiał oporu. Palce zakrzywiały się w szpony, oczy wyglądały, jakby zaraz miały wyskoczyć z orbit. Drake zabije ją. Ale nie robi tego od razu. A potem zabije jeszcze wiele innych osób. I będzie zabijał, póki będzie trwał ETAP. Trzeba z tym skończyć. Trzeba. Astrid podeszła do małego Pete'a. Wzięła go w ramiona, podeszła do okna, trzymając bezwładne, spocone ciało, wtedy dostrzegł ją Drake. Krew odpłynęła z jego twarzy. Rozluźnił uchwyt na szyi Jacka.

- Nie! Nie! - wrzasnął. Zaczął biec ku niej, krzycząc.

- Przepraszam - szepnęła Astrid. - Bardzo mi przykro, Petey.

Drake był już w drzwiach pokoju.

- Nie! - krzyknął znowu, gdy wyciągnęła brata w stronę fali insektów.

- Złapcie go! - rozkazał Drake.

Minął Astrid i wyrzwał przez okno. Wlepił wzrok w Pete'a.

- Nie róbcie mu... - zawołał. Jego słowa stłumiło słabe, lecz celne uderzenie wymierzone mu przez Astrid.

Mały Pete omal nie uderzył o ziemię, zatrzymał się jednak kilka centymetrów nad nią. Otworzył szeroko oczy. Nad sobą zobaczył tuzin upiornych, niebieskich ślepi.

- Nie róbcie mu krzywdy! - zawołał Drake. - Ciemność go potrzebuje!

Było już jednak zbyt późno. Robale ruszyły ku małemu Pete'owi. Wysunęły jęzory. Zaszczękały zębami. Nie nastąpił żaden wybuch. Nie rozbłysła błyskawica. Robale po prostu zniknęły. W jednej chwili były tam, a po chwili już ich nie było. Mały Pete upadł na ziemię. Zakaszłał raz, bardzo gwałtownie. A potem on też po prostu zniknął. Astrid i Drake stali obok siebie, przyglądając się tej scenie z przerażeniem. Dziewczyna zamknęła oczy. Czy to był koniec? Czy wreszcie wszystko się skończyło?

- Zabiję cię - powiedział Drake słabym głosem. Astrid otworzyła oczy i zobaczyła, że jego twarz zaczyna się zmieniać, że jego rysy rozplływają się, ustępując miejsca pulchniejszym kształtom. Jack wbiegł po schodach. Orc leżał na plecach, wyjąc z bólu. Jedna z jego nóg zniknęła.

- Gdzie on jest? - spytała Brittney. - Gdzie jest Nemesis?

Astrid ledwie ją słyszała. Zrobiła to. Zabiła go. Poświęciła małego Pete'a.

- Chodźmy stąd, zanim wróci Drake - powiedział Jack. Wziął ją pod ramię, ona jednak nie chciała pójść z nim. Jeszcze nie.

- Zabiłaś go - powiedziała Brittney, nie tyle oskarżająco, co po prostu ze zdziwieniem.

Astrid westchnęła ciężko. Łzy spływały jej po policzkach. Nie wiedziała, co powiedzieć. Brittney zaczęła się złościć.

- Zapłacisz za to, Astrid, jego wściekłość cię dopadnie. Prędzej czy później.

- Wściekłość Drake'a czy gaiaphage? - zapytał Jack.

Brittney obnażyła żelazny aparat w złośliwym uśmiechu.

- Jesteśmy tylko ramieniem Ciemności. Wyśle nas po ciebie. Po was oboje.

- Chodźmy, Astrid - powiedział Jack, nie odrywając wzroku od Brittney. Astrid poczuła na ramieniu siłę jego uścisku. Poddała się.

Łzy niemal ją oślepiły, umysł wypełniały gwałtowne emocje: nienawiść do samej siebie, wściekłość, obrzydzenie. A co najgorsze: ulga. Zniknął. Mały Pete nie żył. I teraz wszystko miało się wreszcie skończyć. Ściana ETAP-u zniknie. Szaleństwo się skończy. Ulga. I obrzydliwe poczucie, że cieszy ją to, co zrobiła. Jack sprowadził ją po schodach. Bez trudu uniósł ciężko rannego poszarpanego Orca, który jęczał z bólu i błagał, żeby pozwolili mu umrzeć.

- Nikt tu nie umrze - powiedział ostro Jack. - Mamy już tego dosyć.

Astrid posłusznie ruszyła za Jackiem, który niósł Orca do miasta. Idąc, zastanawiała się, jak to możliwe, że ETAP się skończył, a Jack wciąż był taki silny. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna Dahra Baidoo opuściła tak zwany szpital. Virtue podtrzymywał ją, choć . sam trząst się tak gwałtownie, że ledwo szedł. Oboje byli cali we krwi. Szpital przypominał rzeźnię. Jedyne robił, któremu udało się dostać do środka, po prostu zmasakrował dzieci, zbyt słabe, żeby wstać, a tym bardziej zbyt słabe, żeby uciekać. Virtue powtarzał sobie, że były zbyt chore, że i tak by nie przeżyły. Ta świadomość nie mogła jednak wymazać przerażających scen z jego pamięci. Skrył się w kącie za jednym z łóżeczek, modląc się i błagając o życie. Rzucił w robala różnymi rzeczami, ale baseniki i butelki nie były w stanie zrobić potworowi najmniejszej krzywdy. A potem nagle potwór zniknął. Jego zakrwawione zęby wgryzały się w ścianę, próbując dorwać Virtue. Kilka centymetrów i kilka sekund dzieliło go od straszliwej śmierci. A potem, nagle... pustka. Potwór zniknął. Virtue nie słyszał nic prócz własnego łkania. A potem usłyszał płacz innych dzieci. Uporczywy, nieprzerwany, desperacki jęk. Dahra krzyczała, kiedy powoli wyciągał ją spod czyjegось ciała.

- Zniknął - powiedział.

Nie mogła przestać się trząść. Nie mogła przestać wyć. A Virtue znów poczuł się jak w kongijskim obozie dla uchodźców; przypomniał sobie to, czego był świadkiem, gdy miał jeszcze za mało lat, by cokolwiek zrozumieć. Wezbrała w nim straszliwa wściekłość. Niepohamowana nienawiść do wszystkich i wszystkiego, co czyniło świat pełnym bólu piekłem. Miał ochotę wszystko porozwalać. Zaryczeć jak dzikie zwierzę. Dahra przestała w końcu wyć i po prostu patrzyła na niego. Patrzyła jak ktoś, kto pragnie, by wreszcie otoczono go opieką. Virtue wziął ją za rękę i przygarnął ramieniem.

- Zabierajmy się stąd - powiedział łagodnie.

Inne dzieci płakały z bólu. Virtue wiedział, że Dahra nie jest już w stanie odpowiadać. Musiał wyprowadzić ją na świeże powietrze. Ciała robaków zniknęły. Ciała ich ofiar - nie. Virtue nie wiedział, gdzie powinien ją zabrać. Zazwyczaj to do niej dzieciaki przyprowadzały swoich chorych czy rannych towarzyszy. Nie znał nikogo, kto mógłby pomóc jej. Być może nikt nie był w stanie. Poprowadził Dahrę ku ruinom kościoła. W środku było cicho, chociaż kościół też był polem bitwy. Posadził ją na ławce, sam usiadł obok, zamknął oczy i zaczął się modlić.

- Panie Boże w niebiosach, zlituj się nad tą dziewczyną. Tak wiele już zrobiła dla innych. - Westchnął i niepewnie dodał: - Amen.

Nie został tam zbyt długo. Wiele dzieci wciąż potrzebowało pomocy. W drodze do szpitala wpadł na swojego brata. Sanjit ścisnął go.

- Zniknęły, Choo. Naprawdę, wszystkie zniknęły - powiedział Virtue pokiwał głową i uspokajająco poklepał brata po plecach. Sanjit popatrzył na niego z troską.

- Wszystko w porządku, bracie? - spytał.

- Bywało lepiej - odparł Virtue.

- Zdaje się, że coraz bardziej tęsknimy za wyspą, co? - powiedział Sanjit. - Miałeś rację: to jest wielkie wariatkowo na wolnym powietrzu.

Virtue pokiwał poważnie głową i spojrzał na kościół. - To prawda, ale pomiędzy wariatami można też znaleźć paru świętych.

Caine szedł sztywno w stronę miasta. Był poparzony, podrapany, poobijany i jak podejrzewał, mógł mieć złamanych parę żeber. A jednak zwyciężył. Jedynym problemem prócz bólu, który sprawiał, że krzywił się przy każdym kroku było to, że nie zwyciężył sam. Brianna zaliczyła asystę. Nie znosił jej, ale musiał przyznać, że potrafiła naprawdę nieźle walczyć. A do tego jakaś niewidzialna, nieznana siła sprawiła, że robaki, które zabili, zniknęły. Nawet ich połamane nogi, ich wnętrzności i krew. Jakby ich nigdy nie było. Brianna pomknęła przodem, zostawiając go kulejącego. Z pewnością właśnie przechwalała się przed wszystkimi, przypisując sobie wszelkie możliwe zasługi. To jednak nie mogło się udać. O nie, przecież widzieli, że to on ruszył ku wrogom. A teraz wrogowie zniknęli, tak jak obiecał. Dotrzymał słowa. Teraz należy mu się szacunek. Kiedy mijał autostradę prowadzącą do miasta, pierwsze z dzieciaków podbiegły do niego. Były mu wdzięczne, szczęśliwe, chciały przybić mu piątkę.

- Dałeś radę, stary! Dałeś radę!

Nie przybijał piątek, tylko stał spokojnie, patrząc na nie wyczekująco. Wydawały się niepewne, nieco zmartwione. Dopiero po chwili zrozumiały. Pierwszy z dzieciaków pochylił głowę. Był to dziwny, niezgrabny gest, ale nie przeszkadzało to Caine'owi: jeszcze się nauczą. Do pierwszego dołączył drugi dzieciak, potem trzeci i czwarty. Caine uroczyście skinął głową i ruszył dalej, znacznie mniej obolały.

Nazajutrz

Sam nie był gotów na powrót do miasta i spotkanie z dziećmi. Gdyby teraz tam wrócił, mogłaby czekać go walka z Caine'em. Nie czuł się na siłach. Może później. Jeszcze nie teraz. Zobaczył, jak robaki nagle zupełnie znikają. Widział, jak wiły się po ciele Dekki i unosiły się na wodzie, w następnej chwili już ich nie było. Wydawało mu się, że wie, co się stało. Tylko jeden człowiek miał wystarczającą moc, żeby je unicestwić. Wbrew wszelkim obawom, Jackowi musiało się udać rzucić małego Pete'a w paszczę robali. Tylko Petey mógł zrobić coś takiego. Desperacki, szalony plan Sama zadziałał, naprawdę zadziałał. Jednak kiedy Astrid dowiedziała się, co się stało, kto kazał Jackowi to zrobić, nigdy już się do niego nie odezwie. Miasto zostało uratowane. Sam jednak przegrał.

Czy to nakazał zabić pięcioletniego autystycznego chłopca, panie Temple?

Oskarżycielski trybunał wrócił.

Tak, to prawda - odpowiedział im w myślach. *–Zrobiłem to.*

Dotarł do klifu. Kiedy był tam po raz ostatni... no cóż, macanie Taylor wydawało mu się teraz niezbyt ciężkim grzechem.

To prawda. A dzięki temu, że to zrobiłem, robaki zniknęły. Wiele istnień zostało uratowanych.

To nie pan powinien podejmować takie decyzje, panie Temple. To Bóg decyduje o życiu i śmierci.

- Naprawdę? - spytał Sam na głos. - Nie mam zbyt wysokiego mniemania o Jego decyzjach.

Spojrzał na morze. Stał w miejscu, z którego skoczyła Mary. Nie kusiło go jednak, by pójść w jej ślady. Mary została doprowadzona do obłędu.

- To prawda - powiedział Sam do nikogo. - Zrobiłem to. I zadziałało.

- Sam.

Odwrócił się na pięcie. Tuż za nim stała Astrid. Jack o jakieś trzydzieści metrów dalej. Nie wydawało się, żeby chciał podejść chociaż o krok.

- Astrid.

Oczy miała czerwone i spuchnięte. Wpatrywała się w barierę z wyrazem twarzy, którego nie był w stanie odczytać.

- Wciąż tam jest - powiedziała. Zerknęła na nieprzenikniony mur.

- Tak.

- Ale... ale Petey nie żyje - powiedziała. - Wszystko powinno się skończyć. Bariera powinna zniknąć.

- Przykro mi z powodu Pete'a.

- Ona wciąż tam jest.

- Myślę... - zaczął.

- Na nic! Zabiłam go i to wszystko na nic! - zawołała Astrid. - O Boże, nie! Zrobiłam to i na nic się to nie zdało.

- Ty? Więc... - Spojrzał na Jacka. Ten pokiwał głową i opuścił wzrok.

Instynktownie podszedł do Astrid, chcąc ją przytulić. Coś go jednak powstrzymało. Wiedział, że go odtrąci. Wtedy dotarło do niego, z siłą objawienia, że nie potrafiła być z nim, kiedy czuła się słaba i pozbawiona kontroli. Astrid musiała być silna. Musiała być... Astrid. A teraz? Nie była. Nigdy wcześniej nie wydawała mu się tak zagubiona. Tak bardzo chciał wziąć ją w ramiona. Ona jednak nie zgodziłaby się na to. Nie teraz.

- Astrid...

- Na nic - szepnęła.

Zrobił krok w tył.

- Astrid, posłuchaj. Powiedziałem Jackowi, żeby to zrobił. To był jedyny sposób. Gdybyś ty nie...

Nie słuchała go jednak. Na jej twarzy pojawiła się nienawiść, o którą nigdy by jej nie podejrzewał. Nienawiść do niego? Do bariery? Do siebie samej?

- Odeszłam z miasta. Odeszłam z niego z Orkiem. A potem zostawiłam Peteya. Po prostu wyszłam przez drzwi Coates. Opuściłam go. Jego i Orca. Obaj mnie potrzebowali. Ja jednak odeszłam, bo pomyślałam sobie, że jeśli zostanę, poczuję pokusę. Zwyczajne morderstwo... Wiesz, jak to jest, kiedy jakieś słowa narzucają się twoim myślom i wciąż musisz je powtarzać?

Nie odpowiedział. Nie chciała zresztą, żeby odpowiadał. Ale tak, wiedział, jak to jest.

- Wiedziałałam, że jeśli zabiję Peteya, wszystko się skończy - powiedziała. - A potem, wiesz co? Wstąpiłam w ciemność. I przekonałam sama siebie, że nie powinnam tego robić. Widzisz, wytłumaczyłam sobie wszystko. Bo jestem przecież bardzo, bardzo mądra.

Roześmiała się gorzko.

- Któż jest ode mnie mądrzejszy? Genialna Astrid. Wszystko sobie wytłumaczyłam, znalazłam odpowiednie argumenty. I modliłam się. I podjęłam słuszną moralnie decyzję. A potem? Kiedy tam byłam, a Drake... pomyślałam o nim... kiedy pomyślałam... - nie była w stanie mówić dalej.

- Astrid, wszyscy musieliśmy...

- Nie - powiedziała. - Nie mów tego.

- Chodź ze mną - powiedział. Wyciągnął do niej dłoń, poczuł jednak, że otacza ją zimny, nieprzenikniony mur. Była już gdzieś indziej. Była kimś innym. Opuścił rękę.

- Musi cię bawić moja arogancja i zarozumialstwo - powiedziała cicho. - Zastanawiam się, jak mogłeś ze mną wytrzymać. Nie masz ochoty powiedzieć: „Wiedziałem, że tak będzie”, Sam? Na twoim miejscu powiedziałabym: „Widzisz? Widzisz, ty świętobliwa idiotko? Witaj w moim świecie. To właśnie robię. Takie podejmuję decyzje.”

Rzeczywiście, jakaś jego część chciała powiedzieć właśnie to. Właśnie te słowa: „Witaj w moim świecie. Niełatwo być Samem.” Miał nadzieję, że nie miał tego wypisanego na twarzy, ale najwyraźniej mu się nie udało, bo Astrid pokiwała głową, jakby je usłyszała.

Wypowiedział jedyne słowa, jakie przyszły mu na myśl:

- Kocham cię, Astrid. Kocham cię, niezależnie od wszystkiego.

Jeśli jednak nawet usłyszała go, nie dała tego po sobie poznać. Odwróciła się i odeszła.

Pięć dni później

Od bardzo dawna na placu nie zebrało się tak wiele dzieci. Nie wszyscy przyszli, ale większość na pewno. Ze szczytu schodów ratusza Sam widział twarze przestraszone, zadowolone i jak to zawsze w przypadku dzieci bywało, grupki, które po prostu się bawiły. Pomyślał, że ta umiejętność znalezienia odrobiny radości, której można by się uchwycić, jest czymś bardzo dobrym. Cmentarz przerażająco się rozrósł. A jednak grypa wreszcie wygasła. Od czterdziestu ośmiu godzin nikt nie zachorował. Nikt nie świętował, nikt nie był spokojny, ale epidemia śmiertelnej choroby zdawała się dobiegać końca. Zerknął na brata. Caine wydawał się pewny siebie, znacznie pewniejszy niż Sam. Było mu do twarzy z nową rolą samozwańczego króla. Ubrał się nienagannie: w szare spodnie, granatowy sweter i bladoniebieską koszulę. Jak mu się to udało? Reszta jego „dworu” nie wyglądała nawet w połowie tak dobrze, ale i tak znacznie lepiej niż Sam i jego ekipa. Za Caine'em stali Diana, Penny, Turk i Taylor. Samowi towarzyszyła Dekka, nie była już jednak tą nieustraszoną, wzbudzającą lęk dziewczyną, którą znał. Wciąż była słaba, bardziej nawet na umyśle, niż na ciele. Brianna nie tyle stała, co wibrowała w miejscu, nie będąc w stanie się zatrzymać. Wydawała się zdenerwowana i wyraźnie unikała spojrzenia Dekki. Jack zaskoczył Sama: ubrał się porządnie, no i pamiętał, żeby się pojawić. Jack dojrzywał, już dojrzał jako człowiek. Edilio siedział na fotelu. Wciąż wyglądał, jakby był bliski śmierci, jego kaszel jednak ustał, gorączka opadła, a on był zdeterminowany, by żyć. Najbardziej rzucała się w oczy nieobecność Astrid. Powinna tam być. Sam przeczesywał wzrokiem tłum. Nikt jednak jej nie widział. Plotka głosiła, że wprowadziła się do małego mieszkanca na skraju miasta. Niektórzy z kolei mówili, że widzieli ją, idącą autostradą ku Stefano Rey. Sam miał nadzieję, że pojawi się na Wielkim Rozstaniu - tak Howard nazwał tę dziwną ceremonię. Nie było po niej jednak śladu. A przyjaciele Sama pilnowali się, by nie wypowiadać przy nim jej imienia. Toto stał pomiędzy dwiema rozdzielonymi grupami, zaniepokojony, nerwowy.

- Wydaje mi się, że są już wszyscy - ogłosił Caine.

- Nie wierzy w to - powiedział Toto.

Caine uśmiechnął się pobłażliwie.

- Wydaje mi się, że są już wszyscy, których obecność jest prawdopodobna - poprawił się.

- To prawda - przyznał Toto.

- Taaa - zgodził się Sam. Czuł suchość w gardle. Był zdenerwowany. Nie powinien się przejmować. Nie powinno to mieć dla niego znaczenia. Nigdy przecież nie chciał być przywódcą, a tym bardziej nie zabiegał o popularność.

Caine uniósł dłoń, wskazując wszystkim, że powinni się uciszyć.

- Wszyscy dobrze wiecie, dlaczego zebraliśmy się dziś tutaj - powiedział spokojnym, silnym głosem. - Obaj z Samem chcemy pokoju...

- Nieprawda - wtrącił Toto.

Oczy Caine'a błysnęły gniewem, zmusił się jednak do uśmiechu.

- Gdybyście nie wiedzieli, Toto jest odmieńcem, który potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa.

- To prawda - potwierdził Toto.

- No dobrze, zacznę od początku. Nie lubimy się z Samem. Moi ludzie nie lubią jego ludzi z wzajemnością.

- Przerwał i spojrzał na Toto.

Chłopiec pokiwał głową i powiedział:

- Tak, wierzy w to, co mówi.

- Wierzę - przyznał Caine sucho. - Mamy odmienne wizje przyszłości. Sam chce, żeby wszyscy przenieśli się nad to jego jezioro. Ja uważam, że powinniśmy zostać w Perdido Beach.

Tłum milczał. Sam czuł jednocześnie irytację i ulgę, że Caine postanowił wygłosić całą przemowę.

- Sam i ja mamy również odmienne spojrzenie na przywództwo. Sam uważa, że to ciężar. Ja? Ja uważam, że to szansa.

- On... wierzy w to - orzekł Toto. Zmarszczył jednak czoło, być może wyczuwając w Cainie coś, co nie było ani prawdą, ani fałszem.

- Dzisiaj każdy z was będzie musiał podjąć decyzję

- powiedział Caine. - Albo odejdziecie z Samem, albo zostanieie tutaj. Nikogo nie powstrzymam i nikogo nie będę oskarżać. - Położył rękę na sercu. - Tym, którzy zostaną, chciałbym wyraźnie powiedzieć, że to ja będę przywódcą. Nie jako burmistrz, ale jako król. Moje słowo będzie prawem. Moje decyzje będą ostateczne. Te słowa wywołały szum, głównie szum niezadowolenia.

- Ale też zrobię, co będę mógł, żeby dać wam pokój. Jeśli Quinn postanowi zostać, wciąż będzie mógł łowić ryby. Jeśli Albert postanowi zostać, będzie dalej mógł prowadzić swój biznes. Odmieńcy i normalni będą traktowani równo. Już miał coś dodać, ale powstrzymał się, zerkając na Tota. Cisza przedłużała się i Sam wiedział, że teraz on powinien przemówić. W przeszłości zawsze miał przy sobie Astrid która potrafiła pomóc mu w takich sytuacjach. Nie był dobrym mówcą. A przede wszystkim nie miał zbyt wiele do powiedzenia.

- Każdy, kto pójdzie ze mną, będzie miał głos. Prawdopodobnie to ja będę przewodził, ale wybierzemy też innych ludzi, stworzymy radę, taką jak... mam nadzieję, że znacznie lepszą od tej, którą mieliśmy do tej pory. I, no... - miał ochotę roześmiać się ze swojego żalnego wystąpienia. - Słuchajcie, jeśli potrzebujecie kogoś takiego jak... jak król, kogoś, kto powie wam, co macie robić, zostańcie tutaj. Jeśli chcecie podejmować swoje własne decyzje, pójdźcie ze mną.

Tym razem Toto nie zareagował na jego wypowiedź.

- Ludzie, wiecie, po czyjej jestem stronie! - zawołała Brianna. - Sam niósł ten ciężar od samego początku.

- Ale to Caine nas uratował! - rozległ się głos z tłumu.

- Gdzie był wtedy Sam?

Tłum wydawał się niezdecydowany. Caine udawał pewność siebie, ale Sam zauważył, że jego uśmiech był wymuszony, że trzęsły mu się wargi i że nie mógł opanować niepokoju.

- Co robi Albert? - spytał chłopiec o imieniu Jim.

-Gdzie jest Albert?

Albert, nie rzucający się dotąd w oczy, wystąpił z tłumu. Ostrożnie wszedł po schodach, nie będąc jeszcze w pełni sił. Wybrał miejsce pomiędzy Caine'em a Samem.

- Co powinniśmy zrobić, Albercie? - spytał ktoś żałośnie.

Albert nie patrzył na tłum. Zerknął tylko szybko w górę, jakby chciał się upewnić, że jest zwrócony w odpowiednią stronę. Mówił cicho, spokojnie, monotonna. Dzieci zbliżyły się, żeby go usłyszeć.

- Jestem biznesmenem.

- Prawda - powiedział Toto.

- Moja praca polega na organizowaniu pracy, zbieraniu plonów i łowów, i dystrybuowaniu ich na rynku.

- I zabieraniu dla siebie tego, co najlepsze! - zawołał ktoś, wywołując powszechny śmiech.

- Tak - przyznał Albert. - Nagradzam siebie za wykonaną pracę.

To szczere wyznanie zaskoczyło zebranych.

- Caine obiecał, że nie będzie się wtrącał, jeśli tu zostanę. Ale czy mogę ufać Caine'owi?

- Nie bardzo - zgodził się Toto.

- Samowi ufam, ale...

Zapanowała taka cisza, że dałoby się usłyszeć brzęczenie muchy.

- Ale... Sam jest kiepskim przywódcą - opuścił wzrok. - Sam jest najlepszym wojownikiem. Obronił nas wiele razy. Ma znakomite pomysły. Ale, Samie... - Albert zwrócił się do niego - jesteś zbyt skromny. Zbyt chętnie się chowasz. Kiedy Astrid i rada odsunęli cię od władzy, pogodziłeś się z tym. Sam brałem w tym udział. Ale ty pozwoliłeś nam się odsunąć, a potem okazaliśmy się beзуżyteczni.

Sam stał nieruchomo.

- Bądźmy szczerzy, to nie dzięki tobie jest nam teraz lepiej, tylko dzięki mnie - powiedział Albert. - Jesteś ode mnie znacznie, znacznie odważniejszy. Błyszczysz w czasie bitwy. Ale nie jesteś dobrym organizatorem, nie potrafisz planować, ani rozkazywać.

Sam powoli pokiwał głową. Nie było mu łatwo tego słuchać, ale znacznie trudniej wytrzymać potakującą reakcję tłumu. Taka była prawda. Pozwolił Radzie decydować, odszedł, a potem tylko użalał się nad sobą. Skorzystał z okazji, gdy mógł udać się na daleką wyprawę, i nie było go na miejscu, kiedy miasto go potrzebowało.

- A zatem - zakończył Albert - ja zostaję tutaj, w Perdido Beach. Ale między Perdido a Jeziorem będzie panował wolny handel. A Lanie należy pozwolić swobodnie się przemieszczać.

Caine zjeżył się na te słowa. Nie podobało mu się, że Albert stawia warunki. Albert nie przejął się tym jednak.

- Karmię te dzieciaki - zwrócił się do Caine'a - i zamierzam to robić tak, jak chcę.

Caine zawahał się, po czym nieznacznie pokiwał głową.

- Chcę, żebyś to powiedział - Albert spojrzał w stronę Tota.

Sam zobaczył panikę w oczach Caine'a. Nie mógł skłamać, Toto obnażyłby każdy fałsz. Albert wsparłby Sama, a dzieciaki podążyłyby za nim. Sam zastanawiał się, czy Caine dopiero teraz zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, co on wiedział już od bardzo dawna: jeśli ktokolwiek był królem, to nie Caine, nie Sam, ale właśnie Albert. Caine długo nie odpowiadał. Jego uśmiech zbladł. Mógł jedynie powiedzieć prawdę. A to znaczyło, że musi uwierzyć w swoje słowa. Pogodzić się z nimi. Słabym głosem, zupełnie niepodobnym do tego, którym przemawiał wcześniej, powiedział:

- Tak. Albert podejmuje wszystkie decyzje dotyczące pieniędzy, pracy i handlu między Perdido Beach a Jeziorem. A Uzdrowicielka może chodzić wszędzie, gdzie tylko chce.

Sam ledwie powstrzymał wybuch śmiechu. Po wszystkim, co wydarzyło się między nim a Caine'em... po całym tym dzisiejszym przemówieniu, ETAP-em, nie rządził wspaniały, przystojny, potężny Caine ani Sam. Przywódcą został chudy, czarny dzieciak, którego jedyną mocą była pracowitość i umiejętność koncentracji. Wielka chwila Caine'a, jego triumfalny powrót, została pozbawiony blasku.

- Okej - powiedział Sam. - Idę do Ralph's. Ci, którzy ruszają ze mną, powinni skierować się właśnie tam. Poczekam dwie godziny. Przynieście wodę i całe jedzenie, jakie macie. To będzie długa podróż. Zszedł po schodach i ruszył w stronę autostrady, nie odwracając się za siebie. Miał dziwne wrażenie, że idzie sam. Zatrzymał się na autostradzie. Brianna oczywiście była z nim, Dekka również. Jack niósł Edilia, jakby ten był bardzo dużym dzieckiem. Było tam jeszcze jakieś czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, które postanowiły opuścić swoje domy i

dołączyć do niego. Quinn wystąpił naprzód. Sam odciągnął go na bok. Jego stary przyjaciel wydawał się wykończony i smutny.

- Co się dzieje, bracie? - spytał Sam.

Quinn nie był w stanie mówić. Emocje odbierały mu głos.

- Stary...

- Chcesz zostać w mieście, tak?

- Moi ludzie... moje łodzie i w ogóle...

Sam położył mu dłoń na ramieniu.

- Quinn, cieszę się, że robisz w życiu coś ważnego. Coś, co naprawdę ci się podoba.

- No tak, ale...

Sam objął go.

- Ty i ja wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Ale masz swoje obowiązki.

Quinn przytaknął żałośnie.

Sam znów spojrzał na tłum, szukając wzrokiem Astrid. Nie było jej tam.

Parking Ralph's znajdował się niedaleko. Sam oparł się o samochód. Kilkoro dzieciaków podeszło do niego, by przekazać mu słowa poparcia i otuchy. Większość jednak mówiła raczej rzeczy w rodzaju: „Naprawdę macie nutellę?” i „Będę mógł zamieszkać na łodzi? Ale super!” Nie szli tam dla niego, ale dla nutelli i klusek. Ogarnęło go zobojętnienie. Jakby wszystko, co się działo, przydarzało się komuś innemu. Wyobrażał sobie siebie nad jeziorem, mieszkającego na łodzi. Będą tam Dekka, Brianna i Jack. Będzie miał przyjaciół. Nie będzie sam. Ale wciąż szukał jej wzrokiem. Nie musiała już opiekować się małym Pete'm. Mogliby po prostu być razem. Ale oczywiście znał Astrid, wiedział, że, niezależnie od tego, gdzie jest, zżera ją poczucie winy.

- Nie przyjdzie, prawda? - spytał Dekkę.

Dekka jednak nie odpowiedziała. Nie była sobą. Trwała zatopiona w myślach. Sam widział, jak zerka na Briannę, która kładła Jackowi dłoń na ramieniu. Przyszło jeszcze kilkoro dzieciaków. Grupkami, po trzy lub cztery osoby. Syrena razem z dziećmi, z którymi mieszkała. John Terrafino. Ellen. Czekał dalej. Zamierzał czekać pełne dwie godziny. Przekonywał sam siebie, że nie czeka na nią, a po prostu chce dotrzymać słowa. Nadeszli Orc z Howardem. Sam jęknął.

- To chyba jakiś żart - mruknęła Brianna.

- Musieli dokonać wyboru - stwierdził Sam. - Howard pewnie po prostu zdał sobie sprawę, jak ciężkie będzie życie kryminalisty w miejscu, w którym „król” decyduje o życiu i śmierci.

Odetchnął z ulgą, widząc, że Howard nie zamierza z nim rozmawiać. Razem z Orkiem usiedli na tyle ciężarówki. Pozostałe dzieci odsunęły się od nich.

- Już czas - powiedział Jack.

- Bryzo, policz dzieciaki - poprosił Sam.

Wróciła po dwudziestu sekundach.

- Osiemdziesiąt dwie osoby, szefie.

- Mniej więcej jedna trzecia - zauważył Jack. - Jedna trzecia tych, którzy pozostali.

- Czekać. Jednak osiemdziesiąt osiem. I pies - powiedziała Brianna.

Ich oczom ukazał się: Lana która, jak zwykle wydawała się zirytowana, Sanjit, który, również jak zwykle, wyglądał na zadowolonego, i jego rodzeństwo.

- Jeszcze nie wiem, czy tam zostaniemy - powiedziała Lana bez zbędnych wstępów. - Chcemy sprawdzić, jak tam jest. Poza tym w moim pokoju śmierdzi.

Nagle rozległ się szmer. Dzieci odsuwały się, wyraźnie robiąc dla kogoś przejście. Sam wstrzymał oddech.

- Hej, Sam.

Przełknął ślinę.

- Diana?

- Nie spodziewałaś się mnie, co? - Skrzywiła się. - Gdzie jest blondyneczka? Nie widziałam jej podczas całej tej paplaniny.

- Idziesz z nami? - spytała Brianna, wyraźnie niezadowolona.

- Czy Caine się na to zgodził? - spytał z kolei Sam. - To twój wybór, ale muszę mieć pewność, że nie zacznie nas gonić, żeby cię zabrać z powrotem.

- Caine ma to, czego chciał - powiedziała.

- Może powinienem zawołać Tota - spojrzał na chłopca, który prowadził akurat konwersację ze Spideyem. - Mógłbym spytać cię, czy przyszłaś tu, żeby nas szpiegować i sprawdzić, co Toto ma do powiedzenia.

Diana westchnęła.

- Sam, Caine nie jest moim największym problemem. Jak podejrzewam, twoim zresztą też nie. Bo, widzisz, w ETAP-ie wydarzy się coś, co nigdy jeszcze nie miało miejsca: populacja wzrośnie.

- O czym ty mówisz?

- Zostaniesz wujkiem.

Sam patrzył na nią tępo. Brianna zakłęła. Nawet Dekka podniosła wzrok.

- Jesteś w ciąży? - spytała.

- Mam taką nadzieję - powiedziała ponuro Diana. - Mam nadzieję, że tylko o to chodzi.

PETE

Kroczył wzdłuż krawędzi szklanej bariery, na wysokości milionów mil. Po jednej stronie, dużo, dużo niżej, miał przytłumione brzęczenie i plamy barw. Wciąż widział złote włosy i przenikliwe, niebieskie oczy swojej siostry, na tyle daleko jednak, że nie były w stanie go skrzywdzić. Widział echa krzykliwych, jasnoookich potworów, które próbowały go pożreć. Były teraz duchami, leniwie kroczącymi ku zielonkawemu światłu w głębi ziemi. Rzuciły się na niego z długimi jęzorami i kłapiącymi paszczami. Sprawił więc, że zniknęły. Zniknął ból. Pete czuł się lekki i niesamowicie zwinny. Zrobił gwiazdę i roześmiał się. Jego pełne gorąca, bólu i eksplodującego kaszlu ciało również zniknęło. Tak jak robaki. Żadnego ciała, żadnego bólu. Mały Pete uśmiechnął się do Ciemności. Teraz już nie próbowała go dotknąć. Skurczyła się. Bała się. Bała się jego. Mały Pete czuł się tak, jakby wielki ciężar został zdjęty z jego ramion. Wszystko - jaskrawe kolory, zbyt przenikliwe oczy, mgliste wici, które sięgały do jego umysłu - było bardzo, bardzo daleko. Unosił się teraz ponad szklaną barierą. Nie musiał już chwiać się na niej. Mógł odejść gdziekolwiek. Uwolnił się od siostry i od Ciemności. Uwolnił się od niszczonego chorobą ciała. Uwolnił się też od skarlłowaciatego, wypaczonego umysłu, który czynił świat tak bolesnym. Po raz pierwszy patrzył na wszystko, nie chcąc się skulić ani uciec. Czuł się tak, jakby do tej pory oglądał świat przez zasłonę, przez mleczne szkło, a teraz po raz pierwszy zobaczył go w całej okazałości. Przez całe życie musiał się ukrywać. Teraz oddychał głęboko, ciesząc się, że widzi, że słyszy, że czuje. Jego chore ciało zniknęło. Jego przeraźliwy, wypaczony mózg zniknął. Jednak Pete Ellison po raz pierwszy poczuł, że naprawdę żyje.